

# Wrzos



MARIA RODZIEWICZÓWNA

## Wrzos

### I

Wszystko się stać może, ale żeby się Andrzej Sanicki miał żenić, to szczyt, co plotka wymyślić zdolna.

A pani Celina?

Gdy ta wieść gruchnęła po mieście, każdy ramionami ruszył — nawet nie zaprzeczał — był to absurd.

Plotka jednak nie cichła, owszem<sup>1</sup>, utrwaliła się. Mówiono, że podobno pan Andrzej z ojcem się pojednał, że kawalerskie swe mieszkanie zwija, że ojciec, że pan prezes ustępuje mu pierwsze piętro w swej kamienicy na Marszałkowskiej, że widziano ich obu pod rękę wychodzących od jubilera. Słowem dziwa.

Więc zaczęli znowu wszyscy pytać jednogłośnie:

— Cóż na to pani Celina? Żyje i pozwala?

— Żyje, pozwala i śmieje się! — uspokoił malarz, Józef Radlicz, który u pani Celiny bywał co piątek.

Saniccy byli szeroko znani; ojciec — powaga prawnicza, syn — zdolny technik. Koło znajomych było tedy<sup>2</sup> szerokie — gawędom nie było końca.

Andrzej po śmierci matki z ojcem się poróżnił, doszło do zupełnego zerwania. Jedni mówili, że im poszło o spadek — nieboszczka była bardzo bogata — drudzy, że już wtedy ojciec wymagał, by syn z panią Celiną zerwał.

Odtąd minęły trzy lata. Ludzie już się oswoili z zerwaniem, z panią Celiną, z trochę hulaszczym życiem pięknego Andrzeja, gdy wtem ta wiadomość! Saniccy znaleźli się znowu na ustach całego miasta.

Doktor Morawski, stary znajomy prezesa, z którym co wieczór grywał w winta<sup>3</sup> i należał do zaufanych, był oblegany przez panie swoje w domu i przez wszystkich znajomych.

Ale doktor był to kpiarz i dowcipniś — każdemu pod sekretem<sup>4</sup> powierzał co innego. Wreszcie oburzył na siebie nawet żonę.

— Od dwudziestu lat nie zdradziłam ani razu twego zaufania i tak mi płacisz! — wołała rozżalona.

— Od dwudziestu lat ani razu nie powierzyłem ci cudzego sekretu i dlatego żyję w zgodzie z całym światem. Znasz prezesa, bywa u nas — spytaj go sama. Ja nie jestem telefonem!

Spytać prezesa nie było łatwo, bo się od pewnego czasu nie pokazywał ani u doktorów, ani u innych znajomych. Mówiono, że na wieś wyjechał. Napadły tedy panie na Radlicza, który się z Andrzejem przyjaźnił.

— Naprawdę się żeni? Z kim? Gdzie?

— Daleko. Ze wsi bierze jakąś topolę czy stokroć<sup>5</sup>.

— Ze wsi, z daleka! Chyba. Tutaj nie mógł się ożenić, mając taką reputację.

Malarz się śmiał, złośliwymi oczyma wodząc po paniach. Nie wierzył temu, ale nie przeczył.

<sup>1</sup>owszem — tu: przeciwnie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>tedy (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>wint — dawna gra w karty, podobna do wista. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>pod sekretem — prosząc o zachowanie tajemnicy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>stokroć — tu zgr. od: stokrotka. [przypis edytorski]

— Poznał ją w karnawale zatem. Kto to być może? — Poczęto przypominać wszystkie importowane ze wsi na karnawał panny.

— Niech się panie nie trudzą. Na karnawale nie była i on jej wcale nie zna.

— Awantura! Więc prezes zwyciężył — postawił na swoim, żeni go! Biedna ofiara.

A Radlicz wciąż się uśmiechał złośliwie — równie nie wierząc politowaniu, jak i poprzedniemu ostracyzmowi.

Że zaś to był piątek, więc krótko bawił, bo mu śpieszno było do pani Celiny na wieczorek.

Pani Celina, młoda rozwódka po bogatym bankierze, mieszkała sama na Erywańskiej<sup>6</sup> i prowadziła dom otwarty, gdzie rolę gospodarza nietytularnego spełniał od lat pięciu Andrzej Sanicki.

Płeć piękną, oprócz gospodyni, przedstawiało<sup>7</sup> kilka jej kuzynek tylko; za to mężczyźni schodzili się tłumnie. Pani Celina była przepysznie piękna, śpiewała po mistrzowsku, umiała bawić gości rozmową dowcipną — pozwalała się innym bawić swobodnie.

Gdy Radlicz wszedł, zebranie było kompletne.

W gabinecie grano w winta, w salonie deklamował najlepszy komik, a roiło się od dziennikarzy, artystów, ludzi najzdolniejszych i najweselszych, wśród których majestacyjnie przesuwała się pani Celina.

— Witam! — podała mu po koleżeńsku rękę. — Ma tam pan co nowego?

— Mam miny ludzi, co się dowiadują o małżeństwie Andrzeja. Ale może to za ostro będzie tak wobec wszystkich?

— Ależ owszem. Przygotowałam panu papier i ołówki — tam, pod lampą. Smaruj pan, a żywo!

Śmiała się, ubawiona, prowadząc go do stołu.

— Andrzeja nie ma? — spytał, oglądając się.

— Za wcześniej. Przecie<sup>8</sup> teraz patriarchalnie<sup>9</sup> obiaduje z tatkiem — o szóstej.

I znów się śmiała.

Radlicz witał znajomych i wnet wkoło jego osoby i ołówka zebrała się spora grupa.

Rysował i tekst układał. Wybuchy śmiechu towarzyszyły tej robocie, a komik kończył deklamację; do fortepianu usiadła pani Celina i nie tracąc z oczu towarzystwa, i nie przestając rozmowy z młodym Maksem Unfriedem, brała luźne akordy. W gabinecie rozpoczęła się ostra kłótnia dwóch graczy, z jadalni rozległ się szczełk krysztalów.

W tej chwili za krzesłem Celiny, w drzwiach gabinetu stanął gość ostatni i rozglądał się po sali.

Był młody, bardzo wysoki i zgrabny. Miał twarz suchą i nerwową, ciemnoblonde kędzierzawą czuprynę nad szerokim czołem, oczy ocienione mocno, zuchwałę, usta szydercze. Był bardzo przystojny, ale wyraz miał niemiły. Wypisał się na tej twarzy przesyty i duma, gwałtowność żądz, bezwzględność charakteru, ledwie pokryte światową ogładą.

Bardzo elegancki i szykowny, ubrany wykwiłtnie, był to właśnie bohater chwili — Andrzej Sanicki.

Wzrok jego, trochę chmurny, obiegał salę, spoczął wreszcie na pani Celinie i zamigotał ogniem.

W tej chwili ona się obejrzała, jakby poczuła jego spojrzenie, i nie przerywając gry, skinęła mu głową.

Maks Unfried, dobrze wytresowany, wstał natychmiast, podali sobie dłonie i Sanicki zajął jego miejsce. Chwilę rozmawiali we troje banalnie, potem Maks dyskretnie zajął się sprzeczką wintową i zrzęcznie się wycofał.

— Wcześniej się zwolnił — rzekła Celina. Muzyka głużyła rozmowę.

— Za wcześniej. Nie cierpię tych piątków. Czemu nie podają kolacji? Głowa mnie boli szalenie! — rzucał przez zęby gniewnie.

<sup>6</sup>*Erywańska ulica (w Warszawie)* — nazwana na cześć hrabiego erywańskiego Iwana Fiodorowicza Paskiewicza, ros. generała, namiestnika Królestwa Polskiego w latach 1832–1856; od 1917: ul. Kredytowa. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*przedstawiać* — tu: reprezentować. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*przecie* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*patriarchalnie* — w sposób właściwy dla patriarchy, głowy rodu; poważnie, uroczyście. [przypis edytorski]

— Mogłeś się tu nie pokazywać, iść wprost do buduaru<sup>10</sup>.  
 — Tak, żeby mi tam znowu wpadła Bella, jak wtedy.  
 — Nie zdziwiła się wcale.  
 — Ale ja byłem w głupiej pozycji. Nie lubię tego.  
 — Widzę, że cię głowa boli, ale to nie z mojej winy. Więc mi nie grymas.  
 — A komuż? — uśmiechnął się gorąco.  
 — Tak, to i owszem. Lubię szampan, nie znoszę wermutu<sup>11</sup>. Cóż tam nowego na łonie rodziny?  
 — Ano, jutro jedziemy!  
 — Już? Napiszesz do mnie zaraz po przybyciu?  
 — Naturalnie.  
 — A nie skłamiesz?  
 — Dlaczego?  
 — Może ci się ona spodoba.  
 — To napiszę. Albo to pierwszy raz, że mi się ktoś podobał? Wiedziałaś o tym pierwszej.  
 — To dobrze. Cóż ojciec?  
 Andrzej brwi zmarszczył. Twarz jego przybierała wtedy tak twardy wyraz, że pytający rad<sup>12</sup> by był słowo cofnąć. Pani Celina poprawiła się.  
 — Musi być rad i o mnie raczej zapomnieć.  
 — On o tobie, ty o nim też zapomnij!  
 Chwila milczenia. Akordy łączyły się w śpiew. Andrzej rozpozgodził twarz. Rad<sup>13</sup> by słuchał, ale śmiechy przy stole przeszkadzały mu.  
 — Co tam Radlicz wyprawia? — spytał niecierpliwie.  
 — Rysuje karykatury ze znajomych, którzy się dowiadują o twym małżeństwie.  
 — Zmarnuje się na tych głupstwach próżniak! Nie graj, nie śpiewaj, aż zostaniemy sami.  
 — Jesteś dzisiaj jak pokrzywa. Boję się ciebie!  
 Spojrzała na niego zalotnie. Spomiędzy purpurowych warg błyskały zęby — oczy pałały.  
 Wstał gwałtownie — spojrzał po ludziach.  
 — *Quelle corvée!*<sup>14</sup> — szepnął przez zęby.  
 W tej chwili lokaje otworzyli drzwi jadalni, oznajmili kolację, uczynił się rumor, Andrzej, już zupełnie *correct*<sup>15</sup>, począł<sup>16</sup> się witać na wsze<sup>17</sup> strony.  
 Było jednak coś takiego w nim, że go nikt nie spytał o osobiste sprawy, nikt wzmianki nie uczynił, nie zażartował, nawet *fertyczna*<sup>18</sup> i śmiała Bella, wesoła rozwódka, która się nikogo i niczego nie lękała, której dowcipy były ostre, zachowanie swobodne i z którą Andrzej był na stopie koleżeństwa.  
 Po kolacji goście zaczęli się przerzedzać, gracze kończyli rachunki, panowie odprowadzali panie, świece dopalały się w kandelabrach<sup>19</sup>, zegary biły późne godziny. Jak zwykle, pozostali najdłużej: Radlicz i pani Bella.  
 Pani Bella zasiadła do fortepianu i zaczęła swawolne francuskie szansonetki<sup>20</sup>, którym malarz wtórował. Pani Celina otworzyła drzwi na balkon. Kłęb świeżego powietrza wpadł do salonu i począł zganiać kłęby dymu tytoniowego.  
 Na balkon za panią Celiną wyszedł Andrzej. Na ulicy było już pusto, naprzeciw w kamienicy wszystkie okna już ciemne. Nareszcie byli sami, bo o tych dwoje w salonie się nie troszczyli.

<sup>10</sup>*buduar* (z fr.) — pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*wermut* — wino aromatyzowane ziołami. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*rad* (daw.) — zadowolony; chętny, przychylny. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*rad* (daw.) — chętnie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Quelle corvée!* (fr.) — co za pańszczyzna. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*correct* (fr.) — poprawny. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*począć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*wsze* (daw.) — wszystkie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*fertyczny* — ruchliwy, ożywiony, żwawy. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*kandelabr* — duży, ozdobny, wieloramienny świecznik stojący. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*szansonetka* (z fr. *chansonette*) — piosenka o lekkiej, wesołej treści. [przypis edytorski]

Pani Bella grała hałaśliwie, uszczęśliwiona bezwstydem piosenek, Radlicz przywiózł świeżo z Paryża nowy ich zapas...

— Musi mi pan tekst przepisać, ten o rakach szczególnie — zawołała, śmiejąc się jak szalona. — Chodźmy już! Obowiązek spełniony!

— Może dziś mam przepisać, jeżeli wolno odprowadzić — rzekł.

— A naturalnie, dziś, dziś! — odparła, zbierając rękawiczki.

Lokaj za nimi zamknął i zaryglował drzwi, i gaz w przedpokoju zgasił. Oni zeszli, nucąc na schodach. Ulice były puste i głuche, ruszyli pod rękę, pieszo na Mazowiecką.

— Ciekawam, okropnie ciekawam epilogu... tam — rzekła pani Bella — Cesia głupstwo robi, że to lekko traktuje!

— Być może i nie bardzo dba — zaśmiał się Radlicz.

— Gorzej, bo zanadto sobie wierzy. Mówiłam jej: strzeż się sakramentu<sup>21</sup>! Wyśmiała mnie. Ano, zobaczymy.

— Ja tylko ciekawym argumentu, jakiego prezes użył, by syna do małżeństwa doprowadzić, a tego właśnie nikt się nie dowie.

— Ba, Cesia nawet nie wie. No tej młodej pani życia nie zazdroścę, jeżeli będzie kochała.

— Czyż koniecznie ma kochać męża?

— Takie panny ze wsi są zwykle karmione chlebem czarnym i... cnotami. Ogromnie się cieszą z tego skandaliku... Odegramy w nim rolę — zobaczy pan! Czy aby ładna będzie?

— Nawet tego pani Celina nie ciekawa. Wspomniałem: ramionami ruszyła, „*je m'en fiche!*”<sup>22</sup> rzekła. Co prawda nawet Andrzej tego nie wie.

— Cesia jest dziwnie lekkomyślna w tym razie. Zdradzić można dla najbrzydszej... żony, a najpiękniejszą dawną dla najszlachetniejszej nowej!

— „W miłości nie ma zdrady, jest tylko wieczny ruch”<sup>23</sup> — zadeklamował Radlicz, dzwoniąc do bramy.

I tak tych dwoje najzaufanszych niewiele więcej wiedziało od reszty znajomych — nie wiedziała też słowa zagadki<sup>24</sup> pani Celina.

Przed kilku miesiącami, bez żadnego wstępu, bez wahania, bez widocznej zmiany usposobienia, Andrzej pewnego wieczoru rzekł spokojnie:

— W tym roku mam się ożenić.

Ona, zawsze panująca nad sobą, zawsze przytomna, rzuciła obojętnie:

— Tak? A wybór uczyniony?

— Ja wybrałem raz na zawsze — ciebie. Żonę — wybiera mi ojciec.

— Ojciec. Więc pogodziliście się?

— Nigdyśmy się nie kłócili. Ludzie o tym mówili, my nigdy! Naszych spraw rodzinnych nie powierzamy nikomu. Mówiłem ci, że może na uczucie nasze przyjąć czas próby! Przyszedł — ja się nie boję — a ty?

— Jam ci nigdy nie odbierała swobody. Byliśmy względem siebie szczerzy i prawi<sup>25</sup>. Nie robiłam ci nigdy scen ani piekła w domu. Będziesz tu zawsze panem i ukochanym, dopóki zechcesz!

— Dziękuję ci i całym życiem zapłacę.

— Nie masz za co dziękować i płacić. Wszystko jest twoje i nie ja ci w czymkolwiek się sprzeciwę, bo przecie czujemy jedno za drugie. Któż jest tedy ona?

— Nie znam, nie wiem, nie ciekawym. Ojciec wybrał.

— Ale się zgadzasz? Dobrze jest wiedzieć, z kim się będzie miało do czynienia. Życ przecie będziesz pod jednym dachem, obcować codziennie? Brr!

Wzdrygnęła się i pobladła, ale zapanowała znowu nad sobą i rzekła poważnie:

— I jakże ty potrafisz jej kłamać uczucie<sup>26</sup>! Po co? Dlaczego?

— Jam nigdy nie kłamał i nie skłamię.

— Więc któraś się zgodzi, prawdę wiedząc?

<sup>21</sup>sakrament — tu: małżeństwo. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*je m'en fiche* (fr.) — mam to w nosie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*W miłości nie ma zdrady, jest tylko wieczny ruch* — Maria Konopnicka, *List XIV*. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*nie wiedziała też słowa zagadki* — dziś: nie znała odpowiedzi na zagadkę. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*prawy* (podn.) — szlachetny, uczciwy. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*kłamać uczucie* — udawać uczucie. [przypis edytorski]

— To rzecz ojca. On wie, jaki jestem i że ustępstwa żadnego od honoru nie uczynię.  
— Szkoda mi ciebie. Bardzoś młody i niedoświadczony, gdy tak lekko do tego przystępujesz.

— Czy lekko, to ja wiem, ale nie zwykł się uchylać od żadnego zobowiązania. Byłem może kiedyś lekkomyślny, dziś nie. Ale to nasze rodzinne sprawy. Nie ma nad czym rozpacznać, stało się!

Pani Celina zrozumiała, że temat był wyczerpany, że ani słowa więcej rzec nie można, że teraz trzeba użyć całej delikatności i sprytu, by go nie urazić, by wpływ utrzymać, bardziej wzmocnić. Znała go doskonale od wielu lat, wiedziała, co czynić. Te dwa miesiące uczyniła mu jedną pieśnią rozkoszy i miłości.

W dzień wyjazdu prezes trochę niespokojny szedł do syna. Nie sprzeciwiał się Andrzej nigdy, tylko termin odkładał, przedłużał, zwlekał.

Zastał go zajętego pakowaniem rzeczy i odetchnął.

— Zatelegrafowałem o konie — rzekł.

— Gotów jestem — odparł syn.

Zmierzyli się badawczym wzrokiem i prezes dodał po francusku z naciskiem.

— Ufam ci zupełnie, że dotrzymasz słowa.

— Niezawodnie. Tylko ojciec wie<sup>27</sup> warunki.

Uśmiech dziwny przemknął przez oczy prezesa.

— Wiem — odparł. — Bądź spokojny. Nie przegrywałem nigdy spraw jeszcze bardziej skomplikowanych.

Andrzej brwi zmarszczył. Ten uśmiech go gniewał i drażnił.

— Kiedy i gdzie jedziemy? — zagadnął szorstko.

— Za godzinę — nadwiślańską, niedaleko, osiem stacji.

— Mam urlop z biura na trzy dni.

— Wystarczy na pierwszy raz.

— Jak to? Na pierwszy raz? Więc ileż razy myśli ojciec mnie tam wozić?

— Ja tylko ten raz. Potem będziesz jeździł sam. Chyba chcesz się zaraz oświadczyć?

— A naturalnie.

— Tyleś czasu odkładał. Myślałem, że zechcesz jeszcze przedłużyć swobodę.

— O, ja jej wcale tracić nie zamierzam i potem. Wolę sprawę co rychlej załatwić.

— Jak sobie chcesz. Jedźmy tedy. Po drodze opowiem ci, gdzie jedziesz i do kogo.

Andrzej nie zdawał się być ciekawy. Wsiadli do powozu i ruszyli. Mieli mnóstwo znajomych i co chwila spotykali kogoś. Gdy po raz może dziesiąty uchylili kapelusza, młody człowiek wybuchnął:

— Mógł ojciec na tę śmieszłą wyprawę wybrać nocny pociąg. Każdy, kto na nas spojrzy, nawet nie ukrywa uśmiechu. Dostaniemy się na języki wszystkich dowcipnisiów i będziemy niezawodnie figurowali w niedzielnym „Kurierze Świątecznym”<sup>28</sup>!

— Nie możemy tam przyjechać wśród nocy przecie. Osiem stacji kolei, potem dziesięć wiorst<sup>29</sup> końmi. Zresztą, mój drogi, nie pierwszy to raz będą mówić o tobie. Nie żyłeś jak fiołek i lilia<sup>30</sup>.

— Ale nie byłem śmieszny. A! żebyż to się raz skończyło. Czy ta panna wie, w jakim celu przyjeżdżamy?

— Wie. Ojciec jej powiedział i ja się z nią rozmówiłem.

— Czy to być może?!

— Tak.

— I zgadza się? Słodkie musi mieć życie w domu!

Prezes nic nie odrzekł, bo byli już na dworcu. Załatwił bilety sam i dopiero gdy wsiadli do wagonu i pociąg ruszył, zapalił cygaro, wygodnie się rozsiadł i począł mówić, jakby przerwy między zapytaniem syna a odpowiedzią nie było.

— Zapewne, że żywot ma niesłodki. Ojciec jej przed pięciu laty ożenił się po raz wtóry z panią Tomkowską, bardzo bogatą wdową po tym Tomkowskim, u którego trzymał

<sup>27</sup>wiedzieć (daw.) — znać. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>„Kurier Świąteczny” — warszawski tygodnik literacki i humorystyczny, wydawany w latach 1864–1919. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>fiołek i lilia — symbole niewinności, cnoty i skromności. [przypis edytorski]



w dzierzawie folwark i zarządzał jego interesami. Głupstwo pałał, z płatnego oficjalisty<sup>31</sup> przeszedł na bezpłatnego. Po co? Sam nie wie! Proponowano mu świetne posady, bo człowiek to bardzo zdolny, uczciwy i fachowiec. Ano, przyznał mi się, że żał mu było rzucać swą pracę innemu. Przywiązał się do tych dóbr, upoiła go złuda dziedzictwa, i poszedł ze służby w niewolę. Ale ty go znasz nawet, bywa przecie u mnie. Kolegowaliśmy się w szkołach i choć się rzadko widzujemy, przyjaźń pozostała. Nazywa się Szpanowski.

— Taki suchy, śniady brunet, opalony jak cegła? — wtrącił Andrzej.

— Ten sam. Był żonaty z Ostrowską, daleką naszą krewną. Umarła ona w dwa lata po ślubie, zostawiając córkę Kazię. Ta Kazia — to ona!

Pomimo woli Andrzej słuchał uważnie. Prezes sięgnął do pugilaresu<sup>32</sup> i podał mu fotografię.

Była to fotografia z małego miasteczka, nędzna, blada, a wyobrażała dziewczynę źle ubraną i niezgrabną, stojącą sztywno przy tekturowej olbrzymiej dekoracji fotografa jarmarcznego zapewne. Była chuda, śniada, bez wyrazu na twarzy ściągłej i prawie dziecięcej. Stała tak sobie, bez żadnej pozy, z obwisłymi ramionami<sup>33</sup>, patrząc wprost przed siebie. Oczy miała ciemne i łagodne i gruby warkocz przerzucony przez ramię.

Andrzej popatrzył i obojętnie fotografię zwrócił.

— Cóż? Jakże ją znajdujesz<sup>34</sup>? — spytał prezes.

— Okropna!

— Takąś chciał mieć. Odpowie wszelkim twym wymaganiom. Będzie spokojna, poważna, dobra i cicha. Zgadza się na wszystko, zrozumie swe położenie i nigdy poza granice nie wyjdzie. Dla ciebie będzie wygodna, a ja ją będę okrutnie lubił!

Andrzej aż się zdziwił zapałowi ojca. Nie słyszał nigdy, by prezes nad kimś się unosił. Uśmiechnął się lekko.

— Widzę, że ojciec już ją dobrze zna.

— Ano, tobie się zdaje, że ci obojętne, kogo w dom wprowadzisz. Dla mnie nie! Przyznaję. Myślisz, żem się bał twego romansu? Nie, bałem się, byś nie wybrał panny na wydaniu, w karnawale. Teraz jestem rad i spokojny.

Andrzej ramionami ruszył; coś w tonie ojca go gniewało. Była to wciąż pewność jurysty<sup>35</sup>, który wie, że sprawę wygra.

— To dziwne jednak, że tego ideału dotąd nikt ojcu nie sprzątnął — wtrącił ironicznie.

— Dziewczyna ma zaledwie dwadzieścia lat i ani grosza posagu. Hodowała się na folwarku dzierzawnym, w kącie głuchym, w pracy od dziecka. Ojciec ją oddał do klasztornej pensji<sup>36</sup> w Galicji, ale po dwóch latach odebrał, bo się obejść bez niej nie mógł. W rok potem się ożenił i razem z nim poszła na bezpłatną służbę do Tomkowskiej Jakeś rzekł, niesłodki ma żywot, od czasu zwłaszcza, gdy się tam urodziła córka! I ojciec, i ona cierpią jedno za drugie. On na wszystko się zgadza, byle na dziecka poniewierkę nie patrzeć, ona gotowa na jeszcze gorszą dolę, byle on nie widział jej utrapień. I tak, mój drogi, nie ma trudności nie do rozwiązania. Myślałeś, że dasz mi zagadkę bez odpowiedzi. Ano, przegrałeś raz pierwszy!

— Jeszcze nie po ślubie! Jeszcze ja się rozmówię — mruknął Andrzej.

— Nie powiesz jej więcej niż ja! Zresztą, o co się spierać? Lepszej nie znajdziemy nigdzie. Przyjdzie czas, gdy mi podziękujesz.

Syn począł dobywać<sup>37</sup> gazety poranne. Po chwili obydwaj zagłębili się w czytaniu. Temat był wyczerpany.

Na świecie był kwiecień; pola jeszcze szare, plugami poorane, gdzieniegdzie ledwie zieleniec poczynała. Pociąg mijał łany dobrze uprawne, porządne dwory, ludzi pracujących na roli, gaje i sady kwitnące. Przez okna wagonu wpadał kłębamii świeży podmuch wsi, więc prezes rychło gazetę rzucił i rozglądał się po okolicy.

<sup>31</sup> *oficjalista* (z łac. *officium*: służba, urząd) — zarządca prywatnego majątku ziemskiego. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> z *obwisłymi ramionami* — dziś popr. forma N. lm: (...) ramionami. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *znajdować* (daw.) — (kalka z fr.) oceniać; odnosić wrażenie. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *jurysta* (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *pensja* — prywatna szkoła żeńska, zwykle z internatem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *dobywać* (daw.) — wyjmować. [przypis edytorski]

— Mało znasz wieś — rzekł do syna. — Zobaczysz ją z najbliższej strony, bo i pora uroczą, i Górów, dwór Tomkowskiej, to jest Szpanowskich, jest jednym z najlepszych gospodarstw w kraju. Tam już nie sielanka i nie dyletantyzm<sup>38</sup>, to już fabryka rolna bardzo rozumnie prowadzona. Nie znam się na tym, ale chylę głowę, bom widział rachunki Szpanowskiego. Zdumiewające ma rezultaty.

— To ten Górów, skąd Jasiński ma konie?

— Ten sam. Stadninę mają jedną z pierwszych w kraju. Pokaże ci ją Szpanowski, bo ma słabość do koni.

— Więc zabawimy ile? — zagadnął Andrzej niespokojnie.

— Ano, nie mniej, jak do jutra wieczór. Zdaje mi się, że to niezbyt długo.

Andrzej powrócił do gazety, ale czytał nieuważnie. Pomimo wszystkiego<sup>39</sup> ta wyprawa, im bliżej celu, tym gorzej go drażniła.

— Jeśli ojciec już grunt przygotował, to ślub może się odbyć jeszcze w maju — rzekł po chwili, zapalając papierosa i mnąc nerwowo gazetę.

— Naturalnie. Im prędzej, tym lepiej. Dom mamy urządzony, papiery w porządku.

— I znajomych mniej latem. Mam nadzieję, że do jesieni wyczerpią nasz temat i znajdą nową pastwę<sup>40</sup> dla plotek.

— Możecie wyjechać gdzie na lato!

— Razem! Dziękuję! — oburzył się Andrzej i posępnie umilkł.

Przypomniał sobie zeszlą wiosnę, którą spędził z panią Celiną na Capri<sup>41</sup>. Parę miesięcy marzeń, szczęścia, śpiewu i rozkoszy. Teraz jakże trudno będzie idyllę<sup>42</sup> tę powtórzyć. Niepodobna<sup>43</sup>!

A pociąg pędził i pędził, coraz bliżej złowieszczego celu. Odebrano już bilety, prezes prostował zeszywniałe członki i także niespokojny chodził od okna do okna.

Andrzej przetarł dłonią czoło i oczy, wzdrygnął się i spod brwi spojrzął na ojca.

— Właściwie matka mi dała termin do października — rzekł nieśmiało. — Dlaczego się śpieszymy tak bardzo?

— Dlatego, żeś się zgodził na to sam przed dwoma miesiącami i ja zaangażowałem swoje słowo — odparł spokojnie prezes.

Syn głowę spuścił. Był to ostatni protest.

Pociąg zwalniał już i zatrzymał się wreszcie.

Prezes przez okno się wychylił i kiwnął głową służącemu w liberii<sup>44</sup>.

— Konie są? Weźcie rzeczy — rzekł.

Sługa, niemłody już człowiek i snadź<sup>45</sup> rzeczy świadomy, spojrzął ciekawie na Andrzeja, zbierając tłumoczeki.

— Jest co w brankardzie<sup>46</sup> do odebrania? — zagadnął.

— Nie. Państwo w domu?

— Czekają z herbatą.

Przeszli przez stację, oglądani ciekawie przez tłum Żydów i gawieź rozmaitych. Zdawało się Andrzejowi, że i tu widzi miny dwuznaczne. Rozdrażnienie jego rosło.

Gdy weszli na podwórze, już wolant<sup>47</sup> górowski stał przed gankiem. Cztery siwki bardzo rasowe, stangret<sup>48</sup> z wąsikami jak wiechy, powozik jak z igły. Gawieź poczęła im z drogi się usuwać z widocznym szacunkiem. Andrzej odetchnął. Ruszyli. Minęli miasteczko liche i wydostali się między pola. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie kończyli roboty, od gajów i sadów szły cudne wonie.

Andrzej się uspokajał spokojem i pogodą otoczenia.

<sup>38</sup>dyletantyzm — zajmowanie się jakąś dziedziną bez fachowej wiedzy. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>pomimo wszystkiego — dziś popr.: pomimo wszystko. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>pastwa (daw.) — ofiara, zdobycz, żer. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Capri — włoska wyspa znajdująca się na Morzu Tyrreńskim w Zatoce Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>idylla — sielanka. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>niepodobna (daw.) — nie można, nie da się, jest niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>liberia — rodzaj oficjalnego munduru noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>snaź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>brankard — wagon a. przedział służbowy. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>wolant — czterokołowy odkryty powóz konny na resorach. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>stangret — służący powożący końmi w bryczce, karecie. [przypis edytorski]



Stać się to musi, dał słowo matce, teraz ojcu, życie się jakoś urządzi, wszyscy się przecie żenią, a iluż z miłości?! Nie wyglądają oni jednak jak ofiary i męczennicy.

Drogą przed nimi jechał parobczak z galicyjska przybrany, na drabiaku<sup>49</sup> zaprzężonym w spasłe dwa siwe mierzyny<sup>50</sup>. Jechał i okrutnie śpiewał. Stangret krzyknął, by ustąpił, ten ino batem śmignął i dalej gnał z góry.

I słyhać było, jak z fantazją dalej śpiewał:

Siwy konik, siwy — malowane siodło.

Jakież mnie też licho do dziewczyny wiodło?

Minęli go przecie i stangret mu batem pogroził. A ten się roześmiał tylko, błyskając zębami białymi i oczyma jak bławatki. Prezes do kieszeni sięgnął i rzucił mu rubla.

— To z Górowa człowiek? — spytał stangreta.

— Nasz fornal<sup>51</sup>, Stacho, co masło do kolei dostawia — odparł służący. — Pan go z Galicji wyrostkiem przywiózł<sup>52</sup>! Tyle lat służy, to się rozbestwił!

— To już na górskich jesteście gruntach?

— A już, od lasu granicęśmy minęli<sup>53</sup>.

Stacho fornal na bczną drogę skrzył, do folwarku, który czerwieniał swymi murami wśród pustych pól.

Olbrzymie obory tworzyły czworobok, ludzie się kręcili tu i tam, zadając wieczorną paszę, w budynku u bramy rozlegał się gwizd centryfugi<sup>54</sup>.

Przez otwarte okno tego budynku wyjrzała na turkot furgonu<sup>55</sup> młoda dziewczyna w szafirowej płóciennej bluzie i zawołała Stacha.

— Masz kwit?

— Mam, proszę panienci.

— Dawaj żywo! Czegoś się opóźnił?

— Olaboga! Anim chwilczyny nie zmitrężył<sup>56</sup>. Stangret Paweł może świadczyć, co po warszawskich gości jeździł.

Chłopak ku stajniom ruszył i po chwili wrócił z kwitem w garści.

— Galantom<sup>57</sup> zdał: wzięli za to dziewięć złotych, a tyle mi oddali! — rzekł, kładąc na stoliku trochę srebra i miedzi.

Dziewczyna obejrzała kwit, wciągnęła go do ksiąg, których stos leżał na stoliku, odrachowała<sup>58</sup> pieniądze, wpisała rozchód, śpiesząc się bardzo.

Stacho stał i patrzył, mnąc w ręku rubla.

— Możesz iść — rzekła, oczu nie podnosząc.

— Konie paniencie zaprzęgać? — spytał.

— Naturalnie! Żywo<sup>59</sup>.

— Ja chciał paniencie coś pokazać — uśmiechnął się.

Spojrziała na niego.

— Dostałem od tych gości, co do dworu pojechali — rzekł, pokazując rubla.

— Za co? — zdziwiła się.

— Albo ja wiem. Jechałem se<sup>60</sup>, śpiewając; minęli mnie; było dwóch: jeden stary, drugi młody. Ten stary rzucił mi papierek.

— No, było podziękować — rzekła chmurno, zbierając kapelusz i rękawiczki.

<sup>49</sup>*drabiak* (daw.) — wóz drabiniasty. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*mierzyn* (daw.) — nieduży, silny koń. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*fornal* (daw.) — pracownik zatrudniony jako woźnica w majątku ziemskim. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*pan (...) go wyrostkiem przywiózł* — daw.: pan go przywiózł jako wyrostka. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*granicęśmy minęli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: granicę minęliśmy. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*centryfuga* (daw.) — wirówka, narzędzie służące do rozdzielania zawiesin i emulsji. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*furgon* — duży transportowy wóz konny, kryty budą a. wyposażony w skrzynię na ładunek. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*mitrężyć* — marnować czas. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*galanto* (gw.) — elegancko, porządnie. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*odrachować* (daw.) — dziś: odliczyć. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*żywo* (daw., gw.) — szybko. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*se* (gw.) — sobie. [przypis edytorski]

Stacho głową pokręcił. Z tą swoją panienką był on trochę kolegą. Gdy go malcem przywieziono<sup>61</sup> z Galicji — sierotę — szukali razem gniazd w sadzie, a potem ona go czytać i pisać uczyła.

Dziś na stacji Paweł stangret gadał z lokajem, że po kawalera do panienki przyjechali.

Stacho chciał się koniecznie dowiedzieć, czy to prawda, a jakoś nie śmiał. Panienka była gniewna czy zmartwiona, nie chciała rozumieć.

Pokręcił Stacho głową, westchnął i poszedł konia zaprzęgać.

Młoda dziewczyna rozmówiła się jeszcze z pisarzem i dozorcą mlecznym i wyszła przed sień.

Stacho już zajeżdżał jednokonną bryczką.

Wsiadła do niej i ruszyła za bramę. Koń znał drogę, codziennie dwa razy ją odbywał, o świcie i późnym wieczorem.

Dziewczyna tedy nie kierowała nim i wolno puściwszy lejce, rozglądała się po polach.

Wiedziała, kto są<sup>62</sup> goście i w jakim celu przyjeżdżają, że tam czekają na nią, że się opóźniła, czekając na Stacha, przecie się nie śpieszyła. Wzrok jej spoczął na kępcie drzew na horyzoncie i wahała się.

Nagle targnęła lejce, skrzyła konia i tęgim<sup>63</sup> klusem ruszyła ku tej kępie drzew, pozostawiając Górów na stronie. Spóźni się jeszcze o godzinę, ale być tam musi dziś jeszcze.

Łuny zachodu już gasły, przejrzysty, cudny zmierzch ogarniał krajobraz, po gajach zawodziły słowiki.

Smagłe policzki dziewczyny pały ogniem, usta kurczyły się bólem; oczy były pełne łez.

Polną drożyną sprostowała<sup>64</sup> odległość i wjechała na podwórze gęsto krzewami zarosłe, pod drewniany stary dom, stojący wśród zdziczałego sadu.

Na ganku stara kobieta siedziała samotna.

— To ty, Kaziu! — zawołała zdziwiona. — Skądże... w roboczy dzień, wieczorem. Jakżeś się uwolniła?

Dziewczyna uwiązała konia do ganku i stanęła przed nią, dysząc, jakby pieszo tu biegła.

— Wcalem się nie uwolniła. Jadę z Porębów do domu. Zboczyłam do babci, na chwilę, po ostatnie słowo. Prezes przyjechał z synem po ostateczną decyzję.

Umilkła chwilę, połknęła może łzy.

— Czy on już naprawdę nie wróci, babciu? — szepnęła.

Staruszka potrząsnęła głową żałośnie.

— Oj nie, oj nie! — odparła głucho.

— Bo ja mu przecie łamię wiarę! — ponuro rzekła dziewczyna. — Babcia choć nie wierzy, chroni mu przecie ten dom i szmatek ziemi... i czeka... a ja... mam zdradzić?

— Moje dziecko, nie nam się równać! Ja jego nie czekam, ale dni dożywam. Ja już nie mam obowiązków, jam swoje odbyła, odcierpiąta, odpracowała. Tobie trzeba swoje spełnić. Ty nie zdradasz, ty nie łamiesz wiary; ty musisz życie przeżyć.

— Babcia wie, że gdyby nie ojciec, zniósłabym stokroć więcej jeszcze. Ale patrzeć nie mogę na jego wyrzuty i zgryzotę. Muszę zejść z oczu pani Tomkowskiej. Wiem, że to, co mnie czeka, jeszcze będzie gorsze, ale przynajmniej ojciec nie będzie codziennym świadkiem.

Zamilkła, smutnymi oczyma patrząc przed siebie.

— Żeby choć wieść, że on żyje, żeby choć we śnie! — szepnęła ponuro.

— Gdyby żył, wieść by była. Grób tylko milczy! Ty, dziecko kochane, z czystym sumieniem ofiarę spełnij. Ojciec ci pierwszy!

— Babcia mnie w sercu zachowa?

— Jak wnuczkę jedyną.

Dziewczyna przypadła do jej kolan i lkała długą chwilę. Potem się podniosła, otarła łzy i ucałowawszy ręce staruszki, milcząc, zeszła z ganku.

— Przyjedźże prędko! — pożegnała ją łagodnie.

— Jutro wieczorem!

<sup>61</sup>gdy go malcem przywieziono — daw.: gdy go przywieziono jako malca. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>wiedziała, kto są — dziś popr.: wiedziała, kim są. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>tęgi — mocny; o dużym nasileniu; tu: szybki. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>sprostować odległość — tu: skrócić drogę, jadąc po trasie bliższej linii prostej. [przypis edytorski]

Koń ruszył. Dziewczyna już nie dała sobie roztkliwić się. Wolę miała bardzo silną, postanowienie stałe. Gdy wjeżdżała w podwórze Górowa, była zupełnie spokojna, prawie wesoła. U bramy, niespokojny, czekał na nią ojciec. Już trzeci raz odchodził od gości, wyglądał jej przybycia.

— Nareszcie! — odetchnął. — Chodźże prędzej. Prezes się ciągle o ciebie dopytuje. Przyjechali już dawno.

— Muszę się przebrać chyba.

— Tylko prędko.

Zawołał stajennego, by konia odprowadził i poszli razem do oficyn<sup>65</sup>.

Dom mieszkalny był jasno oświetlony, dwór cały obszerny, ślicznie zbudowany, luźny i zamożny. Kazia mieszkała w oficynie z woli i rozkazu jasnej pani<sup>66</sup>, która nienawidziła pasierbicy i trzymała ją jako płatną sługę. Co prawda, antypatia była wzajemna, tylko Kazia umiała ją ukryć dla ojca.

Szpanowski wszedł za córką do jej mieszkania i podczas gdy ona zmieniała bluzę roboczą na niedzielną sukienkę, stał u stolika zapatrzony w płomień świecy, zamyślony, stroskany.

— Młody Sanicki bardzo przystojny, gładki<sup>67</sup>! — zaczął wreszcie wahająco — ale ma coś w sobie... czy ja wiem, coś zimnego, ostrego. Kaziu, jeśli ci się nie podobał... zlituj się... nie idź. Ja się tak boję o ciebie!

— Otóż znowu tatko wynalazł sobie troskę! — odparła prawie śmiejąco. — Przecie Sinobrodym<sup>68</sup> tylko dzieci straszą. Jeśli podobny syn do ojca, tom gotowa<sup>69</sup> do jutra już się zakochać.

Szpanowski odetchnął. Jakby cień zszedł mu z twarzy.

— Ty, poczciwości. A pokaż no się, czyś ładna?

Obrócił ją do światła i z miłością patrzył.

Kazia była wysoka, trochę za chuda, niezbyt zgrabna, miała twarz mocno opaloną, oczy ciemne i poważne, i ogromny warkocz, opleciony bez pretensji<sup>70</sup> wkoło głowy. Sukienka niedzielna, źle skrojona, nie ubierała, lecz szpecila ją jeszcze. Ale Szpanowski tego nie widział, a ona o to nie dbała. Byle było czyste i całe!

— Chodźmy! — zawołał, całując ją w czoło.

Z oficyn sto kroków było do pałacu. Przeszli milcząc — obojgu biło mocno serce.

W jadalni lokaje nakrywali do wieczery. Z salonu rozlegał się silny, dźwięczny głos prezesa, a gruby śmiech pani domu.

— Ten nieoceniony prezes ze swym humorem — szepnęła Szpanowski — od trzech godzin prawi<sup>71</sup>, aż wszystkich rozruszał.

Znaczyło to, że i macocha była wesoła, co się nigdy nie zdarzało. Kazia uśmiechnęła się gorzko, nieznacznie.

Szpanowski drzwi otworzył. Jasne światło olśniło na chwilę dziewczynę, szumiało jej w głowie, nie wiedziała, co ma dalej ze sobą robić, jak się poruszyć, i zatrzymała się u progu, czując się beźmiernie głupia i nieszczęśliwa.

Ale prezes czatował na tę chwilę, frazes urwał, podniósł się żywo z fotela i szedł do niej uśmiechnięty, uradowany, z gotowym słowem.

— Witam panią. Dopominam się od godziny. Ale młodym do starych nieskoro<sup>72</sup>. Panna Kazimiera nie dba o mumię prezesa. Za karę przywiozłem swoją młodszą edycję<sup>73</sup>. Pani pozwoli przedstawić sobie mego jedynaka. Proszę dla niego o sympatię.

<sup>65</sup>oficyna — budynek przy dworze, przeznaczony dla służby lub na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>jasna pani — jaśnie pani, szlachcianka, dziedziczka. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>gładki (daw.) — urodziwy, piękny. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Sinobrody — postać z baśni Charles'a Perraulta, stary, zamożny szlachcic, zabijający w tajemniczy sposób swoje kolejne żony. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>tom gotowa — skrócenie: to jestem gotowa. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>bez pretensji — tu: bezpretensjonalnie, skromnie, prosto. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>prawić (daw.) — mówić, opowiadać. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>nieskoro — niespieszno, bez ochoty. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>edycja — wydanie. [przypis edytorski]

Od stołu, gdzie przerzucał ilustracje, Andrzej wstał, składając ukłon „stylowy”. Przy tym jednym spojrzeniem objął postać dziewczyny i spotkał na sobie jej wzrok spokojny, poważny.

Egzamin trwał sekundę, potem Kazia nieśmiało podała mu rękę bez słowa. Nie umiała zdawkowych frazesów.

— Pani, jak zwykle, zajęta. Jak to dobrze, że jutro święto. Skorzystamy przecie z pani towarzystwa! — mówił prezes.

Kazia spojrzała po salonie. Macochy nie było.

— Kiedy bo ja i w święto... mam zajęcie — rzekła, spoglądając ku ojcu.

— Jutro robimy sobie wakacje — rzekł Szpanowski. — Panowie chcą obejrzeć gospodarstwo, urządzimy tedy wielką rewię i paradę naszej rolnej armii.

— Ano, to będę wolna! — uśmiechnęła się Kazia.

— Pani lubi wakacje? — spytał Andrzej.

— O, lubię! — rzekła szczerze.

— To dowód młodości.

— Niekoniecznie! To dowód, że mam po czym odpoczywać.

— Racja! — zawołał prezes.

— Ja siebie do próżniaków nie liczę — zaprotestował Andrzej. — Pracuję także w biurze technicznym, ale żebym się znowu tak bardzo cieszył z niedzieli... to nie!

— Bo pan ma ich pięćdziesiąt dwie na rok, a my na wsi żadnej — odparła Kazia.

— Jak to? Przecie na wsi także na ten dzień przerywa się roboty.

— Na roli. Ale inwentarz potrzebuje co dzień starania. Przeróbka nabiału nie przerywa się nigdy.

— Tak, tak — nasze zajęcie to rozwiązanie kwestii *perpetuum mobile*<sup>74</sup> — zaśmiał się Szpanowski.

W dalszych pokojach rozległ się płacz dziecka i zaraz potem głośnie, dosadne strofowanie pani domu.

Mimo woli rozmowa się urwała i była sekunda przykrego milczenia. W tej chwili pani weszła do salonu, niosąc na ręku swą jedynaczkę.

— Prezentuję panu moją dziedziczkę! — zawołała do prezesa.

— Śliczny, rozkoszny dzieciak! Jakie oczy! — zachwycił się prezes tak czelnie<sup>75</sup>, że Kazi krew uderzyła do twarzy ze strachu, że się macocha obrazi.

Dziecko było szpetne. Z wielką głową, bezkształtnymi rysami, blade, anemiczne, grymaśne, snadź i rozpuszczone bezmiernie. Było rzeczywiście kopią matki. Nos zadarty, policzki płaskie i szerokie, oczy małe i blade. Tylko matka była czerwona i zdrowa, wysokiego wzrostu i otyła, a kopia prócz brzydoty miała jeszcze niezdrowie i wątłość.

Kazia niepotrzebnie się lękała. Pani Szpanowska połknęła jak cukierek komplementy prezesa i uśmiechnięta pożerała rozkochanym wzrokiem małą szpetotę. Była to jedyna istota, którą kochała oprócz siebie.

— No, Zosieńko, podaj panu rączkę, przywitaj się!

Ale Zosienka popatrzała chwilę na prezesa, wykrzywiła się i pokazała mu język.

— A pfe! — upomniała ją matka, całując przy tym.

— Rozkoszna psotnica! Szczęśliwy wiek szczerości! — zauważył uprzejmie prezes.

— Głupiutkie to jeszcze, a przy tym służba uczy nie wiedzieć jakich zbytków. No, pobaw się, Zosiu!

Postawiła ją na ziemi i rzekła do wystrojonej piastunki, która ją chciała wyprowadzić:

— Zostaw panienkę i możesz odejść. Niech się dziecko uczy bawić samo. To rozwija samodzielność.

— Ma pani dobrodziejka zupełną rację. Samodzielności brak młodemu pokoleniu — potwierdził prezes i zaraz, jak z rękawa, począł sypać przykłady rozmaitych systemów wychowania.

<sup>74</sup>*perpetuum mobile* (łac.) — dosł. wiecznie się poruszające; hipotetyczne urządzenie, które raz wprowadzone w ruch funkcjonowałoby nieustannie bez pobierania energii z zewnątrz; w przeszłości wielokrotnie podejmowano próby skonstruowania tego rodzaju mechanizmu, jednak jego zbudowanie jest niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*czelnie* (daw.) — bezczelnie, zuchwale. [przypis edytorski]

Kazia usunęła się w drugi koniec salonu i usiadła przy stole, gdzie Andrzej przerzucał czasopisma.

Znaleźli się odosobnieni i sami, bo Szpanowskiego odwołano do rządcy. Szukając tematu, by rozmowę zagaić, młody człowiek ze złośliwym dyskretnym uśmiechem śledził zabawę małej córki górowskiej dziedziczki.

Mała, zostawiona sobie, poszła przede wszystkim do kosza pełnego kwitnących, ciepłarnianych roślin, strojącego parapetowe drzwi do ogrodu i poczęła pełnymi garściami rwać liście, kwiaty, całe rośliny, rzucała je sobie pod krzywe, niezdarne nogi i deptała po nich.

Andrzej spojrzął na Kazię. I ona przypatrywała się tej zabawie. Zarumieniła się ze wstydu i podeszła do dziecka. Pochyliła się nad nią i łagodnie wyjęła z rąk cały hiacynt z cebulą.

— Nie psuj kwiatków, to je boli — rzekła prawie prosząco. Dziecko nagle wrzasnęło dzikim głosem, rzuciło się do niej, wyrwało kwiat.

— Co to, Zosieńko! — zerwała się matka i nagle do furii<sup>76</sup> podobna tupnęła nogą.

— Po co dręczysz dziecko! Jak śmiesz! — krzyknęła na Kazię. — Zerwała kwiat. Niech rwie. To wszystko do niej należy! Ona tu pani. Biedna Zosieńko... no, nie płacz... nie... rwij kwiatki. Zrób sobie bukiet. Wolno dziecku, wolno!

Kazia blada, przerażona, cofnęła się bez słowa.

Wróciła na swe miejsce, pochyliła głowę i widział Andrzej, jak drżała całym ciałem.

Tedy nagle rozmowę zagał, popchnięty żądzą wydostania się stąd co najprędzej.

— Pani wiadomy cel naszej wizyty. Zdaje mi się, że im prędzej się porozumiemy, tym lepiej. Z woli ojców naszych i losu jesteśmy sobie przeznaczeni.

Mówił prędko, zniżonym głosem, nie patrząc na nią.

Gdy skończył, oczy podniósł. Kazia już zapanowała nad sobą, spotkał jej wzrok spokojny, poważny.

— Ojciec pana mówił ze mną! — odparła. — Alem ja mu nie powiedziała nic o sobie, co panu powiedzieć będę obowiązana.

Zdziwił się, prawie przeraził.

— Musimy tedy sobie poczynić obustronne zwierzenia — odparł, uśmiechając się z przymusem. — Czy mamy zaraz zacząć?

— Sądzę, że nie. Za chwilę podadzą kolację, a tutaj to trudno.

— Zatem jutro poproszę panią o godzinę rozmowy.

Kazia, zamiast odpowiedzi, porwała ze stołu lampę. Był wielki czas, bo właśnie Zosia uchwyciła za róg makaty, którą stół był przykryty, i ledwie Andrzej miał czas się usunąć. Wszystko, co było na stole: książki, gazety, albumy, porcelanowy wazon, kryształowa patera na bilety, popielniczki, noże do papieru, skrzynka z cygarami — z wielkim hałasem i brzękiem spadło na ziemię, a razem z tym upadła Zosia, podnosząc wrzask piekielny.

Na to nawet prezes nie znalazł komplementu, a jako amator i zbieracz starożytności, załamał ręce nad skorupami seurskiego<sup>77</sup> wazonu.

Pani Szpanowska przypadła do dziecka.

— O mój Boże, skaleczyła się!

Dziecku nic się nie stało, ale wiedziało, że za wrzask dostanie cukierków. Używało tedy, że Andrzej mimo woli uszy zasłonił.

— Nie mogłaś biedactwa zatrzymać? I owszem! Na życie jej nastajesz! Umyślnie lampę zdjęłaś, żeby straciła opór<sup>78</sup> i upadła. Marysia, zabierz panienkę. Zaraz zimnej wody do główki. Przepraszam pana. O mój Boże! Może być wstrząśnienie mózgu! — I wyniosła dziecko.

W tej chwili wszedł Szpanowski, za nim lokaj.

— Co tu się stało?

<sup>76</sup>*furia* — w mit. rz. Furie (noszące w mit. gr. nazwę Erynii) były uosobieniem zemsty, ścigały przestępców (szczególnie morderców, np. Orestesa), dręcząc ich poczuciem winy i doprowadzając do obłądzenia. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*seurski wazon* — wazon wykonany w manufakturze we fr. miejscowości Sèvres, gdzie od 1756 r. wytwarza się wysokiej jakości, eleganckie wyroby z porcelany. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*opór* — tu: oparcie. [przypis edytorski]

— Mój łaskawco! Najcenniejsza marka! — odparł prezes, stojąc w żalostnej pozie nad szczerbami<sup>79</sup> wazonu. Obejrzał się, że pani nie ma, i ciszej dodał, by tylko Szpanowski słyszał:

— Zlitujcie się! Kata sobie chowacie!

— Ja! — Szpanowski gorzko się uśmiechnął. — Ja ani chowam, ani tu co znaczę. Wiem, co będzie, ale zmienić nie mogę i tyle pociechy, że pewny jestem, iż nie dożyję owoców tego systemu.

Usunęli się do kominka i rozmawiali dalej półgłosem, spoglądając na młodą parę.

Lokaj tymczasem sprzątnął trofea samodzielności Zosi, a Andrzej już swobodnie zagał rozmowę z Kazią.

— Pani zapewne zna Warszawę?

— Nie byłam tam nigdy.

— Nie może być! — zdumiał się, uszom nie wierząc.

— Tak się złożyło. Chowałam się bez matki, ojciec był zawsze bardzo zajęty. Bywałam w Warszawie chwilowo sam, bobym mu zawadzała tylko. Potem spędziłam kilka lat w klasztorze w Galicji. Znam Lwów i Kraków, mamy tam dalekich krewnych, a w Warszawie ani jednej znajomej osoby.

— Niewiele się pani bawiła w życiu.

— Nie. Raz tańczyłam w Lublinie na ostatki.

Przyznała się szczerze. Ojciec nie lubi zabaw i czasu nie ma. Na zabawy trzeba mieć dużo wolnych chwil, swobodnej myśli i kółko znajomych. A tutaj nie mamy stosunków. Jest kilka domów, gdzie bywa macocha, a ja nie, gdy tu przyjeżdżają, ja ich nie widuję. Dużo jest roboty.

Coraz bardziej pochwalał Andrzej wybór ojca. Z taką żoną nie będzie miał kłopotu. Nie będzie wiedziała nawet, co znaczą wymagania.

— Więc nie lubi pani zabaw?

— Nie. To, co się tak nazywa, jest bardzo bezmyślne. Po tych tańcach byłam tydzień nieswoja i chora. Gdybym miała kiedy wolny czas, lubiłabym czytać, ciągle czytać albo grać...

Urwała, widząc cię niechęci na jego twarzy.

— Ale broń Boże komuś! Tak samej sobie o zmroku. Zresztą, może bym już nie potrafiła. Od klasztoru nie grałam nigdy.

— Pani dobrze klasztor wspomina.

— O! Bo mi tam było jak w raju. Lepiej być nie może.

— Może pani była jednocześnie z panną Zaleską?

— Z Tunią? A jakże. Siedziałyśmy na jednej ławce. Może pan ją zna?

— Naturalnie! Wyszła za mego przyjaciela, Dąbskiego. Bywam u nich w Warszawie i podzielam pani sympatię dla pani Marty. Nie znam dowcipniejszej kobiety i swobodniejszego koleżki.

— Myśmy z nią też kolegowały we wszystkich figlach — odparła Kazia już zupełnie ośmielona.

Twarz jej się ożywiła, oczy świeciły żartem i swawolą. Musiała być bardzo wesola i dziecinna jeszcze w gruncie. Andrzeja zaczynała bawić.

— Bagatela! — roześmiał się. — Więc bywają figle w klasztorze? A byli w to zamieszani studenci?

Kazia oburzyła się ogromnie.

— Studenci! Po co? Gdzie? Przecie to na wsi było, a nam wcale studenci nie byli w głowie! O, pan nie zna klasztorów i ich ducha. Pan wie, że jeśli w książce był zakreślony ustęp, tośmy go nie czytały. Za nic!

— Pani daruje, ale nie wierzę. Jestem pewny, że pani Tunia czytała — roześmiał się.

— I Tunia nie, bo ona wcale nieciekawa była książek. Ja za siebie mogę przysięgnąć.

— Czy i nadal zachowała pani taką siłę woli do zakazanych rzeczy?

— Jeśliby mnie wzięto na słowo, tobym dotrzymała.

— A jakby pokusa była za silna?

— Ja bym się wcale nie dała kusić i nie myślałabym więcej o tym.

<sup>79</sup>szczerby — tu: szczytki. [przypis edytorski]

— O, pani! To pani jeszcze chyba pokus nie zna.

Kazia poczerwieniała aż po białka oczu. Nie były to żadne wyrzuty sumienia, ale prostotę jej i powagę uraził ton ironiczny Andrzeja. Straciła swobodę.

— Co do owych zakreślonych ustępów, spytamy o to pani Tuni! — mówił dalej żartobliwie. — Jakież tedy figle płata się w klasztorach?

— O, różne! — odparła już sztywnie. — Było nas przecie kilkadziesiąt, konceptu<sup>80</sup> nie brakło.

Urwała i spojrzała spod brwi w głąb salonu. Pani Szpanowska wchodziła i Kazia z daleka czuła jej straszny wzrok na sobie, instynktem bała się sceny.

— Państwo zawsze wieczory tu spędzają razem? — spytał Andrzej półgłosem.

— O nie! Gdzież tam. Przychodzimy tylko na kolację. Ojciec do późna z administracją konferuje, ja u siebie czytam.

— A co pani czyta?

— Obecnie? Kalinki *Sejm czteroletni*<sup>81</sup>.

— A przedtem?

— Przedtem miałam Szekspira.

— A powieści?

— Powieści tam nie ma prawie.

— Gdzie — tam?

— U babci Boguckiej.

— Żyje babka pani?

— Nie, ona mi nie babką. Daleka krewna matki, ale ją wszyscy babcią nazywają, więc i ja tak o niej mówię! Bardzo, bardzo stara i taka dobra!

— I ma bibliotekę?

— To jej wnuka książki.

W tej chwili otworzono drzwi jadalni, oznajmiając kolację. Prezes podał ramię Szpanowskiej — rozmowa młodych się przerwała.

U stołu mówiono o koniach, o kwestiach ekonomicznych, trochę o polityce. Kazia nie otworzyła ani razu ust; Andrzej składał swą towarzyską daninę pani domu, która szeroko i długo opowiadała o swych stosunkach w Warszawie za życia pierwszego męża, o jego cnotach i zdolnościach, o stracie, jaką z jego śmiercią poniosło społeczeństwo, okolica i ona sama.

Andrzej słyszał od ojca, że nieboszczyk Tomkowski zrobił fundusz<sup>82</sup> przypadkowo na akcjach, że był mniej jak nieroztropny, że fundusz utrzymał i potroił Szpanowski, że pożycie państwa Tomkowskich było nieustającą domową wojną, a stosunki w Warszawie ograniczały się do wełnianego jarmarku i bywania w teatrze.

Ale słuchał uprzejmie i udawał, że we wszystko wierzy.

Szpanowski, ten wcale tego nie słuchał. Zapewne umiał na pamięć. Debatował gorąco z prezesem o karygodnym graniu na giełdzie fikcyjnym zbożem.

Kazi kolacja wydawała się bez końca. Zmęczona fizycznie dwunastogodzinnym zajęciem, miała jedno wrażenie: pozbyć się towarzyskiego przymusu, schować się do swej izdebki i pomyśleć spokojnie o tym strasznym jutrze. Takiego lęku doświadczała w klasztorze, gdy coś zbroiła i wzywano ją do przełożonej na morały. Teraz będzie jeszcze gorzej. Musi się spowiadać przed obcym człowiekiem, wyznać mu tajemnicę swą najdroższą. Chwilami miała wielką pokusę milczeć, ale potem wrodzona prawda dokuczała jej nieznośnie. O, wiele by dała, żeby już było po tej rozmowie. Była pewna, że wysłuchawszy jej, Andrzej się cofnie, i rada była temu. To znowu żal jej było ojca, który się tak cieszył jej zamążpójściem. I tak biła się z myślami.

Nareszcie wstano od stołu. W salonie, gdy Kazia rozmyślała, jak się wymknąć, prezes się do niej przysiadł, zostawiając syna na pastwę pani domu.

— Cóż, nie bardzo straszni warszawiacy? — spytał żartobliwie.

— Pan prezes zawsze się ze mną droczy! Ja wcale bojaźliwa nie jestem.

— Jużeście się porozumieli?

<sup>80</sup>koncept (daw.) — pomysł. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Kalinki „*Sejm czteroletni*” — obszerne dzieło historyczne ks. Waleriana Kalinki (1826–1886), wydane w latach 1880–1881 w dwu tomach, liczyło ogółem ok. 1200 stron. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>fundusz — tu: majątek, kapitał. [przypis edytorski]



— Oj, nie! — odparła żałośnie. — Jutro mamy mieć okropną rozmowę!

— Nie ma nic okropnego! On będzie prawić to samo, co już pani ode mnie wie. Niech się pani nie przeraża, to minie jak zły sen. Przyszłość w pani ręku.

Kazia milczała, prezes się przestraszył.

— Niechże pani mnie, starego, nie zawiedzie. Ogromnie już panią kocham, marzę o synowej. Życie pani różami wyściele. Zwyciężymy, pani!

— Dziękuję panu serdecznie. Ale może pan Andrzej mnie nie zechce, gdy lepiej pozna.

Prezes markotnie głową pokręcił.

— Cała bieda w tym, że on ślepy i głuchy obecnie. Gdyby poznać chciał!

Pani domu dała hasło do spoczynku.

Zaczęto się żegnać i Szpanowski odprowadził gości do przeznaczonego dla nich pokoju.

Gdy Saniccy zostali nareszcie sami, prezes ciekawie spojrzął na syna, który ziewał na potęgę.

— No i cóż? Jakie masz wrażenie? — spytał.

— Nie pamiętam, żebym się kiedy tak zanudził! Aaa... czuję migrenę i dreszcze. Brr!... To ci pańszczyzna<sup>83</sup>!

— Słodkie oni tu mają życie z tą starą! A dziecko! I pomyśleć, że jeśli się to wychowa, będzie milionową dziedziczką, rozrywaną partią<sup>84</sup>!

— Bogu dzięki, nie dla mnie — ziewnął Andrzej.

— Jakże ci się moja Kazia podobała?

— No — podobać się — to chyba nawet ona nie marzy. Ale przyznaję, że ojciec wiedział i znalazł, co mi potrzeba, a raczej, na co się zgodzę. Po tym piekle, które tu ma, będzie jej wszędzie dobrze i wody mi nie zamąci. Ależ to niezgrabne, dzikie, nieulożone! A ubrane! Gwałtu, kto jej tę suknię krajał i wybierał! Powiesić takiego majstra!

— Niceście nie rozmawiali?<sup>85</sup>

— A o czymże z tym rozmawiać! Przecie to nawet w Warszawie nie było; mówiliśmy o klasztorze. Zna Dąbską: były razem w Galicji. Jeśli już koniecznie mamy się pobrać, niech ojciec namówi Szpanowskiego, żeby z nią do Warszawy przyjechał. Poproszę Dąbską, żeby ją po ludzku ubrała. Żeby ją kto ze znajomych zobaczył w tej sukni! No!...

Ziewnął raz jeszcze Andrzej i pocałował się rozbierać.

— Nie rozumiem, jak ci ludzie tak żyć mogą. Bez towarzystwa, cały wiek z bydłem i czeladzią.

— To się mylisz. Szpanowski czyta i myśli, zacołany nie jest; dziewczyna ma także głowę w porządku, jest zdrowa, prosta i prawdziwa. Tomkowska — niby Szpanowska, chciałem mówić — jest koczokodan<sup>86</sup>. Ale tego towaru znajdziesz pełno na świecie.

— Oni wcale rodziny nie mają?

— Nie — i to coś znaczy.

— Nawet wiele znaczy, jak dla mnie.

— Zatem, dogodziłem ci. Jutro Szpanowski urządzi wam *a parte*<sup>87</sup> — rozmówicie się i wieczorem możemy wracać. Uf, spracowałem się!

I spoczął prezes — syt<sup>88</sup> chwały i trudów.

Nazajutrz zbudziła ich obu cisza. Ni turkotu dorożek, ni dzwonek tramwajów, ni wrzenia ulicy. Andrzej spojrzął na zegarek — była ósma. Za oknem śpiewały ptaszki radośnie, słońce zaglądało szczeliną rolety. Wyjrzał tedy przez szybę. Okno wychodziło na sad owocowy, który stał w kwieciu, biały, zroszony, wonny.

Pokój był na piętrze, więc widok był szeroki, bliżej owa biel kwietna, dalej błękit stawów, wreszcie olbrzymi łąn zielonej runi. Het, poza tym widać było czarne pola.

<sup>83</sup>pańszczyzna — tu pot. przen.: uciążliwy obowiązek. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>partia — tu: dobra kandydatka do małżeństwa. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Niceście nie rozmawiali? — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nic nie rozmawialiście? [przypis edytorski]

<sup>86</sup>koczokodan — niewielka leśna małpa afrykańska; tu pogard. o brzydkiej lub dziwacznie ubierającej się osobie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>a parte (fr.) — dziś popr.: *aparté*: rozmowa na stronie, sam na sam. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>syt — daw. krótka forma przym., zamiast: syty. [przypis edytorski]

Od pól tych wracał Szpanowski na siwym koniu, dla niego dzień się już rozpoczął ze świtem. Wracał do domu na śniadanie.

Z folwarku wracała też Kazia i spotkali się na drodze. Andrzej oczyma ich przeprowadził, aż mu zniknęły za sadem. A właśnie i prezes się obudził.

— Jak to cicho! Już nie śpisz? Otwórz no okno! Czy to już późno?

— Myślę, że dla wieśniaków bardzo późno! Ósma! Co za przepyszne powietrze!

— Aha, powietrze jest, ale „Kuriera”<sup>89</sup> nie będzie. Była sesja kanalizacji wczoraj, nie dowiemy się, co uradzili, aż jutro!

Lokaj zajął dyskretnie. Zawołał go prezes.

— U was już może o obiedzie myślą? — spytał.

— Nie. Pan z panią właśnie przy śniadaniu.

— A pani?

— Pani niezdrowa. Kazała oznajmić, że wcale nie wyjdzie.

— *Quelle chance!*<sup>90</sup> — mruknął prezes, a głośno: — Pani często niedomaga?

— Ej, nie, proszę pana. Ale często nie wychodzi ze swych pokojów. Tak sobie, jako<sup>91</sup> pani!

Miało to zapewne znaczyć: co ma sobie nie dogadzać.

— Państwo każą tu podać śniadanie? — spytał lokaj.

— Ależ nie. Zaraz schodzimy! — żywo prezes zaprzeczył.

Andrzej, już prawie gotów, oknem wyglądał, nie mogąc się nacieszyć wonią i widokiem.

— Jednakże mają i wieśniacy kęs przyjemności — mruknął.

— Idź, kiedyś ubrany! — naglił go ojciec. — Szpanowski wyprawi was do sadu i kończcie!

Syn z westchnieniem usłuchał.

Gdy otwierał drzwi jadalni, usłyszał głos Kazi.

— Już idę, tatusiu. Nie mogłam w niedzielnej sukni jeździć do doju i wydawać ze spiżarni. Zaraz się przebiorę!

Spotkali się na progu, cofnęła się i zmieszala.

Była ubrana w błuzę płócienną, szarą, ściągniętą skórzanym paskiem. Wydała mu się w tym stroju smuklejsza i zgrabniejsza.

Uśmiechnęła się do niego i podała rękę.

— Dobrze się panu spało? — spytał Szpanowski uprzejmie.

— O, wyśmienicie, dziękuję! Państwa już widziałem przez okno na drodze. Dzień się tutaj wcześniej rozpoczyna.

— Latem wstajemy o czwartej, zimą o szóstej.

— To okropne.

— Rzecz nawyknięcia<sup>92</sup>. Pomimo to z dnia na dzień nie można podolać robocie.

Kazia wytłumaczyła sobie, że gdy gość ją zastał w domowym stroju, przebierać się nie ma racji<sup>93</sup>. Nalała mu tedy herbaty, przysunęła ciasto i usiadła na swym miejscu, oznaczonym pękiem kluczy.

— Nigdy nie widział takiej masy drzew w kwiecie. Za ogrodem rzekę państwo mają?

— Nie, to sztuczne stawy. Były tam łąki przerzniete ruczajem<sup>94</sup>. Przed paru laty urządziłem hodowlę ryb. Obecnie daje to rocznie trzy tysiące dochodu. Jeśli pan ciekawy, możemy obejrzeć.

Wejście prezesa przerwało odpowiedź.

— Spóźniłem się. Słyszę, pani niezdrowa! Nic groźnego, dzięki Bogu. Dziękuję pani, co za śmietanka! Bodaj to wieś błogosławiona. Mój pan syn cały ranek z pożądaniami na sad w kwiecie wygląda. Ręczę, że marzy o spacerze.

<sup>89</sup>„Kurier” — „Kurier Warszawski”, gazeta codzienna wydawana w Warszawie od roku 1821 do 1939. Popularna wśród mieszczaństwa, urzędników państwowych i warstwy inteligentnej. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Quelle chance!* (fr.) — co za szczęście. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*jako* (daw., gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*nawyknięcie* — nawyk, przyzwyczajenie. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*racja* — tu: powód. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*ruczaj* (daw., poet.) — potok, strumień. [przypis edytorski]

— Ano, Kaziu, to zaprowadź pana Andrzeja do ogrodu — rzekł Szpanowski. — Spotkamy was nad stawem.

Dziewczyna wstała posłusznie, chociaż pobladła bardzo, czując, że chwila stanowcza się zbliża.

Wyszli przed dom, okrążyli go i znaleźli się pod cieniem kwitnących jabłoni, których białe płatki osypywały ich przy lada powiewie, przy trąceniu skrzydeł ptaszycz nieledwie.

Wyżel łaciasty<sup>95</sup> łasi się do Kazi zdziwiony, że nie może jej namówić do zabawy i wyścigów. Ale ona szła bardzo poważna, objaśniając gościa.

— Ten sad ojciec też urządzał, kiedy tu rządcą został. To są całe kwatery jednolitego gatunku. Po sto sztuk w każdej. Tam na lewo są cieplarnie i inspekty, na prawo szkółki, a dalej park.

Schyliła się po fiołki, którymi murawa była pokryta.

— Literalnie można się w nich tarzać! — zauważył Andrzej.

— O, to jeszcze nic w porównaniu do Szadowa, folwarku, który ojciec dzierżawił i gdzie się urodziła i wzrosła. Tam były murawy fioletowe, a bzy do okien się wciskały. Tam było ślicznie!

Oczy jej zabłysły uciechą.

— A gniazd ile tam było: w głogach, w malwach, w chmielach — pod nogami. Bo sad był mały i dziczkały, ale żyło tam wszystko swobodnie. Teraz tam nowy dzierżawca; byłam raz, ale już inaczej. Dzieci ma killkoro: chłopcy, ptaki nawet ich się boją!

Zebrała bukietek fiołków i poszli dalej.

— Pani lubi wieść? — zagadnął Andrzej.

— O, lubię. Chciałabym mieć malutki szmatek własnej ziemi, byłabym wtedy szczęśliwa.

— A jakże pani decyduje się żyć w mieście? — rzekł, od razu wszczynając główny temat.

— Bo tak trzeba! — odparła z prostotą, spojrzała mu w oczy i dodała po chwili namysłu. — Pan się też decyduje na coś, co nie jest dla pana szczęściem.

— Co ojciec mój mówił pani o mnie? — zagadnął.

— Mówił, że pan kocha bardzo piękną i wykształconą panią, mężatkę, ale że pan obiecał matce ożenić się, że pan jest dobry i delikatny, że ojcu pana pusto i samotnie w domu, że potrzebuje opieki i starań, i towarzystwa na starość i że mnie polubił — więc żebym się zgodziła!

Mówiła spokojnie, szczerze, wciąż patrząc nań swymi łagodnymi, poważnymi oczyma.

— I nic więcej? — spytał Andrzej z naciskiem.

— Nic! Albo może być co więcej? Ja odpowiedziałam, że się zastanowię; i gdy drugi raz przyjechał, zgodziłam się, bo muszę i bom go bardzo polubiła. Żebym miała dość nauki, posłałabym na nauczycielkę, ale nie mam dyplomu, a teraz tyle wymagają! Uczyłam się dobrze i dalej sama się kształcę, ale na dyplom trzeba kursów i egzaminów, a na to nie ma czasu. I zostać tu mi nie sposób, macocha mnie nie lubi, za to ojciec cierpi. Trzeba się usunąć.

Oczy jej stały się bardzo smutne, gdy mówiła dalej.

— Pomyślałam tedy: gdy odejdę, ojciec będzie miał spokój, on o tym marzy, by mi los zapewnić. A tam u państwa w domu nie będzie mi gorzej niż tu. Wiem, co mnie czeka, uczucia nie dają, więc i żądać nie mogę, a przecież źli dla mnie nie będziecie. Tylko i ja mam panu coś do powiedzenia.

Zabrakło jej słów i krew uderzyła do skroni.

Stali już nad stawem, na cyplu, gdzie się dwa zbiorniki łączyły z sobą, przegrodzone grobelką<sup>96</sup> i upustem. Z cichym szelestem woda biegła pod ich stopami, a nad nimi płacząca brzoza szemrała drobniuchnym liściem, do wody zwieszając warkoczce.

Andrzej zdziwiony patrzył na nią. Chwilę pasowała się ze sobą, potem z rezygnacją skazańca rzekła cicho i nieśmiało:

— Bo i ja, jak pan, Kocham kogoś.

<sup>95</sup>łaciasty — łaciaty. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>grobla — wał ziemny utrzymujący wodę w sztucznych zbiornikach wodnych, takich jak stawy i kanały; grzbietem grobli często wiodły drogi. [przypis edytorski]

Zdumiał się ogromnie i brwi zmarszczył. Spostrzegła to i coś na kształt radości mignęło jej w oczach.

— Zapewne pan się cofnie po tym, ale powiedzieć musiałam.

— A on jest może żonaty — uśmiechnął się dziwnie.

— Ach, gdzie tam — oburzyła się, tak jej prostocie wydawało się to anormalnym i grzesznym.

— A zatem nie kocha pani? — badał, czując nielogiczny gniew i oburzenie, zamiast logicznego zadowolenia.

— Owszem, i on mnie kochał, ale jego już nie ma.

— Więc umarł?

— Nie wiem, zginął, może nie żyje. Już trzy lata bez wieści wyjechał. Z Warszawy wyjechał na dwa lata, właśnie egzamin na lekarza złożył, miał osiąść w Lublinie. I tak wszystko się zmieniło. Byliśmy zaręczeni i powinnam mu wiary dochować. Nazywa się Stanisław Bogucki.

— Bogucki! Pamiętam, słyszałem to nazwisko.

Zamilkli i stali zapatrzeni w wodę. Andrzej rozmyślał, walcząc z resztą nielogicznego gniewu. Rozsądek mu wracał. Kazia, zbywszy<sup>97</sup> tajemnicy, odetchnęła swobodniej i cierpliwie czekała wyroku. W głębi duszy pragnęła, by się cofnął.

Ale Andrzej już równowagę odzyskał, ocenił położenie.

— W anormalnych jesteśmy warunkach — zaczął mówić. — Ja ubóstwiam inną kobietę, pani marzy o innym mężczyźnie. Czy sobie nie gotujemy czyścowego życia? A jednak może by gorzej było, gdybyśmy siebie kochali bez wzajemności. Nie wiem, byłby to może piekielny żywot. Dziękuję pani za wyznanie i szczerość. Oboje nieszczęśliwi uszanujemy swe niedole. Proszę panią o rękę.

Kazia przeraziła się teraz dopiero. A zatem stało się! Tamten umarł, ona go w tej chwili grzebie.

Jeszcze raz spróbowała się wycofać.

— A jeśli ta pani owdowieje? — szepnęła.

— A jeśli on wróci? — odparł.

Potrząsnęła głową.

— To co innego. Gdy wejdę do domu pana, już dla niego nie żyję.

— O, jakże pani nieznaną rzeczą jest miłość! — zawołał gorzko.

— Owszem, ale dla miłości nie wolno być nieuczciwą — rzekła bardzo poważnie.

Poczerwieniał mimo woli.

— Wedle<sup>98</sup> tego ja jestem nieuczciwy.

— Nie, bo pan mnie nie oszukuje i tak jest w zwyczaju u świata, że ja powinnam pilnować honoru pańskiego nazwiska i domu. Lecz gdy ta pani owdowieje...

— Nie ożenię się z nią nigdy! O tym nie może być mowy! — przerwał prędko, stanowczo.

— Więc jeśli pan chce, to już między nami skończone — rzekła, starając się uśmiechnąć.

Wyciągnął do niej dłoń i uściśnił prawicę.

— Ojciec się bardzo ucieszy — rzekła. — Proszę, nie mów mu pan prawdy; pan prezes mi to także obiecał. Mało ma radości w życiu, niech tę ma bez troski.

— Nie powiem nic i pani będę wdzięczny, gdy o tym więcej mowy między nami nie będzie.

— Jak pan sobie życzy, słowa nie powiem. Ja rozumiem, jak to boli, gdy ktoś obcy naszych ran dotyka. Ja tego panu nie uczynię.

Spojrzała mu pocziwie w oczy i mówiła dalej.

— Pan prezes wzmiankował, że pan życzy sobie ślubu cichego i bez zwłoki. Ojciec mi posagu nie daje, ale mam po matce dwa tysiące rubli na wyprawę<sup>99</sup>. Muszę inaczej się ubrać — uśmiechnęła się. — Pan bogaty!

— Mamy pół Warszawy znajomych, co najgorsza! — odparł.

<sup>97</sup>zbyć (daw.) — pozbyć się. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>wedle (daw.) — według. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>wyprawa — rzeczy dawane pannie młodej w posagu. [przypis edytorski]

— Ach, tak, to najgorsze! Bardzo się lękam narazić pana na śmieszność swą dzikością i nieobyćciem.

— Postaramy się tego uniknąć. Ma pani przecie wśród tych obcych koleżanek! Pani Tunia nam dopomoże. Państwo przyjadą do Warszawy i udamy się pod skrzydła pani Marty.

— Tak, prawda. Ona mnie nauczy i poradzi.

— Kaziu, Kaziu! — rozległ się z głębi ogrodu głos Szpanowskiego.

Kazia spojrzała ku słońcu i przeraziła.

— Już około dziesiątej! — zawołała, ruszając na wołanie.

— Pani nie potrzebuje zegarka — zaśmiał się Andrzej. — Jest akuratnie<sup>100</sup> trzy kwadransy na dziesiątą<sup>101</sup>.

— Miałam zegarek, ale mi go Zosia potłukła na miazgę! — odparła wesoło. — Nauczyłam się tedy orientować po słońcu.

Naprzeciw nich ojcowie szli, prezes rozpromieniony, Szpanowski niespokojny.

— Panna Kazimiera pewno dla mnie zebrała fiołki — wołał prezes z daleka. — Proszę starego udekorować! I nadstawił klapę surduta<sup>102</sup>.

Gdy mu wkładała kwiatki, ciszej spytał:

— Cóż, skończone?

Skinęła głową i spojrzała ku ojcu, do którego Andrzej przystąpił właśnie z oficjalną przemową.

Szpanowskiemu rozjaśniła się twarz, obie ręce wyciągnął do młodego człowieka, któremu aż wstyd było, że oszukuje pocziwca.

— Serdecznie panu rad<sup>103</sup> i za zaszczyt dziękuję — mówił rozrzuwniony. — Z całym zaufaniem dziecko panu powierzam, będąc pewnym także, że i ona wam wstydu ni przykrości w dom nie wniesie.

Potem padli sobie z prezesem w objęcia i Szpanowski naprawdę ze szczęścia zapłakał, gdy mu Kazia pogarnęła się w ramiona.

A ona w tej chwili zapomniała o sobie, tylko szczęśliwa była jego zadowoleniem.

## II

Babcia Bogucka siedziała o zmroku na swym ganeczku, który już maj ustroił zielenią i bzami, a u jej stóp siedziała Kazia na stopniu schodów; Kazia jakaś inna, przebrana modnie, uczesana modnie i obie milczały już długą chwilę. Słowik zadzwonił w bzach; dziewczyna, założywszy beczynnę ręce, patrzyła zamyślona na drogę i pole; staruszka machinalnie robiła na drutach kaftanik bawełniany.

Wreszcie Kazia westchnęła głęboko:

— Żeby się to już raz skończyło! Te sześć tygodni próżnowania zdają mi się bez końca. A przy tym mam taki chaos w głowie z tej Warszawy, że jestem wciąż jak w gorączce.

— A przecie to będzie twoje życie — wtrąciła stara.

— Nie, broń Boże! Nie będę przecie życia spędzała po magazynach<sup>104</sup> i pracowniach sukien ani u Tunii, której drzwi się nie zamykają od wizyt.

— U was też będą wizyty, może jeszcze więcej!

Dziewczyna ruchem rozpaczonym<sup>105</sup> objęła głowę.

— Przywykniesz — spokojnie rzekła babcia Bogucka. — Wśród tych ludzi znajdziesz miłych i sympatycznych, potem przyjaciół i zażyłe stosunki.

— Żebym tylko robotę miała. Nie wytrzymam bez pracy. Teraz, tutaj, dzień mi się rokiem wydaje! A tam oni mnie, ja ich nie rozumiem. Boję się odezwać, tak oni jacyś inni.

<sup>100</sup>akuratnie — punktualnie, dokładnie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>trzy kwadransy na dziesiątą — dziś: jest trzy kwadransy po dziewiątej a. za kwadrans dziesiąta. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>surdut — długa dwurzędowa marynarka popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>serdecznie panu rad — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: serdecznie jestem panu rad (chętny, przychylny). [przypis edytorski]

<sup>104</sup>magazyn — tu: magazyn bławatny lub magazyn mód; duży sklep handlujący tkaninami, modnymi strojami, galanterią. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>rozpaczny (daw.) — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

— Jutro przyjeżdżają panowie Saniccy?

— Nie wiem ściśle<sup>106</sup>. Zapowiedzi<sup>107</sup> już wyszły, a taki cichy ślub może się co dzień odbyć — odparła obojętnie.

— Jużes zupełnie spokojna?!

— Czyja wiem? Jestem odurzona i tak zmęczona tym wszystkim, że radam<sup>108</sup>, by się skończyło. Macocha rada też mnie się pozbyć co rychlej, nie wiem dlaczego — co dzień przykrzejsza! Odebrała mi klucze i zajęcie, a teraz przy każdym obiedzie narzeka na darmozjadów i próżniacze panny wyglądające konkurentów. Boję się Warszawy, ale chyba tam nie będą mi tyle dokuczali. Prezes jest dla mnie tak dobry jak ojciec.

— A twój narzeczony?

— Dobry także i uprzejmy — odparła krótko.

Pomimo że przed babcią Bogucką nie miała tajemnic, o Andrzeju nie mówiła nigdy więcej. Staruszka była tym w głębi serca urażona. Zdawało się jej, że Kazia już zapomniała o jej wnuku, a wyznać nie śmie, że tamtego już kocha. Stosunek ich nie miał już dawnej serdeczności.

— I naprawdę nie masz ślubnej sukni? To nie ma sensu! Co ludzie tu pleść będą! — zauważyła po chwili trochę gderliwie.

— Pomyślałam, że to niepotrzebny zbytek i ceremonia. Z kościoła pojedziemy wprost na kolej. Nie mam matki, która by mnie stroiła, ani domu, gdzie bym się przebierała!

— Bardzo to dziwaczne i niestosowne. Po co ludziom dawać materiał do plotek — zamruczała Bogucka. — Żebym miała głos, to bym nigdy na to nie pozwoliła.

Kazia spuściła głowę.

— Żeby babcia miała głos, wtedy inaczej by było — rzekła smutnie.

Staruszka zrozumiała ją i nagle pożałowała swych podejrzeń. Kazia nie zapomniała, tylko już nie pozwalała sobie myśleć i mówić o tamtym.

Znowu umilkły. Z dała od gościńca trąbka pocztowa grała. Po chwili dziewczyna się odezwała:

— Ludzie o mnie tu prędko zapomną. Zaledwie znają, nie powrócę nigdy. Może ostatnią wiosnę wiejską widzę... Wszystko się zmienia i mnie trzeba się zmienić. Przez te parę tygodni w mieście dusiłam się wśród murów, tęskniłam ogromnie do pól. Ja nie wiem, jak tam wyżyję. A to już i tęsknić nie będzie wolno — nie wrócę!

— A mnie odwiedzić nie myślisz, niecnoto? — smutnie uśmiechnęła się staruszka.

— Prezes kiedyś się oburzył na macochę i zaprzysiągł, że mnie tu nigdy nie puści — odparła.

— A ojca przecie odwiedzisz...

— Ojciec do nas przyjedzie. On to rozumie, że tu dla mnie nie ma miejsca. I tak już nie wrócę do pól.

— Na pogrzeb mój przyjechać musisz. Wolno ci przecież będzie mnie do trumny ułożyć! Nikogo swojego nie mam. a blisko już mi do ziemi!

— O, babciu! — żałośnie szepnęła Kazia, do kolan jej się tuląc.

I płakała długo w cichości.

A wtem na drodze turkot się rozległ coraz bliższy.

— Po ciebie jadą — rzekła staruszka.

Na podwórze wpadł wózek, którym Szpanowski pole objeżdżał — powoził Stacho Skowronek.

— Co się stało? — zawołała Kazia przerażona o ojca.

— Pan mnie na gumnie<sup>109</sup> złapał i kazał duchem<sup>110</sup> po panienkę jechać, a sam do gości poszedł.

— Przyjechali! — Kazia spojrziała żałośnie na Bogucką.

<sup>106</sup>*Nie wiem ściśle* — dziś: nie wiem dokładnie. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*zapowiedzi* — uroczyste ogłoszenie w kościele mającego się odbyć ślubu. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*radam* — skrócone od: rada jestem. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*gumno* — część gospodarstwa wiejskiego, gdzie młócono i przechowywano zboże, niekiedy obejmująca stodołę, spichlerz itp., czasem oznaczająca klepisko. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*duchem* (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

— Jutro zatem ślub. Będę w kościele, daj mi wiedzieć<sup>111</sup>, na którą godzinę, żebym cię pobłogosławić mogła. Boża wola, dziecko, Boża wola, nie nasza! Wszystko ci się zmieni, tylko duszy nie zmien — pamiętaj — duszy nie zmien. Niechże cię Bóg prowadzi. — I przytuliła ją drżącą do piersi, krzyż nad głową kreśląc, i po chwili Kazia już była na drodze za starym dworkiem, w którym marzyła życie przeżyć, a którego już może więcej nie zobaczy.

Milczała smutnie, gdy wtem Stach się odezwał:

— Panienko, proszę mnie wziąć ze sobą do Warszawy.

— Jakże to, Stachu? Nie można! Cóż byś tam robił?

— A cóż — konie bym obrządzał! Stary pan mówił, że ma swoje konie.

— Nie mogę przecie narzucać tam ciebie. Nie wypada!

— Ja mu się sam pokłonię i poproszę. Mnie tu po paniencie będzie nudno.

— Ależ na służbie jesteś.

— O! Tom już urządził. Dzisiaj właśnie dałem w pysk karbowemu<sup>112</sup>, więc mnie rządcą wygnał.

— Ależ, Stachu, oszalałeś?

— Com miał oszaleć! Trzeba było raczej zrobić<sup>113</sup>, tom zrobił. Inaczej by mnie na przeciw lata nie uwolnili.

— Nie wyżyjesz w mieście. Szkoda ciebie, Skowronku! — uśmiechnęła się smutnie.

— I tu mi ostać<sup>114</sup> nijako. Do głowym to wziął<sup>115</sup>, pociągnę za panienką. Okrutną ochotę mam! — i śmignął z fantazją biczyskiem.

Na werandzie ogrodowej zastała Kazia obu Sanickich z ojcem, pijących herbatę. Pani domu wymówiła się migreną i nie wyszła. Chciała dokuczyć pasierbicy i zamanifestować, że do żadnych względem niej obowiązków się nie poczuwa.

Prezes był rozpromieniony i wesół. Andrzej blady, zmęczony jakiś czy niezdrów. Ledwie ukrywał, że go to śmiertelnie nudzi i drażni, że spełnia nieznośny obowiązek. Kazia przerażona się na myśl, że ojciec może zauważyć jego zły humor, domyślić się prawdy, zaczęła też zaraz weselo rozmawiać z prezesem, odwracać uwagę Szpanowskiego.

„Ta dziewczyna nie ma nerwów ni czucia! — pomyślał z niechęcią Andrzej. — Mógłbym ją nogami kopać, zniesie wszystko.”

I rozdrażniony, wściekły podniecał się przeciw niej, poprzysięgał, że drogo zapłaci. Wmówił sobie, że jest współniczką ojca w spisku na jego swobodę i swobody tej postanowił im nie zaprzędać nigdy.

Pani Celina ostatnimi czasy była szczytem uroku i czułości, usidliła go na nowo, przyjechał tu pijany szalem i rozkoszą. Kazia, zwykle obojętna, była dla niego wstrętą. Wrzał w nim bunt i złość, nienawistne instynkty.

Był tak źle usposobiony, że nawet prezes bał się wybuchu i skandalu w przeddzień ślubu; drżał, nadrabiał miną, Boga prosząc, by już było prędzej po przysiędze. Dalej — prezes był spokojny. Ale co życzył pani Celinie w tej chwili, co on jej w przyszłości poprzysięgał!

Jeden Szpanowski nie kipiwał w duszy, nie udawał, nie pomstował. Głowa jego pełna była spraw i kłopotów gospodarskich, ale w głębi serca miał spokojną radość, że jutro Kazię swą dobrym ludziom odda, że los jej, szczęście zapewni. Uważał, że Kazia była zanadto niefrasobliwa i wesoła jak na zakochaną pannę, a Andrzej zbyt sztywny i milczący jak na narzeczonego, ale traktował to jako dzieciństwo<sup>116</sup> i dalej o tym nie myślał.

Po chwili odwołano go do rządcy, więc przeprosił gości i ulotnił się na długą konferencję.

<sup>111</sup>daj mi wiedzieć — dziś: daj mi znać. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>karbowy (daw.) — nadzorca robotników rolnych; nazwa pochodzi od kija, na którym nacinano karby, zapisując w ten sposób ilość wykonanej pracy. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>rację zrobić — dziś: stworzyć powód do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>ostać (daw.) — zostać. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>do głowym to wziął — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: do głowy to wziąłem (zdecydowałem). [przypis edytorski]

<sup>116</sup>dzieciństwo (daw.) — dziecinada, rzecz dziecinna. [przypis edytorski]



Gdy go nie stało<sup>117</sup>, humor Kazi się urwał. Prezes z niewyczerpaną werwą prawił i prawił, ona słuchała tylko, zmrożona wyrazem twarzy Andrzeja. Drgnęła nagle, gdy prezes wyrzekł:

— Jutro o tej porze będziemy już do Warszawy dojeżdżali. Dąbscy mają być na dworcu i Radlicz pewnie przybyć nie omieszka<sup>118</sup>.

— O, pewnie! Ten czyha na nasze karykatury! — mruknął niechętnie Andrzej.

Kazia spojrzała na niego. Oczy miał złe, brwi ściągnięte, przykry wyraz ust.

— Widocznie chce pan, by temat miał gotów — rzuciła z gniewnym błyskiem w oczach.

— O! To nie ja chcę! — odparł z naciskiem.

— Dlatego też ma pan minę ofiary czy skazańca. Jeszcze czas. Jeżeli o mnie chodzi, jest pan wolny.

Ale tu prezes za ręce ją porwał, przerażony.

— Panno Kazimiero, litości! Niech pani ma wzgląd na mnie! On jest dziś chory, rozdrażniony, proszę mu darować!

— Są granice na wszystko, nawet na upokorzenia. Niech pan wejdzie w moje położenie; dlaczego, po co mam to znosić i cierpieć?! Przygotowanam<sup>119</sup> na złą dolę, ale nie chcę obelg i jedną rzecz mam prawo strzec: swej godności<sup>120</sup>. Lepiej się cofnąć dziś, bo potem nie do humorystyki będziemy tematem, ale do skandalu. Ja nie dam sobie ubliżyć! Umieję udawać, gdy chodzi o spokój ojca, ale nawet dla niego nie zniosę fałszywej pozycji!

— Pani nie tailem swych uczuć! — rzekł Andrzej.

— Ja też nie potrzebuję uczuć pana ani ich wymagam, ale potrzebuję delikatności i wymagam względów i poważania, jeżeli mam zostać pańską żoną.

— Nie uchybiłem w niczym swoim obowiązkom.

— Uchybiłeś i jeżeli masz honor, przeproś! — rzekł stanowczo prezes.

Andrzej się opamiętał. Co powie ludziom, na co ojca narazi? Zrywać w przeddzień ślubu. Przy tym powstydzil się, że postąpił jak gbur.

— Jestem niezdrów i zdenerwowany, przepraszam panią — rzekł, schylając głowę.

Kazia, milcząc, przyjęła przeprosiny. Chwilę patrzyła ponuro przed siebie, wreszcie szepnęła przez zaciśnięte zęby:

— Ach, gdyby nie ojciec!...

I taki był jej dziewiczy wieczór.

Nazajutrz rano o dziesiątej pojechali do ślubu. Za bramą spotkali furgon z jej kuframi, a obok fornali Stacho siedział odświętnie ubrany.

— Czy on jedzie do Warszawy? — spytała ojca.

— Ano tak. Urwis od tygodnia nudził mnie o to, a wczoraj prezesa uprosił. Niech jedzie, ręczę, że po miesiącu będzie się napierał z powrotem. Odeślesz mi go! Tymczasem nie było sposobu utrzymać. Prezes kupił te dwie klacze kasztanowate i skarogniadą<sup>121</sup> dla ciebie pod siodło. Będą cię tam pieścili, dziewczyno! No, chwała Bogu!

I uśmiechał się radośnie poczciwy Szpanowski. A ona z zazdrością myślała, że Stacho wrócić może, gdy się stęskni za polami.

W parafii, jako w dzień powszedni, kościół był prawie pusty. Babcia Bogucka modliła się półgłosem, kilka kumoszek i starców drzemało po kątach.

Gdy ksiądz wyszedł do ołtarza, Andrzej podał ramię Kazi, ojcowie ruszyli za nimi i ślub się rozpoczął.

W pustej nawie rozbrzmiewały uroczyste słowa. Andrzej machinalnie powtarzał za księdzem przysięgę, niewiele wierzył i uważał to wszystko za próżną ceremonię, myślą był gdzie indziej.

Zdziwił go głos Kazi, spojrzał na nią. Była biała jak ściana, wargi jej drżały, oczy miały wyraz bezmiernej żalości.

Ślub

<sup>117</sup>nie stało (daw.) — zabrakło. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>nie omieszkać (daw.) — nie zaniedbać czegoś, zrobić coś. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>przygotowanam — skrócone od: przygotowana jestem. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>jedną rzecz mam prawo strzec: swej godności — dziś popr.: jednej rzeczy mam prawo strzec: swej godności. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>skarogniady — o maści konia: ciemnogniady, ciemnobrunatny. [przypis edytorski]

Gdy związano im ręce, zdało mu się, że umarłej dotyka. Tedy i jego objął jakiś dziwny lęk i zastanawiał się sekundę, że ceremonia ta nie próżna jest, ale że krzywo przysięga.

Lecz tylko sekundę. I znowu myśl zajął frasunkiem<sup>122</sup>, jaką minę przyjąć w Warszawie, by uniknąć śmieszności i konceptów pani Belli i Radlicza. Będą na dworcu niezawodnie i pójda stamtąd wprost na Erywańską ze szczegółowym sprawozdaniem.

A tu ksiądz, który Kazię chrzcil i do komunii przygotowywał, i lubił bardzo, wystąpił z przemową do nowożeńców. Mówił, że zakładają rodzinę, ognisko nowe, które powinno świecić i ogrzewać, być przykładem cnót i miłości. Że wiążą się dożywotnim ślubem na złą i dobrą dolę, by nawzajem dla siebie być pociechą, pomocą, opieką i wspomogieniem, a dzieci chować na dobre służki wiary i społeczeństwa.

Szpanowski i prezes rozrzewnili się, Andrzej, w ziemię spuściwszy oczy, satyrycznie<sup>123</sup> się uśmiechał, Kazia osłupiałym wzrokiem patrzyła, nic nie słysząc i nie rozumiejąc, babcia Bogucka smutno kiwała głową. Nareszcie ksiądz błogosławieństwem zakończył, a Andrzej podał ramię Kazi i wyprowadził ją z prezbiterium<sup>124</sup>.

Tedy ona nareszcie oprzytomniała i wysunawszy rękę, poszła ku babci Boguckiej i dłonie jej ucałowała. Staruszka nad jej głową nakreśliła krzyż i z cicha wyszeptwała ostatnie pożegnanie.

— Duszy nie zmieniaj, dziecko, duszy nie zmieniaj, zachowaj ją zdrową.

Andrzej, pozostawiony sam, patrzył na to z widocznym niesmakiem.

„Zaczyna się melodramat! — pomyślał. — To szczęście, że mnie nikt ze znajomych nie widzi. Głupia pozycja<sup>125</sup>”.

Kazia trzymała w ręku pyszny bukiet, dar prezesa, bukiet biały, ślubny. Podążyła do babci Boguckiej.

— Chciałabym go na grobie mamy położyć — szepnęła — ale może ojcu będzie przykro i tym obcym nie chcę robić widowiska! Proszę go jej zanieść ode mnie.

Raz jeszcze ucałowała ręce staruszki i wróciła do Andrzeja.

— Mamy wstąpić do zakrystii — rzekł sucho.

— Po co? — zdziwiła się.

— Ano, ojciec nie uspokoi się, aż aktu z tej ceremonii nie będzie miał w kieszeni. Musimy przy tym asystować.

Bez słowa, urażona tonem jego, poszła do zakrystii. Ojcowie już tam byli, wesoło rozmawiając z proboszczem. Akt spisano formalnie, wyraźnie, prezes dopilnował podpisów i dat i odetchnął, gdy papier urzędowy dostał do rąk.

Czuł na sobie ironiczny wzrok syna, ale teraz już o niego nie dbał. Teraz mu śpieszno było do domu tylko.

Powozy czekały przed kościołem.

— No, ruszajcie naprzód, my, starzy, za wami! — rzekł Szpanowski.

Kazię zabolęło serce, że ojciec już tu ją opuszcza, a on, pocziwiec, myślał im dogodzić, by się co rychlej pozbyli świadków, i tak ruszyli ku stacji kolei.

Poprzez mur cmentarza ujrzała jeszcze Kazia babcie Bogucką składającą jej bukiet na mogile matki — i powóz wybiegł na gościniec.

Byli tedy poślubieni i sami.

— Wszystko się zmienia i modyfikuje stosownie do potrzeb czasu i rozwoju ludzkości. Że też mogła się utrzymać dotąd tak barbarzyńska ceremonia, jak śluby małżeńskie!

Były to pierwsze słowa Andrzeja.

Kazia się przeraziła. Chwilę nie znalazła odpowiedzi. Ale on odpowiedzi nie czekał i mówił dalej:

— Wymagać, żeby ludzie przysięgali na obowiązki, których spełnić niepodobna, a potem grozić im piekłem za krzywoprzysięstwo! Co za absurd! Zresztą co religii do ludzkich żądań lub interesów! Niegdyś to może miało rację bytu, gdy kościół był prawodawcą, policją, sądem i poborcą podatków, a ludzie bezmyślnym stadem. Teraz to jest formą bez treści!

<sup>122</sup>frasunek (daw.) — smutek, zmartwienie. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>satyrycznie (daw.) — złośliwie; ironicznie. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>prezbiterium — część kościoła, w której znajduje się ołtarz. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>pozycja — tu: położenie, sytuacja. [przypis edytorski]

— Ja myślę, że gdyby tego nie było, ludzie dopiero zostaliby stadem! — rzuciła oburzona Kazia. — Żaden z reformatorów nawet tego nie tknął.

— Owszem, bo dali swobodę rozwodu.

— To i w naszym kościele jest dozwolone.

— Kosztem nowych kłamstw i fałszów. To żadne wyjście, to nowe oszustwo.

— Więc jakże inaczej być może? — szepnęła Kazia, bliska płaczu z oburzenia.

— Małżeństwo powinno być umową dwojga ludzi. Doczesną i terminową. Doczesną, bo szal jest krótki, terminową, bo to jest interes jak każdy inny.

— Więc pan, oprócz szalu i interesu, innych pobudek nie uznaje?

— Co do małżeństwa — żadnych. Rozumiem i odczuwam miłość, ale mam ją za rzecz tak wzniosłą, że wolałbym się jej wyrzec, niż szargać i pospolitować w codziennym pożyciu, w sprawach banalnych, w nędznych troskach o kuchnię, służbę, pranie i inne małości życia. Żadne uczucie w takiej kulturze ostać się nie może. A ci, którzy dowodzą w podobnych warunkach miłości, tyle o niej wiedzą, co kret o gniazdach.

Kazia zacisnęła zęby, poprzysięgając milczenie.

A zatem z jednego prześladowania dostaje się pod drugie. Przed chwilą człowiekowi temu przysięgła miłość, była pełna dobrych chęci i postanowień zacnych, teraz poczyniała się burzyć, odczuwać dlań wstręt<sup>126</sup> i nienawiść.

Z rozmysłem brutalnie odtrącił ją i poniewierał, by nawet nie pozostał atom porozumienia i zgody. On rad byłby dyspacie, by zółć swą wyrzucić do reszty, chwilę czekał wybuchu, cieszył się nań, wreszcie spojrzął na nią.

Twarz jej wydała mu się obca, tak martwą i zimną przybrała maskę, patrzyła na pole i orzące pługi.

— Pani mi zaprzeczyć nie może — rzekł ze swym przykrym ironicznym uśmiechem.

— Nie mam ochoty. Nie chodzi mi wcale o przekonanie pana, a moje teorie mam tylko dla siebie — rzekła zimno.

— Bardzom pani za to obowiązany. Właśnie tego pragnąłem! — rzucił urażony.

— Pragnienia pana będą dla mnie zasadą nie podlegającą żadnym modyfikacjom.

Zapanowało milczenie i nie przerwali go aż do stacji.

I to było Kazi poślubne sam na sam.

Potem nastąpiło ostateczne pożegnanie z ojcem.

Nie wiedziała, co mu rzec, nie śmiała prosić, by ją rychło odwiedził, a wiedziała, że w Górowie będzie mu nieznośnie pusto bez niej, więc tylko tuliła mu się do serca, powtarzając:

— Dziękuję, tatusiu, za wszystko. Będę pisać często, co dzień, żeby mnie tatuś zawsze czuł przy sobie.

Pociąg ruszył, wyglądała doń i ciche lzy biegly jej gradem po twarzy; pociąg był już w polu, a ona wciąż patrzyła za siebie, opanowując wzruszenie i lzy, by ich tym obcym nie pokazać.

Andrzej tymczasem rozłożył gazetę i czytał, a prezes zagał z nią rozmowę o życiu pól i domów, pytał o zboże na łąkach, które mijali, potem o rozległość Górowa i o gospodarstwo.

Po chwili uspokoiła się zupełnie i tak gawędzili poważnie. Zaczęła pytać o ustrój<sup>127</sup> domu, dowiadywać się o obowiązki gospodyni.

A tam, w Warszawie, oczekiwano ich niecierpliwie.

Oprócz Dąbskich wyjechał na dworzec i Radlicz z bukietem, który, od kilku tygodni nieobecny, Kazi jeszcze nie znał<sup>128</sup>. Droczyła się z nim pani Tunia.

— Powie mi pan swoje pierwsze malarskie wrażenie. Stokroć to będzie czy topola? Powiem panu pod sekretem: wełna, nic więcej.

— Patrzaj no — zagadnął Dąbski. — Widzisz tę facetkę w lila sukni i tajemniczym woalu? Coś znajomego.

Radlicz spojrzął i zachichotał.

<sup>126</sup> odczuwać dlań wstręt — dziś: odczuwać do niego wstręt. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> ustrój — tu: sposób organizacji, zasady działania. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> Oprócz Dąbskich wyjechał na dworzec i Radlicz z bukietem, który, od kilku tygodni nieobecny, Kazi jeszcze nie zna — powinno być raczej: Oprócz Dąbskich wyjechał na dworzec także z bukietem Radlicz, który od kilku tygodni nieobecny, Kazi jeszcze nie znał. [przypis edytorski]

— Nie wytrzymała! Jak babcię poważam — jest!  
— A toć Belcia z Mazowieckiej! Czekaj no, pójdę, zdemaskuję ją i dowiem się, czy ją przysłano z Erywańskiej.

Ale pani Bella wcale się nie zażenowała.

— Ano tak, przyszedłam, pokłóciłam się z Cesią i jestem. Ginę z ciekawości, nie mogłam wytrwać, wykradłam się. Ona, mniejsza, ale jego minę zobaczyć. To będzie kolosalnie zabawne! Jak pan myśli, przyjdzie on do nas jutro?

— A pani Celina jak myśli? — zaśmiał się.

— O, ta nie wątpi! Ona jest tak pewna siebie, jakby była mężczyzną.

— Przepraszam, ja jestem mężczyzną, ale wobec pani zupełnie<sup>129</sup> siebie niepewny! Potrąciła go parasolką.

— Cicho, jestem zupełnie tamtymi przejęta. Słyszysz pan? Sygnałują<sup>130</sup>! — i wypadła na platformę.

Pociąg wchodził na stację. Pani Bella dotarła wprost wagonu pierwszej klasy i doznała rozczarowania. Ujrzała obok prezesa dziewczynę smukłą, szykownie ubraną, bardzo powściągliwą w ruchach i słowach, zupełnie nieśmieszną i niedziwaczną, a za nią Andrzeja ze zwykłym wyrazem twarzy, zajętego zdawaniem tragarzowi ręcznych pakunków.

„No i nic! — pomyślała pani Bella z desperacją<sup>131</sup>. — Warto było robić esklandrę<sup>132</sup>!”

Oni tymczasem powitali Dąbskich i poszli gromadką ku powozom. Nic nie było zabawnego, chyba Radlicz, który dreptał obok panny młodej i tak łakomie jej się przypatrywał.

Saniccy wsiedli do swego powozu, Dąbscy zabrali ze sobą malarza. Pani Bella bardzo zawiedziona ruszyła ku dorożce. Nic nie było, nic, nic, o czym by warto było wspomnieć.

Pani Tunia zagadnęła Radlicza:

— No i cóż, stokroć czy topola?

Malarz chwilę myślał i wbrew zwyczajowi nie drwił.

— Ani jedno, ani drugie! A przecie przypominała mi kwiat! Wie pani, jaki? Wrzos! Znam takie wrzosowiska w kwiecie. Zdrowie od nich idzie i robią wrażenie czegoś bardzo subtelnego, a silnego. Ona ma taki wdzięk nieświeży, niepozorny. Cieniutka, skromniutka, bez blasków, barw, form okazałych, taka gałązka koralowa, osypana drobnymi kwieciami, łagodnej barwy, a kształtów nadzwyczaj ślicznych, gdy się im przyjrzeć uważnie! I nie zwiednie to, i nie osypie się. Zdrowe i silne! Podobała mi się okrutnie. Zaraz bym się z nią ożenił! Jak babcię poważam!

— A do ciebie co przystąpiło? — zdumiał się Dąbski.

— Nasz humorysta w elegii<sup>133</sup>! — śmiała się pani Tunia. — Ten sonet o wrzosie obejdzie Warszawę! To panu ja zapowiadam! I żeniłby się — nie, to zbyt zabawne.

Ale Radlicz naprawdę był oczarowany.

— Żeniłbym się! Naturalnie! A rycerzem jej zostaję od dzisiaj i oprócz wrzosu, nie noszę innego kwiatu. I będę ją malował całe życie!

— Jednakże uchwyciłeś dobrze jej wyraz. Prosta i zdrowa — rzekł Dąbski. — Szkoda jej dla takiego Andrzeja, bo ten się na tym nie pozna. Jest przecywilizowany!

Kazia stanęła u progu nowego życia.

Nikt jej tam chlebem i solą nie powitał ani ujrzała życzliwej twarzy.

Janowa, żona kamerdynera, gospodyni kawalerska obu Sanickich, patrzyła na nią jak na postrach i kontrolę; jej małżonek, pewny swej władzy i zasług, był sztywny i dość nawet lekceważący, reszta służby wзираła z głębi sieni, mało się o nią troszcząc. Znali zbyt dobrze zakulisowe sprawy.

Mieszkanie było przystrojone, urządzone jak z igły, pełno kwiatów, ale Kazię od razu przejął wstręt charakterystyczny zaduch warszawskich domów, mieszanina naftaliny<sup>134</sup>,

<sup>129</sup> *zupełniem* — skrócone od: zupełnie jestem. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *sygnałować* (daw.) — sygnalizować. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *desperacja* (z łac.) — rozpacz. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *esklandra* (z fr.) — skandal, zgorszenie. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *elegia* — utwór liryczny o tematyce żałobnej, pożegnalnej. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *naftalina* — handl. nazwa naftalenu używanego jako środek przeciwko molom. [przypis edytorski]

gazu i gutaperki<sup>135</sup>; i duszno jej się zrobiło w pokojach pełnych mebli i cacek, ocienionych zbyt kownymi firankami i portierami.

Prezes oprowadzał ją po mieszkaniu. Na parterze mieli dwa salony, jadalnię, jego sypialny i gabinet do przyjęć oficjalnych. Na piętrze młoda para miała dla siebie pięć pokojów.

Zbytek i elegancja apartamentu nie zrobiły na Kazi wrażenia, dopiero na widok szaf, pełnych książek w gabinecie prezesa, uśmiechnęła się radośnie.

— O! Co za rozkosz! Tyle do czytania! — rzekła.

Potem ucieszyła się fortepianem, ale nie śmiała dotknąć go i zobaczywszy w swej sypialni kufry z wyprawą i własne mebelki, pomyślała:

„Tu się po swojemu urządź! Będę miała na jutro zajęcie!”. I ta myśl była najprzyjemniejsza.

Była jednak tak zmęczona, że na długie rozmyślanie nie stało<sup>136</sup> czasu. Zasnęła twardo, bez snów i marzeń, jak sypiała wśród swych pól po znojnym<sup>137</sup> dniu.

Nazajutrz równo ze świtem się zbudziła siłą długiego przyzwyczajenia i długą chwilę nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Ciężkie wozy toczyły się po bruku, łoskotem żelaza napełniając powietrze, ale słońce nie zaglądało jej w okno, jak w Górowie, ani ptasząt słychać nie było.

Zerwała się i poczęła rozmyślać. Zbyt kowny pokój wydał się jej więzieniem, życie nieznośnym bez pracy.

Ubrała się śpiesznie i zeszła na dół. Wszędzie cisza, i służba, i panowie jeszcze spali.

Kazia wróciła na górę i uważnie, by nie zbudzić nikogo, poczęła swe kufry wypakowywać. Parę godzin jej tak zeszło, zanim lokaj nie zaczął sprzątać salonów. Zdziwił się i przeraził, gdy ją ujrzał ubraną, i zaalarmował sutereny<sup>138</sup>. Zjawił się Jan zaspany, wreszcie jego małżonka z kluczami.

— Czy jaśnie pani dzisiaj je weźmie? — spytała kwaśno.

— I owszem, zaraz! — odparła.

— To może i kucharka ma przyjść do jaśnie pani?

— Naturalnie.

— Wedle rozkazu, tylko ja już odpowiedzialna nie będę, jeśli się panom nie dogodzi! — odparła Janowa, nie tając niezadowolenia i składając pęk kluczy.

Po czym zniknęła, znosząc do suterena zły humor i intrygi. Małżonek jej udał się do sypialni panów, ignorując zupełnie młodą panią.

Ale Kazia nie była bezradnym podlotkiem. Umiała rządzić i pracować, umiała sobie radzić. Wnet też ujrzała, że kucharka i młodszy lokaj stanowili przeciwny obóz małżonków i tym wzmocniona zajęła się gospodarstwem. Gdy panowie przyszli na herbatę, zastali już wszystko gotowe, wedle swych nawyknień i gustu, nawet poranne gazety przy nakryciu i Kazię, jak zawsze pogodną, prezydującą<sup>139</sup> u stołu.

Prezes rozpromieniony ucałował ją i zaraz się przy niej ulokował. Andrzej chmurny, nieswój, nie wiedział, jak ją przywitać. Był jej wdzięczny, gdy mu pierwsza podała rękę, którą w powietrzu pocałował.

— Jakże moja córuchna myśli dzień spędzić? — spytał prezes. — Bo ja jestem na twoje rozkazy.

— Zdaje mi się, że warto odpocząć przede wszystkim — rzekł Andrzej.

— Właśnie rada bym tu znaleźć, po czym odpocząć. Czym właściwie mam się zająć? Ale — oto menu obiadu! Może moi panowie znajdą coś do zmiany.

— Ja dziś obiadam na mieście — odparł Andrzej — i wieczór mam zajęty.

— Czasu ci zabraknie, a nie roboty, gdy złożycie wizyty! — rzekł prezes, odpowiadając Kazi.

Oczy jej stały się żalose.

<sup>135</sup>gutaperka — substancja zbliżona do kauczuku, otrzymywana z soku drzewa gutaperkowego. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>nie stało (daw.) — nie starczyło; zabrakło. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>znojnny (daw.) — pełen trudu, męczący. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>suterena a. suterenna (z fr.) — kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>prezydować — zajmować pierwsze miejsce, być prezesem, przewodniczyć; tu pot. żart.: zarządzać kuchnią a. jadalnią. [przypis edytorski]

— Ach, wizyty, to nie robota. Ja bym chciała masę mieć obowiązków.  
— Hm, albo ja wiem, co byś mogła robić poza tym — zafrasował się<sup>140</sup> prezes.  
— Proszę tylko dać prawo, a ja już sobie sama wynajdę! — uśmiechnęła się.  
— Ależ prawo masz, dziecko, zupełną swobodę. Dom ten będzie pod samowładnym twym berłem.

Andrzej wypalił papierosa i powstał.

— Pożegnaj już państwa do jutra. Idę do biura — oznajmił. — Może mi ojciec przysłać tam konie na czwartą.

— Na czwartą będą, ale mi je odeślij przed teatrem.

— W takim razie proszę wcale nie przysyłać. — I wyszedł, kiwnąwszy ledwie głową.

— Tatku — rzekła z cicha prosząco Kazia. — po co tatko to uczynił? Konie mu posłać, niech w niczym nigdzie nie uczuje przymusu z mej racji.

— A za pozwoleniem, teraz my panami! — wybuchnął prezes po francusku. — Nie można pozwolić się lekceważyć!

Zamyśliła się, spojrzała nań poważnie i bardzo stanowczo rzekła:

— Jeśli ojciec chce, abym ja zobowiązania moje spełniła, proszę i moje zdanie przyjmując. Wzięłam na siebie ciężkie zadanie i wytrwam tylko wtedy, gdy nie będę sobie miała nic do wyrzucenia. Jeśli zaś będziemy go drażnić, jątrzyć, ja ojcu wypowiadam posłuszeństwo. Do teatru ojciec pojedzie sam dorożką, a ja mam na wieczór dużo roboty z moimi rzeczami, a konie ojciec mu pošle bez ograniczenia czasu.

— A jeśli ja zechcę partyjki winta u kolegi, to idź stary piechotą dlatego, że pan syn i wozi może wołyżerki<sup>141</sup> do Marcelina<sup>142</sup>! — obruszył się prezes.

Kazia serdecznie przytuliła się do niego.

— Zrobi tatuś dla córuchny! — szepnęła pieszczotliwie.

— Oj, ty, ty! Coś mi się zdaje, że ty kiedyś i starego, i młodego będziesz za nos wodzić.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Nie chcę tego. Pragnęłabym wam nie być ciężarem i broń Boże powodem do nieporozumień, a owszem<sup>143</sup>, jakkolwiek pomocą w domu. Boję się zaś jednej tylko rzeczy, by nasze stosunki nie stały się plotką ludzką, nie doszły do ojca. Jego by to zagryzło. Co ludzkie siły mogą, uczynię, by do tego nie doszło.

— Cóż znowu! Wszystko się ułoży. Jestem spokojny.

— Ułoży się, jeśli ojciec będzie mnie słuchał! — zaśmiała się.

— No, no, w miarę powinny być i ustępstwa!

— Od czego, kiedy ja żadnych praw nie roszczę!

Tu już się prezes oburzył.

— Co ty wiesz, co ty rozumiesz! Zobaczysz, że przyjdiesz do mnie po radę i ratunek!

Et!

Machnął ręką, ucałował ją i wstał.

— Cóż tedy za program dnia?

— Zaraz zarządzę obiad, wydam służbie rozkazy i jeśli ojciec chce mi towarzyszyć, to proszę na mszę. Ale, jeszcze jedno! Zdaje mi się, że Janowa będzie teraz zbyteczna. Wezmę jej obowiązki na siebie.

— Dajże pokój<sup>144</sup>. Przecie możemy sobie pozwolić na gospodynię.

— Czymże ja będę? Na mebel do salonu się nie zdałam.

— To pasja do pracy! Pierwszy raz coś podobnego spotykam...

— Tatuś mi obiecał!

— Ano, czyń, jak chcesz. Może masz rację. Więc tedy trzysta rubli miesięcznie na kuchnię w twoje ręce będę składał.

— Tyle pieniędzy!

— No, no, nie wpadnij no w niedobory! — zaśmiał się. — Pójdziemy do kościoła!

<sup>140</sup>frasować się (daw.) — smuć się, martwić się. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>wołyżerka — popisowa akrobatyczna jazda na koniu a. kobieta uprawiająca taką jazdę. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Marcelin — dawniej wieś pod Warszawą, ob. osiedle w pln.-wsch. części Warszawy. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>owszem — tu: przeciwnie. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>pokój — tu: spokój. [przypis edytorski]

Wyszli po chwili piechotą pod rękę. Prezes chwalił pogodę i sąsiedztwo Ogrodu Saskiego. Kazię dym i wyziewy miejskie dławily w gardle. Chwilami wspomnienie pól za-  
latywało ją jako przedsmak okropnej nostalgii<sup>145</sup>, ale ją odganiała jeszcze odważnie, zmu-  
szając się do zajęcia ruchem ulicznym. Instynktownie bała się wspomnień.

Prezes co krok spotykał znajomych. Wszyscy przyglądali się jej ciekawie. Męczyło ją  
to i żenowało ogromnie, a prezes radował się tą wystawą, pyszny był z synowej<sup>146</sup>, czuł, że  
się podoba, i co chwila uśmiechnięty do niej się zwracał.

— Robisz furorę, Kaziu!

— Pod ziemię bym się skryła — odparła rozpaczliwie.

— Dziwna z ciebie kobieta.

— Toteż ja nie chcę być kobietą w znaczeniu ojca i tych panów, których wzrok jest  
obelgą! — szepnęła płaczu bliska.

Gdy weszła do Świętego Krzyża<sup>147</sup>, odetchnęła swobodniej i, zaszyta w kącik, pomo-  
dliła się gorąco.

Modliła się za ojca i za matkę zmarłą, potem za babcię Bogucką i siłą nawyknienia za  
Stacha.

Zastanowiła się jednak i rozważyła skrupulatnie: nie powinna już się za niego modlić.  
I wtedy zapłakała po nim, i jak po umarłym zmówiła pacierz.

Powrót do domu był dla niej nową męką. Na placu Zielonym spotkali Radlicza, który  
jakby na nich czatował i przeprowadził aż do bramy.

Oczy jego, pełne nietajonego zachwyty, udręczyły ostatecznie Kazię. Milczała, słu-  
chając nowin miejskich, które jej się wydawały tak obce, a szczególnie tak nadzwyczajnie  
błahe, i pożegnała tego pierwszego adoratora tak zimno i obojętnie, że aż to prezes za-  
uważył.

— To jest wielki przyjaciel Andrzeja i prawie nasz domownik. Nie bądźże dla niego  
tak koląca. Dobry chłopak, tylko zły język. Panie go się boją jak ognia i psują na potęgę.  
Myszę, że nie odmówiłyby mu nic pod strachem karykatury<sup>148</sup>! A urwis zdolny, tylko  
próżniak, bo zamożny.

— Mnie tym nie nastraszy ani zjedna! — odparła obojętnie.

Prezes udał się do swego gabinetu dla załatwienia korespondencji zaległej, ona się  
krzątała po domu. Słyszał ją nucącą i rozrzewniała go myśl, że to dobre, rozumne dziecko  
pozostanie już wśród nich, ożywi dom i może stworzy ognisko, którego prezes od lat tylu  
był pozbawiony.

Czy temu dobremu, rozumnemu dziecku ten dom nie stanie się czyścem, o tym  
prezes nie pomyślał, chociaż niby bardzo Kazię kochał.

Andrzej, wychodząc z biura, znalazł czekające na niego konie. Chciał je odprawić  
i nając powóz, ale stangret objaśnił, że starszy pan wcale ich dzisiaj nie potrzebuje. Były  
to nowe konie, dwie klacze kasztanowate kupione w Górowie. Ludzie się na nie oglądali,  
szły jak lalki, więc się Andrzej udobruchał i siadł do powozu.

— Pojedziemy na Erywańską — rzekł.

Stangret już wiedział, że to znaczyło kilkugodzinne czekanie pod bramą, po czym  
wieczorną wycieczkę za miasto. Klął w duchu swój los.

Pani Celina nie przyjmowała dziś nikogo. Czekala Andrzeja na pozór spokojna, drżąc  
wewnątrz niepokojem. Przywitała go serdecznie, wesoło, niczym się nie zdradzając, i zaraz  
rozpoczęła rozmowę o wypadkach parodniowej jego nieobecności, zdając sprawę ze swych  
czynów i myśli.

Były z Bellą w teatrzyku ogródkowym, ta wariatka ciągnęła ją na kolację, ale nie,  
była w humorze, zresztą co by tam robiła bez niego? Widziała nowy obraz Siemiradz-  
kiego<sup>149</sup>. Radlicz ją eskortował, targowała szafę gdańską z okazji, ale się bez niego nie

<sup>145</sup> *nostalgia* (z gr. *nóstos*: powrót, *álgos*: ból) — doskwierająca tęsknota za ojczyzną a. za czymś minionym.  
[przypis edytorski]

<sup>146</sup> *pyszny był z synowej* — dziś: dumny był z synowej. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *Święty Krzyż* — tu: kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża przy ulicy Krakowskie Przedmieście w War-  
szawie. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *pod strachem karykatury* — dziś: ze strachu przed karykaturą. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> *Siemiradzki, Henryk* (1843–1902) — malarz tworzący w nurcie akademizmu; malował obrazy o tematyce  
mitologicznej, antycznej, religijnej i historycznej. [przypis edytorski]



zdecydowała; zaprowadzi go tam jutro, obstałowała<sup>150</sup> letni kostium, zrobi mu niespodziankę.

Gwarzyła swobodnie i od niechcienia spytała:

— Nie zostaniesz na obiedzie zapewne?

— Chyba mnie nie zaprosisz! Mam i wieczór wolny, i nowe konie czekają u bramy. Pojedziemy o zmierzchu.

— Tak, o zmierzchu — powtórzyła bezdźwięcznie, czując, że zstępuje o jeden szczebel niżej i że słońce nie będzie już ich spacerem przyświecać...

Zrozumiał ją i spuścił głowę.

— Sama mi przynasz rację! Treść należy do ciebie. Pozory muszę zostawić...

Nie dokończył, podniósł oczy.

— Nie pytasz mnie o nic?

— Nie chcę dożyć chwili, gdy będę musiała pytać — odparła. — Między nami nie ma tajemnic, rozkoszą naszą są zwierzenia i spowiedź z najskrytszych myśli. Nie poruszam tylko kwestii bolącej; ty tu przychodzisz po radość i odpoczynek.

— Stało się tedy. Wczoraj przywiozłem fant<sup>151</sup> do domu. Nie jestem słodko względem niej usposobiony, ale wyznać muszę, że jak dotychczas, wcale się mną nie zajmuje.

— Złóżcie wizyty, będziecie przyjmować. To będzie uciążliwe.

— Zapewne, chociaż zredukuję to do minimum.

— A jeżeli się ona w tobie zakocha?

Ruszył pogardliwie ramionami.

— To się stanie, zanadto piękny, chyba...

Urwała dyskretnie.

— Chyba zakocha się w kim innym, to by było świetne i triumf twego ojca zmieniłby się w klęskę.

Milczał urażony.

— Mam nadzieję, że i to się nie stanie — rzekł wreszcie.

— Więc cóż za przyszłość?

— Nie obchodzi mnie. Zawarowałem<sup>152</sup> sobie swobodę, będę z niej korzystał.

Teraz ona milczała. Byli szczerzy dotychczas, ale nie domawiali swoich myśli. Ona by zohydzić chciała tę swoją rywalkę, tak na pozór nic nie znaczącą, a tak wyższą i silną. Nienawidziła ją z całej duszy, a sama by mu tego nie wyznała. On rozżalony był do niej, że mu pozwoliła na ten związek, nie okazała zazdrości, nie obroniła go przed głupią pozycją i kłopotem. Chociaż za nic by jej tego nie wyznał, uważając to za niskie uczucie i niekonsekwencję wobec uznania, którego jej za takt nie szczędził.

— Bella poleciała wczoraj na stację. Widziała ją — rzekła po chwili pani Celina. — Mówiła, że jest przyzwoita, a Radlicz dowodzi, że śliczna. Klócili się o to cały wieczór. Jakąż ona rolę sobie obrała?

— Doprawdy nie wiem. Cały dzień byłem w biurze, a wczoraj głowa mnie szalenie bolała. Nie mówiliśmy ze sobą trzech słów. Teraz jestem głodny! — dodał żartobliwie.

— A ja, jak prawdziwa kobieta, karmię cię zazdrością. Chodźże — dzisiaj nasze! — odpowiedziała podobnie<sup>153</sup>. I otoczywszy mu szyję ramieniem, poprowadziła do jadalni.

O zmierzchu, jak było postanowione, pojechali za miasto. Pani Celina spytała o konie, zachwycona szybkością.

— Kupiłem ze wsi — odpowiedział wymijająco.

Biedny, poczciwy Szpanowski nie wiedział, komu poszły służyć jego pieszczone kaszanki.

Andrzej wrócił do domu nad ranem. Nazajutrz przyszedł do herbaty<sup>154</sup> zmęczony i rozdrażniony, czując, że powinien się usprawiedliwić, przygotowany na uwagę ze strony ojca, może na lzy Kazi.

Ale prezes nie uczynił żadnej wzmianki, Kazia rozmawiała swobodnie, ignorowali go zupełnie. Dopiero gdy wychodził, ojciec rzekł:

<sup>150</sup>obstałować — zlecić wykonanie czegoś; zamówić. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>fant (z niem. Pfand) — wartościowy przedmiot stanowiący poręczenie pożyczki. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>zawarować (daw.) — zagwarantować, zastrzec. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>podobnie (przestarz.) — wzmocnione *podobnie*. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>przyszedł do herbaty — dziś: przyszedł na herbatę. [przypis edytorski]

— Radlicz się o ciebie wczoraj wieczorem dopytywał. Zaprosiłem go dzisiaj na obiad; ano i do Dąbskich powinniście pojechać.

— Tak prędko — po co? Można za parę tygodni.

— Nie można. Tak wypada, a przy tym forma musi być zachowana. Ludziom musicie się pokazać.

— Ano, to od razu to odbyć! Gdzież mamy być? — zwrócił się niecierpliwie do żony.

— Skądże ja mam to wiedzieć? Panowie wybiorą dla siebie, a potem z sumy ja sobie wybiorę, co mi się podoba. Teraz służę wszędzie.

Nie, wcale serio i tragicznie nie traktowała swego losu. „Ja sobie wybiorę, co mi się podoba”, ukłuło Andrzeja. Rozdział stosowała tedy i co do siebie i dążyła jak on do swobody.

Ruszył brwiami: mniejsza z tym!

— Wizyty oddamy jutro tedy — zdecydował. — Będziemy u Dąbskich, Morawskich, Hankich i Gostyńskich. Zresztą<sup>155</sup> pustki, nikogo więcej w mieście nie ma.

— Tak, tymczasem będzie dosyć. Jesienią trzeba będzie wybrać dzień na przyjęcia — rzekł prezes. — Myślę, że piątek — dodał po namyśle.

Krew nabiegła do twarzy Andrzeja, zrozumiał myśl.

— Piątki ja mam zajęte! — rzucił ostro.

— Ano, zobaczymy — obojętnie odparł prezes.

Kazia wmieszała się do rozmowy.

— Ja także jestem zdania pana — rzekła, zwracając się do męża. — Po co taki pośpiech? Ojcu tęskno za wintem i ludźmi, i dla mnie przymus sobie czyni, spędzając samotne wieczory. Tak być nie powinno. Niech się panowie mną nie krępują. Daję wam zupełną wolę i swobodę, w zamian za klucz od biblioteki. Będę się bawiła w tym towarzystwie jak król!

— Et! bajesz! — obruszył się prezes. — Zanim wizyt nie oddacie, będziesz jak w niewoli i ja ciebie nie odstąpię. A przy tym, bój się Boga, mówisz do niego: pan, to niemożliwe!

— Ba, a jak zapomnimy na razie imienia, będzie jeszcze gorzej! — roześmiała się.

— Nie żartuj! Musicie przecie mówić sobie po imieniu.

Andrzej brał za klamkę i śpieszył się.

— Na którą obiad? — spytała go.

— Wróć o piątej.

Zaraz po nim i prezes się ulotnił. Miał przeróbki w kamienicy, potem interes u reagenta<sup>156</sup>. Kazia została sama, zazdrozcząc im zajęcia. Jej zatrudnienia<sup>157</sup> były zabawką po pracy na wsi. Rachunek z kucharką, porządek w domu, drobne szczegóły z ogrodnikiem, cukiernią, handlem delikatesów. Starczyło do południa. Potem zeszła na podwórze. Miała tam przecie znajomych: konie z Górów i duszę przyjazną — Stacha Skowronka.

Stangret submitował się<sup>158</sup> nowej pani, Stacho rzucił się do niej, prawie płacząc z radości. Poczęła pieścić klacze, cukrem je karmić, a one, jakby ją poznały, wyciągały szyje, skubały za rękaw.

— Biedaczki! Tak się tu nudzą, a takie wystraszone. Rzą, że aż się serce kraje! — mówił Stach.

— A tobie jakże się podobało? — spytała.

— Wedle<sup>159</sup> wikt<sup>160</sup> — to ha! — odparł i zerknął w stronę stangreta. — W gębę też jeszcze nie wzięłem od pana Walentego.

Tu głos zniżył:

— Ino<sup>161</sup> mi się cnie<sup>162</sup> za Górówem. Oj, cnie! — i westchnął.

— Przywykniesz, tylko pracuj i złej kompanii unikaj.

<sup>155</sup>zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>regent (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>zatrudnienia (daw.) — zajęcia, czynności. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>submitować się (daw., z łac.) — ulegać, uniać się, wykazywać pokorność. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>wedle (daw., gw.) — tu: w związku z czymś, co do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>wikt (daw.) — wyżywienie. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>cnić się (daw., gw.) — tęsknić. [przypis edytorski]

— Jakaż ta tu robota! Precz się rozpróżniaczę. Pan Walenty mówił, że będę za panią, tfu, za jaśnie panią jeździł w jakieś Łazienki. Kiedy to będzie?

— Nie mam czasu dzisiaj!

Szła ku bramie, Stacho za nią.

— Za przeproszeniem jaśnie pani, co tu jest do roboty? Woda precz — na górze, chleb gotowy, co ino człek zamarzy, to na rynku jest, siano przywiozą, owies przywiozą, nawet sieczka gotowa. Człowiekowi się zda, że się Żydem stał, co ino cudzymi rękami robi i tylko pieniądze przebiera. Juści<sup>163</sup> tu wszelakiego się napatrzę i użyję, ale com umiał, to zapomnę, a od tego smrodu to mi i picie, i jadło nie smakuje. Koniska prychają jak od ciemierzycy<sup>164</sup>, tak im to powietrze w nosie kręci. Widzi mi się, że my tu nie przystaniemy z ochotą!

— Trzeba się przyzwyczaić, Stachu. A może grosza nie masz, biedaku?

— E, nie o to! Ja bym ino chciał gdzie bliżej jaśnie pani być. Z końmi to ja lubię żyć, ale tu ino na nie patrz, a nie używaj. Co to warte? Walenty mówił, że Janowie ino kwartału czekają. Ja bym do pokoju poszedł na młodszego. W tej stajni, to ja nawet mego pana nie zobaczę, jak z Górowa do pani przyjedzie!

Kazia uśmiechnęła się.

— Ależ, Stachu, nie umiesz ani się ruszać, ani mówić. Byłoby ci jeszcze nudniej w pokojach. Musiałbyś milczeć zawsze.

— To bym milczał. Ale ja bym panience usłużył. Ja się duchem służby nauczę!

— No to się ucz i czekaj cierpliwie! Rozważę.

Stacho nabrał otuchy, poweselał widocznie.

Pocałował ją w rękę i oczyma przeprowadził do bramy.

Kazia wzięła książkę z biblioteki i chciała czytać uważnie, ale myśli miała niesforne.

Co robić, czym zwalczyć pustkę i nudę takiej egzystencji, jaki cel dać życiu, które może jeszcze długie leżało przed nią? Tutaj nikt jej nie potrzebował. Obca jest zupełnie, obca pozostanie, jeśli nie wroga.

Książka opadła na jej kolana, a ona siedziała wtulona w kąć otomany<sup>165</sup>, w gabinecie prezesa, bliska płaczu.

Wtem dzwonek się rozległ w przedpokoju, po chwili rozmowa Jana z odwiedzającym.

— Pana prezesa nie ma w domu.

— Wiem o tym — odparł ktoś — ale mi tę godzinę naznaczył, a że dzisiaj odjeżdżam, więc zaczekam.

— Proszę pana hrabiego do gabinetu.

Zanim Kazia miała czas powstać, gość wszedł. Jan za nim drzwi zamknął.

Spojrzeni na siebie oboje zdziwieni. Gość się skłonił i zapatrzył się na nią. Ona powstała.

— Pan zapewne do pana prezesa Sanickiego. Proszę spocząć, za chwilę wróci.

— Dziękuję pani. Istotnie mam interes i bardzo mało czasu, więc lękam się rozminąć. Ale daruje pani moje zdziwienie na widok kobiety u prezesa. Pani pozwoli się przedstawić: Eustachy Kołocki.

— Zdziwienie pana jest słuszne, gdyż prezes jest moim teściem zaledwie od trzech dni.

— Andrzej się ożenił! — z wyrazem bezmiernego podziwu zawołał gość i znowu się w nią zapatrzył.

Był to człowiek czterdziestoletni z piękną rasową twarzą, na której rył się przesył i zmęczenie.

— Pani zapewne nie z Warszawy? — rzekł po chwili.

— Dlaczego? — uśmiechnęła się.

— Bo znam wszystkie tutejsze piękne panny!

— Przepraszam pana, czy pan fotograf? — odcięła.

<sup>163</sup>juści (gw.) — owszem, pewnie, oczywiście. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>ciemierzycza, właśc. *ciemierzycza* — silnie trująca roślina z rzędu liliowców; unikana przez zwierzęta z powodu jej gorzkiego smaku; sproszkowany korzeń ciemierzycy wywołuje silne kichanie, kaszel i łzawienie. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>otomana — sofa, niska wyściełana kanapa z poduszkami i wałkami stanowiącymi oparcie. [przypis edytorski]

— Nie, pani, tylko czciiciel piękna. Ten Andrzej w czepku się rodził. Fortuny używa i nie stracił, młodości używa i nie zużył, umie życie trzymać w garści i kierować, gdzie i jak sam chce. No i ożenił się, i doprawdy gotów nawet być szczęśliwym do końca! Ja, jego mentor<sup>166</sup>, uchylam przed nim głowę.

— Panowie się znają od dawna? — spytała Kazia.

— Od dnia mojej pełnoletności i rozpoczęcia procesu z matką. Dwadzieścia lat ubiega. Spojrzała nań ze zgrozą.

— Pani się dziwi? Tak jest. Mam jedną nienawiść: matkę, i jedno marzenie: jej dokuczyć. Że zaś interesy jej są w ręku prezesa, widujemy się często. Licho mu płacę, więc przez wdzięczność zająłem się edukacją światową Andrzeja. Jakim jest — mnie zawdzięcza. Pani się podobał, nieprawda?

Roześmiał się gorzko i sztucznie, że Kazia, zamiast oburzenia, poczuła doń litość.

Popatrzała nań spokojnie, bardzo poważnie i nic nie odpowiedziała.

— Więc pani jest ze wsi bardzo cichej i pustej zapewne — rzekł po chwili innym tonem. — Widać to po licu<sup>167</sup> pani, które zna pocałunki słońca tylko, i po oczach pani, które nie widziały jeszcze życia. Bardzom panią zgorszył?

— Bardzo mi żal pana jak każdego kaleki — odparła. — Ale oto i dzwonek — to teść zapewne. Żegnam pana!

Skłoniła mu się z daleka i wyszła.

— Odsiedziałeś więź<sup>168</sup> u mnie, hrabio! — zawołał prezes, wchodząc. — Przepraszam, zaległości odrabiałem.

— Chciałbym często tak czekać. Zastałem tu panią i rozmawialiśmy.

— Ach! Kazię! — mruknął prezes, składając tekę na biurze.

— Andrzej się ożenił *incognito*<sup>169</sup>! Kiedy? Gdzie?

— To było dawno ułożone. Nie rozesłaliśmy zawiadomień, bo do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, czy będzie dyspensa<sup>170</sup>. Krewni są — kłamał prezes.

— Ach, tak! Takie mając kuzynki i ja bym się ożenił. Ale przystępując do interesu, czy matka zgadza się na zmazanie jej hipoteki z Pożajska?

— Niestety, hrabio, to niemożliwe.

— Więc ja jej zapowiadam, że dobra sprzedam.

— Ona sama je nabyć pragnie.

— Ba! Ja to wiem i dlatego właśnie sprzedam apanażom<sup>171</sup>.

Na bladą jego twarz wystąpił rumieniec, nozdrza się rozděły.

— Czy potrzebujesz, hrabio, pieniędzy? Możesz je mieć za pięć procent! — odparł spokojnie prezes.

Kołocki rzucił się w fotel, zapalił papierosa i milczał.

Prezes, do oryginalności jego nawykły, począł wyjmować i rozkładać papiery z teki.

— Wiesz<sup>172</sup>, hrabio, wielką nowinę? — spytał.

— Nic nie wiem, wracam z południowej Francji i dziś jadę do Moskwy, gdzie moje konie biegają. Cóż za nowina?

— Orszańscy się rozchodzą.

— Bagatela — dla kogo?

— Właśnie, że dla nikogo. Od paru lat ona się burzy na jego życie. Co prawda, być żoną gracza, niewesołe. Teraz chce od swego wpływu i przykładu ratować syna. Wziąłem sprawę na siebie.

— Niech się rozchodzą. Ktoś pocieszy rozwódkę. Nie ja. Prezesie, łaskawco, chcę nabyć dobra za Wisłą. Nie znacie co dobrego?<sup>173</sup>

<sup>166</sup>*mentor* — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*lico* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*odsiedziałeś więź u mnie* — tzn. odsiedziałeś u mnie przykry, długi czas, jak w więzieniu. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*incognito* (z łac.) — nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości; tu: w tajemnicy, nie zawiadamiając nikogo. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*dyspensa* — wydawane w szczególnych przypadkach zwolnienie z obowiązku przestrzegania któregoś z przepisów prawa kościelnego (tu: zakazu małżeństw pomiędzy krewnymi). [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*apanáže* (z fr.) — hist.: dobra ziemskie przyznawane dla członków rodziny królewskiej jako źródło utrzymania; daw. przen.: zasiłek, środki na utrzymanie. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*wiesz* (daw.) — znać. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*Nie znacie co dobrego?* — dziś popr.: nie znacie czegoś dobrego? [przypis edytorski]

- Znam złote jabłko i za bezcen. Tylko trzeba parę lat zaczekać.
- Nic z tego. Zaraz albo wcale! Zresztą znajdę sam!
- To będzie najlepiej.

Po wygolonych wargach prezesa przeleciał dyskretny uśmiech. Znał swego klienta i wiedział, że na czyn nigdy się nie zdobędzie. Zresztą, teraz bardziej niż zawsze, Kołocki był rozdrażniony, a na to się wyczerpie mały zapas jego woli. Będzie parskał, odgrażał się i tym się nasyci. Potem przyjdzie okres hulanki na zabój, potem miesiące całe apatii. Losy Pożajska były tedy na czas dłuższy zabezpieczone. Mógł uspokoić hrabinę.

- Dobrze masz konie, hrabio, w tym roku? — spytał.
- Dwa dobre, reszta śmiecie. Muszę wygnać trenera.

I o tym słyszał już prezes od dawna, ale trener był zawsze na miejscu.

- I ja mam nowe konie dla synowej — pochwalił się.

Hrabia jakby nie słyszał. Rozparty w fotelu, był zupełnie duchem nieobecny. Po chwili otrząsnął się, roześmiał się dziwnie i wstał.

— Mój łaskawco, przyjdę jutro, aby usłyszeć decyzję tej starej mumii na moje ultimatum. Czy Andrzeja znajdę w biurze, czy na Erywańskiej?

— Zalim jest<sup>174</sup> stróżem mego syna?<sup>175</sup> — odparł prezes, uśmiechem pokrywając niesmak.

Kołocki nakładał powoli rękawiczki, jakby czegoś jeszcze czekał.

— Wie pan, co mi powiedziała pani Andrzejowa? Żem kaleka! To mi się podobało! Do milego widzenia.

I z tym wyszedł, jeszcze raz się rozśmiawszy.

Wsiadł do dorożki i kazał się wieźć na Srebrną, do biura, gdzie pracował Andrzej.

Zastał go nad rysunkiem technicznym, zajętego bardzo poważnie; poza ścianą potężnym oddechem dyszały warsztaty, przez okno widać było podwórze i kotły.

— A witam! Cóż cię tu sprowadza? — zdziwił się.

— Chcę zobaczyć, jak wyglądasz żonaty, i powinszować. — Wiesz ty? Musi być smaczna twoja żona, kiedy ja mam na nią apetyt.

— Hm, to jestem od ciebie wybredniejszy, bo apetytu na nią nie mam!

— Marnotrawco — po coś ją brał zatem? Było mnie zawołać!

— No, przecież nie sądzisz, abym brał żonę z tych, które się bierze bez sakramentu!

— A teraz?

— Co teraz?

— Kiedyś tej formy dopełnił, a nie dbasz, inni mogą cię wyręczyć.

Płomień uderzył do twarzy Andrzeja, zapaliły mu się oczy.

— Nosi moje nazwisko. Zapominasz się!

— Co znowu, nazwiska jej odebrać nie myślę — odparł cynicznie Kołocki. — Zresztą mamy dług. Pamiętasz Klarę? Zapowiadam ci, że się teraz za tamto skwitujemy.

— Gdybym cię nie znał, to bym się obraził. No, dosyć żartów. Na długoś przyjechał?

— Albo ja wiem? Jak mi się podoba.

— Przyjdiesz w piątek na Erywańską?

— Jak to? Ty jeszcze tam tkwisz? Toś wołowina!

— Zielona zazdrość wyziera ci przez oczy.

— A u ciebie żółta młodość. Nie lubię ogranych kart. Dobrze to dla emerytów do pasjansa. Nie, na Erywańską nie pójdę.

— Byłeś u ojca?

— Byłem i będę jeszcze często. Nie lękasz się?

— Bynajmniej.

— Źle robisz. Na twoim miejscu wymówiłbym dom. Śliczna jest twoja żona, a ty jesteś nosorożec.

Andrzej brwiami poruszył.

<sup>174</sup>zalim jest (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: zali jestem, czyż jestem. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Zalim jest stróżem mego syna? — parafraza biblijnej odpowiedzi: Zalim ja jest stróżem brata mego? (Rdz 4, 9; tłum. ks. Jakuba Wujka). [przypis edytorski]

— Aleś figła spletał! I po cóż się ożeniłeś? Nie jesteś bankrut ani parwena<sup>176</sup>.

— Tak wypadło. Dokuczyło mi piekło z ojcem i kawalerski bezład w domu! Teraz mam spokój!

— Już ja się postaram, żebyś w tym spokoju nie spleśniał! No, bywaj zdrow, jadę do klubu. Chciałbym się zgrać do nitki: byłby to dobry prognostyk<sup>177</sup>.

Po odejściu mentora Andrzej znowu robotą się zajął, ale pierwszy raz w życiu myślał o żonie.

Zachwył Radlicza był pustotą<sup>178</sup>, może chęcią dręczenia pani Celiny, ale pochwała takiego znawcy, jak Kołocki, była czymś szczególnym. Może i on żartował z niego?

Stało się jednak, że Andrzej, zamiast o piątej, o czwartej złożył robotę i poszedł do domu.

— Jest pan? — spytał.

— Nie ma — odparł Jan mrukliwie.

— A pani?

— Nie wiem. Pani przecie służy Józef.

Andrzej przeszedł salony, zajrzał do jadalni, zauważył, że na stole były śliczne kwiaty, udał się na górę. Przebrał się, chwilę pochodził po gabinecie, potem zapukał do buduaru żony.

— Proszę! — odpowiedziała.

Wszedł, dobrze nie wiedząc, co ma rzec.

Siedziała za stosem bielizny i szyła.

— Ojciec wyszedł z budowniczym na chwilę — rzekła, nie przerywając roboty. — Może pan głodny?

— Nie. Wróciłem wcześniej, upał nieznośny tam w biurze. Co dzień mnie głowa boli.

— Niechże pan nie pali papierosów przy bólu głowy. Może by pan wody sodowej wypił? — rzekła życzliwie, usuwając koszyczek z niemi z kanapki i podając mu flakon z wodą kolońską<sup>179</sup>.

Usiadł, a gdy znowu zajęła się robotą, nieznacznie się jej przyglądał. Miała na sobie kostium z jasnego batystu<sup>180</sup>, bardzo skromny i przyzwoity, złote włosy oplecione bez pretensji wokoło głowy, na ręce migającej igłą ślubną obrączkę. Pochylona, szczupła twarz miała jeszcze złotawy odblask wiejskiego słońca i wyraz poważnego spokoju. Nie mówiła nic, chcąc mu zapewne zrobić ulgę ciszą.

— Jakim sposobem poznał dziś panią Kołocki? — spytał.

Uśmiech przebiegł jej po twarzy.

— To musi być chyba ludożerca, bo już ojciec na mnie za to napadł. Stało się to jednak bardzo naturalnie. Czytałam w gabinecie, on wszedł, nie uciekłam, nie przeczując niebezpieczeństwa, no i rozmawialiśmy. Uczynił na mnie zrazu wrażenie wariata, oglądałam się za dzwonkiem na służbę. Potem się uspokoiłam, że to tylko próżniak chorujący na oryginała i koniec.

— Jest to specjalista od kompromitowania kobiet. Czyje imię przejdzie przez jego usta, ta już ma zachwianą opinię.

— O, biedna opinia w takim razie!

— Moim obowiązkiem jest panią ostrzec.

— Dziękuję panu, ale wątpię, czy go zobaczę drugi raz w życiu! Dziś w wieczór wyjeżdża.

— Zostaje i będzie u nas częstym gościem.

— Jeżeli pan z tym się zgadza, ostrzeżenie jest zbyteczne.

— Jest to nasz dawny znajomy.

— Tak, mówił mi o tym.

— Jak mówił?

<sup>176</sup>*parwena* — zapewne *parweniusz*: nowobogacki, dorobkiewicz, który dzięki swojemu majątkowi może obracać się w wyższych kręgach społecznych, ale brak mu odpowiedniej oglady. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*prognostyk* — znak, zapowiedź; przepowiednia. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*pustota* (daw.) — lekkomyślność, skłonność do żartów. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*Może by pan wody sodowej wypił?* — *rzekła życzliwie (...) podając mu flakon z wodą kolońską* — być może błąd tekstu lub mylący opis sytuacji: dziś wodą kolońską nazywa się rodzaj wody toaletowej, roztwór kompozycji olejków eterycznych w alkoholu o bardzo wysokim stężeniu, nienadający się do picia. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*batyst* — cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

— Że pana wychował w pojęciu światowym. Nawet się pytał, czy mi się jego uczeń podoba?

— Mam nadzieję, że odpowiedzi nie otrzymał?

— Nie jest przecie moim przyjacielem ani powiernikiem.

Andrzej głowę oparł na poręczy kanapki i oczy przymknął. Buduar był od dziedzica, więc względnie cichy.

— Czy to prawda, że pani Janową oddaliła?

— Jest zbyt cenna. Jej zajęcie ja sama załatwię w godzinę z wielką radością, że coś mogę zrobić. Może pan temu nierad<sup>181</sup>?

— Ach — ja! Byłbym najszczęśliwszy, żebym mógł w domu wcale nie być! Wszystko mi jedno, kto tu rządzi. Tylko za Janową pójdzie Jan, a do niego przywykłem.

— W feralny dzień zajęto to mieszkanie, bo zdaje mi się, że niejeden rad by tu nie być! — odparła, składając robotę. — Może tu niegdyś było więzienie i bakterie buntu jeszcze się gnieźdzą.

Złożyła i sprzątnęła bieliznę, cichutko się ruszając i chodząc, potem przysłoniła firankę i wysunęła się z pokoju.

Andrzej pożałował poniewczasie swych słów brutalnych, rad by je cofnąć, nawet chciał na razie przeprosić, ale nie wiedział jak. I rozchodzili się coraz dalej, coraz dalej.

Kazia zesłała do jadalni, obejrzała raz jeszcze stół i bufet, potem wsunęła się we framugę okna i wydobyla z kieszeni list ojca. Czytała go już raz dziesiąty:

„Na każdym miejscu i w każdej chwili stoisz mi na oczach<sup>182</sup>, dziecko moje jedyne. Nie mogę się obyć z Twą nieobecnością, szukam cię nawyknięciem. Ciężko żyć, ale to mnie krzepi, że ci tam lepiej niż tutaj. Pisz, powtarzaj mi, że ci dobrze, że oni są dla ciebie serdeczni, żeś szczęśliwa. A jeżeli ci czego brak, coś ci nie dogadza, to nie taj; jam do złego przywykł, potrafię cię pocieszyć. Myślę, że nie wytrzymam i chociaż czas teraz drogi, na rolniczą wystawę do Warszawy wpadnę”.

Tęsknota

Dzwonek się rozległ w przedpokoju i Andrzej wszedł do jadalni. Widział, jak Kazia ukryła list w kieszeni i rękę przesunęła szybko po oczach, ale jej o nic nie spytał.

Ona, jakby w liście tym nabrała mocy, pierwsza do niego przemówiła:

— To zapewne ojciec i pan Radlicz wnet się zjawi. Czego pan szuka?

— Cytryny. Głowa mi pęka z bólu!

— O, biada! I jeszcze ten gość! — rzekła ze współczuciem.

— Niechże pani nie udaje żalu nade mną. Do tego pani nie jest obowiązana.

— Miewam czasem migrenę, więc wiem, jakie to nieznośne. Zresztą chory przestaje mi być antypatyczny. Oto ma pan limoniadę<sup>183</sup> i doprawdy odbiorę papierosy. Przy pana rozdrażnieniu nerwowym to trucizna. Przecie taki stan nie tylko dla otaczających, ale i dla pana samego jest przykry.

— Co mi tam! — mruknął.

Prezes ich tak zastał przy bufecie.

— Już się wrócił?! Wiesz, że tu był Kołocki? — rzekł, badając pilnie twarze obojga.

— Cóż ja na to poradzę!

— Wyobraź sobie, że się Orszańscy rozwodzą.

— Ano, to bardzo szczęśliwi.

— A zgadnij, jaki kosztorys urznął mi budowniczy na oficynę — pięćdziesiąt tysięcy!

— To niech ojciec sprzeda kamienicę.

— Hm... z dwojga złego wolę już mieć kogoś na hipotecę, niż sam u kogoś siedzieć i takie mieć chryje<sup>184</sup>, jak z Szaberową. Pojutrze muszę składać *vadium*<sup>185</sup> i stawać do licytacji i jeszcze mi druga rudera się dostanie! Bo to widzisz — zwrócił się do Kazi —

<sup>181</sup> *nierad* (daw.) — niechętny, niezadowolony. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *stoisz mi na oczach* — dziś: stoisz mi przed oczami. [przypis edytorski]

<sup>183</sup> *limoniada* (daw.) — lemoniada. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> *chryja* — awantura. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *vadium* (łac.) — dziś spolszczone: *wadium*; kwota zabezpieczenia, wpłacana oferentowi jako warunek udziału w aukcji, mająca zapewniać wiarygodność majątkową i dobrą wolę każdego z uczestników; po zakończeniu aukcji wadium jest zwracane. [przypis edytorski]



miałem sumę u Szabera, kupca, jakieś tam siedemnaście tysięcy. Umarł kilka lat temu, została wdowa i pięć córek i uparła się dać radę interesom.

— I ginie, biedna!

— Ano, pojutrze zostaną na bruku. Jam się do tego nie przyczynił, bom pięć lat nie widział procentu.

— Przecie ojciec ich nie wyrzuci z mieszkania — rzekł Andrzej — trzeba im będzie poszukać posady i trochę pomóc. Dwie starsze są zdolne kasjerki.

— Tak, ale jest troje drobiazgu, a matka skończy u bonifratrów<sup>186</sup>!

— Co za przeskok: z właścicielki kamienicy do nędzarki. Nieszczęśliwa kobieta! — westchnęła Kazia.

W tej chwili wszedł Radlicz i rzekł z uśmiechem:

— Mam dla pani ukłony od pani Dąbskiej, która państwa oczekuje w sobotę. Myślę, że znajdzie pani tam tłum ciekawych.

— Ogórkowe widocznie czasy — zauważył Andrzej.

— Jednakże kilka par się skojarzyło tymi czasy, chociaż maj uchodził za miesiąc nieszczęśliwy. Wolski się ożenił i panna Malwina Zakrzewska wyszła za mąż. Pani jednej świat oczekuje i wygląda. Nie byłem nigdy sławny, ale to musi być przyjemne!

— No, nie. Ja mam to samo uczucie, jak gdy przybyłam do klasztoru i zewsząd słyżałam: nowa, nowa! Każde moje słowo, ruch, krok były oglądane i wyśmiewane. Tak samo teraz z moim parafianstwem<sup>187</sup> będę zabawką dla Warszawy. Tu ludzie mają jeszcze więcej wolnego czasu i zamilowania nowinek niż pensjonarki! Ano, cóż robić. Przejść to muszę.

— O! Mnie się widzi, że i pani umie wzorki zbierać<sup>188</sup>. Jakie by to ciekawe było wiedzieć pani uwagi o mieszcuchach.

— Ona sobie nawet nie zadaje ceremonii<sup>189</sup>. Powiedziała dziś Kołockiemu, że jest kaleka! — roześmiał się prezes.

Lokaj oznajmił obiad. Kazia zajęła miejsce gospodyni i rozlewając zupę, odpowiedziała na pytający wzrok Radlicza.

— Ano, jak ktoś zamiast prostych pleców ma garb, jest to wbrew prawom przyrody i nazywa się kalectwem. Więc jeżeli ktoś nienawidzi matki i za cel życia ma jej dokuczyć, to także jest wbrew prawom przyrody, więc kalectwo.

— No, ale się garbatemu nie wypomina garbów — zaśmiał się Andrzej.

— Bo się z tym tai, a ten pan szczyci się swą nienawiścią dla matki. Nazwałam tedy rzecz po imieniu.

— Czy pani zawsze tak czyni? — rzucił Radlicz.

— Zawsze, jeżeli mnie kto pyta.

— Z tymi zasadami w ładną można wejść kabałę — mruknął Andrzej.

— Ale to bardzo zdrowe i ciekawe. Ja panią pytaniami zawsze będę zarzucał.

— Jakże się pani podobała Warszawa?

— Nie pierwszy raz tu jestem.

— Ale wrażenia?

— Jakbym była we młynie. Hałas świdruje mi uszy, kurz oslepia, powietrze dusi. Wszystko pędzi, śpieszy, potrąca, jakby co krok był pożar. A przy tym jeden drugiego ogląda, jakby coś osobliwego. A dla mnie wszyscy są tak do siebie podobni, że wolę już patrzeć na konie. Chociaż i te tutaj są szablonowe. Zdaje się, że tu wszystko ma na celu starcie oryginalności: drzewo, zwierzę, człowiek, budynek, wszystko starają się uczynić do drugiego podobne.

— Teraz rozumiem, dlaczego mi pani głowę nie kiwnęła, gdym się dzisiaj kłaniał na Królewskiej.

Miasto

<sup>186</sup>bonifratrzy — zakon prowadzący szpitale i opiekujący się chorymi psychicznie; u bonifratrów: tu: w szpitalu prowadzonym przez bonifratrów przy kościele pod wezwaniem św. Jana Bożego w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>parafianstwo (daw.) — cechy właściwe parafianom, osobom z prowincji; prowincjonalizm, zaściankowość. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>wzorki zbierać (z kogoś) (daw. pot.) — dopatrywać się czyichś wad, niestosowności, drobiazgowo krytykować, obgadywać. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>nie zadaje (sobie) ceremonii — nie przejmuje się zachowywaniem norm grzecznościowych. [przypis edytorski]

— Doprawdy! Może być. Ja nie umiem patrzeć w mieście, nie biorę ukłonu dla siebie, przy tym wciąż boję się zablądzić, wpaść pod tramwaj lub dostać się pod miotłę stróża! Myślę, że mnie kiedy posłaniec przyprowadzi, bo się zgubię.

Śmiała się sama z siebie.

— Okropnie szkalujesz mi Warszawę. Po obiedzie pojedziemy na spacer do Wilanowa. Zabierzesz się z nami do landa<sup>190</sup>, panie Radlicz. Trzeba naszej wieśniaczkę zaimponować!  
— rzekł prezes.

— Ach, dobrze, dziękuję ojcu. Zobaczę kawał pola! — zawołała radośnie.

Wtem spojrzała na Andrzeja i zasępiła się.

— Ale może nie dzisiaj? — zauważyła wahajaco.

— Dlaczego? Pogoda śliczna.

— Głowa go boli, a musiałby jechać także! — rzekła, czerwieniąc się na to pierwsze poufale nazwanie męża. Nie mogła mówić mu „pan” przy ludziach.

— Wygląda, jakby pani skłamała w tej chwili — szepnął Radlicz dyskretnie.

— Nigdy się nie uchylał od musu — ozwał się<sup>191</sup> Andrzej.

Prezes spojrzał na niego ostro i zapanowało kłopotliwe milczenie. Lica Kazi pobladły i jakby rozpacz mignęła w oczach. Mój Boże, jak on tak odpowie przy jej ojcu!

Schyliła głowę zmęczona, zniechęcona do dalszej walki.

— Nie zna pani Wilanowa? — przerwał milczenie Radlicz.

— Nie. Wybierałyśmy się z Tunią, ale ona nigdy nie ma czasu.

— Nie mając żadnej roboty, jest zapracowana.

— Bo ja znowu jestem w rozpacz, że nie mam co robić, i myślę ogłosić się w „Kurierze”.

— Na jaką posadę? — zaśmiał się Radlicz.

— Ależ, Kaziu, przecie nie mówisz tego na serio? — przeraził się prezes, a Andrzej dodał:

— Jeśli o to chodzi, to bez ogłoszenia się znajdzie. U Dąbskich spotkamy Ramszycową.

— Ach, prawda! Ta panią porwie jak łup upragniony i wyzyska jak Żyd szlachcica.

— Kto to taki?

— To jest milionerka, Angielka, żona Ramszycy, tego od cukru, bo jest drugi od węgli. Biały Ramszyc i czarny Ramszyc, jak ich nazywają.

Kobieta, na której określenie trzeba samych superlatywów, jest najbrzydsza i najelegantsza, jest najśmielsza i najswobodniejsza, i najnieskalaniej opinii i życia, jest złośliwa jak chochlik, a nie obmówi nikogo, jest najskąpsza w domu, a najwspanialsza w potrzebach ludzkości. Zresztą jest osiłą i trybem wszystkich dobroczynnych i miłosiernych zakładów, i temu tylko oddaną!

— Tatku, ja proszę o Ramszycową — skoczyła Kazia do prezesa uszczęśliwiona.

— Dostaniesz ją, dostaniesz. Jeszcze cię zamęczy i będziesz prosiła łaski! — śmiał się prezes.

Radlicz spojrzał na zegarek.

— O siódmej spotkamy się w Alejach.

— Ach, to jedźmy — prosiła.

— Każ zaprzęgać! — rzucił Andrzej do lokaja.

Przeszli na kawę do salonu i po chwili oznajmiono powóz.

— Spotkamy całą Warszawę w Alejach. Będę pani ludzi nazywał, a pani ma ich charakteryzować! — zaproponował Radlicz. — Ubawimy się setnie!

— No nie, bo z tego urośnie plotka na milę! — zaprotestował Andrzej. — Już ja znam twój język.

Wsiadli do powozu, malarz naprzeciw Kazi, i ruszyli.

Już na Nowym Świecie był tłok pieszych i powozów. Panowie co chwila unosili kapeluszy, malarz przedstawiał mijanych ludzi.

<sup>190</sup>lando — rodzaj powozu konnego z opuszczaną budą, o przednim i tylnym siedzeniu jednakowej szerokości. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>ozwał się (daw.) — dziś: odezwał się. [przypis edytorski]

— Stara Westenhausowa z córką i Turciem. Ciekawym, na kogo on się wreszcie zdecyduje: na matkę czy na córkę.

— Zdaje mi się, że już dawno po decyzji! — mruknął Andrzej.

— O, jakie śliczne szpaki! — zawołała Kazia.

— To Męczówna Kołockiego. Ładna i co za kolczyki! Jakąś nową przyjaciółkę obwozi.

Uklonili się wszyscy trzej jakiejś otyłej damie z dwiema pannami.

— Baronowa Brandt z córkami. Najstraszniejsze plotkarki z całej Warszawy. Boże, jak one panią oglądają łączywie. Ten stary, łysy, to Orzechowski, krytyk i literat — rzeźnik, ludożerca! O! Jest i hrabia Kocio z Kołockim.

Minęła ich dorożka na gumach<sup>192</sup>, w której rozparci dwaj panowie uklonili się, po czym Kołocki coś szepnął, obejrżeli się raz jeszcze.

— Masz, jest i Ramszycowa! — rzekł prezes.

— Gdzie, gdzie? — zaciekała się Kazia.

— Ta, co sama powozi wolantem. O! Staje i rozmawia z młodym Józwickim, redaktorem.

Kazia spojrzała. Młoda to była kobieta, śniada, nieładna, bardzo elegancka. Obok niej siedziała dziewczynka kilkuletnia z pinczerem w objęciach, za nimi stangret w stereotypowej pozie.

Rozmawiała z redaktorem bardzo żywo, polecała mu coś, tłumaczyła, twarz jej drgała życiem i inteligencją, trochę nawet zuchwalstwem. Wreszcie podała rękę Józwickiemu, skinęła mu głową i ruszyła dalej, patrząc ponad głowy ludzkie i machinalnie skinieniem odpowiadając na powitania.

Zrównała się z powozem Sanickich, spojrzała na nich, sekundę zatrzymała oczy na Kazi i pomknęła dalej.

— No, jakże ci się podoba? — spytał prezes.

— Ogromnie. To jej córeczka?

— Jej jedynaczka. A to ich pałacyk. Dalej pojechała, do Łazienek zapewne.

Aleje były pełne. Nieprzerwany ciąg powozów sunął w dół, skręcał do Łazienek lub dalej do rogatek. Kazia słuchała oszołomiona objaśnień Radlicza, nazwisk, stanów, skandali, złośliwych dwuznaczników i zamykała chwilami oczy, bo czuła w głowie chaos.

Pełne tłumy były chodniki, ławki, cukiernie, ogródki, szum, turkot, parskanie koni, dzwonki tramwajów, zaduch końskiego potu, kurzu, kwitnących lip, ludzkich oddechów, wszystko się mieszało. I tłum, mrowie, fala ludzka!

Nareszcie koło rogatek spotkali Dąbskich. Tunia, królująca wśród dwóch siostr i młodego Markhama, zaczęła dawać im znaki czerwoną parasolką. Stanęli.

— Dokąd państwo?

— Do Wilanowa.

— I my. Świetnie. Tylko Julek gdzieś nam się zapodział. Nie widzieliście go?

— Znajdzie się! Na to on mąż, by się odnalazł — rzekł Radlicz. — A nie będzie go — mniejsza! Mogę go zastąpić!

Dąbska pogroziła mu parasolką. Dwie jej siostry sztywne, ostatnie słowo mody — blade, cieniutkie i wątle, uśmiechały się jak porcelanowe laleczki.

— Spotkamy się zatem — zakończył prezes znudzony staniem, bo się wokoło już gawieź skupiała.

Wtem obok nich przejechał powóz. Siedziała w nim samotna dama bardzo piękna, elegancko, trochę za jaskrawo ubrana. Andrzej i Radlicz uklonili się, prezes nie. Dama badawczo, bystro wpatrzyła się w Kazię, aż ta poczuła to spojrzenie i podniosła oczy.

Spotkały się wzrokiem; dama uśmiechnęła się lekko, ale tak, że Kazię to tknęło.

— Kto to taki? — spytała Radlicza.

— To jest pani von Reuter! — odparł tenże z dziwnym uśmiechem.

Na skronie Kazi wybiegł rumieniec. Tunia już jej opowiedziała wszystko o stosunkach męża. A zatem to była ona, ta czarodziejka, która go trzymała w swojej władzy i pod swoim urokiem tyle lat.

Nie śmiała spojrzeć na Andrzeja, dałaby wiele, żeby móc cofnąć pytanie.

<sup>192</sup>dorożka na gumach — dorożka na kołach obciążonych gumą. [przypis edytorski]

Szczęściem zjawił się Dąbski w dorożce, szukając żony, i nadjechała Ramszycowa. Miała już towarzyszkę, jakąś chudą, niemłodą, źle ubraną damę, z którą żywo rozmawiała. Minęła lando Sanickich i pomknęła za rogatki.

— Ciekawym, dokąd Ramszycowa wiezie Ocieską. To moja koleżanka, malarka — objaśnił Radlicz Kazię.

— Dwie fiksatki<sup>193</sup> — rzekł Andrzej.

Wyjechali oni za rogatki, ale było to jeszcze miasto: brudniejsze, bezładniejsze, ale miasto. Co krok ogródki, bawarie<sup>194</sup>, restauracje, i tłum po nich topniał, szukając powietrza, mając złudzenie wsi, drzew, cienia. „Majówka”, „Wiązanka”, „Sielanka” nazywały się te ponętne ustronia. Pełne stolików i ławek, parkanów, altan, brudnych służących, szczyku szkła i talerzy, wałęsających się psów, śwędu kuchni, dźwięku rozbitych fortepianów i szczęśliwego z tych rozkoszy wiejskich tłumu.

— Warszawa używa wsi — rzekł prezes.

Kazia się uśmiechnęła.

— Co pani myśli? — podchwycił Radlicz.

— Myślę, czy biedniejsza wieś w tej parodii, czy ludzie, którzy innej nie widzieli.

— Dla mnie mogłaby najpiękniejsza nie istnieć — rzekł Andrzej. — Nie znam nic wstrętniejszego nad wieś i jej rozkosze.

Milczała. Radlicz zaprotestował.

— Ja bym może nie potrafił jej być wiernym, ale bywam w niej rozkochany co rok. Co lato miewam głód przestrzeni i rozkoszuję się na letnich wycieczkach. Tam się inaczej żyje, czuje, myśli, nawet kocha. Ale myślę ze zgrozą, jak ludzie mogą spędzić na wsi listopad lub marzec! Wściekłbym się! Czy pani nawet te miesiące lubi tam?

— Bardzo. Latem wre i kipi praca, pochłania czas i myśli. Miejskie wakacje to dla wieśniaka ciężka kampania, znojny i troskliwy okres. Jakże mile się wita długie jesienne wieczory! Wtedy się czyta, kształci, uczy i wypoczywa.

— Alboż młode panny pracują na wsi?

— Zapewne są i takie, które się bawią. Ja pracowałam i listopad wspominam równie mile jak kwietny maj.

— Jakże pani pracowała? Zapewne smażyła pani konfitury i preparowała różne smakołyki!

Uśmiechnęła się.

— Robiłam i to, ale bardzo dawno, zaraz po powrocie z klasztoru, kiedy ojciec nie wierzył, czy co więcej potrafię. Byłam szafarką<sup>195</sup> i gospodynią, potem byłam rachmistrzem cały rok pod ferułą<sup>196</sup> buchaltera<sup>197</sup>.

— Bagatela, posiada pani buchalterię<sup>198</sup>.

— Czy to takie trudne? Potem od trzech lat zarządzałam już samodzielnie całym nabiałowym gospodarstwem. To ciężka praca.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

— Przecie tym się zajmują dojarki, pastuchy i klucznice<sup>199</sup>.

— Tak, cała brygada ludzi. Miałam w swym zarządzie siedemdziesiąt osób służby, bo oprócz mleka miejscowego zwożono nabiał z całej okolicy i przerabiano na naszych centryfugach. Rachunki duże i drobiazgowo z dostawcami, z odbiorcami, z zarządem miejscowym, obrót roczny dochodził piętnastu tysięcy rubli, a robota zaczynała się co dzień o piątej z rana, kończyła o dziesiątej wieczorem. Więc listopada oczekiwałam z utęsknieniem, bo się było fizycznie zmęczoną, a umysłowo ogłupiałą.

— Jakż mus czy pokuta kazała pani tak się zamęczać?

— Żaden mus. Byłam rada i dumna, że czymś jestem i coś czynię. Pokutą mi było nic nie robić. Za nic tak wdzięczna nie jestem ojcu, jak za to, że mnie pracować nauczył.

Praca

Praca, Ojciec

<sup>193</sup>fiksotka (daw.) — wariatka. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>bawaria (daw.) — piwiarnia. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>szafarka (daw.) — kobieta zarządzająca gospodarstwem domowym. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>feruła (łac. *ferula*) — berło; tu przen.: władza. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>buchalter (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>posiada pani buchalterię — dziś: zna pani rachunkowość. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>kluczница — kobieta zarządzająca kluczami do majątku ziemskiego, mająca pod swoim zarządem klucze do czegoś. [przypis edytorski]

Spojrzała w dal, odetchnęła głębiej, bo wydostali się przecie w pole — i rzekła poważnie:

— Jak się nie ma matki, trzeba pokochać pracę. To miłość, co nigdy nikogo nie zdradzi.

Radlicz, który wyjechał, by żartować i bawić się, a potem w śmiech chciał obrócić jej pracę, mimo woli spoważniał. Gdyby to zdanie wygłosiła inna panna, chorująca na reklamę z emancypacji i samodzielności, odpowiedziałby sarkazmem, ale gdy patrzył na tę twarz jasną i delikatną, pełną kobiecego wdzięku i prostoty, gdy słyszał w głosie szczerą wesołość i młodzieńczy zapal, poczuł dla niej zachwyt i wielką sympatię, i chęć zajrzenia głębiej w tę duszę tak inną, tak świeżą, tak nadzwyczajną. Obudził się w nim artysta, utajony marzyciel. Była jak kwiat dziki ze szczytów lub odludzia przeniesiony igraszką losu na bruk. Kwiat, który chowało słońce, rosa, ziemia bujna, a który kochać i czynić nauczyły pszczoły.

Ona, nieświadoma wrażenia, które nań wywierała, rozglądała się wokoło; nozdrza jej się rozdymały, jaśniały radością oczy.

— Ojczy — zwróciła się do prezesa cała uśmiechnięta — wolno mi będzie wyjeżdżać konno aż za rogatki raniutko, jak jeszcze bywa pusto?

— Wolno, pewnie, ale któż z tobą pojedzie?

— Staszek.

— Tu raniutko bywa tłok wozów na targi.

— Koloniści<sup>200</sup> i zbóje, cała publika — wtrącił Andrzej. — Najlepsza sposobność być zaczepioną grubiańsko.

— Więc nie jechać? Dobrze! To wrócę od Belwederu — rzekła łagodnie.

— Pozwoli pani, będę eskortował na rowerze — rzekł Radlicz.

— Nie bądź taki ofiarny! — zaśmiał się prezes. — Ona wstaje przed stróżami. Wyjeżdża przy zapalonych jeszcze latarniach!

— Skąd ojciec wie? — zaśmiała się.

— Wyobrażam sobie, bo gdy oczy otwieram, słyszę, że dom już w ruchu i pokoje sprzątnięte. Lada dzień cała służba nasza zemknie.

— Założę się, że spotkam jutro panią koło Belwederu.

— Może, jak się wcale spać nie położysz.

— No, nareszcie Wilanów! — rzekł Andrzej tonem ulgi. — Dąbscy już zajęli pół werandy. Patrzcie, konie Ramszycowej stoją.

Wysiedli, wnet zagarnęła ich Dąbska, zmieszali się z kompanią, potworzyły się kółka. Prezes mówił z Dąbskim, Andrzej z Markhamem. Kazia słuchała roztargniona trzepania Tuni, szermierki jej języka z Radliczem, który odzyskał swój swawolny humor.

— Nie pójdziemy do parku? — spytała wreszcie, widząc, że się zanosi na długą gawędę i jedzenie.

— Po co? Albo nam tu źle? Nikogo tam dzisiaj nie spotkamy znajomego! — zaprotestowała Dąbska.

— A topole prawić będą stare bajki o Sobieskim<sup>201</sup>! — zaśmiał się Radlicz.

— Przyroda jest monotonna! — wtrąciła się któraś z panien. — Pół roku chodzi w zieleni, pół roku w czerni i tak w kółko od początku świata.

— Nie w czerni, ale nago i z tym jej nie do twarzy, bo koścista i sucha! — dorzucił malarz.

Kazia uśmiechnęła się, ale nic nie rzekła.

— Chce ci się parku, chodź ze mną! — zaproponował prezes.

Powstała uradowana i wsunawszy rękę pod jego ramię, spojrzała mu serdecznie w oczy.

— Złoty tatuś! — szepnęła mu, idąc ku bramie.

— Ciekawym, czy Markham reflektuje na serio co do tej starszej? — rzekł, gdy byli już w parku.

— Jak to? — nie rozumiała.

<sup>200</sup>kolonista (daw.) — chłop pracujący na roli po uwłaszczeniu. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>topole prawić będą stare bajki o Sobieskim — w Wilanowie, który do poł. XX w. był podwarszawską wsią, król Jan III Sobieski w latach 1681–1696 zbudował swoją podmiejską rezydencję, barokowy pałac z ogrodem. [przypis edytorski]

— Ano, stara się o nią. Dąbski mi mówił, że matka daje pięćdziesiąt tysięcy, ale chce przy nich zamieszkać i Markham się namyśla. To porządny chłopak, przyjaciel i kolega Andrzeja.

— Andrzej powinien mu zatem dodać odwagi — zauważyła złośliwie.

Wtem naprzeciw nich ukazała się Ramszycowa z ową malarką; prezes się uklonił, ona stanęła, podała mu rękę.

— Witam pana. Gdzie się prezes chowa, że go się nie spotyka? — rzekła swobodnie.

— Siedzę w domu, bo mam młodą gospodynię.

— To pana synowa! Proszę nas zapoznać!

— Spełnię jej marzenie.

— Bo co?

— Bo mi ojciec mówił, że pani rada pracuje, a ja mam tyle wolnego czasu do ofiarowania — odpowiedziała Kazia z prostotą.

— Ślicznie, na czas i dobre chęci ja kupiec. — Biorę panią w antreprzyce<sup>202</sup>. Jutro rano wstąpię po panią i zaprzęgnę do roboty! Załatwione. A teraz przedstawię pani moją bratnią duszę — panna Ocieska, pani Sanicka.

Malarka ukloniła się sztywnie, świdrując Kazię oczyma krytycznymi.

Szli teraz wszyscy razem i Ramszycowa mówiła:

— Ciekawam, jak też sobie pani pracę przedstawia<sup>203</sup>?

— Jako szczęście! — odparła szczerze Kazia.

— Oho! Krótko i mocno! Podoba mi się pani.

— A pani mnie.

Roześmiały się.

— Ona istotnie ma pasję do pracy! — wtrącił prezes.

— To dobrze. Ludzie bez pasji warci co najwięcej<sup>204</sup> szubienicy.

— Oho ho! — zaprotestował prezes. — Bywają pasje warte szubienicy!

— Nie, takim należy zawsze więcej honoru: kula w łeb.

Zwróciła się do Kazi:

— Ale niech się pani nie spodziewa w pracy ze mną towarzyskich przyjemności. Z zasady nie lubię stowarzyszeń, a tym mniej stowarzyszeń damskich. Należałam do wielu i ze wszystkich się usunęłam.

— Z wielką szkodą dla instytucji — wtrącił prezes.

— Ale z wielką radością członków, bo byłam wiecznie w opozycji i gadałam imperptynencje<sup>205</sup>. Co mam dać, dam sama, co mam robić, wiem sama...

— Jednakże zbiorowy czyn... — zaczął prezes.

— Niech pan powie: zbiorowe paplanie! — przerwała niecierpliwie.

— Nie mogę, łaskawa pani, przez galanterię<sup>206</sup> dla płci pięknej! — zaśmiał się.

— Otóż właśnie. Galanteria... płeć piękna... Co za absurdy! Zbydłęciliście tym kobiety! Jeśli wam i im z tym dobrze, to i owszem, ale wy nie zawracajcie głowy czcią dla nich, bo to fałsz, a one niech nie napelniają świata wrzaskiem o emancypacji, bo ten wrzask — to gęganie! A teraz żegnam państwa, jutro o dziesiątej zabieram panią do roboty.

Uścisnęła dłonie i Ramszycowa zawróciła ku wyjściu.

— Cóż, jakże ci się podobała? — spytał prezes.

— Zazdroszczę jej siły i odwagi!

— Ba, jest na to milionerką i Angielką. O nic i nikogo nie dba.

— Męża jej zna ojciec?

— Znam, bardzo zdolny i pracowity. Mieszka w wagonie, w domu jest gościem; nie bywa nigdzie, robi miliony! Zresztą gentelman sztywny, małomówny, zimny. Wracajmy. Jaki tu chłód od wody!

Kazia stała nad kanałem zapatrzona w migocącą toń. Zapomniała o Ramszycowej i rzeczywistości, miała złudzenie swej wsi, przestworza wolnego i wolnego życia. Drgnęła

<sup>202</sup>antreprzyza (z fr.) — przedsięwzięcie, projekt; przedsiębiorstwo. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>przedstawiać sobie — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>co najwięcej — dziś: co najwyższej. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>impertynencje — niestosowne i obraźliwe zachowywanie się wobec kogoś. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>galanteria (z fr. galanterie: grzesność) — wyszukana grzesność w obęjsciu, szczególnie w stosunku do kobiet. [przypis edytorski]

przestraszona, rozejrzała się i poszła szybko w stronę pałacu. Prawda, wieczór już był i chłód poczuła w dreszczu.

Na werandzie Dąbska bawiła się w najlepsze; pełno było osób, jedzono i pito.

— Wiesz — szepnęła półgłosem — przysięgnę, że w gabinecie jest Lolo Szmurski; poznałam jego śmiech; ale z kim, mój Boże, z kim? Będę tu nocowała, żeby się dowiedzieć.

— Cóż cię obchodzi jakiś Szmurski? — odparła obojętnie Kazia.

— Nie wiesz? On jest po słowie z cioteczną siostrą doktorowej Downarowej. Łapali go przez trzy karnawały, teraz triumfują!

— Więc co? Nie rozumiem jeszcze bardziej, co cię obchodzi narzeczony ciotecznej siostry jakiejś doktorowej. Czy ona ci krewna?

— Ta jędz! Jeszcze może co? Alebym im dopiekła — może by zerwali!

— Pani Marto, troszczysz się i frasujesz o bardzo wielu! — rzekł sentencjonalnie Radlicz.

— Idź pan, dowiedz się, kto tam jest z Lolem.

— A co ja za to dostanę?

— Obiecuję panu, co pan chce.

— Obiecuję! — gwizdnął. — Anim taki młody, anim taki stary, aby mnie obietnice nasyciły.

— Cyniku<sup>207</sup>!

— Do usług! — odparł z ukłonem.

— Julku! — zawołała pani Tunia męża.

Obejrzał się, ale kończył rozmowę z Andrzejem.

— Ostatecznie tak, jak rzeczy stoją, *vadium* złożyć trzeba i rudera zwali mu się na łeb. Ano, nie chciał mi wierzyć! Co ci trzeba? — spytał żony.

— Lolo Szmurski jest tam w gabinecie, wiesz?

— Może być.

— Ale z kim, żeby się dowiedzieć?

— Zapewne z Kosecką — odparł Andrzej.

— Jak to? Jeszcze z nią nie zerwał? Ohydne. One są pewne, że to skończone!

Andrzej ramionami ruszył.

— Jeśli są pewne, to i dobrze. O co więcej chodzi?

— Ach, żeby ja była pewna! Julku, dowiedz się.

— Ani mi w głowie! — I dalej mówił z Andrzejem.

Radlicz parsknął śmiechem.

— Ja wiem, ale nie powiem!

— Kaziu, każ mu powiedzieć!

— Ja? — Kazia spojrzała zdumiona. — Co mnie to może obchodzić, a nawet, gdyby obchodziło, tobym nie spytała.

— No, no, żeby tak twój wybrany walał się po gabinetach restauracyjnych z baletnicami, nie byłabyś taka wielka!

Kazia zarumieniła się.

— Nie jestem wielka, tylko — zacięła się — tylko albo jestem pewna, więc nie podejrzewam ani szpieguję, albo nie wierzę i wtedy nie dbam!

— Wracamy! — odezwał się prezes.

Powstał ruch. Dąbska zajrzała przez okno do gabinetu, ale firanki były dyskretne. Poczęto się żegnać, siadać do powozów. Gdy lando Sanickich ruszyło, Radlicz roześmiał się z cicha:

— Tyś strzelił tą Kosecką! — szepnął do Andrzeja. — Myślałem, że Markhama szlag<sup>208</sup> zabije!

— Te panny co dzień subtelniejsze! — wtrącił prezes.

<sup>207</sup>cynik — w starożytności: osoba podziwiająca poglądy szkoły filozoficznej powst. w V w. p.n.e., reprezentowanej przez Antystenesa, Diogenesa z Synopy i in., propagującej odrzucenie powszechnych norm i wartości, w tym dążenia do sławy i zamożności, w celu osiągnięcia indywidualnej cnoty; dziś: osoba nieuznająca norm i wartości obowiązujących w społeczności, w której żyje, zaprzeczająca istnieniu „wyższych wartości”, postrzegająca człowieka jako istotę kierującą się egoistycznymi interesami, maskowanymi często za pomocą wzniosłych haseł i altruistycznych ideałów. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>szlag (daw.) — apopleksja, wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

Zaczęli mówić o innych znajomych, Kazia rozglądała się po niebie i ziemi. Miała ochotę usunąć woalkę, zdjąć kapelusz, dać głowę i twarz pod rzeźwy powiew wieczoru, nie słuchała rozmowy. Powóz toczył się po szosie, cisza i tchnienie wsi umykało wstecz, coraz gęściej były domostwa, coraz gęściej ognie podmiejskich ogródków. Jak potwór, w dali leżało miasto, wstawała nad nim luna światła, a te tancbudy<sup>209</sup>, bawarie, restauracje były jak macki potwora, które wyciągał ku wsi, by ją pożreć, zbrudzić, skazić, zatruć ciszę i spokój hulaszczą melodią i gorączkowym, niezdrowym podnieceniem.

— O czym pani myśli? — spytał nagle Radlicz.

On się w nią od dawna wpatrywał coraz bardziej oczarowany.

— O czym? — powtórzyła zamyślona. — Mam wrażenie, że tam przede mną czeluść piekielna.

— Warszawa? Boi się jej pani?

— Nie, ale mam wstręt — szepnęła.

— Jeszcze ją pani pokocha z czasem.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Będzie pani jutro rano w Alejach konno?

— Będę.

— Wolno pani towarzyszyć?

Coś było w jego głosie, że spojrzała mu w oczy.

— Czemu nie — odparła spokojnie.

— Układacie najbezpieczniej schadzki! — rzekł prezes. — Otóż ja kładę *veto*<sup>210</sup>. Bardzo cię lubię, Radlicz, ale twoje towarzystwo zbyt kompromituje każdą kobietę.

— Jak Boga kocham, nie każdą!

— No, no to tylko dowód, że Boga nie kochasz. Moje dziecko, to dobry chłopak, ale nawet szanująca się kokota<sup>211</sup> z nim się nie pokazuje, taką ma, bestia, zdartą opinię i taki zły język. Mówię ci to w oczy, Radlicz, nie kuś się na nią, bo ani jej zdobędziesz, ani jej nie obmówisz.

— Amen! — zakończył śmiechem malarz.

Byli już w mieście. Kazia spojrzała w przejeździe na pałacyk Ramszyców. Parę okien tylko było oświetlonych. Pomyślała z otuchą, że jutro zaczną pracować, i poweselała. Po chwili stanęli w domu.

— Mam jeszcze interes na mieście — rzekł Andrzej.

— I ja usuwam swą sponiewieraną osobę! — dorzucił Radlicz wesoło.

Pożegnali się u bramy i młodzi ludzie poszli razem dalej.

— Na Erywańską? — spytał Radlicz.

— Uhm! — mruknął Andrzej.

— Wstąpię i ja zobaczyć, jak cię powitają!

U pani Celiny, jak zwykle, było wesoło i swobodnie. Pani Bella śpiewała kuplety<sup>212</sup> i na ich widok zaintonowała:

*Andreas noch in Baenden frei!*<sup>213</sup>

Andrzej się zmarszczył. Koncept mu się nie podobał, powitał gospodynię domu i zbliżył się do fortepianu.

— Bohatersko pani nastrojona! — rzekł. — Może *Wacht am Rhein*!<sup>214</sup> potem lub *Marsylianke*<sup>215</sup>. Witam!

<sup>209</sup>*tancbuda* (pot.) — podrzędny lokal z salą do tańca. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*veto* (łac.) — nie pozwalam. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*kokota* (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*kuplet* — żartobliwa, satyryczna piosenka o budowie zwrotkowej z wyrazistym refrenem, występująca jako element wodewilu i operetki a. samodzielna forma kabaretowa. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*Andreas noch in Baenden frei!* (niem.) — Andrzej nawet w więzach wolny. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Wacht am Rhein* (niem.) — *Straż nad Renem*, niem. pieśń patriotyczna ze słowami Maxa Schneckenburgera i melodią Karla Wilhelma, wyrosła z historycznej wrogości niemiecko-francuskiej, której pierwsze publiczne wykonanie miało miejsce w 1854. Ze względu na swoją wymowę zyskała sławę podczas wojny francusko-pruskiej (1870–1871) i cieszyła się popularnością podczas obu wojen światowych. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*Marsylianke* — patriotyczna pieśń fr. z czasów Rewolucji Francuskiej, napisana w 1792 przez Claude'a Josepha Rouget de Lisle jako *Marsz wojenny Armii Renu*. Zyskała wielką popularność i nową nazwę, kiedy



Popatrzał na nią tak, że wesoła kobietka straciła rezon<sup>216</sup> na chwilę; on dalej witał resztę towarzystwa. Pani Bella zaczęła Radlicza:

— Co mu jest? Wściekły! — szepnęła.

— Po co mu pani nadeptuje na odciski!

— Cóż, ta żona?

— Ano, widziała ją pani na dworcu.

— Phi, nic nie mówi i nieładna.

— Nie, nieładna, bo śliczna!

— Żarty, czy to dzisiejsza flama<sup>217</sup>? Byliście w Wilanowie? Mówiła Cesia.

— Chciałbym z nią być w raj.

— Radlicz przebrany za trubadura<sup>218</sup>! Pyszne! — parsknęła śmiechem. — Wiesz co, zbałamuci<sup>219</sup> ją. Celina ci będzie wdzięczna.

— Takich się nie bałamuci; zresztą Andrzej prędzej dostanie dymisję tutaj, niż się spodziewa.

— Co ty za wzrok masz! Przed tobą nie chciałabym ukrywać nic!

— Dziękuję, umiem to ocenić.

— Bardzo mi przyjemnie. Co do twych obserwacji, więcej się domyślasz, niż jest dotychczas. *Un peu de flirt par dépit!*<sup>220</sup>

— Wszelka rzecz zaczyna się od początku!

— Co takiego? — ozwał się za nim głos pani Celiny.

— Wszystko. Kwiat od korzenia, czyn od myśli, zdrada od przesytu.

— Myli się pan w tym ostatnim; zdrada od miłości.

— Dla drugiego?

Uśmiechnęła się zagadkowo i poszła dalej.

Radlicz się obejrzał po towarzystwie i rzekł:

— Zatem Maks już nie bywa zupełnie? *Un, deux, trois, capitaine et roi!*<sup>221</sup>

— Ba, po co się żenił? — ruszyła ramionami.

— Co mi pani za melodramat opowiada? To się już ciągnie od pół roku. Znajduję, że był wielki czas skończyć tamto. Nie znam nic bardziej poniżającego człowieka, jak miłość dłuższa nad pół roku, a ten romans trwa pięć lat. Wielkie nieba, nie karzcie mnie za moje grzechy niczym podobnym!

— Nie ma obawy! Myślę, że pan na tygodnie nigdy nie rachował<sup>222</sup>.

— Owszem, ale zastawy w lombardzie<sup>223</sup>; miłości — nie! Albo brakuje kobiet!

— Albo czy kobiety traktują pana na serio!

— Niech będą za to błogosławione od pani począwszy!

Dano hasło do kolacji. Radlicz podał jej ramię.

— Czy to recydywa? — spytała ze śmiechem.

— Nie, ale przy pani mogę myśleć o innej. To tylko wyrachowanie!

— No, no, to już za wiele szczerości! — obraziła się, cofając rękę.

— Woli pani recydywę? Służę! — odparł, patrząc na nią oczami satyra<sup>224</sup>. Żachnęła się:

— *J'ai failli vous prendre au sérieux!*<sup>225</sup> — odcięła się i poszli razem.

---

do Paryża triumfalnie wkroczyły oddziały ochotników z Marsylii, śpiewające ją jako swoją piosenkę marszową. W 1795 *Marsylianka* została ogłoszona hymnem państwowym Republiki Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>rezon (z fr. *raison*) — pewność siebie, śmiałość, rezolutność. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>flama (przestarz., z łac. *flamma*: płomień) — osoba (zwłaszcza kobieta) będąca w danej chwili obiektem czyjejś przelotnej miłości, romansu. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>trubadur — średniowieczny wędrowny poeta i śpiewak dworski w Prowansji (ob. pld. Francja), twórca i wykonawca przede wszystkim poezji miłosnej. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>bałamucić (daw.) — kokietować, uwodzić. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*Un peu de flirt par dépit!* (fr.) — nieco flirtu na złość. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*Un, deux, trois, capitaine et roi!* (fr.) — dosł.: raz, dwa, trzy, kapitan i król; fragm. dziecięcej rymowanej wyliczniki, używanej do wykluczania kolejnej osoby z dalszej zabawy. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>rachować — dziś raczej: liczyć. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>lombard — zakład udzielający pożyczek pod zastaw przedmiotów wartościowych. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>satyr (mit. gr.) — jedna z istot wchodzących w skład orszaku Dionizosa, boga wina i dzikiej natury; satyrowie byli przedstawiani jako ludzie z koźlimi nogami i uszami, kojarzono ich z pożądaniem i lubieżnością. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*J'ai failli vous prendre au sérieux!* (fr.) — omal nie potraktowałam pana poważnie. [przypis edytorski]

— A ta ostatnia? Jaka? — spytała u stołu.

— Z nikim nigdy nie mówię o ostatniej, tylko z nią samą. Tym się różni od swych poprzedniczek.

— A zatem odpowie mi pan za tydzień?

— Zapewne... Może pojutrze!

Szydercza jego maska była niezbadana. Przez cały ciąg kolacji dowcipy jego latały z końca w koniec stołu, wzbudzając śmiechy lub oburzenie. Gdy towarzystwo przeszło do salonu, pani Bella po chwili zamieszania poszukała go oczyma — na próżno. Zniknął, z nikim się nie żegnając. Korzystał z praw człowieka, którego nikt nie brał na serio.

Gwizdząc, z rękami w kieszeniach, krokiem człowieka, który się do niczego nie śpieszy, wyszedł na Marszałkowską i ruszył ku domowi.

Mijając kamienicę Sanickich, spojrzął w górę, przestał na chwilę gwizdać, zwolnił kroku. Potem mruknął coś jakby dorożkarskie przekleństwo, splunął i znowu gwizdał.

Tak zaszedł do domu, zapalił lampę w swej pracowni, usiadł przy stole i na leżący arkusz papieru rzucił szkic kobiecej głowy.

### III

Nazajutrz stary Sanicki, przyszedłszy na obiad, zastał Kazię rozpromienioną. Układała kwiaty na stole i poczęła mu opowiadać wesoło:

— Będzie miał ojciec teraz spokój ze mną. Znalazłam zajęcie. Ach, jaka ona sympatyczna ta Ramszycowa, co za energia i siła! Nie będę próżnowała! Jakie szczęście! Od jedenastej do trzeciej co dzień będziemy pracowały!

— Cóż, Radlicza nie spotkałaś na spacerze?

— Nie. On ani myślał o tym!

— No, no! Ostrożnie!

— Z czym? — zaśmiała się.

— Znadto się zaczynasz podobać!

— Ja? Mnie nikt! — odparła, ruszając ramionami. — Oprócz ojca, naturalnie — dodała, pokazując ząbki w uśmiechu. — O! Ojca to muszę zbałamucić koniecznie!

Spojrzała nań serdecznie i nagle twarz jej jakby zastygła, promień w oczach zgasł, cofnęła się, rzuciła wzrokiem na stół i pociśnęła elektryczny dzwonek.

— Józefie, obiad! — rozkazała służącemu.

Andrzej wszedł do pokoju.

\*

Co dzień rano, gdy dom jeszcze spał, Kazia chodziła na mszę do Świętego Krzyża i co dzień spotykała na schodach barczystego, szpakowatego mężczyznę, który jej się grzecznie z drogi usuwał, schodził za nią aż do bramy, tam wsiadał w pierwszą lepszą dorożkę i ginął jej z oczu. Tak regularnie co dzień były te spotkania, że go znała doskonale i wreszcie raz przy śniadaniu spytała teścia:

— Kto to jest ten gruby pan, co go widuję co dzień rano na schodach? Mieszka nad nami.

— Taki z brodą — to doktor Downar zapewne.

— Ten sławny?

— A ten.

— Tak niepocześnie<sup>226</sup> wygląda.

— Rano się od żony wynosi — ozwał się Andrzej, nie podnosząc od gazety oczu.

— A to się dobrali! — uśmiechnął się prezes.

— Po co się żenił, osio! — mruknął Andrzej.

— Ma złą żonę? — spytała Kazia teścia, jakby nie słyszała uwagi męża.

— Jędza baba, skąpa, chciwa; cierpieć jej nie mogę. Downar sam to zacności człowiek, no i powaga naukowa, genialny chirurg i diagnostyk. Zresztą jeden z tych rzadkich,

<sup>226</sup> *niepocześnie* (daw.) — niepozornie, nieokazale. [przypis edytorski]

którzy nie dla chleba i kariery, ale z powołania i zamiłowania leczą. Gdyby nie żona, byłby w nędzy, ale szczęśliwy, że ją ma, więc są bogaci; ale on osiwał, choć ma ledwie lat czterdzieści. Trzeba, żebyście do nich poszli z wizytą, jak się raz na to zbierzecie.

— Nic pilnego — mruknął Andrzej, wstając, i wyszedł.

— Ten się z dniem każdym robi nieznośniejszy — wybuchnął stary Sanicki. — Będę musiał się z nim na serio rozmówić.

— Tatku, nie gniewać się! — skoczyła do niego i objęła pieszczotliwie za głowę. — Trzeba mu wybaczyć, nie wymagać nic, nie uważać na humory. Z czasem się uspokoi, musi mieć jakieś zmartwienie, a tatko wie, że mu w domu niemiło! Niechże ma spokój chociażby.

— Ależ on co słowo tobie ubliża! Ja tego nie ścierpię!

— Ale ja ścierpię. Uczciwie mnie uprzedził, co mnie czeka w pożyciu; jeśli pomimo to wyszła za niego, moja rzecz jest przystosować się<sup>227</sup> do warunków. Doprawdy, tatku, mnie to nie boli już nawet. Byle był inny, gdy nas kiedy ojciec mój odwiedzi, to żadnego żalu mieć nie będę. Niech się tatko tym nie irytuje. Są gorsze położenia i domowe stosunki; ja sama cięższe przesłam. Nigdy, nigdy narzekać nie będę. Mam pracę teraz i tatko mnie kocha, prawda? No, to i dobrze!

Ucałowała go w czoło, a stary rozczulony patrzył na nią serdecznie i już się uśmiechał.

— Osioł jest, głupiec, ślepiec! Mieć takie śliczne stworzenie swoje i latać za starą awanturnicą — mruczał. — Bóg mu za karę rozum odebrał! Moje śliczne dziecko, có-ruchno kochana, może byś chciała gdzie pojechać, zabawić się, rozerwać? A może dziecko chce co kupić, nigdy nie wspomina o groszach. Może ci mało trzysta rubli miesięcznie, powiedz?

— Tatko żartuje, a toć<sup>228</sup> mi na dwa wystarczy, a chyba źle was nie żywię. Nawet pan Andrzej nie zrobił o to sceny.

— Ależ dogadzasz i nawet psujesz. Dawniej uciekałem od obiadów w domu, a teraz nawet na prozzone występy nierad chodzę. A tej służby, która mi truła życie, teraz jakby nie było; ani ich słycać. W innych rodzinnych domach panie wiecznie narzekają na kucharki i lokajów, panowie na szalone wydatki, a u nas o tym nigdy mowy nie ma. Ty mi dom rajem zrobiłaś, ty jesteś czarodziejką.

— A bo ja, tatku, stanęłam tu do moich obowiązków przygotowana. Wiem, co do mnie należy, byłam u ojca w dobrej szkole. Tutaj to żadna robota w porównaniu z tą u nas, na wsi! Przez myśl by mi nie przeszło zajmować was, mężczyzn pracujących i myślących na szerszym polu, drobiazgami domowego gospodarstwa. Dom musi dla was być odpoczynkiem w spokoju, jeśli nie może być szczęściem i weselem. A żeście mi powierzyli zarząd tego domu, więc przez samą ambicję muszę zarządzać tak, aby nic nie zgrzytało w tej maszynierii. Umarłabym ze wstydu, gdybym sobie rady sama nie umiała dać i chodziła do was z narzekaniami lub prośbą o pomoc. Nie, to się po mnie nie pokaże!

— Zuch dziecko! Że też masz czas na wszystko!

— A cóż tu tak bardzo jest do roboty? Trzy konie na stajni: kucharka, lokaj, młod-sza<sup>229</sup>, pralnia, targ, siedem pokojów do utrzymania w porządku, rachunek i dyspozycja<sup>230</sup> wieczorem. To żarty taka robota, byle rano wstać i mieć pamięć w porządku.

— Spytaj inne panie, co o tym mówią. Nigdy na nic nie mają czasu.

— Bo się tak urządzają. Tunia wstaje o dziesiątej, ubiera się półtorej godziny, ciągle ktoś do niej wpada, gadają sobie nowinki. Potem biega z wizytami, potem niby coś kupuje i ogląda sklepy. Naturalnie, że nie ma na dom czasu.

— No, a ty, co robisz, jak się nas pozbędziesz?

— Idę do kuchni, potem do stajni, potem jadę konno ze Staśkiem aż za rogatki, potem wracam, zaglądam znowu do kuchni i lecę do Ramszycowej. Tam bawię do piątej, wracam, kupuję po drodze, co mi potrzeba, i szykuję dom i obiad na wasze przybycie; jeśli mam chwilę czasu, szyję trochę. Po obiedzie czytam, piszę listy, robię dzienne rachunki, sprawdzam kasę i kładę się spać. Nigdy nawet nie bywam zmęczona.

<sup>227</sup>moja rzecz jest przystosować się — dziś: moją rzeczą jest przystosować się. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>młodsza — tu: służąca. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>dyspozycja — tu: rozkład, plan. [przypis edytorski]

— Dziś ci gawędą popsułem konny spacer. Czemu mnie nie wypędzisz? Już bym wcale z domu od ciebie nie wylaził.

— Nie miałam jechać, bo Stasiak chory, a Walenty przekuwa<sup>231</sup> klacze. Zresztą dla tatka nawet bym Ramszycową opuściła.

— To dosyć powiedzieć! — zaśmiał się. — No, już idę! Zbałamuciłaś mnie, starego, kompletnie.

Ucałował ją i wyszedł. Przeprowadziła go do przedpokoj, dopilnowała, czy miał ze sobą cygara, zapalki, klucz od zatrasku<sup>232</sup> i pożegnała serdecznie.

Po chwili i ona zeszła na podwórze, niosąc koszyk z łakociami dla chorego Staśka.

Stajnia była w rogu podwórza i tam też obok koni Stasiak miał posłanie.

Chłopak już od pewnego czasu był niewesoły, blady, milczący. Zamiast gwizdać, śpiewać, droczyć się z dziećmi i kobietami na podwórku, siadywał godzinami na progu stajni, patrząc bezmyślnie przed siebie; potem kucharka doniosła, że jeść nie chce, a wreszcie pewnego dnia z posłania swego nie wstał i oto już tydzień leżał. Kazia sprowadziła lekarza, ale ten, obejrzawszy chłopca, zdecydował, że ma trochę febry, zresztą nic groźnego. Brał Stasiak lekarstwa, ale nie wstawał. Dziś uderzył Kazię jego wygląd mizerny; w oczach niknął i sechł. Zaniepokoili się na serio.

— Jakże ci, Staszku, nie lepiej? Nie chcesz czego? — spytała troskliwie.

— Dziękuję, jasnie pani, nic mi się nie chce. A boleć, to wszystko boli. Chyba, że już umrę — odparł apatycznie. — Nijak mi się żyć nie chce.

— Nie wstyd ci tak gadać? Taki zuch byłeś.

— Pewnie, że mi wstyd i to mnie najmocniej gryzie.

Wtulił głowę w posłanie i począł szlochać.

Stała nad nim bezradna, gdy wtem przed drzwiami stajni przeszedł rządcą domu i doktor Downar. Tedy bez namysłu wyskoczyła na podwórze i dogoniła doktora na progu suterenu.

— Przepraszam pana profesora, że go zatrzymuję. Ale mam tu o krok chorego. Proszę mu poświęcić chwilę czasu.

Downar natychmiast się zwrócił, rządcą jej się głęboko uklonił, podała mu rękę.

— Proszę pana profesora! Pacjent jest w stajni — uśmiechnęła się, idąc naprzód.

— To nasza młoda pani — szepnęła rządcą.

— Wiem — odparł krótko Downar.

Wszedł do stajni, obejrzał Staszka, który przerażony wejściem obcych panów przestał płakać i tylko nosem pociągał.

— Czegóż ty płaczesz, chłopcze?

— Albo ja wiem. Tak mię coś piecze na wnątrzu<sup>233</sup>, a jasnie pani mnie pożałowała, tom się nie mógł strzymać.

— Ty tutejszy?

— Gdzie zaś, ja ze wsi od jasnie pani, z kuńmy<sup>234</sup> przyjechałem.

— No, dźwignij się, niech cię osłucham!

Kazia z rządcą odstąpili za drzwi. Dobre pięć minut trwała konsultacja, nareszcie Downar zbliżył się do nich.

— Cóż mu jest, panie profesorze?

— Nic. Nostalgia. Człowiek kultury to by przebył lekko jak katar, człowiek natury może to życiem zapłacić. Dla niego lekarstwo: bilet na kolej do domu, a za tydzień tam będzie zdrow jak ryba.

Patrzała nań uważnie i on z niej oczu nie spuszczał, oczu poważnych badacza i mędrca, i dodał z lekkim smutnym uśmiechem:

— I pani na to cierpi.

Poczerwieniła i uśmiechnęła się z przymusu.

Tęsknota

<sup>231</sup>przekuwać (konja) — podkuwać na nowo, zmieniać podkowy. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>zatrask — zamek sprężynowy, którego zapadka zaskakuje automatycznie, bez użycia klucza. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>na wnątrzu (gw.) — w środku, w brzuchu. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>z kuńmy (gw.) — z końmi. [przypis edytorski]

— Profesor gorszy niż spowiednik, bo odgaduje cierpienia. Dziękuję bardzo za radę i natychmiast chłopaka odsyłam po zdrowie. Przepraszam za taką napaść na podwórzu. Jestem Sanicka. Znamy się ze schodów bardzo dobrze.

Podawała mu rękę, którą nieśmiało wziął w swą olbrzymią łapę i delikatnie uściskał.

Potem szli razem ku bramie, on milczący, bo bardzo był towarzysko nieokrzesany, ona pociągnięta doń wielką sympatią, jakby go znała lata. Mówiła mu o Staszku, potem o tym mnóstwie nędzy i biedy miejskiej, którą poznała za pośrednictwem Ramszycowej.

— To panie razem pracują — rzekł. — To dobrze. Pani Ramszycowa prawdziwy porządny człowiek. Zeszłego roku pracowaliśmy razem; teraz tam jest kolega Rajewski. Dobrze paniom pomaga?

— O, bardzo staranny — odparła krótko.

Tu Downar coś sobie przypomniał i stanął.

— Ale, a toż ja miałem iść do jakiejś szewcowej. Moje uszanowanie pani.

— A ja muszę choremu oznajmić radosną wieść — przypomniawszy ona także i rozeszli się.

Staszek przyjął ją niespokojnym spojrzeniem.

— Proszę jaśnie pani, pewnie ten nowy doktor kazał mnie do szpitala odwiedzić.

— Wcale nie, kazał cię do domu odesłać, bo ci tutejsze powietrze nie służy. Cóż, rad z tego jesteś?

Chłopak usiadł na posłaniu; oczy mu pojaśniały.

— Do domu! — powtórzył. — Olaboga, dziwo, że rad bym, ale się wstydam<sup>235</sup> i boję. Ośmieją mnie ludzie, a ekonom<sup>236</sup> spierze, a panu dziedzicowi jako oczy pokażę? Takem się rwał, upierał jechać, a ot, i kwartału nie wysłużyłem.

— Ale masz ochotę wracać?

— Jakże nie? Od tego smrodu i ciasnoty, i terkotu do naszych pól! Niech się jaśniepani spyta ot, tej kasztanki. Ino jej spytam: Łośka, chciałabyś do domu? — to głowę odwróci i rzy, i targa uzdźwienie! Kto by nie chciał! Teraz u nas już pożęli i zwieźli, pachnie rola pod oziminy<sup>237</sup>, okrutnie głos po łanie idzie. Ino w konie i śpiewaj! O Jezu!

Podrywało go z posłania, policzki nabiegły krwią.

— Wrócisz, Staszku, wrócisz! Czemuś mi pierwej<sup>238</sup> nie powiedział, że ci tu źle? Dawno bym cię odesłała.

— Wstyd mi było przed ludźmi i przed jasną panią. Mocowałem się, myślę, jaśnie pani jednakże się nudzi i cnie, a przecie nie wraca.

Uśmiechnęła się, a on ośmielony mówił dalej:

— Jak tu ludzie żyć mogą, to ja wcale nie rozumiem. Toć tu zaduch, chleb i woda śmierdzi, w głowie się przewraca od hałasu, toć tu trawa rosnać nie chce, drzewina schnie, pies nawet nie szczeka, a koń jak parskanie, to ino ze wstrętu od tego kurzu i dymu. Kamieni nakładli, nastawiali, jakby kryminał!

Ludziska też blade, brudne, niewesołe. Jak sobie nawet podpije, to ino klnie. Juści prawda, co mi nieboszczka matka mówiła, że Pan Jezus zrobił wieś i dwór, a czarny<sup>239</sup> kamieni nazwłoczył i pobudował miasto, i w nim mieszka. Dlatego ino kamieniom tu swojsko, a wszystko, co Boże, to tu w niewoli ino siedzi. Bo i prawda: ptaszek w klatce, pies w kagańcu, koń w uprzęży, drzewo za kratką, woda w rurze, zboże w worku, kwiatek w garnuszku, wół w rzeźni — po woli<sup>240</sup> nic tu nie jest.

Poszedłem do kościoła, pacierz mówię, a tu mi ktoś dwa złote z kieszeni ściągnął, tak ci się modlą, psiawiary! Zaprowadził mnie Walenty w niedzielę do bawarii, to mnie sprali jakieś pijaki za to, że im fundować nie chciałem, i przekpiwali sobie, że chłop głupi! A oni same podłe narody, co nawet Bożego pola na oczy nie widzieli i ze zdroju wody się nigdy nie napiją!

Rozsierzdził się okrutnie, aż się sam opamiętał i pocałował jej rękę.

— Niech mi jaśnie pani wybaczy!

<sup>235</sup>wstydać się (daw., gw.) — wstydzić się. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>ekonom — nadzorca prac rolnych w dawnym majątku ziemskim. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>ozimina — zboże siane na jesieni. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>pierwej (daw.) — najpierw, na początku; wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>czarny — tu: diabeł. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>po woli (daw.) — zgodnie ze swą wolą. [przypis edytorski]

— Mów śmiało, chłopcze. Żal mi cię będzie, ale się cieszę, że wrócisz, pozdrowiesz. Dam ci do pana dziedzica list, żeby cię dobrze przyjęli. Tylko się teraz staraj prędko moc odzyskać, bo cię chorego nie wyprawię!

Skinęła mu głową dobrotliwie i poszła.

To wszystko, co on czuł, i ona czuła, i idąc zamyślona przez podwórze, rozważała, czy też oswoi się kiedy, nawyknie, przestanie tęsknić za łanem i borem, ciszą pól, zapachem łąk i gajów, za pracą i wczasem<sup>241</sup> wsi ukochanej.

Rozstroiła ją rozmowa, żal jej było chłopaka, który był jej wspomnieniem straconego życia i czynu, zazdrościła mu, że może wrócić. Potrzebowała wysiłku woli, by nie marzyć bezczynnie.

Zmusiła siebie i myśl i wzięła się do zwykłych zajęć. O dwunastej, jak zwykle, poszła do Ramszycowej. Zastała ją już ubraną do wyjścia, wyprawiającą do Ogrodu Botanicznego Angielkę z małą. Wolant stał przed pałacykiem.

Wsiadły, Ramszycowa dała jej spis nędzarzy i wzięła lejce do rąk.

Mówiły zwykle po francusku, bo Ramszycowa źle władała polskim.

— Mostowa siedemnaście, Mariensztat trzy, Solec piętnaście — recytowała Kazia.

— Dziś i połowy nie załatwimy, bo mamy sesję ubogich matek i wizytę biskupa w ochronie<sup>242</sup>. Wyklóciłam się dzisiaj okropnie z Ramszycem. Wyobraź sobie, śmiał mi zabraniać roboty; powiada, że podobno na Powiślu jest cholera. Może i w Samarkandzie<sup>243</sup>, powiadam, zresztą myję się co dzień, surowych ogórków wodą nie pijam, a roboty nie porzucę, nawet żeby była dzuma! Żeby milczał, nic bym nie dodała, ale że mi powiedział, że mam obowiązek się oszczędzać, więc wpadłam w ferwor<sup>244</sup>. Przypuśćmy, powiadam, że umrę na cholere, dziury w niebie nie będzie, a ty weźmiesz drugą, która ci lepiej będzie dogadzała. Zajmie się strojami, plotkami i reprezentacją godną twoich milionów. Mnie już nie przerobisz.

— Po co mu było robić przykrość? — upomniała Kazia. — On jest taki dobry i kochający.

— Żeby był zły i nie kochał, dawno bym go rzuciła! — zaśmiała się Ramszycowa. — Ale mu przecie nie mogę pozwolić gadać sobie obelg. Mam przez tchórzostwo i egoizm roboty zaprzestać! On tego zrozumieć nie może, że nagromadzenie milionów w jednych rękach jest grzechem i żebym przez sekundę opuściła swe zadanie i zapomniała o nędzy, toby nas dotknęła klątwa Boża! *Tiens, c'est votre mari!*<sup>245</sup> To on tutaj ma biuro!

Wstrzymała trochę konie, ażeby nie wyprzedzać powozu, w którym siedział Andrzej i pani Celina. Wracali widocznie ze spaceru w Łazienkach.

Cień przeszedł po twarzy Kazi, a wtem Andrzej się obejrzał i skrzyżowały się ich spojrzenia. Odwrócił głowę i coś powiedział do stangreta.

Powóz ruszył szybko i skręcił na Wilczą.

— To jest już nawet więcej niż dobrze wychowany człowiek. *C'est canaille!*<sup>246</sup> To także grzech, z którego świat się tolerująco uśmiecha, ale za który trzeba będzie odpokutować.

— Nie prorokujże strasznych rzeczy! — uśmiechnęła się Kazia. — Doprawdy, dla mnie to obojętne! Niech się kochają i afiszują — okrywa to mnie śmiesznością, ale i to mi jest obojętne. Zresztą on mnie nie oszukiwał, wiedziałam, jak jest, więc *il est correct.*<sup>247</sup>

— To jest grzech dla was obojga. Nie robi się drwin z religii i nie krzywoprzysięga się ot tak, od śliny! Okaże się z czasem, kto był winniejszy.

— A to w jaki sposób?

— Przysięgaliście sobie fałszywie miłość. Za to albo ty w nim, albo on w tobie rozkocha się bez wzajemności! To będzie pokuta! A kto winniejszy, ten ją odcierpi.

— Nie ja! — odparła Kazia.

<sup>241</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>ochrona a. ochronka (daw.) — sierociniec bądź instytucja opiekująca się ubogimi dziećmi. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>Samarkanda — miasto w Uzbekistanie, w Azji Środkowej; zał. w VI w. p.n.e.; w 1868 zdobyte przez wojska ros. i przyłączone do Rosji, w XIX w. jedno z miejsc zesłań Polaków po powstaniach narodowych. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>ferwor — zapal. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>Tiens, c'est votre mari (fr.) — spójrz, to twój mąż. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>C'est canaille (fr.) — to kanalia. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>il est correct (fr.) — on jest w porządku. [przypis edytorski]

— Zobaczmy! — zakończyła Ramszycowa, zatrzymując konie przed starą, odrapaną kamienicą na Solcu, i zajęła się swoją „robotą”.

Kilka godzin zeszło w gorączkowym zajęciu, dopiero gdy wysiadły na chwilę w lecznicy, przypomniała sobie Kazia Downara i załatwiwszy zwykłą czynność, spytała o niego Ramszycową.

— Ano, musieliśmy się rozstać. Ja mu chciałam płacić, a on się uparł, że tylko darmo może leczyć biedaków. Oboje mieliśmy rację, ale ja nie chciałam ustąpić, więc on mi zarekomendował Rajewskiego. Z tym o płacenie nie ma kwestii, przeciwnie, lecz tak, jakby robił to z łaski! O! Downar to śliczna dusza. Bywa czasami u mnie i lubię te wieczory. Ja mu gram Szopena, on słucha i milczy, bawimy się bajecznie.

— *Ich sei, gewährt mir die Bitte, In eurem Bunde die dritte*<sup>248</sup> — rzekła Kazia. — Muzyka w skupieniu po pracy, wieczorem, co za wypoczynek i zdrowie!

— Pierwszy raz jak się zjawi, zawiadomię cię. Czy już wracasz do domu? Wstąp do mnie.

— Nie mogę. Piąta dochodzi

Uścisnęły sobie dłonie i Kazia ruszyła pieszo Marszałkowską, wybierając prawą stronę, gdzie mniejszy był tłok, nie patrząc ni w prawo, ni w lewo, nie zatrzymując się przy wystawach, biegnąc prawie, tak jej zawsze było przykre wędrowanie w masie próżniaczej ludzkości, tak ją drażniły ciekawe spojrzenia mężczyzn, potrącanie wystrojonych dam.

Przechodząc koło sklepu ogrodniczego, wstąpiła po kwiaty do ubrania stołu; ledwie otworzyła drzwi, chciała się cofnąć, ujrawszy Andrzeja, ale po sekundzie wahania podeszła do sprzedającej panny, która zdawała resztę, i rzekła:

— Proszę o kilka róż i paproci.

Andrzej drgnął, obejrzał się.

— *Vous rentrez déjà?*<sup>249</sup> — spytał.

— Wielki czas, jeśli pan też wraca na obiad! — odpowiedziała też po francusku, wybierając kwiaty.

— Mam jeszcze wstąpić za interesem, ale szedłem do domu, żeby panią spytać, czy nie poszlibyśmy dziś do teatru.

— Razem? — poruszyła brwiami, wzięła kwiaty, zapłaciła i wyszli razem. Na ulicy dokończyła spokojnie: — Dla pana byłby to przymus, a dla mnie przykrość, a ponieważ ludzie chodzą do teatru, żeby się bawić, nie będę panu rozrywki swą osobą psuła.

— No, i sobie pani w ten sposób przykrości oszczędzi — rzekł urażonym tonem.

— Zapewne, bo nie znoszę tego, by komuś zawadzać swą osobą i krępować swobodę.

— Bardzo jestem pani wdzięczny.

Ale był zły, nie wdzięczny. Skinął na dorożkę, siadł i pojechał. Ona też zasępiła się dotknięta, bo nie czuła się winna.

„Jeśli tak dalej pójdzie, dojdziemy do nienawiści. I dlaczego, za co? Jak mam postępować wreszcie?” — pomyślała z goryczą i zniechęceniem.

Dom był pusty. Zaczęła w nim gospodarzyć bez zwykłej ochoty, z tym przeświadczeniem, że co by kolwiek<sup>250</sup> zrobiła, zawsze źle będzie i bezużytecznie.

„Trzeba szukać zdroju, by się zahartować — pomyślała wreszcie, opierając się całą siłą woli tej niezdrowej fali myśli. — Doli nie zmienię, a jak się zacznę buntować, to jakbym stryczek sobie zaciągała. Nie, nie można! Życie nie składa się ze szczęścia, a raczej szczęście powinno być spokojem sumienia. Podjęłam się takiej doli — basta, nie wolno się z losem certować<sup>251</sup>. Nie zawiniłam mu nic, nie mam o nim co myśleć ani rządzić się, jak on, złymi humorami.”

Andrzej był wściekły i podniecał się jeszcze w myśli:

„Taka gęś wiejska, grająca bohaterkę. Łaskę mi zaczyna świadczyć, pozwala mi się bawić, jakbym jej o pozwolenie prosił. Raczy mi oszczędzać przymusu. Stawia się w roli niewinnej ofiary, mało co brakło, powiedziałyby mi, żebym z Celiną jechał do teatru, ona

<sup>248</sup>*Ich sei, gewährt mir die Bitte, In eurem Bunde die dritte* (niem.) — niech wejdę, spełnijcie mą prośbę, do waszego związku na trzecią; cytat z ballady Fryderyka Schillera *Poręka* (*Die Bürgschaft*), ze zmienionym rodzajem gram. zaimka na żeński. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*Vous rentrez déjà?* (fr.) — czy pani już wraca? [przypis edytorski]

<sup>250</sup>*co by kolwiek* — cokolwiek by. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>*certować się* — obchodzić się z przesadną delikatnością. [przypis edytorski]

łaskawie pozwala. Tamta mi sceny zazdrości urzęda, a ta mnie traktuje jak swoją własność, którą raczy innej wypożyczać. Jak mi te baby czasem obrzydną, to pojęcie przechodzi, ale chyba wolę sceny zazdrości, jak cnotę tej westalki<sup>252</sup>! A to mnie ojciec urządził! Wścieć się można!”

— Gdzie jaśnie pan każe jechać? — spytał go dorożkarz na końcu Marszałkowskiej. Opamiętał się. Przypomniawszy sobie interes w biurze technicznym i kazał się tam wieść. W biurze spotkał Dąbskiego, zaczęli gawędzić i wyszli razem.

— Idziesz do domu na obiad?

— Tak — mruknął niechętnie.

— Przypominam ci nasze wtorki. Ludzie się śmieją, że jeszcze nie oddaliście wizyt. Długi miodowy miesiąc.

— Czy jeszcze się nami zajmują? Myślałem, że już raczyli zapomnieć.

— Ano, jak zaczniecie bywać, staniecie się powszedni. Teraz jeszcze wszyscy ciekawi twojej żony.

Andrzej ramionami ruszył i rozstali się.

Gdy otwierał zatrask, słyszał w mieszkaniu muzykę; tak go to zdziwiło, że zatrzymał się chwilę w przedpokoju, potem zajął do salonu. Na szelest klamki Kazia zerwała się od fortepianu, zamknęła go i zadzwoniła na lokaja.

— Pan wrócił! Światło do pokoju! — rozkazała, wychodząc do jadalni.

Andrzej cofnął się do swego pokoju, przebrał się i usiadł przed biurkiem. Znużony się czuł i znużony, nierad z siebie i z ludzi. Dziś rano zastał u pani Celiny Maksa Unfrieda. Wprawdzie przekonał się, że wstąpił na chwilę tylko, zdając sprawę jakiegoś polecenia co do brązowych świeczników, które pani Celina chciała kupić, a bała się, czy nie są podrobione, ale już go „ten drugi” zirytował i gdy wyszedł, zrobił dość ostrą uwagę. Pani Celina na to dobiegła mu żoną — i po gorącej dyspacie rozstali się w gniewie. Wprawdzie po południu pani Celina przyjechała do biura sama, wyciągnęła go na spacer, pogodzili się i spędzili rozkosznie parę godzin w pustych Łazienkach, ale on nie mógł odzyskać dobrego humoru i z niesmakiem wspominał dzień ten cały. Na dobitkę z racji spaceru nie wykończył roboty pewnej w biurze, szef mu zrobił uwagę, to go do reszty zbuntowało na losy i teraz niecierpliwie wyglądał ojca, żeby z nim o interesach pomówić.

Gdy usłyszał otwieranie drzwi wchodowych, wyszedł na spotkanie ojca, ale już go Kazia uprzedziła i witała wesoło, a stary z nią gawędził.

— Spóźniłem się, spotkałem tego sowizdrzała<sup>253</sup> Kołockiego i tak mi czas zmitrężył. Teraz, córuś, dawaj prędko obiad, bo cię zabieram do cyrku. Dobrze?

— Jeśli ojciec chce, to gotowam<sup>254</sup>. Tylko może mam się przebrać?

Spojrzał po niej krytycznie.

— Możesz iść, jak jesteś ubrana. Zawsze gawiedź będzie lornetowała<sup>255</sup> starego, który tobie taką ładną kobietkę dostał! A, jesteś! — zwrócił się do syna. — Co mi dziś gadał radca Jasiński, że podobno z młodym Markhamem zakładacie jakąś fabrykę?

— Stary i wiadomy ojcu projekt. Co prawda, mam dosyć biurowej pańszczyzny i za starym<sup>256</sup> na musztrowanie Lorisa!

— Spotkałem i jego. Słyszę, zrobiłeś mu awanturę. Wojowniczo jesteś tymi czasami nastrojony.

Usiedli do obiadu. Kazia czuła, że zbiera się na burzę, ale jej zapobiec, a nawet wnieść się do rozmowy, nie mogła. Zrozumiała teraz rozdrażnienie Andrzeja. Musiał mieć ze zwierchnikiem gwałtowne przejście.

Prezes przy lokaju nic więcej mówić nie chciał, bo gdy syn zachnął się i chciał protestować — rzekł:

— Będzie czas. Teraz głodny jestem i śpieszę<sup>257</sup>!

<sup>252</sup>westalka — w starożytnym Rzymie kapłanka bogini Westy, zobowiązana do zachowania dziewictwa w czasie pełnienia tej funkcji. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>sowizdrzał — człowiek niepoważny. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>gotowam — skrócone od: gotowa jestem. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>lornetować kogoś (daw.) — przyglądać się komuś przez lornetkę. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>za starym — tu: skrócenie od: za starym jestem. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>śpieszę — dziś: spieszę się; mam mało czasu. [przypis edytorski]



Obiad tedy minął spokojnie, ale gdy przeszli na kawę do gabinetu, Andrzej wybuchnął.

— Loris mnie sobie za niewolnika nie kupił. Może wyzyskiwać innych, ale nie mnie. Te jego sto rubli miesięcznie tyle mi znaczą, co nic.

— Widocznie, kiedy na nie wcale pracować nie chcesz i do biura ledwie raczysz zajrzeć, czy jest na miejscu. Musiał polecić innemu twoje zajęcie, bo ciebie nigdy nie ma w fabryce.

Kazia nalala kawę, podała teściowi cygara i zemknęła<sup>258</sup> z pokoju. Słyszała jeszcze głos Andrzeja:

— To fałsz i przesada. Nigdy godzin zajęcia<sup>259</sup> nie opuszczam; dziś wyjątkowo nie byłem, alebym robotę techniczną wieczorem odrobił, gdyby nie scena, którą Loris urządził. Od jutra nie idę do fabryki.

— Jak chcesz. Jesteś pełnoletni — mruknął prezes.

Zadzwoił na lokaja, kazał konie zaprzęgać.

— Zostaniesz w domu? — spytał syna.

— Nie, idę do teatru. Wracając do naszej wspólki<sup>260</sup> z Markhamem, chcemy odkupić interes jego brata, olejarnię<sup>261</sup>. Ustępuje ją nam na bardzo dogodnych warunkach, potrzebujemy na razie sto tysięcy rubli. Czy mi ojciec może tymi czasy oddać tę sumę matki? Warunek spełniłem.

— Tak, ożeniłeś się — suma twoja. Możesz ją mieć w każdej chwili.

— Więc mogę już stanowczo mówić z Markhamem. Za dni parę przedstawię ojcowi cały interes.

— Dobrze. Ja się ze swej strony dowiem, co o tym mówią. Owszem, może zdrowiej będzie dla ciebie większy i własny interes. Będziesz miał mniej czasu na głupstwa. Markham porządny chłopak. No, zatem masz moją sankcję<sup>262</sup>, ale za to musisz i ty mi ustąpić i posłuchać.

— Co ojciec każe? — spytał Andrzej już dobrym tonem.

— Trzeba, żebyście oddali ludziom wizyty, zaczęli bywać i przyjmować. Ani tobie, ani mnie nie jest przyjemnie, żeby komentowano i krytykowano nasze domowe stosunki. Jak jest, to jest, ale dla towarzystwa trzeba formy zachować. Sam to przyznasz, gdy spokojnie rozważysz. Nie robię ci żadnych uwag ani daję nauk, ale proszę, zrób to dla mnie.

— Dobrze. Jutro spisujemy, u kogo być mamy, i odbędę tę pańszczyznę.

— Dziękuję ci. Z początku będzie trochę rwetesu, ale potem sama Kazia będzie rada jak najmniej bywać, więc będziesz swobodny. W wielu razach ja cię wyręcę. Nie pojechałbyś z nami do cyrku?

— Nie. Muszę być w teatrze.

— Nam czas ruszać.

Wstał i zawołał synową.

Wysła do przedpokoju już w kapeluszu.

— Bodaj to wieśniaczka! — zaśmiał się prezes. — Nie każe na siebie czekać. A zadysonowałaś co na kolację, bo wrócimy o północy?

— Będzie wszystko gotowe.

— Proszę wziąć zakiet — odezwał się Andrzej. — Będzie upał nieznośny w cyrku, a w nocy chłodno.

Sięgnęła po zakiet i wzięła go na rękę.

Wyszli wszyscy troje i wsiadając do powozu, rzekł prezes:

— Siadaj i ty, wyrzucimy cię przy teatrze.

„Pewnie — pomyślała Kazia. — Jakby ojciec nie wiedział, że jego teatr na Erywańskiej.”

Tymczasem Andrzej usłuchał. Usiadł na przedniej ławeczce i łaskawie raczył do niej przemówić:

— Pojutrze zaczniemy już składać wizyty. Zapewne pierwsza będzie u Dąbskich.

— Jeśli nie macie krewnych — starszych ciotek i wujaszków!

<sup>258</sup>zemknąć — umknąć, uciec. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>godziny zajęcia — tu: godziny pracy. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>współka (daw.) — dziś: spółka. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>olejarnia — zakład, w którym z nasion roślin oleistych wytłacza się olej. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>sankcja — tu: akceptacja, zatwierdzenie. [przypis edytorski]

— Naturalnie, zacząć musisz od Wolskich i Dąbrowskich! — potwierdził prezes. — A nie straszno ci tej wędrówki po obcych?

— Boję się tylko, by nie popełnić jakiej niestosowności dla was kompromitującej.

— Opowiem po drodze, do kogo jedziemy — rzekł Andrzej. — A ma pani wizytowe bilety z obecnym nazwiskiem?

— Nie mam, nie pomyślałam o tym. Jutro rano wstąpię do litografii<sup>263</sup>. Czy dużo złożymy wizyt?

— Co najmniej dwadzieścia.

— O Boże! — westchnęła tak szczerze, że aż się prezes roześmiał.

— A co? Już duch się tłucze! Nie bój się, za jaki rok będziesz w tym pływała jak ryba w wodzie! No, otóż i teatr. Wsiadasz, Andrzej?

Powóz stanął. Po chwili jechali tylko we dwoje i stary rzekł:

— Za rok, mam nadzieję, że to ja sam zostanę, a on z tobą pojedzie — i westchnął.

— A to ci galant<sup>264</sup> z ojca! — uśmiechnęła się. — Mnie bardzo dobrze tak, jak jest dzisiaj.

— Niech się pies udławi takim dobrem. Jeśli ci to dogadza, trzeba było mnie polubić.

— Dlaczego ojciec się nie oświadczył? — żartowała dalej.

— Żartujesz, a to mnie najgorzej boli, ta twoja swoboda i obojętność. To dowodzi, że on ci niczym nie jest, niczym!

— Dzięki Bogu, tak. Gdyby inaczej było, w tych warunkach ładne piekło mielibyśmy wszyscy troje. Brrr! — wzdrygnęła się.

— To się zmieni, to musi się zmienić! Gdyby tak zostało, jak jest, nigdy bym sobie nie darował, że to ja urządziłem!

Milczała, nie chcąc mu prawdy powiedzieć.

Powóz stanął, znaleźli się w ciżbie<sup>265</sup> i zaczęli w labiryncie kurytarzy i przejść szukać swego miejsca. Gdy usiedli wreszcie w łoży, spojrzęła ciekawie na arenę, gdy prezes począł rozglądać się po widzach.

Na arenie galopował gruby tarant<sup>266</sup>, a na jego grzbiecie w trykotach i różowych spodniczkach, nie dłuższych jak kreza<sup>267</sup>, hasała woltyżerka. Przeginała się, skakała przez obręcz, zerknęła na galerię, posyłała całusy, a tarant galopował monotonnie jak wahadło, a w środku areny podrygiwał kłown, podciągając białe spodnie, wrzeszcząc, wywijając koziołki, wreszcie siadł na piasku i począł nogą drapać się za uchem, co wzbudziło śmiech homeryczny<sup>268</sup> całej publiki i hałaśliwe oklaski.

Wtedy Kazia spojrzęła po ludziach, zdumiona tą idiotyczną wesołością.

Nie spodziewała się zobaczyć i poznać kogo, ale zwróciło jej uwagę troje ludzi, wychodzących z przeciwległej łoży. Poznała damę: była to pani Celina. Mężczyzny i drugiej damy nie znała.

„Ona tutaj, on w teatrze. Co to znaczy?” — pomyślała i znowu patrzyła na arenę.

Prezes tymczasem skończył przegląd publiczności i rzekł:

— Mało znajomych. Jest Radlicz i radca Zawadzki z żoną. Cóż, bawisz się?

— Bawię się, dziękuję ojcu! — odparła, ale w myśli przypomniała sobie gawędę Staszka Skowronka, że w mieście wszystko, co Boże — w niewoli.

Na arenie były teraz cztery siwe araby wolno puszczone i musztrował je berajter<sup>269</sup> w obcisłych rajtuzach i botfortach<sup>270</sup>, podniecając konie głosem przepitym i klaskaniem długiego bata. Arabi parszając, chrapiąc, biegały w kółko, zawracały, zmieniały chody, przyklękały, podchodziły do niego, stawały dęba, ale oczy miały senne, ruchy drewniane i znać w nich było znikczemnienie niewoli, bierne, sztuczne spełnianie obowiązku.

<sup>263</sup>litografia (z gr. *lithos*: kamień, *graphein*: pisać) — technika graficzna polegająca na odbijaniu kamiennej matrycy z łupku wapiennego, na której słabym kwasem wytrawiono rysunek, uprzednio naniesiony zatuszczającą kredką a. farbą; tu: zakład wykonujący odbitki litograficzne. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>galant (daw.) — mężczyzna odznaczający się wyszukaną uprzejmością. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>ciżba — tłum. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>tarant (daw.) — koń maści białej w plamy. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>kreza a. kryza — kolisty marszczony kołnierz, noszony w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>homeryczny śmiech — niepohamowany, głośny, szczery śmiech, jakim śmieją się bogowie w *Iliadzie* Homera. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>berajter (z niem. *Bereiter*) — ujeżdżacz koni; nauczyciel jazdy konnej. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>botforty — długie buty do jazdy konnej. [przypis edytorski]

— Moje uszanowanie pani! — ozwał się za nią głos Radlicza.

Drgnęła, zwróciła się, podała mu rękę.

— Witam pana!

— Pani tak uważa na przedstawienie jak zapewne nikt drugi<sup>271</sup>. Czy pani lubi cyrk?

— Lubię konie. Zresztą jeśli tu jestem, to po to, żeby się przypatrywać widowisku.

Patrzył na nią po swojemu, badawczo, bystro. Jego zmysł artystyczny lubował się w niej. Miała w sobie doskonałą harmonię smukłych linii, złotaworóżowy kolor twarzy, pogodny wyraz delikatnych rysów i niebywałą jasność, i przejrzystość złoto-brunatnych źrenic.

„Ja się w niej rozkocham jak w zdroju!” — pomyślał z dziwną radością, że może patrzeć i mówić z nią.

— Pani mi pozwoli przypatrywać się także razem?

— Proszę pana! — odparła z prostotą.

— Wolno gawędzić?

— O, i owszem. Nie ma racji milczeć, bo nie ma czego słuchać!

— Siadajże pan — rzekł uprzejmie prezes.

Radlicz usiadł poza Kazią i spytał:

— Pani zaprzestała konnych spacerów?

— Moja eskorta chora, ten chłopak stajenny. Jutro go zupełnie stracę. Tak tęskni po wsi, że go muszę do domu odesłać.

— Tak? Ano, to ci drugiego trzeba dostać! — rzekł prezes. — A to ci osioł dopiero, Warszawa mu się nie podoba! Powiedz mi pan, czy tu zawsze takie pustki?

— Jeszcze się napelni po antrakcie<sup>272</sup>. Przyjdą na Karolę.

— Ach, tę na trapezie, żonglerkę. Podobno bajeczna!

— Phi, modna — ruszył ramionami Radlicz — od czasu, jak ją księżę Kocio uczynił popularną, cała Warszawa lata do cyrku.

— Podobno kupił dla niej pałacyk po Sandersach w Alejach?

— I parę koni ze Styrii<sup>273</sup> za pięć tysięcy rubli, i czek na toalety<sup>274</sup> na piętnaście tysięcy rubli miesięcznie, i już nie pamiętam wszystkiego, co opowiadają.

— Każdy w życiu bywa tym zacnym kłapouchem, i każdy miewa swoją Tytanię<sup>275</sup>.

Kazia uśmiechnęła się, milcząc.

— O, pani drwi ze mnie!

— Bynajmniej... Myślałam tylko, jak różne bywają sny nocy letniej.

— A pani jaki był? — spytał.

Obejrzała się na niego, sekundę zatrzymała wzrok na jego zuchwałych oczach i nic nie rzekłszy, patrzyła znowu na arenę.

Radlicz raz pierwszy w życiu uczuł, jakby dostał policzek.

Szczyściem prezes nic nie zauważył, bo już rozmawiał z radcą Zawadzkiem, wcale się o sztuki na arenie nie troszcząc.

— Pan ma pracownię w tej samej kamienicy, co panna Ocieska? — zagaiła rozmowę Kazia.

— Pani ją zna, bywa tam?

— Poznałam ją u Ramszycowej i byłam w pracowni. Śliczny ma portret na sztalugach — pani Rokickiej.

— Bagatela. Cudna kobieta! Tej nawet Ocieska nie potrafi zbrzydzić. Czy portret obstalował Goldmark?

Kazia zmarszczyła brwi.

— Nie znam pani Rokickiej ani jej stosunków — odparła niechętnie.

<sup>271</sup> *drugi* — dziś raczej: inny. [przypis edytorski]

<sup>272</sup> *antrakt* — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

<sup>273</sup> *Styria* — kraina hist. w środkowej Europie, daw. księstwo, od 1278 razem z Austrią stało się podstawą potęgi Habsburgów; ob. w większości na terenie Austrii, częściowo w płn. Słowenii. [przypis edytorski]

<sup>274</sup> *toaleta* — elegancka suknia na specjalne okazje. [przypis edytorski]

<sup>275</sup> *Tytania, kłapouchy* — w komedii Szekspira *Sen nocy letniej* tkaczowi Denko chochlik Puk zamienił głowę na głowę osła. Denko, oczekując powrotu wystraszonych towarzyszy, zaczął śpiewać, co zbudziło królową elfów Tytanię, która natychmiast się w nim zakochała. [przypis edytorski]

— Ale ją zna cała Warszawa. Rokicki jest szefem biura u Goldmarka. Pyszną ma synekurę<sup>276</sup> dzięki żonie. To dziwne, że portretuje się u takiej pacykarki<sup>277</sup>, jak Ocieska.

— Ciekawam, kto jest kochankiem Ocieskiej. Pan pewnie i to wie?

— Ocieskiej? A jakież by boskie stworzenie mogło pożądać tego koczkodana? Przecież za to nienawidzi mężczyzn, plwa<sup>278</sup> na nich i pogardza, od czci odsądza!

— Za to? — powtórzyła Kazia. — Aha, to i pana zapewne nigdy nie chciała żadna kobieta.

— Mnie? Dlaczego?

— Ano, bo i pan plwa na nie, i od czci odsądza. Bardzo mi pana żal: nic tak nie boli, jak zraniona miłość własna.

Radlicz spojrział na nią i uśmiechnął się.

— O! Pani feministka! — rzekł ironicznie. — Nie do twarzy z tym pani. Proszę to zostawić Ramszycowej i jej klice<sup>279</sup> na pociechę po zawiedzionych nadziejach. Pani za piękna, za urocza, zanadto stworzona do uwielbienia i szczęścia.

Szyderczy uśmiech przemknął po twarzy Kazi, w oczach zapaliły się skry złośliwości.

— To istotnie kuszące i wybór łatwy. Któż by się wahał, czy być koczkodanem, czy być wielbioną przez warszawiaków i zdobywać szczęście z Goldmarkiem! Pan mnie upaja swymi pochwałami! Podobna przyszłość może mi w głowie do cna zawrócić!

— Pani drwi, a jednak ja oto dziś w tej chwili założę się z panią, że do przyszłej wiosny będzie pani kochała i będzie pani kochaną. Proszę się nie srożyć<sup>280</sup>, nie piorunować zuchwalca. To się stać musi, inaczej byłaby pani potworem, kalectwem, istotą bez duszy, bez nerwów, bez myśli, nawet bez poczucia honoru!

— Szczególnie to ostatnie — uśmiechnęła się pogardliwie.

— Szczególnie! Honor nie znosi obrazy i krzywdy. Jakżeż? Trzyma pani zakład?

— Nie, bo nie żartuję z uczuć ani się nimi bawię.

— Nie bawisz się? — to posłyszał i podjął prezes, skończywszy dysputę z radcą.

— Ależ owszem, tatku! Pantomima<sup>281</sup> była śliczna.

— Ano, teraz zobaczymy tę sławną Karolę.

Anrakt się skończył, do jednej z łóż weszło kilku panów, poczęto się im przyglądać jako znanym sportowcom i szykowcom<sup>282</sup>.

— Jest i Kołocki z Kociem! — zauważył prezes, lornetując.

Wśród burzy oklasków wbiegła na arenę żonglerka, cała jak wąż złocisty, w błyszczących trykotach, zamigotały brylanty w uszach i na szyi, sypnęły się na nią kwiaty. Ukłoniła się, obejmując salę zalotnym spojrzeniem, zatrzymała oczy dłużej na łożu paniczów, posłała im od ust całusa i uśmiech, i zwinna, gibka, podskoczyła na środek areny, chwyciła za trapez i jak pająk złocisty po niciach sznurów poczęła się piąć ku górze.

Kazia odwróciła oczy, wstrząsnąwszy się dreszczem zgrozy, publiczność wydawała okrzyki podziwu, akrobatka była niezrównana. Kładła się na sznurach i tańczyła, rzucała się w głąb zawrotną, chwilami wisiała, zda się, w powietrzu. Chwytała i ciskała tysiące i przedmiotów.

Przemógłszy się, Kazia śledziła ją. Wzrok miała bardzo bystry, widziała wyraźnie naprężenie mięśni, falowanie piersi, widziała nawet, że spogląda często na łożę, uśmiechała się, dawała znaki, jakby czekała na coś.

Nagle hrabia Kocio sięgnął do kieszeni, dobył niewielki błyszczący przedmiot i cisnął go w górę. Zamigotał jak gwiazda i stało się coś w błyskawicznej sekundzie. Jak pająk Karola rzuciła się na łup, chwyciła go w powietrzu, wydała okrzyk, zawirowała w próżni i jednocześnie z okropnym krzykiem całej publiczności spadła na piasek areny. W jednej chwili tumult się uczynił, tłum ją otoczył, porwano ją na ręce, uniesiono. Kobiety mdlały i szlochały, mężczyźni wołali: „Czy żyje?”. Popłoch ogarnął cały cyrk, orkiestra umilkła, łoża sportowców była pusta.

<sup>276</sup>synekura (z łac. *sine cura*: bez troski) — intratna posada, źródło dochodu nie wymagające wysiłku. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>pacykarka (pot. pogard.) — kiepska, nieudolna malarka. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>plwać (daw.) — pluć. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>klika — nieformalna grupa osób wspierających się wzajemnie w dążeniu do stanowisk i kariery. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>srożyć (daw.) — złościć się, gniewać. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>pantomima — nieme widowisko sceniczne. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>szykowiec (daw.) — człowiek szykowny, elegant. [przypis edytorski]

Kazia, blada jak płótno, zagryzła wargi, patrzyła machinalnie na arenę, gdzie ciemniała niewielka plama krwi. Większość publiczności, gotowa do wyjścia, czekała tylko grobowej wieści. Radlicz wyszedł.

Wtem orkiestra zaczęła znowu grać, poczęto sykać chwilę, potem się uciszono.

— Chodźmy, tatau — szepnęła Kazia.

Prezes, wzburzony, ledwie ochłonął z wrażenia.

— Jak się to stało, bo nie uważałem? — pytał, torując jej drogę wśród tłoku.

— Bransoletę jej cisnął! Także koncept — ktoś mówił przed nimi. — Powinien sądownie odpowiadać, ale taki panicz się ze wszystkiego wykręci.

— Panicz, gdzie to rzuca pieniądze, a na wpisy to rubla nie da! — ktoś warknął.

— Zabita pewnie. Mój Boże, dla marnej bransolety!

— Głupia, mogła ją dostać u siebie w buduarze.

— Co prawda, za kim to ludzie szaleją. Żadna piękność, tyle że zagraniczna!

— Widzisz, Jasiu, czym się kończą łamane sztuki. A ty wiecznie na głowie chodzisz i na oknie się huśtasz. Widzisz, jak niewiele do nieszczęścia potrzeba.

— Jutro rano w „Kurierze” będzie.

Wśród tysiąca urywanych zdań wydostali się do kontramarkarni<sup>283</sup>. Tu tłum rzędiał, oddychał swobodniej.

— Pójdziemy na kolację do „Europy”.

— Maniu, a gdzie pan Władysław?

— Mój drogi, czy wracamy razem?

— Wstąpię do klubu.

— Wiecie, znajdziemy jeszcze partyjkę u Lisieckich.

— Dlaczego to Malwina zawsze bywa tylko z ciotką?

— Nie wiesz, kto się witał z Morskimi?

— Jazda do Łazienek! Siadajcie, panienki!

Nareszcie wydostali się na ulicę i w tej chwili zjawił się Radlicz.

— Ledwim państwa dogonił!

— No, i cóż? — spytał prezes.

— *Aus!*<sup>284</sup> — rzekł krótko malarz.

— Hrabia może mieć grubą nieprzyjemność.

— Żadnej, już parę razy to było. Wszyscy o tym wiedzieli, ona się w ten sposób nim i sobą popisywała! Nie udało się! Bransoletę chwyciła jednak i tak ścisnęła w rękę, że siłą musiano wydrzeć.

— Kto? — spytała Kazia.

— Jej matka, dziedziczy po niej.

— Cóż hrabia? — rzekł prezes.

— Struty. Klął, obiecał matce wziąć na siebie wszystkie koszta i pojechał z Kołockim.

— Jakkolwiek by to było, rad jestem być w swojej skórze, a nie w jego! — zakończył prezes.

— Żegnam państwa — ukłonił się malarz.

Oni wsiedli do powozu, on poszedł pieszo.

Wcześniej jeszcze było, rozmyślał, co robić z resztą wieczoru. Różne twarze i postacie kobiece majaczyły mu w myśli, nie mógł się na żadną zdecydować. Tak idąc, zamyślony potrafił kogoś; spojrzął, był to Andrzej Sanicki.

— Dokąd?

— Szukałem Markhama, siedzi u Dąbskich. I po co on sobie tę gęś bierze?!

— Ano, ma wenę czy pech — kocha się w pannie z towarzystwa!

— W czym ty widzisz wenę czy pech?

— Ano, może się z nią ożenić, mieć, trzymać, ludziom się pochwalić. Całe życie kocham się w mężatkach, diablo mi to czasem dokuczy, jak kłusownictwo królowi kurkowemu<sup>285</sup>. Zazdroszczę mu! A pech? Ano, chwal się tu i ciesz, i pilnuj jednej całej życie!

<sup>283</sup>kontramarkarnia (daw.) — szatnia; od *kontramarka* (daw.): znaczek, numerki otrzymywane przy oddaniu ubrania na przechowanie personelowi w teatrze, sali koncertowej itp. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>*Aus!* (niem.) — koniec, skończone. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>*król kurkowy* — tytuł uzyskiwany przez najlepszego strzelca w corocznych konkursach stowarzyszenia myśliwskiego, w których celem była tarcza z kurkiem, czyli kogutem. [przypis edytorski]

Podle jest świat urządzony! Wiesz, idę z cyrku. Karola się zabiła. Mgli<sup>286</sup> mnie dotychczas; pójdę chyba do knajpy!

— Zabiła się? Nie widziałeś mojego starego i żony?

— Owszem. Wyszliśmy razem. Ale była chwila i pani Celina.

— Sama? — spytał żywo Andrzej.

Radlicz sekundę się zawahał.

— Chyba, że sama, nie uważałem.

Andrzej stanął.

— Maksa nie było?

— Nie uważałem — powtórzył Radlicz.

— Dobranoc ci! — mruknął Sanicki, skręcając na Królewską.

W domu nie spodziewano się go. W małym gabinecie prezes czytał gazety. Kazia naprzeciw niego szła bielizną dla protegowanych Ramszycowej. Gdy wszedł, spojrzała na niego prawie z przestachem, prezes z podziwem.

— Co się stało? Czy i w teatrze ktoś się zabił?

— Nie, ale się znudziłem. Mam głowę zajęta interesami, poszedłem do Markhama.

— On dziś u Dąbskich — wtrąciła Kazia. — Może pan bez kolacji?

— Bez.

Wstała natychmiast i wyszła.

Po chwili znalazł w jadalni zastawioną przekąskę. Kazia gospodarzyła przy bufecie, podała mu sama herbatę. Spojrzał na nią i poczuł wyrzut sumienia za szorstką rozprawę na ulicy. Postanowił być uprzejmym.

— A zatem pojutrze wizyty? — rzekł. — Zaczniemy od wujostwa Dąbrowskich. Brat mojej matki i jego żona, dwoje bezdzietnych smakoszy. Druga wizyta gorsza, u Wolskich — brr, co za osie gniazdo. Stary safandula<sup>287</sup>, pięć córek starzejących się w panieństwie i matka zła za sześć! Tam z góry nienawidzą pani.

— Mnie? Dlaczego?

— Bo roili całe lata, że się z jedną ożenię, i wszystkie kochały się we mnie.

— Musimy tam bywać?

— Jakże! Krewni, cioteczna siostra matki.

— A ojca rodzina?

— Jest stryj, urzędnik w banku. Ma młodą żonę i czworo dzieci, katów i wisielców zrazem, bo katują rodziców, a warcu wszystko czworo szubienicy, tak są niesforne, rozpuszczone i samowolne. Ojciec tam nigdy nie bywa, bo go to zanadto drażni, ja czasami chodzę jak do domu wariatów. Będziemy potem u Markhamów, u Winnickich, u Dąbskich, u profesora Keckiego.

— U doktora Downara? — szepnęła.

— Owszem, ale ja tam nie lubię bywać! On mruk, ona jęcza!

Prezes, zdziwiony rozmownością syna, wszedł do jadalni.

— Daj no i mnie, córuś, herbaty! — rzekł wesoło. — Starzeję się, coraz mi lepiej w domu, z wami!

— Jeszcze ojciec partii<sup>288</sup> do winta nie dobrał! — zaśmiał się Andrzej.

— W tym roku zbiorę winta u siebie. Mamy gospodynię, trzeba ludzi ugościć.

— Winszuję! Fiks<sup>289</sup> — w niedzielę może! No, mam nadzieję, że gospodyni pierwsza zaprotestuje.

— Ja przeciw ojcu? Cóż znowu!

— Przeciw mnie zatem! — spojrzał na nią już niechętnie i spotkali się oczami.

Zatrzymał na niej wzrok, raz pierwszy uważniej.

„Jakie to młode!” — pomyślał i wzrok mu złągodniał.

— Pani sama nie lubi tłumy i nie da sobie rady z tymi fikсами! — dodał. — Ja bezwarunkowo nie będę miał czasu na tę cotygodniową pańszczyznę.

— No, no, nie buntuj się przed czasem! — rzekł prezes. — Na dziś dobranoc, dzieci!

<sup>286</sup> *mglić* (daw.) — dziś popr.: *mdlić*. [przypis edytorski]

<sup>287</sup> *safandula* — człowiek niezaradny, pozbawiony energii, fajtlapa. [przypis edytorski]

<sup>288</sup> *partia* — tu: grono osób zebranych w jednym celu, zespół. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> *fiks* (przest., z fr. *jour fixe*: ustalony dzień) — spotkanie towarzyskie, przyjęcie. [przypis edytorski]

Zegar wybił jedenastą. Stary wyszedł, Kazia sprzątała w bufecie, Andrzej siedział zamysłony, paląc papierosa.

„Była z Maksem w cyrku!” — myślał i czuł dziką wściekłość, chęć zemsty, dokuczenia sobie i swej miłości zdradzonej.

— Dobranoc — rzekła Kazia.

Wstał żywo i podał jej rękę. Trochę zdziwiona wyciągnęła dłoń do uścisku. Zatrzymał ją i spojrzał jej w oczy.

— Nikt by nie uwierzył, że od sześciu tygodni żonaty i nie znam ust mojej żony — rzekł.

Poczerwieniała gwałtownie, cofnęła rękę, źrenice jej zamigotały gniewem.

— Ale sumę, dla otrzymania której z woli matki swej pan się ożenił, dostał pan.

— Zapewne, ale i żonę mam — *et je ne veux pas être un mari ridicule!*<sup>290</sup>

— *Si vous préférez être lâche — soit!*<sup>291</sup>

Odwróciła się i wyszła. On począł chodzić po pokoju wzburzony, wściekły, mrucząc coś przez zęby, wreszcie zadzwonił na lokaja, kazał gasić światło i wyszedł.

#### IV

Kazia ubrana na wizyty zajrzała do gabinetu teścia, żeby się pożegnać.

Obejrzał krytycznie jej strój i wygląd.

— Suknia dobra, aleś ty, córuś, mizerna i blada, i oczki zmęczone, jakby płakały. Co ci? Straszno? Czyś niezdrowa?

Poczerwieniała, próbowała się uśmiechnąć.

— Trochę straszno, ale się oswoję. Do widzenia.

W przedpokoju Andrzej na nią czekał milczący, chmurny. Zeszli, wsiedli do powozu i jechali obok siebie, nie mówiąc słowa.

Gdy wysiadali na Chmielnej, chciał jej podać rękę, usunęła się z widoczną niechęcią i weszła w bramę. Dąbrowscy mieszkali na drugim piętrze, otworzyła służąca i powitała Andrzeja jak domowego.

— Są państwo oboje. Proszę do sali!

Przedpokój był ciemny jak zwykle, jak zwykle też mieszkanie miało specjalny zapach warszawskich mieszkań, mieszanina naftaliny, gazu i kuchni. Sala miała stereotypowe meble, dywan, lampę na stole przykrytym serwetą, fortepian, na którym nikt nie grywał, na oknach dwie palmy, które mogły być równie dobrze blaszane lub papierowe, tak były sztywne i zakurzone.

— To ty, Andziu! — rozległ się zaspany głos kobiety i do sali wtoczyła się Dąbrowska, wołając żywo do służącej — Budź pana!

— Przyszliśmy z żoną złożyć wujostwu uszanowanie — odparł Andrzej, pochylając się do ręki ciotki.

— Jak się masz, witam, jakżem rada! Pozwól się uścisnąć, moje śliczne dziecko. — Objęła Kazię w ramiona, przytuliła do łona, potem przyjrzała się jej uważnie.

— Ślicznas wynalazł sobie kobietkę, co za cera zdrowa, nie ma to jak wiejskie dziewczynki<sup>292</sup>. Jakże ci się podoba w Warszawie, pozwolisz starej ciotce nazywać cię po imieniu.

— Ależ ciociu, dziękuję za tę łaskę! — odparła Kazia.

Wejście Dąbrowskiego wznowiło powitanie. Ten ze staroświecką galanterią ucałował nową siostrzenicę w rękę, powiedział, że jest jak róża, i zapytał, jak jej się podoba w Warszawie.

Potem usiedli na sztywnych fotelach i rozmowa się rozstrzeliła. Dąbrowski począł rozpytywać Andrzeja o interesa<sup>293</sup>, Dąbrowska zabawiała Kazię, a raczej ściągala z niej egzamin<sup>294</sup>.

<sup>290</sup>*et je ne veux pas être un mari ridicule!* (fr.) — i nie chcę być śmiesznym mężem. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>*Si vous préférez être lâche — soit!* (fr.) — jeśli pan woli być nikczemny, trudno. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*dziewoja* — dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>*interesa* — dziś popr.: interesy. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>*ściągala z niej egzamin* — dziś: robiła jej egzamin. [przypis edytorski]

— Słyszałam, żeś odprawiła Janów<sup>295</sup>? Kogoż masz na ich miejsce? O kucharki strasznie trudno. Czy kontrolujesz ją trochę? Byle poczuła, że pani młoda nie zna się na cenach, obdzierają na każdej marchewce.

— O ile mogę, sprawdzam.

— Jakże? Ile płacisz drób?<sup>296</sup> A masło? Moje dziecko, to nie dość wiedzieć, że kaczka cztery złote, a kura rubla, ale jaka kaczka, jaka kura! Na to trzeba lat doświadczenia. Nie chwałę się, ale jak ja się na tym znam! Ha, czterdzieści lat jestem gospodynią. A masło?

— Masło mi ojciec przysyła.

— Dobre? Centryfugowe? Poproszę cię o próbkę, może i mnie ustąpisz. Masło to grunt, to zdrowie. Zapasy na zimę będziesz pewnie robić, służę ci radą we wszystkim. Spytaj o konserwy Dąbrowskiej! A twoi panowie wybredni, o, znam ich, ci mają smak i gust. Naturalnie w miodowych miesiącach wszystko się gospodyni wybaczają, ale potem rachuj na mnie<sup>297</sup>, ja cię wszystkiego nauczę. Ach, wy, wieśniacy, rajskie macie życie i za darmo. Jaki nabiał, a jaja? Po czemu?<sup>298</sup>

W ten sposób rozmawiały pół godziny.

Nareszcie Andrzej dał hasło odwrotu, ale jeszcze zeszedł kwadrans, zanim się pożegnali, obiecawszy przyjść w niedzielę na obiad dany na ich cześć.

Dąbrowska jeszcze przeze drzwi wołała:

— A nie zapomnij mi przysłać próbki masła!

— Przyjemna szykuje się niedziela — mruknął Andrzej — obiad familijny.

Przy wsiadaniu do powozu znowu jej chciał podać rękę, usunęła się, tedy wybuchnął:

— Trędowaty nie jestem, nie zarażę dotknięciem.

Milczała.

— Czy pani postanowiła mi nie odpowiadać?

— Pan o nic nie pytał.

— Pytam zatem, czy pani nie raczy ze mną mówić?

— Bez koniecznej potrzeby — nie.

— Ostrzegam, żeby to pani na złe nie wyszło.

— Nic gorszego spotkać mnie nie może.

Żachnął się i umilkł. Po chwili przyjechali na Nowy Świat. Wolscy mieszkali na drugim u piętze; otworzył lokaj; państwo są w domu.

Taki sam ciemny przedpokój, ten sam zaduch naftaliny i gazu, salon był trochę inny, bo<sup>299</sup> były panny w domu, potrzebna była reklama talentów i estetycznych aspiracji. Fortepian był otwarty, była jedna snadź przybrana za muzykalną<sup>300</sup>, ekran z wyhaftowanym jakimś cudkiem ptasiego rodu zasłaniał dół pieca, stół zdobiły popielniczki, drewniane noże do papieru i tym podobne przedmioty sztuki stosowanej bardzo elementarnie przez drugą zapewne pannę Wolską, nareszcie ostentacyjnie<sup>301</sup> leżała rozłożona książka na kanapie, jakby przed chwilą czytająca wstała.

Kazia wzięła książkę do rąk i spojrzała na tytuł — Korzon: *Wewnętrzne dzieje Polski*.

Zaczęła ją przeglądać, ale chociaż otwarta była w połowie, mało co kart było przeciętych.

Oczekiwanie się przedłużało. W głębi mieszkania słychać było ruch, szepty, dyskretnie uśmieszki, wreszcie ukazała się mama Wolska.

I ta była tuszy okazałej, otyłość jeszcze bardziej uwydatniała suknia obcisła, modna toaleta młodej matki dorastających córeczek.

Kazia mimo woli przypomniawszy sobie zdanie Radlicza: „Warszawianka pod starość, jak się spasię — to na pokaz; jak wychudnie — to na postrach!”

Powstała na powitanie, pani Wolska przeszła ją wzrokiem, potem krytycznie obejrzała toaletę i majestatycznie podała jej dłoń.

<sup>295</sup>odprawiła Janów — Imienia męża użyta na określenie pary małżeńskiej; znaczenie: odprawiła Jana i jego żonę. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>Ile płacisz drób? — dziś: ile płacisz za drób? [przypis edytorski]

<sup>297</sup>rachować na kogoś — dziś: liczyć na kogoś. [przypis edytorski]

<sup>298</sup>Po czemu? — dziś popr.: po ile? [przypis edytorski]

<sup>299</sup>boć — spójnik *bo* z partykulą wzmacniającą *-ci*, skróconą do *-ć*. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>przybrana — tu: przebrana, upozorowana. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>ostentacyjnie — w taki sposób, żeby zwracać na siebie uwagę. [przypis edytorski]



— Bardzo mi miło poznać nowego członka rodziny! Jakże się pani Warszawa podoba? Kazia się uśmiechnęła. Ile razy posłyszysz dziś to pytanie?

— Nie pierwszy raz tu jestem — odparła. — Chociaż, co prawda, mało jeszcze znam miasto.

— Bywacie zapewne często w teatrze? Prawda, że jeszcze nie sezon. Za ledwie od tygodnia wróciliśmy z wód, nie mogę się jeszcze połapać.

— Była ciocia, jak zwykle, w Trenczynie? — spytał Andrzej.

— Nie. Doktor Morawski wyprawił nas do Sopot<sup>302</sup>. Jadźka była bardzo osłabiona. Wiesz, pożegnaliśmy w Dreźnie Zośkę. Została dla malarskich studiów. No i wiesz zapewne, że i Jadźka niedługo z nami zostanie!

— Nie wiem, ale z góry życzenia składam.

— W Sopot poznaliśmy pana Bukowskiego. Zamożny obywatel z Ukrainy! Są po słowie!

W tej chwili weszły do salonu dwie panny, przeciętnie przystrojone, przeciętnie ubrane, przeciętnie szykowne i eleganckie. Szczęśliwa narzeczona, pokazująca ostentacyjnie tradycyjny zaręczynowy pierścionek z turkusem, miała smętny, rozmarzony uśmiech na twarzy, druga kokietowała fryzowaną grzywką, zalotnym spojrzeniem i figurą toczoną.

Kazia wbijała sobie w pamięć ich rysy i myślała ze zgrozą, jak je pozna i czy pozna na ulicy, tak były banalnie przeciętne.

— Moje córki: Jadwiga i Maria! — przedstawiła matka.

Panienci zabrały się do bawienia Kazi i naturalnie zaczęły:

— Jakże się pani podoba Warszawa?

— O, bardzo! A paniom lato wesoło zeszło?

— Średnio! — odęła usteczka Maria. — Ja się najlepiej bawię w Warszawie. Mamy bardzo miłe muzyczne kółko! Żeby się już sezon rozpoczął! Pani lubi muzykę? Gra pani sama?

— Trochę, za ledwie znośnie! Muzyki kto nie lubi?

— Gdzie pani robiła wyprawę, tutaj czy za granicą? — spytała Jadzia smętnie.

— Tutaj. Opiekowała się nią moja koleżanka, Tunia Dąbska.

— Mama się waha jeszcze, gdzie robić. Mój Boże, jaka to praca mozolna — westchnęła. — A najciężej mi się pogodzić z myślą, że już tak prędko pożegnana na zawsze Warszawę.

— Lubi pani wieś zapewne?

— Nigdy na wsi nie byłam, tylko na letnim mieszkaniu. Trzeba będzie przywyknąć! Podobno tam bardzo ludne i wesołe strony. Na zimę przyjadę do Warszawy, a na lato sprowadzę siostry i mamę.

Andrzej, zabawiany przez mamę Wolską, powstał.

Poczęto się żegnać bardzo uprzejmie, ale ledwie się drzwi zamknęły, Mania parsknęła śmiechem.

— A to sobie wynalazł indyczkę!

— A brzydka, a chuda! — dodała Wolska.

— Toć to nie ma o czym mówić z nią. Siedzi jak namalowana.

— On znudzony, zły, bez humoru. Zestarzał<sup>303</sup>, zbrzydł.

— Tak się zmarnować! Tak skończyć!

— Moja mamę, a któż by za niego poszedł? Któż by się naraził na śmieszność? Trzeba być wiejską gęsią lub nie mieć już krzty ambicji.

Ukazały się jeszcze dwie panny. Najstarsza, Liza, która od paru lat uderzyła w dewocję<sup>304</sup>, i najmłodsza, Terenia, uparcie udająca podlotka.

Przez szparę w drzwiach obejrzały już gościa, przyłączyły się do krytyki. Gadały i gadały, aż zjawił się Wolski z biura; opadły go jak sroki, trzepiąc wszystkie naraz.

Wolski, zahukany, zmęczony pracą, słuchał półuchem — myśląc, żeby jak najprędzej jeść obiad i pójść na winta.

— Kiedy oddamy wizytę? — spytał obojętnie.

<sup>302</sup>do Sopot — daw. ndm, dziś popr.: do Sopotu. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>zestarzał — dziś: zestarzał się. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>dewocja — przesadna i ostentacyjna religijność. [przypis edytorski]

— Nic pilnego. Ja sobie wcale bliższych stosunków nie życzę — zdecydowała pani. — Smarkata wcale mnie ciotką nie nazywała, nosa drze! Co to się takiej gęsi zdaje! Nędzarka, podobno na wyprawę dał prezes, a teraz tony przybiera. Biedny Andrzej, żal mi go.

— Prezes mi mówił, że z synowej bardzo rad — bąknął Wolski.

— Co miał powiedzieć? Nie znasz Sanickiego, czy on kiedy mówi, co myśli? Stary hipokryta!

— Co nam do tego? Wizytę złożyli, chcecie tam bywać, bywajcie, nie, to nie. Ja na winta do starego pójdę, bo mnie zaprosił, a teraz dawajcie obiad, bo muszę jeszcze wieczorem wstąpić do biura.

Nowożeńcy tymczasem wstępowali w progi stryjostwa Sanickich.

Tu do zapachu naftaliny i gazu dołączał się zapach dzieci. Gdy weszli, ujrzeni w głębi przedpokojów dwoje starszych chłopaków w gimnazjalnych bluzach; popychali się, kto pierwszy zobaczy i pozna gości, i rzucili się w głąb, krzycząc z całych płuc:

— Mamusi! To nie krawcowa, to Andrzej z jakąś panią. Niech mamusia się duchem ubiera.

— Feliś, będziecie cicho! — odpowiedział głos kobiecy. — Obudzicie Maniusię. Nie wychodźcie do sali.

Ale chłopcy już byli tam razem z gośćmi. Obejrzeni Kazię i zaczęli gimnastykować się po meblach, rozmawiając poufale z Andrzejem.

— Ojca nie ma? — spytał.

— Co ma być? W banku siedzi.

— Dawnoście z letniego mieszkania?

— Już od tygodnia w sztabie<sup>305</sup>.

— A ileście razy w kozie siedzieli?

— Po co ci wiedzieć? I tyś kiedyś siedział!

Poręcz krzesła trzasła, chłopak zwałił się na ziemię, aż jękło, w tej chwili matka weszła.

— Feliś, znowu psocisz! — zawołała żałośnie.

Chłopcy wpadli jej pod nogi, koziołkując, i zniknęli z horyzontu.

— Witam i przepraszam za tych łobuzów! — zawołała wesoło, wyciągając do Kazi obie ręce. — Andrzej do tego przywykł i panią pewnie uprzedził. Ogromnie żywe moje dzieci, a ja nie mam serca karcić je za niewinną swawolę. Siadajcie, proszę, zaraz Feliks nadejdzie. Wiesz, Andziu, chciałam się na ciebie już gniewać, że nam żonę tak kryjesz zazdrośnie.

W tej chwili powstał w mieszkaniu wrzask i płacz, pani się zerwała.

— Ach, rozbudzili małą. Muszę ją tu do siebie wziąć, bo się inaczej nie uspokoi.

Wróciła po chwili, dźwigając na rękach dużą, może pięcioletnią, dziewczynkę ryczącą wniebogłosy.

Przez dobre dziesięć minut nikt nie mógł przyjść do głosu, utulano pieszczotkę pocałunkami, pieszczotami, wreszcie służąca wezwana na pomoc przyniosła pudełko czekoladek i mała raczyła je łaskawie przyjąć na pociechę. Przyszli też do pudełka chłopcy i pomimo że matka zrazu dać im nie chciała, póty nudzili, aż odeszli z pełnymi garściami.

Manusia na kolanach u matki nareszcie się uciszyła. Można było rozmawiać z biedą, chociaż chłopcy bawili się w konie i co chwila przelatywali jak huragan przez salę.

Pani Sanicka, młoda, przystojna szatynka, podobała się Kazi, Andrzej widocznie też lubił stryjenkę. Żartowali ze sobą poufale.

— Musi ci się przykrzyć w mieście! — rzekła, zwracając się do Kazi. — Męża masz bałamuta<sup>306</sup>, znajomych żadnych, no i mało co do roboty.

— Oddałam się w służbę pani Ramszycowej, mam pół dnia zajęte.

— Nie tęskno ci do wsi?

Kazia podniosła na nią oczy.

— Pani pewnie także ze wsi?

Roześmiała się kobieta.

— Tak. Widzisz, że cię rozumiem. Ja rodem z Krakowskiego! Tęskniłam ogromnie z początku, do pierwszego dziecka. I tobie to przejdzie!

<sup>305</sup>sztaba (daw.) — szkoła. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>bałamut (daw.) — uwodziciel. [przypis edytorski]

Zaśmiała się znowu.

— Piętnaście lat jestem zamężna. Czwooro mam tych urwisów.

— Tymczasem... — uśmiechnął się Andrzej.

Poczerwieniała, pogroziła mu palcem.

— Nie żartuj! Ja się nie zarzekam, a ciebie może czeka siedmioro. Chciałabym widzieć prezesa w gronie wnucząt. To bym mu dopiero odpłaciła drwinami!

— Ojciec wcale nie krytykuje ilości dzieci stryjenki, tylko systemu chowania nie pochwała.

— Niech się mnie spyta, czy ja system twego wychowania pochwalam.

— Nie? Doprawdy? Dlaczego? Mebli nigdy nie łamałem, a biegać „w konie” nie miałem z kim.

— No, no! Łamałeś i łamiesz droższe przedmioty niż meble, a bierzesz na kiel jak najbliższy koń! Ty mi się tylko za ideał nie przedstawiaj. Ach, Boże! Oto i Feliks! Muszę się zająć obiadem.

Uniosła w ramionach Maniusię i zjadając ją pocałunkami, znikła, rzucając wchodzącemu mężowi:

— Są Andrzeju!

Sanicki, poważny, flegmatyczny<sup>307</sup> pedant<sup>308</sup>, powitał młodą parę, ale go wnet opadły dzieci i nie dały rozpocząć nawet rozmowy. W głębi mieszkania wrzeszczała Maniusia. Andrzej miał dosyć całej rodziny<sup>309</sup>.

Gdy się znaleźli na schodach, wybuchnął:

— Może by dość było tego na dziś, bo mi łeb pęknie.

— Dąbskich nie możemy opuścić — rzekła Kazia — a ojciec bardzo zalecał także, by nie obrazić starych Markhamów.

Coś zamruczał, spojrzął na zegarek i rozkazał stangretowi: „Mazowiecka 7”. Był to adres Markhama.

Markham, stary, bardzo bogaty przemysłowiec, od dziesięciu lat zdał interesa na trzech synów, sam żył beczynnym, oddany manii zbierania starożytności. Żona jego miała dwie manie: swatania i leczenia siebie i całego świata, oprócz tego chowała masę pincherów i była patronesą<sup>310</sup> różnych dobroczynnych instytucji. Uważała się za umęczoną społecznymi obowiązkami.

Ciężką troską jej życia było: jak świat będzie istnieć, gdy jej do kierowania nim nie stanie<sup>311</sup>.

Po przywitaniu i obowiązkowym: „Jakże się pani podoba Warszawa?” — spytała zaraz z przekąsem:

— Podobno pani jest adiutantem Ramszycowej?

— Adiutantem nie — odparła spokojnie Kazia — ale pomagam jej, mając wiele wolnego czasu.

— Dużo amatek nie znajdzie w Warszawie. Nie bardzo kto zechce się z nią kompromitować. Był to radosny dla nas dzień, gdyśmy się od niej uwolniły. Wnosiła ze sobą chaos. Wtedy powstało takie oburzenie, że sama poczuła, iż musi się usunąć. Odetchnęłyśmy. Raczej pozbawić instytucję jej tysięcy, niż stanąć pod pręgierzem opinii publicznej. Opowiadałam to pani umyślnie, aby ostrzec! Pani młoda, obca, niedoświadczona. Pani nie wie, co znaczy w świecie znajomość z taką Ramszycową. Tu idzie o największy skarb kobiety, o jej opinię i zdanie świata. Niech pani się cofnie, póki czas.

— Teść mój i mąż nie bronią mi tego zajęcia i stosunku — odparła spokojnie Kazia.

— Ach, mężczyźni! Zawsze obejrzą się poniewczasie, że postąpili nietaktownie. Zresztą pani teść i mąż nie znają tej kwestii, nie rozróżniają dobroczynności chrześcijańskiej naszej a tej jakiejś dzikiej, socjalnej, demagogicznej, jaką wyznaje Ramszycowa. Zresztą nie wiedzą może i nie rozumieją, co to są feministki, to jest cała klika Ramszycowej. Stara jestem i doświadczona, jak matka panią ostrzegam! Jeśli nie chcesz zostać wyklętą

<sup>307</sup>flegmatyczny — powolny, spokojny. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>pedant — człowiek drobiazgowo, często przesadnie dokładny. [przypis edytorski]

<sup>309</sup>familia (z łac.) — rodzina. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>patronesa (daw., z fr.) — dama opiekująca się instytucją dobroczynną. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>nie stać (daw.) — zabraknąć, nie starczyć. [przypis edytorski]

z towarzystwa i kościoła, zerwij ten stosunek! Przystąp do nas, zapisz się na członka naszej świętej instytucji! Wszak mi tego nie odmówisz?

— Z największą chęcią. Proszę mnie tylko co do obowiązków objaśnić i nauczyć, co mam czynić.

— To dobrze! To dobrze! Dam ci tu zaraz ustawy, a po wtorkowej sesji cię wprowadzę! Zaraz poznasz różnicę czynów i zasady!

Po chwili otrzymała Kazia moc papierów i książek, a twarz Markhamowej promieniała.

Zaprezentowała jej swe pinczery, oprowadziła po mieszkaniu, na pożegnanie ucałowała i dumna wyznała w duchu:

„Nawróciłam tę duszę i będę nią kierować”.

Tymczasem „nawrócona dusza” rozsypała na schodach papiery. Andrzej je zbierał.

— Co to za śmiecie znowu? — spytał.

— Ustawy jakichś dobroczynnych instytucji, do których chce mnie wpisać pani Markham.

„Ta niezawodnie uderzy w dewocję!” — pomyślał o żonie i nic nie rzekł.

Pozostała im na ten dzień już tylko jedna wizyta, ale tam, u Tuni Dąbskiej, czuła się Kazia jak w domu.

Domem trudno było mieszkanie Tuni nazwać, choćby dlatego, że pan domu był nieobecny, a pani żyła w nim jakby na popasie.

Małżonkowie nie widywali się ze sobą nigdy prawie. Dąbski wychodził rano do sądu, obiadował pięć razy na tydzień co najmniej poza domem, resztę dnia spędzał w knajpie, pracował pół nocy w swym gabinecie nad sprawami klientów lub pisał do gazet, bo się bawił literaturą.

W czasie zimowego sezonu przyjmowali we wtorki, wtedy każde z osobna bawiło gości, od czasu do czasu składali razem jaką etykietalną<sup>312</sup> wizytę, zresztą bywali i znali pół Warszawy, ale każde z osobna.

Od dziesięciu lat skojarzone to stadło było z siebie i losu zadowolone i szczęśliwe.

Dąbski, zdolny i pracowity, zarabiał grubo. Tunia miała zbytek i swobodę, byli bezdzietni, ogólnie lubiani i uchodzili za ideał małżeństwa.

Dzień pani Dąbskiej rozpoczynał się późno, około jedenastej, zwykle wizytą której siostr lub kuzynek, których miała legion.

Zrywała się z łóżka i w szlafroku rozpoczynała się śmiać, paplać i miotać po domu, zawsze coś gubiąc, czegoś szukając, popędzając służbę, słuchając ploteczek i nowinek odwiedzającej i powtarzając bezustannie:

— Mój Boże, co ja mam na dzisiaj roboty, jak ja wydołam!

Tak biegnąc i paplając, myła się, czesała, piła kawę, dysponowała służbie, robiła rachunek z kucharką, wreszcie przeprowadzała siostrę czy kuzynkę do przedpokoju i tam, gdy się wycalowały na pożegnanie, u drzwi samych stojąc, kończyły gawędkę, „dwa słowa”, które trwały do pierwszej. Płoszył je zwykle dzwonek nowej, już etykietalniejszej<sup>313</sup> wizyty, przed którą kryła się pani Tunia do sypialni, wołając w odwrocie do lokaja:

— Proś do sali. Leontyno, prędej, ubieraj mnie. Gdzie gorset, gdzie trzewiki? Mój Boże, czy przynieśli stanik od krawcowej? Żelazko do fryzowania! Co się stało z kluczami?

Jeśli gość miał ważny interes lub był naiwny, czekał na ukazanie się pani bardzo i długo.

Zwykle jednak ten pierwszy zmykał, a pani Tunia ukazywała się zaledwie tym, którzy przychodzili około drugiej. Spóźniający się nie zastawali jej już w domu.

Wystrojona, ładna, uśmiechnięta zbiegała na ulicę, co krok witała znajomych i wiece nie czymś zajęta, zaaferowana, załatwiała pośpiesznie wizyty, sprawunki, a szczególnie miała zawsze, co dzień, jak rok długi, jakiś nie cierpiący zwłoki interes do krawcowej.

Ponieważ zaś dla uproszczenia kardynalnej kwestii strojów miała krawcowych i szwaczek sześć, a nigdy do żadnej nie przysła na umówioną godzinę, bo zawsze jej coś przeszkodziło, więc sprawy te zajmowały jej większą część dnia i była zapracowana do obiadu, który miał być o piątej, a bywał, jak się zdarzyło.

<sup>312</sup>etykietalny — wynikający z etykiety, oficjalny. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>etykietalniejsza — bardziej zgodna z etykietą, oficjalniejsza. [przypis edytorski]

Zwykle przyprowadzała z sobą znowu którą z siostr lub z legionu kuzynek, znowu gadały, gadały, gadały. Zwykle też wieczorem porywała się pani Tunia za głowę, spojrzawszy na zegar:

— Rany boskie! Miałam być o szóstej u Jóźwickich, a to już siódma. Leontyno, prędzej ubieraj mnie! Gdzie fularowa<sup>314</sup> suknia? Żelazko do fryzowania mi grzejcie! Mój Boże, ja nie wydołam, doprawdy! Głowę trzeba stracić w tym odmęcie roboty!!

Albo porywała się o wpół do dziewiątej:

— Jezus Maria! A toć Julek na mnie czeka w teatrze. Na śmierć zapomniałam. Boże, gdzie się podziały białe rękawiczki? Bilet mi zostawił na wypadek, gdy się spóźnię. Gdzież ten bilet! Leontyno, gdzie klucze? Janie, leć po dorożkę. Spóźnię się! Ach Boże!

Znając obyczaj domu, Andrzej był pewny, że o czwartej nikogo nie zastaną. Zadzwoenił i sięgnął ręką po kartę<sup>315</sup>, gdy lokaj drzwi otworzył.

Ale Jan się usunął i nisko ukłonił, a z daleka już słyhać było głos Tuni.

Wyjrzała i skoczyła z powitaniem:

— Nareszcie! Chodźcie! Jest mama i dziewczęta. Ta wyprawa mnie dobije! Głowę tracę i nóg nie czuję. W tej chwili wracamy ze sprawunków. Od jedenastej na mieście! Kaziu, pomóż nam!

— A my od dwunastej z wizytami!

— Wiem, wiem! Byliście u Wolskich. Panny już cię ogadały!

Zwróciła się do Andrzeja:

— Nie mógł się też pan z którą ożenić? Byłoby o jedną jędzę mniej!

— A o jednego męczennika więcej — odparł.

Weszli do salonu i zastali dwie siostry i matkę nad stosami próbek z dwudziestu co najmniej magazynów<sup>316</sup>.

Przyszła teściowa Markhama i zaczęła rozpytywać Andrzeja o fabrykę spółkową.

— Bo to podobno będziecie ją mieli na prowincji, w Grodzisku — rzekła, krzywiąc się lekceważąco.

— Tak, i młoda para tam zamieszka!

— I ta olejarnia. Jak to musi nie pachnieć! Tak daleko będą od reszty dzieci! Czy chociaż ładny dom?

— Bardzo elegancki pałac, duży ogród.

— Ale ludzi nie ma, towarzystwa! Ciężko na starość zrywać stosunki tyloletnie! A interes, jak pan myśli, pewny? Bo to cały fundusz Emilki w to kładziemy! Broń Boże, Markhamowi noga się powinie, zostaniemy bez grosza!

— Pani radczyni zmieni trochę akcji, Markham senior nie kupi jednego gobelinu<sup>317</sup>, to grosz się znajdzie i podstukuje nogę Markhamowi.

— Pan żartuje, a u mnie dusza na ramieniu. Zakopać dziecko żywcem w grób, wyłożyć tyle pieniędzy... Ach, mój Boże! Ciężki jest los matek!

Westchnęła, chwilę milczała, potem nachyliła się do niego bliżej.

— Panie Andrzeju, czy pan zna młodszego Iwickiego?

— Młodszego? — uśmiechnął się. — Któryż to? Rejent czy radca?

— Radca przecież żonaty!

— A rejent wdowiec. Prawda! Zatem rejent młodszy. Tego zna lepiej mój ojciec, bo grywają w winta i bywają razem w Karlsbadzie. Czy on prowadzi interesa pani radczyni?

— Nie. Bywa u mnie! — odparła wymijająco.

— Panie Andrzeju — zagadnęła Tunia — czy to prawda, że nasz Markham spirytysta<sup>318</sup>?

— Wątpię, chyba dlatego, że zapewne bawi pannę Emilę rozmową o związku dusz.

— Nieznośny pan jest! — nadąsała się narzeczona, a Tunia rzekła:

— Wolskie rozpowiadają, że ma jakieś medium<sup>319</sup> i po nocach urządza jakieś seanse!

<sup>314</sup>fular — cienki jedwab. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>karta — tu: karta wizytowa, dziś: wizytówka. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>magazyn — tu: magazyn blawatny lub magazyn mód; duży sklep handlujący tkaninami, modnymi strojami, galanterią. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>gobelin — tkanina dekoracyjna przedstawiająca jakąś scenę na podobieństwo obrazu. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>spirytysta (z łac. *spiritus*: duch) — wyznawca spirytyzmu, wiary w możliwość kontaktowania się z duchami zmarłych za pośrednictwem osób mających do tego specjalne predyspozycje (tzw. mediów). [przypis edytorski]

<sup>319</sup>medium — osoba pośrednicząca w rozmowie z duchami a. przywołująca je. [przypis edytorski]

— Widocznie Wolskie lepiej ode mnie wiedzą, jak Markham spędza noce, bo ja o niczym podobnym nie wiem.

— Czego Wolskie nie wymyślą! — mruknęła radczyni.

— Nie wymyślą nigdy dobrego słowa! — rzucił niecierpliwie.

Zwrócił się do żony, dając znak dyskretny.

— Co? Chce mi ją pan zabrać! — zaprotestowała Tunia. — Mam z nią mnóstwo do mówienia<sup>320</sup> i zatrzymuję. Moglibyście bez ceremonii zostać na obiad. Nawet może Julek będzie.

— Nie mogę. Mam o piątej ważny interes. Zostawię ci powóz — rzekł do żony.

— Ależ nie! Bardzo chętnie wrócę pieszo.

Pożegnał tedy panie, Tunia przeprowadziła go do przedpokoju i zatrzymała.

— Wie pan, Wolskie gorsze rzeczy głoszą — zaczęła cicho. — Powiadają, że Markham utrzymuje Burecką.

Zachnął się niecierpliwie.

— A jeśli tak jest, co im do tego!

— Im nie, ale nam bardzo! To musi być zerwane! Niech pan wpłynie na niego!

— Markhama nie trzeba uczyć, co wypada. Zresztą dalsze jego postępowanie zależy od żony i jej wpływu.

— No, no, niech pan się w morały ze mną nie bawi i ostrzeże po przyjacielsku Markhama, że wiem, jak jest, i wiem, czego wymagam. Emilka nie jest Kazia!

Pogroziła mu palcem i wróciła do salonu.

— Kaziu, chodź no na chwilę ze mną! — zawołała i wyprowadziła ją do sypialni.

— Wiesz, interesa twoje się poprawiają — szeptała poufnie. — Pani Celina zdradza go z Maksem Unfriedem. Lada dzień będzie skandal.

Kazia ruszyła ramionami.

— Żebyś wiedziała, jak mi to obojętne!

— Bajesz! A ja się tak ucieszyłam, bo to Wolskie rozpowiadają, że Andrzej chce się już rozwodzić, że ty żebrzesz litości, żeś ostatnią jego służebnicą, że tobą pomiata! Bóg wie, co za nikczemności i kłamstwa. Kipiałam z oburzenia!

— Po co? — uśmiechnęła się apatycznie Kazia.

— Jak to po co? — oburzyła się Tunia. — Ty jesteś ślimak, ostryga. Zlituj się, czy ty nie masz odrobiny ambicji? Jak to! Nie odbić rodzzonego męża starej awanturnicy, nie zmusić go, by się w tobie rozkochał, za tobą szalał, tobie służył, ciebie uwielbiał! Umarłabym z hańby i wstydu, żebym tego nie zrobiła.

— Po co mi to? Nie cierpię go, był mi obojętny, stał się wstrętny. Będę najszczęśliwsza, gdy o mnie zapomni. Chciałabym tylko dla niego nie istnieć. Poza tym niech sobie kocha, trzyma, zdradza, zdobywa, kogo sobie chce.

— Bój się Boga. Ty chyba kochasz innego?

— Kocham i on to wie! — wybuchnęła Kazia.

— W takim razie jesteście oboje potwory! — zawołała impetycznie<sup>321</sup> Tunia.

Kazia milczała. Zmęczona była i znękana bezmiernie; czuła potrzebę zwierzenia, skargi, a rozumiała, że Tunia jej nie pojmie.

Powstała, przesunęła rękę po oczach, zapanowała nad sobą, zdobyła się na uśmiech.

— Potwory, zapewne. Raczej galernicy skuci łańcuchem. Ano, może Wolskie raz wypadkiem powiedzą prawdę o tym rozwodzie.

Tunia odetchnęła z wrażenia.

— To nie może być! Gdzieżbyś się tak prędko zakochać mogła! Brednie! Nikogo nie znasz. Chybaś nie oszalała za Radliczem!

— Nie, przysięgam — uśmiechnęła się.

— No, to w kim? Mów! Muszę wiedzieć! Nie puszczę cię, aż powiesz. Gdzie on jest?

— Gdzie? Bardzo daleko. Zresztą, pisałam kiedyś do ciebie, że jestem zaręczona. Zapomniałaś?

— Kiedyś, kiedyś! Prawda, pisałaś. No, ale potem on przepadł. Jakiś student! Aha! pamiętam! No, więc to — to! I tyle! Więc wrócił? Jest w Warszawie?

<sup>320</sup>mnóstwo do mówienia — dziś: mnóstwo do omówienia. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>impetycznie — gwałtownie. [przypis edytorski]

— Nie. Od dwóch lat nawet pisywać przestał do babki.  
— I to w nim ty się kochasz! Cha! Cha! Cha! Wierzę, że nawet Andrzej ci na to pozwala!

Śmiała się, śmiała, aż na tę wesołość wpadły siostry, pytając, co się stało.

Szczęściem dla Kazi ukazała się jednocześnie Leontyna z wielkim pudłem:

— Proszę pani, przynieśli od krawcowej!

— Nareszcie! — krzyknęła Tunia. — Pokaż, pokaz! Mamo, Emilko! Chodźcie! Mam nareszcie zielony kostium! Zaraz go zmierzę. Leontyno, rany boskie, gdzie klucze? Daj nowy gorset!

Już zapomniała o zabawnej, pysznej anegdocie z romansem Kazi, nawet o niej samej.

Pewnie nie zauważyła, kiedy się z nią pożegnała, i, o чудо, nie przeprowadziła do przedpokoju na dwa słówka.

Prezes spotkał Kazię na ulicy i wyznał szczerze:

— Wiesz, zatęskniłem za tobą i wyszedłem na poszukiwanie. Cóż, bardzo zmęczona?

Taka szczerą radość i serce patrzyło na nią ze starych oczu teścia, że uśmiechnęła się do niego.

— Zmęczona nie, ale znudzona. Niech ojciec zgadnie, ile razy mnie zapytano, jak mi się podoba Warszawa?

— Ano, każdy i każda. No, a gdzie ci było najznośniej?

— U stryjostwa.

— Co? W tym instytucie moralnie zaniedbanych dzieci? Winszuję!

— Doprawdy! Stryjenka wesoła i dobra, stryj poważny i myślący, a dzieci nie wydały mi się gorzej rozpuszczone od naszej Zosi w Górowie.

— To niewielka pochwała. No, proszę, i Feliksowie mogą się komuś podobać, i to jeszcze mojej Kazi. Tej sympatii z tobą nie dzielę.

Ale uśmiechnął się pomimo to do niej, więc zaczęła mu opowiadać wrażenia.

— Wolscy są straszni. Gdy tam weszła i poznała cały komplet, zdawało mi się, że jestem na jesieni w pasiece, kiedy każda pszczoła gotowa ciąć żądłem. Brr... jak ja się ich boję! Pani Markham wciągnęła mnie do Towarzystwa Świętego Salezego<sup>322</sup>. Mówiła mi, że i ojciec jest członkiem.

— Może być. Ciągłe mi każą płacić i wszędzie moje pieniądze są mile widziane.

Machnął ręką.

— Udają, że coś robią, i chcą być w „Kurierku” wydrukowane. Markhamowej nie można odmówić.

Wrócili do domu. Andrzej na obiad się nie ukazał, na wieczór prezes miał winta, Kazia została sama.

Odczytywała tego dnia otrzymany list od ojca:

„Moja jedyna pociecho! Dzięki ci za dobre wieści. Wszystkie moje troski są niczym wobec myśli, że tobie może być źle, a żadna pomyślność nie zastąpi mi spokojnej pewności, żeś szczęśliwa i z losu zadowolona. Takem się trwożył, czy nie przebolejesz rozstania z wsią i dotychczasowym zajęciem. No, dzięki Bogu, dobrze ci, nie zawiodłem się na Sanickich. Cóż ci donieść? Babka Bogucka trochę niedomaga, byłem u niej onegdaj<sup>323</sup>, dopytuje się o ciebie i tęskni. Niewesołą ma starość, o Stachu ani słydu, jeśli nie umarł, to źle o nim świadczy. Krótko mówiąc, przepadł!

U nas żniwa skończone, lokomobile<sup>324</sup> już dymią przy stertach, świetna pogoda sprzyja. Brak mi ciebie na każdym kroku, ano, co się stało, stać się musiało! Zdaje mi się, że wpadnę tymi czasy do was, zobaczyć ciebie na własnym gospodarstwie i ucieszyć się twym szczęściem naocznie. Tymczasem całuję cię i błogosławię, dziecko kochane!”

Wieś, Tęsknota, Przestrzeń

<sup>322</sup>Towarzystwo Świętego Salezego — tu zapewne: warszawskie charytatywne Towarzystwo Przytulku św. Franciszka Salezego, działające na rzecz powstałego w 1882 przytulku na Powiślu. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>onegdaj (daw.) — przedwczoraj; także: kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>lokomobila — daw. wielofunkcyjna maszyna rolnicza: silnik spalinowy na kołach, używany do napędzania innych maszyn, np. młockarni. [przypis edytorski]

Przeczytała i opuściwszy ręce i papier na kolana, zadumała się patrząc w próżnię.

A próżnia ta wypełniła się szerokim morzem ściernisk złotych, gajów już żółknących i przestrzenią bladego jesiennego błękitu. Powietrze pełne było zapachu ruszonej plugi roli i echa od dudnienia wozów, i parskania koni, i piosenki, którą nucił Stacho Skowronek wracający „do domu”. Szczęśliwy Stacho, mógł wrócić.

Porwała ją taka tęsknota, żal, ból fizyczny prawie, że się wzdrygnęła, przycisnęła ręce do piersi i zgryzła usta, by nie jęknąć.

Goryczy, wstrętu, nudy pełna była po brzegi dusza.

— Nie wytrzymam! — szepnęła rozpacznie<sup>325</sup>.

Wzrok jej padł na list i po chwili poczęły na papier padać gorące łzy. Musiała wytrzymać.

## V

Ocieska leżała na otomanie w swym saloniku obok pracowni i czytała.

Była to osoba ni młoda, ni stara, ni brzydka, ni ładna, wysoka, szczupła, ubrana nie-  
dbale, z twarzą zmiętą, bardzo charakterystyczną, do której przyrósł grymas sarkazmu. W bluzie roboczej, jak odeszła od sztalug, odpoczywała czytając i dozorując zarazem spi-  
rytusowej maszyny do kawy.

Zachodzące słońce oświetlało salonik, a szczególnie padało całą masą purpury na portret Rozy Bonheur<sup>326</sup>, zdobiący przeciwległą ścianę. Oprócz tego portretu, wzdłuż innych ścian wisi cykl obrazów, kopie średniowiecznego *Tańca śmierci*<sup>327</sup>. Zresztą<sup>328</sup> umeblowanie pokoju stanowiły przeważnie książki. Pełno ich było po stołach, szafach, półkach, nawet na podłodze.

Przez uchylone drzwi widać było pracownię i jakąś podmalówkę<sup>329</sup> na sztalugach.

Syczenie kawy w maszynie oderwało uwagę Ocieskiej od książki. Zmuchnęła płomień.

W tej chwili ktoś do drzwi zapukał i nie czekając pozwolenia, ukazał się w progu Radlicz.

— „Sąsiadko witaj! Co mi świat!”<sup>330</sup> — zanucił, wchodząc.

Ocieska coś zamruczała, nie przerywając czytania.

— Przyszedłem do kolegi, a raczej do jego biblioteki! — mówił niezrażony lub niewykły do jej humoru, rozglądając się po książkach. — Czy dostanę na dni parę Szekspira?

— Mam, ale nie dam! — odparła lakonicznie.

— Bo?

— Bo dałam Zarębie kiedyś i musiałam potem wykupić na licytacji jego gratów.

— Klnę się na prochy Giotta<sup>331</sup>, że pierwszy mój termin weksłowy jest na Szymona i Judę<sup>332</sup>, męczenników, a Szekspira oddam pojutrze, to jest piętnastego września. No, co? dostanę?

Ocieska zachnęła się niecierpliwie.

— Zawracanie głowy. Tak panu idzie o Szekspira, jak o wczorajszego „Kurierka”. *Heraus*<sup>333</sup>, po co pan przyszedł?

<sup>325</sup>rozpacznie (daw.) — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>Rosa Bonheur, właśc. Marie-Rosalie Bonheur (1822–1899) — fr. malarka i rzeźbiarka, przedstawicielka naturalizmu, zyskała sławę głównie dzięki obrazom ze zwierzętami (*Orka w Nivernais*, *Koński jarmark*); najslawniejsza malarka XIX w. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>Taniec śmierci — alegoria wyrażająca równość wszystkich ludzi wobec śmierci: taniec szkieletów z ludźmi różnych stanów społecznych i zawodów; przedstawienia tańca śmierci w sztukach plastycznych stały się szczególnie popularne w późnym średniowieczu. [przypis edytorski]

<sup>328</sup>zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

<sup>329</sup>podmalówka — pierwsza warstwa farby nakładana na zagruntowane płótno, nadająca ogólną tonację kolorystyczną; czasem służąca jako rodzaj szkicu malarskiego, często uproszczonego i jednobarwnego, który pozwala artyście przy wykonywaniu drugiej warstwy skoncentrować się na detalach i kolorystyce. [przypis edytorski]

<sup>330</sup>Sąsiadko witaj! Co mi świat! — fragm. jednej z kompozycji na głos i fortepian do tekstu wiersza *Po latach* (*Nach sieben Jahren*) niem. poety Rudolfa Baumbacha (1840–1905), w tłum. Czesława Jankowskiego (1857–1929). [przypis edytorski]

<sup>331</sup>Giotto di Bondone (1266–1337) — malarz i architekt wł., wyznaczył drogę renesansowemu malarstwu wł. poprzez przejście od stylu wschodniego, bizantyjskiego do łacińsko-włoskiego. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>Szymon i Juda — apostołowie Jezusa, wg tradycji razem ponieśli męczeńską śmierć w Persji; w Kościele katolickim ich święto liturgiczne obchodzone jest 28 października. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>heraus (niem.) — tu: skrócone od pot. *heraus mit der Sprache*: opowiadaj wreszcie; gadajże. [przypis edytorski]



— Zaraz po co? Tak sobie. Śnił mi się dziś *Sen nocy letniej*. Muszę go sobie przypomnieć.

— Śliczny sen. Że pan jest tkaczem Pyramem<sup>334</sup>, wiadomo, któraż z nadobnych warszawianek była ostatnią Tytanią?

— Hm, mogę tu popełnić niedyskrecję. Tytanią była pani!

— Przecie dobrana choć raz para: osioł z koczokodanem — odparła spokojnie Ocieska.

— Tak mi się to podoba, że pożyczę panu Szekspira. Tam znajdzie go pan na półce.

Nalala sobie kawy, zapaliła papierosa i zagłębiła się na powrót w czytaniu.

Radlicz wziął książkę, zajrzał do pracowni.

— Już skończony portret pani Rudnickiej? Dlaczego nie ma na wystawie?

— Pan nie wie? — ruszyła ramionami. — Dziwię się! Pan nawet zna tajemnice alkowy<sup>335</sup> pani Rudnickiej; myślałam, że tym lepiej wie pan, gdzie umieszczono portret.

— Ależ kolega dziś zły! — zaśmiał się.

— Czy bywam kiedy dobra?

— Phi, dobra — nie, ale mniej zła.

— Względem pana? Wątpię, nie miałam przynajmniej nigdy tego zamiaru.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Mówię w oczy, co pan za oczy<sup>336</sup>.

— Jak to?

— Tak to! Z tą różnicą, że gdy pana nie widzę, nie wiem i nie pamiętam, że pan istnieje na świecie; a jak pan mnie nie widzi, to pan jednak mnie łaskawie wspomina, odsadzając od czci, wiary, talentu, co zresztą czyni pan z każdym i każdą.

— To fałsz. Trzeba nie być artystą, żeby nie uznawać pani talentu, a oryginalną wolno pani być na pani stanowisku.

— Doprawdy wolno! — zaśmiała się ironicznie. — A jakby nie było wolno, tobym nie była?

Zaśmiała się raz jeszcze z bezmierną pogardą.

Wstała, spojrzała na słońce, potem na zegarek.

— Co za pycha patrzy z pani! — zaśmiał się Radlicz.

— Myśli pan? Nie! Tylko pewność bezwzględnej wolności. Wolno mi być sobą, bo nie w ludzkiej mocy odjąć mi to, co posiadam, ani dać, czego pragnę.

— Śliczne zdanie, ale do bajki. Chciałbym panią widzieć bez sławy, bez talentu, bez pieniędzy i bez ludzi.

— Ludzie mi dali talent i sławę?

— Sławę mogą pani odjąć w każdej chwili!

Ruszyła ramionami.

— I owszem. Żeby wiedzieli, jak mi zbrzydły portrety i słuchanie bredni i komunalów<sup>337</sup> przy pozowaniu! Będę malowała bardziej udane boże twory niż ludzie!

— Ależ ludzie płacą!

— To niech nie płacą. Mam osobisty fundusz.

— *Invulnérable*<sup>338</sup>! — zaśmiał się Radlicz.

Ocieska popatrzała drwiąco na niego.

— Tak. Nawet natura uczyniła mnie takim koczokodanem, że i czci mojej zbrudzić nie można, boby nieszczęsny, o romans ze mną posądzony, wyzwał potwarcę<sup>339</sup> o obrazę męskiego honoru.

Spojrzeła znowu na zegarek.

— Pani wychodzi? — spytał.

— Czekałam na panią Sanicką.

Spojrzeła na Radlicza, jakaś myśl przeszła jej błyskawicą przez głowę.

<sup>334</sup>tkacz Pyram — właśc. tkacz Denko; w *Śnie nocy letniej* tkacz Denko to aktor-amator, który razem z pięcioma innymi, podobnymi sobie rzemieślnikami dla uświetnienia wesela księcia Aten Tezeusza i królowej Amazonek Hipolity organizuje przedstawienie o legendarnej nieszczęśliwej miłości Pyrama i Tysbe; w sztuce przypadło mu zagrać rolę Pyrama. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>alkowa (daw.) — sypialnia. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>za oczy — tu: za oczami (por. zaocznie), za plecami. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>komunal — ogólnie znane stwierdzenie, nieposiadające głębszej treści; banał, frazes. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>invulnérable (fr.) — nie do zranienia. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>potwarca (daw.) — człowiek, który rzuca potwarz, szkaluje; oszczerca. [przypis edytorski]

— Aha! Szekspir! — mruknęła.

Radlicz poczerwieniał jak student.

— Co pani ma za posądzenia? Skądże mogłem wiedzieć, że pani Sanicka tu będzie?

— Nie mam żadnych posądzeń! Czekaj pan! Nie mój interes!

Wyszła do pracowni i wróciła po chwili już przebrana jak na wizytę. Radlicz siedział zamyślony.

— Pani drwi ze mnie, ale który z nas, artystów, nie zachwyciłby się panią Sanicką! Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu tak uroczej twarzy, tak ślicznego w całości typu kobiecego.

— Taak! A Baublattowa!

Radlicz skoczył, jakby mu kto nadeptał na odciski.

Baublattowa była to podżyła<sup>340</sup> piękność wschodnia, nieszczęsny, fatalny kaprys sprzed kilku lat, wstyd i śmieszność całej jego kariery miłosnej. Spojrzał wściekły na drwiącą twarz Ocieskiej.

— Żebyś wiedział, kto mi tę babę przylepił!

— Tak, to była nieudana fantazja. Chyba jako studium *die Walpurgisnacht*<sup>341</sup>.

— Ależ to fałsz, u licha!

— No, no, szanowny artysto, nie mnie okłamujcie, bom was widziała pewnego majowego wieczoru w Łazienkach. Wysiedliście z powozu za mostem nad stawem i...

— A cóż pani robiła po nocy w Łazienkach?

— Hm, może byłam z kochankiem. W każdym razie nie profanowałam cudnej nocy księżycowej i słowicznych pieśni gruchaniem z takim poronionym bożym tworem jak Baublattowa.

— Pani jesteś oprawcą! — zaśmiał się Radlicz, widząc, że się przed nią nie wyklamię.

W tej chwili zapukano do drzwi i weszła Kazia. Zeszczuplała i zbieła przez te parę miesięcy miejskiego życia, zdyszana była i zawołała od progu:

— Spóźniłam się, myślałam, że wcale się nie uwolnię. Wie pani, Kostyński umiera!

Spostrzegła Radlicza, zawahała się chwilę, podała mu rękę.

— Mówiono mi, żeś pan wyjechał.

— Zapewne Wolskie. Co prawda, od trzech dni nie wychodzę na miasto; pracuję.

— Nie, Wolskie zajęte są teraz doktorem Downarem! Boże, com się naśmiała! One jutro coś wymyślą na mego teścia!

— Cóż wymyśliły na Downara? — spytała Ocieska.

— Ano, zawsze jedno. Downar ma romans!

Ocieska ruszyła ramionami.

— Słyszałem już o tym — zaśmiał się Radlicz. — Downar ma mieć kawalerskie mieszkanie, gdzie odprawia orgie. Panie w to nie wierzą, ja owszem! Żebyś miał taką Downarową za żonę, miałbym nie jedno, ale trzy kawalerskie mieszkania i do domu wcale bym nie zaglądał.

— A ja, co Downara dobrze znam — odparła Ocieska — to ręczę, że gdyby go pod szubienicę prowadzili, a najcudniejsza z kobiet mu rzekła: weź mnie, a nie będziesz wisiał, toby katowi pomagał stryczek zakładać, byle prędzej skończyć.

— Ja zaś nie rozumiem, w czym Downarowa jest gorsza od innych — rzekła Kazia. — Skrzętna, radna<sup>342</sup>, porządna kobieta. Widuję ich często, a nigdy nie byłam świadkiem żadnej przykrej sceny.

— Do sceny potrzebny dialog. Więc gdy ona piłuje i miota się, a Downar milczy, nie ma pełnego efektu. Wypije pani kawę? — rzekła Ocieska.

— Wypiję. Mamy jeszcze czas.

— Panie idą w Aleje?

— Tak. Wtorek u pani Ramszycowej.

Odpowiedziała, nie patrząc na niego, chociaż czuła, że oczu z niej nie spuszcza. Zdjęła kapelusz i rękawiczki i odebrała z rąk Ocieskiej filiżankę.

<sup>340</sup>podżyty (daw.) — starszy, podstarzały. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>*die Walpurgisnacht* (niem.) — noc Walpurgi, nazwa nocy z 30 kwietnia na 1 maja, daw. pogańskiego święta. Święto to zaczynało się w przeddzień ogłoszonego później dnia św. Walburgi (Walpurgis), stąd nazwa. W folklorze niem. podczas nocy Walpurgi miał odbywać się zlot czarownic na górze Brocken, najwyższym szczycie masywu Harz. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>radny (daw.) — umiejący sobie radzić, zaradny. [przypis edytorski]

— Sama sobie usłużę! — zaśmiała się. — Uważa pani, jak się zasługuję, bo mam prośbę.

— Co, znowu dobroczynna karota<sup>343</sup> pani Markham?

— Broń Boże. Myślę o małej Kostyńskiej!

— Mam ją adoptować!

— I owszem, jeśli tego będzie warta. Tymczasem spróbować, czy warto ją kształcić na artystkę.

— Żeby popełniała w przyszłości takie kryminaly<sup>344</sup>, jak malowane ekrany, patery<sup>345</sup>, poduszki i tym podobne ohydy, które ją doprowadzą do głodowej śmierci, a ludzkość do kompletnego zaniku poczucia arcyzmu! Winszuję! Ja mam do tego pomagać<sup>346</sup>!

Kazia zaśmiała się serdecznie.

— No, nie! Zapobiec raczej, jeśli nie ma talentu. Kostyński wszystkie troje dzieci mi oddał pod opiekę; biedak, umiera spokojny o ich los.

— Wierzę. Żeby był umarł, zanim się ożenił, jeszcze lepiej by zrobił! — mruknęła Ocieska.

— Kto jest Kostyński? — spytał Radlicz.

— Biedny grajek z orkiestry, wdowiec, suchotnik<sup>347</sup>. Lokator z naszego domu.

— I w myśl zasady: nic w naturze nie ginie, autor trojga młodocianych suchotników — odpowiedziała Ocieska.

Kazia uderzyła ją rękawiczką po rękę.

— Nie szydzić z ludzkiej nędzy! Zresztą dzieci zdrowo wyglądają. Starszego chłopca umieściłam w szkole handlowej, drugi ma zajęcie w redakcji. Dziewczynką pani się zajmie. Jeśli ma talent, tu zostanie, w przeciwnym razie mam dla niej lokatę<sup>348</sup> w Galicji.

— Niech mi ją pani przyśle jutro! — z westchnieniem zwalzonego egoizmu i lenistwa rzekła Ocieska.

— Dziękuję. Pani pozuje na nieużyta, ale już się na tym poznałam! — uśmiechnęła się Kazia.

Piła kawę, śpiesząc się. Widocznie denerwował ją uporczywy wzrok Radlicza.

— Pani już nie bywa konno w Alejach? — rzekł.

— Owszem, co dzień, tylko zmieniłam godzinę, żeby nie spotykać znajomych.

Było to dobitne. Dla złagodzenia dodała:

— Słyszał już pan Cafieri?

— Tak! W *Cavallerii*<sup>349</sup> i jestem zachwycony.

— My mamy być pojutrze na *Carmenie*<sup>350</sup>.

— Bardzo nowa, świeżutka opera! — zaśmiała się Ocieska.

— Dla mnie będzie nowa. Byłam w życiu trzy razy na operze.

— Nie może być!

— A najwyżej dziesięć razy w teatrze.

— Żartuje pani?

— Nie. Doprawdy. Nie miałam kiedy używać tej rozrywki. Jestem przecie dziką wieśniaczką.

— A teraz? Woli pani wieczory w domowym kółku?

— Tak. Wolę samotność i ciszę niż gwar i tłum. Nie nudzę się nigdy sama ze sobą, a często z ludźmi, nawet bardzo zabawnymi.

To było znowu dobitne i cięte i znowu dla złagodzenia dodała:

— Zresztą mało mam wolnych wieczorów. Wtorki u pani Ramszycowej, czwartki u Markhamów, niedzielę u Dąbskich, w sobotę sami przyjmujęm. Dodać do tego różne

<sup>343</sup>karota (z fr.) — wyludzanie, naciąganie na wydatek. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>kryminal — tu: zbrodnia, przestępstwo. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>patera — rodzaj płaskiego naczynia na nóżce. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>mam do tego pomagać — dziś: mam w tym pomagać. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>suchotnik (daw.) — gruźlik. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>lokata (daw., z łac. *locatus*: umieszczony) — miejsce, pomieszczenie, mieszkanie. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>*Cavalleria*, właśc. *Cavalleria rusticana* — *Rycerskość wieśniacza*, opera wł. kompozytora Pietro Mascagniego (1863–1945) z 1890 r. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>*Carmena* — dziś popr.: *Carmen* (ndm), opera fr. kompozytora Georges'a Bizeta (1838–1875) z 1875 r. [przypis edytorski]

sesje teścia i fabrykę męża, na teatr już nie ma czasu. No, już idę — zakończyła, wstając i naciągając rękawiczki.

Radlicz powstał także i pożegnał panie.

Zaraz za nim one wyszły. Przed bramą czekał powóz.

— Phi, taka parada! — rzekła Ocieska.

— *Idée fixe*<sup>351</sup> mego teścia — odparła Kazia. — Przyśniło mu się, że mnie tramwaj przejechał, i nie pozwala wieczorem iść pieszo. Co prawda i ja się boję ulicy. To dziwne, u siebie na wsi nie wiedziałam, co strach. Bywałam wśród piorunów w polu, na cmentarzach w noc ciemną, błądziłam w zadymkę, unosiły mnie konie, gonił rozszalały byk, nigdy nie doświadczyłam tej zgrozy i lęku, jak tu, gdy mi parę razy się trafiło wracać późnym wieczorem wśród ludzi.

— Ba! W tym właśnie różnica. Tam się ma do czynienia z Bogiem i ze zwierzem, tu z ludźmi. Tamto może zabić, zniszczyć, to czasem też zabija, ale rzadko, a zawsze brudzi. Co Radlicz pani zawinił? — spytała nagle.

— Właściwie nic! Jest jak wszyscy, tylko bardziej cyniczny — odparła z niesmakiem.

— Byłam z nim szczerą i swobodną: źle to pojął, posunął się za daleko, musiałam go z błędu wyprowadzić, no i zemścił się obmową!

Ocieska potrząsnęła głową,

— Obmówił panią — ha, może być, ale wątpię!

— Chyba zły jego język jest dość sławny.

— Tak. Ten dla konceptu wszystko sprzedaje.

— Zresztą, co tu jest innego jak obmowa — wybuchnęła Kazia. — Dlaczego ludzie się znają, odwiedzają, bywają w teatrze, na koncertach, wydają rauty<sup>352</sup>, nawet uprawiają dobroczynność, sport, nabożeństwo, tylko żeby się obmawiać, żeby wynaleźć nowinkę, żart, plotkę, i tylko mieć pastwę dla obmowy. Wie pani, od paru miesięcy, gdy tu jestem, nie słyszałam jeszcze jednego dobrego słowa, pochwały lub uznania. Jeśli nie kryminał, to skandal, jeśli nie skandal, to brudne podejrzenie i insynuacja podła, zresztą drwina i śmieszność. Kogo nie można stawić<sup>353</sup> pod pręgierz, tego chociażby oplwać lub wyszydzić! Obmawiają mężczyźni, zda się poważni i zapracowani, obmawiają matrony kwestujące<sup>354</sup> w kościele, obmawiają młode panny i kawalerowie, dzieci obmawiają w Saskim Ogrodzie. To jest reguła bez wyjątków!

— Owszem. Tam, gdzie jedziemy, nikt nikogo nie obmawia.

— Tak, tylko tam! — odetchnęła Kazia. — Zresztą, słuchając tych ludzi, którzy się uśmiechają, ściskają i całują, myśli się już nie z oburzeniem, ale ze zgrozą, czy ci ludzie mają jeszcze sumienie i gdzie ich wstyd i etyka.

— A co jest najstraszniejsze, że kto tam wpadnie i żyć wśród nich musi, zrazu się przerazi, potem się oburzy, potem zobojętnieje, potem się zarazi i wreszcie staje się jak wszyscy. Jedni przez bierne nasłuchanie, inni ze strachu, inni przez zemstę. Oplwani plują także.

Kazia potrząsnęła głową, spojrzała prosto, jasno w oczy Ocieskiej.

— Ja nigdy, bo coraz mi wstrętniejsze, coraz dalej się od nich odsuwam, coraz więcej mam niechętnych. Zostanę wreszcie sama — ale plwać przy sobie nie pozwolę i sama plwać nie będę.

— Ale oplwaną pani będzie.

— Już jestem i będzie jeszcze gorzej. Kobiety jedne nie mogą mi darować, żem zrobiła świetną partię! Świetną! — powtórzyła ironicznie. — Drugie, że bronie obmawianych i prostuję fakta. Mężczyźni, znając moje domowe stosunki, pewni, że nikt się za mną nie ujmie, pozwalają sobie tymczasem pochlebiać i zaczepiać, potem będą się mścić za porażkę. Przygotowanam na wszystko, nawet na utratę opinii, na śmieszność, na wszelkie oszczerstwa. Ale wśród tych ludzi mnie nie pomieszczą ani ta zaraza mnie nie ogarnie! Obcą tu byłam i obcą zostanę.

— Amen! — rzekła Ocieska, podając jej rękę. — Samą pani nie zostanie. Bywa nas przecie pięcioro tutaj!

<sup>351</sup>*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>*raut* — oficjalne przyjęcie wieczorne. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>*stawić* — tu: postawić. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>*kwestować* — zbierać datki na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

Powóz stanął. Wsiadły i Kazia rzekła do stangreta:

— Jedźcie, Walenty, po pana na Wiedeński<sup>355</sup>. Jeśliby zatrzymał was, to wróć do różką, jeśli nie, bądźcie tu o dziesiątej.

— Mąż pani wraca co wieczór? — spytała Ocieska.

— Prawie co dzień. Dziś będzie niezawodnie, bo jutro ślub Markhama.

— Tak prędko!

Weszły do przedpokoju, potem do małego saloniku, gdzie już zastały resztę towarzystwa.

Ramszycowa, zawsze czynna, robiła koronkę. Dwóch mężczyzn: doktor Downar i młody podróżnik i botanik Sokolski rozmawiali o biegunie południowym, przy bocznym stoliku mała Lili pod opieką Angielki przeglądała ilustracje.

Na widok wchodzących dziewczynka zerwała się z radosnym okrzykiem i poskoczyła do Ocieskiej. Ta ją podniosła z ziemi, ucałowała i trzymając na rękach, powitała resztę towarzystwa, podczas gdy Lili świergotała, despotycznie ją skubiąc w ramię.

— No, i co się stało dalej z tym żukiem? Skończysz, chodź do nas — o tam — do tego stolika. *Miss*<sup>356</sup> niech sobie idzie. Ty będziesz ze mną.

— Lili! Wynos się lub siedź cicho! — zawołała Ramszycowa.

Lili umilkła, położyła paluszek na ustach, uśmiechnęły się do siebie z porozumieniem i usiadły opodal pod lampą, u stołu z rysunkami. Angielka podała Ocieskiej zeszyt, gdzie były jej ilustracje do historii o awanturczym żuku. Lili usadowiła się wygodnie na jej kolanach, wlepiła oczy w ołówek i słuchała cudnej bajki.

Ramszycowa spojrzała w tę stronę i rzekła do Kazi z uśmiechem:

— Idź, powiedz jej, że lubi dzieci, to się obrazi jak o największy afront<sup>357</sup>.

Doktor Downar zbliżył się do Ocieskiej i spytał:

— Nie miała pani listu od Kazimierza?

— Owszem, wczoraj.

— Cóż u nas słychać? — pytał, zniżając głos.

— Bahnicki wisi na włosku. Marszałkowa umarła. Dowojna się żeni. U pana Floriana dzieci chore na szkarlatynę.

— Przez to i nie pisze! — mruknął Downar, który, gdy się nie pilnował, zawsze popełniał prowincjonalizmy. — Bahnickiemu pan Kazimierz zginąć nie da. Niechajże i do mnie napisze, ile trzeba, ale do pani adresując. A kogo bierze Dowojna?

— Suliską.

— To i dobrze. Marszałkowej szkoda, i zły, i dobry na nią się oglądał i rachował!

— No, i co żuk zrobił, jak go wróbelek złapał? — dopominała się Lili.

Downar powrócił na swe poprzednie miejsce.

— Opowiadają, że profesor cudu dokonał, operując Rudnickiego — rzekła Kazia.

— Ot, gadanie! — odparł Downar. — Będzie cud, jak wyżyje.

— A co mu jest? — spytała Ramszycowa.

— Wczoraj się pojedynkował i dostał postrzał w bok.

— Rudnicki, mąż tej pięknej pani Rudnickiej?! — zawołała Ocieska. — Onegdaj była u mnie! Malowałam jej portret. Z kim się pojedynkował?

— Z jakimś Ossorią, kolegą z biura u Goldmarka.

— A naprawdę, jeśli umrze, zabójcą będzie społeczeństwo! — rzuciła gorąco Kazia.

Downar potakująco skinął głową.

— Rudnicki pracą i zdolnością wybił się nad tłum, z niskiego urzędnika został szefem biura Goldmarka, jego prawą ręką. Nikt mu nic zarzucić nie może, ale przecie nie wolno uznać cnoty i zasługi, pochwalić, zostawić chociażby w spokoju. Ponieważ jego opinii nie sposób było zbrudzić, zbrudzono opinię jego żony, bo przecie nie ma i być nie może kobiety uczciwej, a już piękna kobieta musi być bez czci.

— A to jest łgarstwo — rzekł Downar — bo Rudniccy się kochają, i jak najlepiej żyją!

<sup>355</sup> *Wiedeński* — tu: dworzec kolejowy w Warszawie, zbudowany w 1845 dla Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, ob. nieistniejący. [przypis edytorski]

<sup>356</sup> *miss* (ang.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>357</sup> *afront* — obraza, zniewaga. [przypis edytorski]

— Ale to nie przeszkadza, że dla Warszawy Rudnicka ma romans z Goldmarkiem, a mąż temu zawdzięcza karierę.

— Z Goldmarkiem! — uśmiechnął się Downar. — Toć on ma tabes<sup>358</sup> i ledwie żyje. Ech! — I ręką machnął pogardliwie.

— Ossoria to paniczek, którego przez protekcję wpakowano do biura. Nic nie chciał robić, wreszcie prawie nie przychodził, tylko po pensję. Rudnicki dał mu dymisję, ten mu odpowiedział obelgą na żonę i teraz go może zabił dla dokończenia honorowego rachunku!

— A choćby żył, co lepszego! — ruszyła ramionami Ramszycowa i sięgnęła po notatnik na biurku. — Gdzie oni mieszkają? — spytała.

Kazia powiedziała adres.

— On leży u mnie w klinice. Tam niech pani przyjdzie — dodał Downar.

— Skąd pan wie, że mam być?

— Bo to do pani podobne.

Sokolski, milczący dotąd, odezwał się.

— Jak to dobrze, że nie mam żony ni przyjaciół.

— Dlaczego? Że pana ludzie nie obmówią! — zaśmiała się Ocieska. — Za pozwoleniem, cała Warszawa wie, że pan wcale ani w Kongo, ani pod biegunem nie był, tylko trzy lata siedział w Wiedniu, wertował podróżnicze książki i tam czerpał materiał do swych opisów i odczytów!

Sokolski szeroko otworzył oczy.

— Ja? W Wiedniu? — wyjąkał zdumiony.

Wszyscy parsknęli śmiechem z jego miny i Ramszycowa dodała:

— Dość o ludziach. Lili, marsz spać!

Doktor spoglądał żałośnie na fortepian.

— Zaśpiewa nam pani Sanicka, potem ja zagram, żebyśmy zgrzytu zapomnieli.

Lili spojrzała żałośnie na rysunki, ale usłuchała bez protestu. Zniknęły z Angielką.

Kazia, nie dając się prosić, usiadła przy fortepianie, zaśpiewała parę pieśni Moniuszki. Głos miała czysty i silny, mało uczony, ale słuchacze nie myśleli o krytyce, cieszyli się melodią w milczącym skupieniu.

Gdy skończyła, Ramszycowa podziękowała jej uśmiechem. Downar tak był zamyślony, że nawet się nie poruszył, Ocieska rzuciła, mrucząc:

„Tam byłby raj, tam byłby raj, żebyś ty ze mną była”<sup>359</sup>.

Sokolski miał minę wniebowziętą.

W tej chwili, gdy Kazia jeszcze przegrywała melodię, lokaj otworzył drzwi i zaanonsował<sup>360</sup>:

— Pan Andrzej Sanicki!

Ramszycowa podniosła głowę zdziwiona:

— Proś! — rzuciła, wstając.

Fortepian umilkł w pół akordu.

Andrzej wszedł, powitał wszystkich i rzekł do żony:

— Przyjechałem po ciebie.

— Ojciec zachorował? — spytała, blednąc.

— Zdrow. Nic strasznego, głupia historia!

Skrzywił się. Chwilę rozmawiał potocznie, wreszcie wstał i rzekł do Ramszycowej:

— Pani daruje, że tak wpadł i żonę porywam. Cudzy kłopot, gorzej czasem własnego<sup>361</sup>.

— Zapewne dlatego, że pan pierwszy raz w życiu tego doświadczasz! — rzekła złośliwie.

— I oby ostatni! — odparł.

Zaledwie wsiedli do powozu — rzekł:

<sup>358</sup> *tabes* — porażenie rdzenia kręgowego, objaw kily. [przypis edytorski]

<sup>359</sup> *Tam byłby raj, tam byłby raj, żebyś ty ze mną była* — fragm. kompozycji Moniuszki do wiersza Mickiewicza *Do H \*\*\* (Wezwanie do Neapolu)*; tekst nieznacznie zmieniony, u Mickiewicza: „Tu byłby raj”, w dwu pierwszych strofach: „Tam był mi raj”. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *anonować* — zapowiadać, ogłaszać czyjeś przybycie. [przypis edytorski]

<sup>361</sup> *gorzej (...)* *własnego* — dziś: gorzej od własnego. [przypis edytorski]

— Małżeństwo Markhama zerwane!  
 — Taak? — mało ją to obeszło. — Spodziewałam się.  
 — Skąd? To ta przekłeta Dąbska naplotkowała. Teraz co robić? Markham siedzi u nas i desperuje<sup>362</sup>. Ojciec mnie po ciebie posłał. Co tu na to poradzić?  
 Pierwszy raz zwracał się do niej po radę. Ruszyła ramionami.  
 — Ja się w ogóle dziwię, jak w tym steku plotek może się bodaj jedno małżeństwo skojarzyć.  
 — Czego te baby chcą od Markhama? Chłopak porządny, bogaty, solidny. Dwa kar-nawały odtńczył, dwa sezony odrautował. Zasypana była kwiatami i cukrami<sup>363</sup>, służył jak Murzyn, dziesięć tysięcy rubli wpakował w konkury i urządzenie domu, a w przed-dzień ślubu stara pisze, że dziecka nie ma na sprzedaż, że wobec uwłaczających wieści musi zobowiązanie uważać za zerwane i odsyła pierścionek. Trzeba być starą histeryczką, żeby podobną rzecz zmalować. A ten osioł Markham, zamiast plunąć i losowi podziękować, desperuje jak student. Jak się zaręczał, nie był zajęty, raptem zakochał się, idiota.  
 — Ale z tą aktorką nie zerwał — rzekła Kazia spokojnie.  
 — Zapewne zerwał, a zresztą co im do tego? Panna nie powinna o tym wiedzieć ani nawet rozumieć. Jeśli o to się małżeństwo rozejdzie, nie on, lecz ona się skompromituje.  
 — A jeśli ona go kocha i będzie wołała tę kompromitację, jak taki podział uczucia i upokorzenia?  
 — Ech, zwracanie głowy tą miłością! Ona chce wyjść za męża, zrobić partię...  
 — A on chce dostać pięćdziesiąt tysięcy na fabrykę. Dla takiej sumy można choć na czas jaki nie mieć aktorki na utrzymaniu. Nie żenować się<sup>364</sup> wolno tylko żony bez posagu. Tysiące chcą względów i stawiają warunki.  
 Spojrzał na nią.  
 — Dowodzenie kobiece kończy się zawsze ukrytym: ja!  
 — Nie moje. Dziękuję Bogu, że pan dla mnie nie ma względów. Jak się nie kocha, to szczęście. Wracając do Markhama, służę pośrednictwem: pojedę do Dąbskich i zbadam kwestię.  
 Powóz stanął. Prezes spotkał ich w przedpokoju i odetchnął:  
 — To ci chryja dopiero. Markham siedzi nad listem i pierścionkiem i ma minę samobójcy.  
 Kazia weszła do salonu. „Samobójca” zerwał się na jej widok i podał w milczeniu list. Przeczytała, pokręciła głową i rzekła:  
 — Bardzo panu chodzi o pojednanie?  
 — No jakże! — wybuchnął. — Ślub zamówiony, ogłoszenia rozesłane, goście się zejdą. Pół Warszawy będzie. Trzeba nie mieć sumienia, żeby kogoś na taką śmieszność narazić!  
 — Aha! — uśmiechnęła się ironicznie. — I piramidy obstalowane! No, wobec tego jadę do Dąbskich.  
 — Wiesz co, jedź i ty z nią! — rzekł prezes do Markhama, rad się pozbyć „samobójcy” z domu. — Zaczekasz w karecie. Jeśli jej się misja uda, to cię zawoła, a nie, no to...  
 — *Va te pendre ailleurs!*<sup>365</sup> — szepnęła mu w ucho złośliwie Kazia. Ucałowała starego i wyszła.  
 Gdy zostali sami z synem, prezes rzekł:  
 — Ona te baby przyprowadzi do opamiętania. Co? Może myśmy nie lepiej się urzą-dzili? Cicho, prędko, spokojnie. I szczerze złoto dostaliśmy.  
 Andrzej milczał.  
 — Małuczko, a będą nam zazdrościć. Kobięcina z każdym dniem pięknieje, nabiera szyku i taktu.  
 — I złego języka! — mruknął Andrzej.  
 — To dobrze. Nie da się! Bałem się, że będzie za pokorna i nieśmiała.  
 — Nie ma obawy. Kąsać potrafi.  
 — To dobrze! Niech jej nie zaczepiają.

<sup>362</sup>*desperować* — rozpaczać. [przypis edytorski]

<sup>363</sup>*cukry* (daw.) — słodycze. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*żenować się* — krępować się. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*Va te pendre ailleurs!* (fr., pot.) — dosł: idź się powieś gdzieś indziej. [przypis edytorski]

— I owszem! Ale i mnie może zbraknąć cierpliwości słuchania impertynencji!  
— Tobie! A to ci tylko wstyd, że nie masz nic lepszego. Nie znajdziesz takiego, co by tobie współczuł.

— Ja też współczucia nie pragnę, ale spokoju.

— Spokoju ci jeszcze brakuje! Pokaż mi dom w Warszawie, gdzie by był ład i spokój, jak u nas!

Andrzej coś zamruczał i wyszedł do swego gabinetu. Wrócił po chwili i począł odczytywać całodzienną korespondencję. Prezes wziął się do gazet, ale co chwila na zegar spoglądał.

Nareszcie o dziesiątej rozległ się dzwonek.

— No, i cóż? — zawołał niecierpliwie.

— Piramidy się nie zmarnują, gapie mogą iść do Wizytek<sup>366</sup>! Co to, panowie jeszcze nie pili herbaty! Józefie, dlaczegoście nie podali?

— Ja kazałem czekać na ciebie, córuś! Opowiadaj, jak się to odbyło. Coś tak zdyszana?

— Biegłam tak, żeby się schronić od plotek i gawęd! Brr! Tom użyła. Wpadłam jak między podkurzone osy.

Weszła do jadalni i krzątając się około herbaty, opowiadała:

— Więc, niech no przypomnę, bo tyle tego! Więc *mówią*, że Dąbska nazwała Markhamów Żydami; *mówią*, że Markhamowa powiedziała, że łaskę robią, przyjmując jakąś tam pannę Zaleską do rodziny; *mówią*, że Markham powiedział, że się żeni, bo go złapano; *mówią*, że stara Zaleska miała romans z ogrodnikiem; *mówią*, że posag pójdzie na długie kawalerskie Markhama; *mówią*, że Emilka ma gors<sup>367</sup> fałszywy — za to ostatnie najtrudniej mi ją było przebłagać i wyperswadować! Ale *kto mówi, kto słyszał* od samej Markhamowej, od Markhama, tego naturalnie nie ma.

— A to, coś mnie wspominała, że *mówią*? — spytał Andrzej. — O tym pewnie nie było wzmianki.

— Owszem, ale to pozostało do załatwienia samym interesowanym. Emilka płacze, Markham przysięga, tak ich zostawiłam. Reszta rodziny wyczerpana gadaniem spoczęła na laurach!

Usiadła na swym miejscu naprzeciw Andrzeja, spojrzała na niego, zawahała się chwilę i wreszcie rzekła:

— Wracalam z bezmierną przyjemnością do domu. Wdzięczna, że nie byłam oszukana tu ani okłamana. Jak się tamto widzi i słyszy, ma się cześć dla prawdy, jaka by ona była!

Andrzej poczerwieniał.

„Doczekał się przecie komplementu<sup>368</sup> — pomyślał prezes — ale go łyka z niesmakiem”.

— No, córuś! — rzekł głośno. — Szykuj się tedy na ślub i wesele, któreś doprowadziła do skutku.

— Ale, prawda, mają być tańce! — zawołała. — Trzeba będzie trzy razy zmieniać toalety, a że Tuni jeszcze dwie nie gotowe, popłoch tam straszny.

— Wyobrażam sobie! — zaśmiał się Andrzej. — Ręczę, że Dąbski drapnął aż pod Radom!

— A twoje suknie gotowe? — spytał prezes.

— Już od tygodnia.

— A rachunek? Kazałaś mi przysłać?

— Już zapłaciłam. Miałam oszczędności.

— Osobliwość. Za biletami będą cię pokazywać. Miewasz oszczędności, płacisz sama krawcową! Ale, ale, co mi dziś gadał rządca. Rewolucję robisz w kamienicy. Kazałaś zdjąć kartę na mieszkanie<sup>369</sup> Kostyńskiego, osiedliłaś tam jakąś jejmość nad dziećmi.

<sup>366</sup> *Wizytki* — tu: kościół Wizytek w Warszawie, przy ulicy Krakowskie Przedmieście, barokowy, z bogatym w zdobienia wnętrzem, wraz z amboną w kształcie dzioba łodzi, wyposażoną w maszt z żaglem, sieci i kotwicę. [przypis edytorski]

<sup>367</sup> *gors* — tu: biust, piersi. [przypis edytorski]

<sup>368</sup> *komplement* (daw.) — komplement. [przypis edytorski]

<sup>369</sup> *karta na mieszkanie* — ogłoszenie o mieszkaniu do wynajęcia. [przypis edytorski]



— Już i rządca robi plotki. Kostyński jeszcze żyje, za mieszkanie zapłacił, dla dzieci sprowadził opiekunkę. Ja w tym nie figuruję<sup>370</sup>.

— No, no! Już ja wiem, że jak się słuch o tym rozejdzie, na przyszły kwartał wszystkie sutereny, strychy i oficyny spadną na twą głowę i kieszeń! Zobaczymy prędko dno tych oszczędności!

— Tatusz myśli, że ja nie wiem, kto zajmuje sutereny i strychy! O, doskonale wszystkich znam, lepiej jak rządca, stróż i cyrkuł<sup>371</sup>. Wiem, kto może płacić, a kto nie.

— Skąd ty bierzesz czas na to wszystko!

— Ja? A cóż ja właściwie robię? Nawet już na swój chleb przestałam zarabiać, jak w Górowie. Bawię się — jutro wesele, pojutrze opera, w sobotę raut.

— Ładne masz suknie?

— Może tatuś chce obejrzeć? Ale bilety płatne.

— Grubo?

— Słowo tatusia do rządcy, żeby nie sprzedawano maszyny tej szwaczce<sup>372</sup>. Po pierwszym zapłaci.

— Hm! Po pierwszym, jak ty weźmiesz trzysta rubli. Rozumiem! No, pokaż suknie.

Położył rękę na jej włosach i pocałował w czoło.

Wtem Andrzej się odezwał.

— Wiele trzeba tej szwaczce?

— Siedemnaście rubli.

— To ja je płacę!

— Chcesz także stroje obejrzeć? — zaśmiał się prezes.

— No pewnie. Będziemy przecie razem występować. Jeśli są brzydkie i niegustowne...

— Toś się za późno obejrzał. Trzeba było być przy obstalunku — rzekł ojciec.

— Trudno zrobić coś, o czym się nie wie.

— Trudno też wiedzieć, o czym się nie myśli — mruknął prezes, idąc za Kazią na schody.

Otworzyła szafę i dobyte stroje. Obejrzeni i prezes rzekł:

— Za skromne. Widać, że z oszczędności kuchennych.

— Ujdą — zdecydował Andrzej — ale odtąd masz otwarty kredyt u Hersego<sup>373</sup>. Nie chcę więcej tandety podszewkowej.

Nic nie odrzekła. Złożyła na powrót suknie.

— No, a teraz, cóż ja mam płacić? — spytał prezes wesoło. — On mnie wyręczył.

— To bardzo źle, bo ja miałam inny zamiar.

— Co takiego?

— Mam biedaka bez zajęcia. Ślepy na jedno oko, był dwa miesiące w szpitalu. Może by znalazł zajęcie w fabryce?

— Z żoną i sześciorgiem małych dzieci!

— Nie, tylko troje!

— Tylko! — uśmiechnął się. — Niech się zgłosi, wezmę go!

Spojrzała na niego pocziwie, wdzięcznie i zrobiło mu to przyjemność.

— Tak, ale to wszystko ja, a ojciec co? — zagadnął.

— Czekam. Ojciec da stróżowi dwa ruble miesięcznie, bo mu się onegdaj urodziło siódme dziecko.

— Cóż ja temu jestem winien? — oburzył się komicznie prezes. — No, stało się, dam, ale mu zapowiedz, że za ósme i tak dalej będę zmniejszał po rublu. No, i patrzcie, jak ta kobieta umie robić interesa. Z jednej maszyny naciągnęła trzy! Zmykam!

Pocałował ją serdecznie i wyszedł.

Andrzej chwilę pozostał, wreszcie rzekł krótkie: „Dobranoc” i Kazia została sama.

Włożyła na powrót stroje do szafy, popatrzyła na nie z niesmakiem, zamyśliła się, wydobyła z głębi tekturowe spore pudełko, postawiła na stole i obejrzawszy się, że drzwi

Tęsknota, Wieś

<sup>370</sup> *figurować* (daw.) — uczestniczyć, brać udział w czymś. [przypis edytorski]

<sup>371</sup> *cyrkuł* — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>372</sup> *żeby nie sprzedawano maszyny tej szwaczce* — tu: żeby nie sprzedawano maszyny tej szwaczki. [przypis edytorski]

<sup>373</sup> *Herse* — pot.: ekskluzywny dom mody założony przez Bogusława Hersego w Warszawie. [przypis edytorski]

zamknięte, otworzyła. Uderzył ją zapach ziół suchych, zapach skoszonych łąk, zżętych zbóż. W pudełku był olbrzymi pęk kłosów i polnych kwiatów, a na tej pościeli leżał złożony starannie jej roboczy strój górowski: błękitna płócienna bluza, skórzany pasek, prosty słomiany kapelusz. Popatrzała długą chwilę na „stroje”, potem przyłożyła twarz do kwiatów, wciągając chciwie w nozdrza ich zapach, i tak pozostała myślą bardzo daleko i od wesela Markhama, i od kredytu u Hersego, i nawet od swych dobroczynnych zajęć.

## VI

Pewnego dnia w późnej jesieni Andrzej wracał o zmroku z Grodziska, gdzie w fabryce spędził cały tydzień. Może widok młodej pary małżonków nastroił go sentymentalnie, ale wracając, marzył o pani Celinie i wprost z dworca do niej zajechał.

Zastał ją w buduarze samą, nie wstała z fotelu, leniwie podała mu rękę.

— Cóż to, nielaska? — spytał z uśmiechem.

— Chociażby, nie udawaj, że cię to obchodzi! — odparła, cofając rękę od pocałunków.

— O, widzę, że moja pani się dąsa. Za co? Com zawinił?

— Nic, nudzę się. Wyjeżdżam do słońca. Humor mam jak to niebo tutejsze. Po com tak długo siedziała, nie rozumiem. Nie było dla kogo ani dla czego.

Spojrzał na nią urażony, zmrożony tym przyjęciem, tak różnym od spodziewanego. Czuł, że będzie „scena”, której nienawidził.

— Czy się coś w twym życiu zmieniło? — spytał z wymówką.

— Pytasz? A cóż z dawnego pozostało?

— No! Chociażby ja! — odparł, starając się nadać ton żartobliwy. — Czy ja już nie wystarczam?

— Ty — alboż ty jesteś dla mnie? *Non, mon cher!*<sup>374</sup> Straciłam cię od lata. No, i nic dziwnego: młoda żona, obowiązki światowe i rodzinne względy, zresztą: *le foyer, l'alcôve conjugale*<sup>375</sup>, to absorbuje. Mężczyźni stworzeni są na pasterzy i hodowców gęsi. Gdy jedną posiadają na własność, marzą o stadku.

Andrzej brwi zmarszczył.

— Może być — nie wiem! Gęsi nie mam i nie pasę — odparł.

— *Tiens!*<sup>376</sup> Już się obrażasz za żonę. Już mi jej tknąć nie wolno! — zaśmiała się szyderczo.

— Nie wiem, dlaczego o niej mówić mamy. Jest to przedmiot dla obojga nas niemiły.

— A o czymże mówić? Wszystko na tym się skończy. Od lata stosunek nasz zeszedł na nic. Nie bywamy razem w teatrze, nie wychodzimy, nie pokazujemy się ze sobą, rzadko kiedy widuję cię w piątce. Nie wypada, nie wypada! Musiałam tamtej ustąpić we wszystkim, wszędzie.

— Tylko nie w moim sercu!

— Phi! Mała pociecha, gdy duma cierpi.

— Zapominasz, że ci wielokrotnie ofiarowywał swe nazwisko. Nie chciałaś być żoną.

— Nie. Zanadto wielbię i znam miłość, *pour prendre mari*<sup>377</sup>. Zresztą zanadto ciebie wtedy kochałam. Wzdrygałam się na samą myśl, by nasze uczucie miało za akompaniament kuchnię, jadalnię, komerażę<sup>378</sup> kumoszek i sypialnię uświęconą kościelnym kadzidłem. Nie, nie, tej profanacji swemu bóstwu nie uczynię.

On w tej tyradzie<sup>379</sup> zauważył jedno tylko zdanie i powtórzył:

— Wtedy mnie kochałaś! Mówisz, jak o przeszłości.

— *Mon Dieu!*<sup>380</sup> tak się wyraziłam. Łapiesz za słowa jak na śledztwie. Zresztą, uderz się w piersi, czyś ty mnie także nie kochał bardziej jak teraz. Pięć lat to bajecznie długi okres dla miłości.

— Moja pozostała bez zmiany.

Cień jakby niesmaku i zniecierpliwienia przemknął po twarzy kobiety.

<sup>374</sup>*Non, mon cher* (fr.) — nie, mój drogi. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>*le foyer, l'alcôve conjugale* (fr.) — domowe ognisko, sypialnia małżeńska. [przypis edytorski]

<sup>376</sup>*Tiens!* (fr.) — słuchaj; spójrz. [przypis edytorski]

<sup>377</sup>*pour prendre mari* (fr.) — żeby wyjść za mąż. [przypis edytorski]

<sup>378</sup>*komeraż* (daw.) — intryga, plotka. [przypis edytorski]

<sup>379</sup>*tyrada* — długa wypowiedź, zwł. podniosła lub gwałtowna. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>*Mon Dieu* (fr.) — mój Boże. [przypis edytorski]

— Zdaje ci się. Ja widzę ogromną różnicę i czuję, że coraz bardziej staję się przeszłością. *Enfin*<sup>381</sup>, trzeba umieć umrzeć z godnością, ustąpić nowej gwiazdzie.

— Celu, dlaczego to mówisz, nie wierzysz, nie możesz wierzyć. Chyba — zająknął się — chyba sama przestałaś kochać!

— Nie — odparła — ale obserwuję, słyszę, widzę. Widziałam cię z tą w teatrze. Jakżeś był uprzejmy, nadskakujący, uśmiechnięty! Na mnie nie raczyłeś spojrzeć; kompromitacją jestem. Widziałam was oboje wchodzących do Hersego, wiem, żeś jej tam otworzył kredyt nieograniczony, czuję, że dla niej opuszczasz piątki, dla niej wracasz wcześniej do domu. Spojrzałeś na mnie jak na wariatkę, gdy ci kiedyś żartem, na próbę zaproponowała małą wycieczkę, parę tygodni, sam na sam na południe. Wszystko wiem, czuję; muszę ustąpić, ale wiem i to, że będziesz bardzo ukarany.

Roześmiała się nerwowo.

— Twoja gęś cię zdradzi, może już zdradziła. Ja będę przez nią nieszczęśliwa, ale ty będziesz przez nią pośmiewiskiem.

Krew uderzyła do twarzy Andrzeja, powstał.

— Przestań, proszę. Na mnie wolno ci mówić wszystko, ale nie tykaj czci mojej żony.

— Twojej żony! — zaśmiała się. — Co za majestat! Żona! Jacy wy jesteście z jednej strony przejęci swą potęgą, a z drugiej głupi! Co jest żona!<sup>382</sup> Według was to glina, którą kupujecie na targu, urabiacie wedle swej woli, dajecie jej swoją myśl i duszę, aby się stała waszą rzeczą, echem, częścią domu! Przysięgła, a zatem dotrzyma, to nie ulega wątpliwości, jesteście tego tak pewni, i tak pewni, że sobą, swym nazwiskiem i stanowiskiem czynicie jej taki honor i zaszczyt, taka rozkosz jest być waszą gospodynią i niewolnicą, że nawet jej nie spytacie, czy ona myśli, czy ona czuje, czy jej wystarcza to szczęście. Uraczywszy ją waszym szaleem, złymi humorami, utrzymując ją z waszej kieszeni, ani się zatroszczycie o więcej. Musi być szczęśliwa i cnotliwa, bo jest waszą żoną! Zresztą strzeże jej dla was prawo, zwyczaj, konwenanse, opinia! Jesteście spokojni. Po odbyciu miodowych miesięcy wracacie do swych kawalerskich nawyków. Macie swój zawód i pracę, swoje stosunki i towarzystwo kolegów, klub, knajpę, ano, i kochanki. Otóż, mój drogi, wierzę w Feniksy<sup>383</sup>, Chimery<sup>384</sup> i świętego Graala<sup>385</sup>, ale widzę i czuję, i wiem, że każdy człowiek ma krew, zmysły, fantazję, oczy, uszy i marzenie, i mózg. Każdy — mężczyzna i kobieta. Ty będziesz kochać, szaleć jeszcze wiele razy, twoja żona uchowa swą cześć, nie opuści twego domu, będzie ci gospodynią i kucharką, ale serce jej możesz stracić i stracisz, choć może nie będziesz wiedział ani tego odczujesz nawet, zasklepiony w swym egoizmie. Dlatego ja twoją żoną być nie chciałam.

— Żeby móc mnie rzucić, gdy kochać przestaniesz.

— Chociażby — odpowiedziała zuchwale.

— I czynisz to w tej chwili?

— Nie, gdyż jeszcze cierpię!

Wstała, zadzwonił o światło. W tej chwili wpadła do buduaru Bella, trzepiąc od progów.

— Wiecie skąd wracam? Z pracowni Radlicza. Widziałam tam jego *Wrzos*. Cudne! Zupełnie *à la*<sup>386</sup> Boecklin<sup>387</sup> historia. Stara sosna z ułem, pustka, wrzosowisko w kwiecie, blade jesienne niebo i boginka, pół kwiat wrzosu, pół kobieta, snująca z kądzieli białe pajęczyny. Śliczne, powiadam wam!

— A boginka portretowana? — spytała pani Celina ze śmiechem.

— A jakże! — odparła podobnie pani Bella, rzucając okiem w stronę Andrzeja.

Ale on ani słyszał rozmowy, ani wzroku nie widział. Siedział zamyślony, wzburzony poprzednią rozmową, zbuntowany i ponury. Szczebiot pani Belli denerwował go, czuł, że sam na sam skończone, prowadzić potocznej rozmowy nie był w stanie. Wstał i pożegnał się sztywno. Pani Celina go nie zatrzymywała.

<sup>381</sup> *enfin* (fr.) — wreszcie, w końcu. [przypis edytorski]

<sup>382</sup> *Co jest żona!* — dziś popr.: czym jest żona. [przypis edytorski]

<sup>383</sup> *Feniks* — legendarny ptak, ginący w płomieniach i odradzający się z popiołów. [przypis edytorski]

<sup>384</sup> *Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża. [przypis edytorski]

<sup>385</sup> *Graal* — legendarny kielich, z którego Jezus pił podczas Ostatniej Wieczerzy. Jeden z ważnych motywów w cyklu legend arturiańskich: poszukiwali go rycerze Okrągłego Stołu. [przypis edytorski]

<sup>386</sup> *à la* (fr.) — wykonany w sposób przypominający coś innego. [przypis edytorski]

<sup>387</sup> *Böcklin, Arnold* (1827–1901) — szwajcarski malarz symbolista, malował nastrojowe, fantastyczne pejzaże, często z istotami mitologicznymi: nimfami, najadami, trytonami. [przypis edytorski]

Gdy wyszedł, pani Bella ukloniła się z gestem ulicznika i zachichotała szyderczo.

— Pst, posłyszysz! — upominała pani Celina szeptem.

— *Je m'en fiche!*<sup>388</sup>

Andrzej poszedł do domu. Zmrok był chmurny, deszcz padał, wicher gwizdał; styłowy jesienny wieczór dostrojony do jego humoru. Otworzył zatrzask, wszedł. Lampa kopciła w przedpokoju, w domu panowała grobowa cisza. W jego gabinecie było ciemno, zadzwonił na lokaja i czekał długo, zanim się Józef zjawił, widocznie zaspany.

— Dlaczego nie ma światła tutaj? Wywietrzyć przedpokój.

Spojrzał na swe biuro; zarzucone było bezładnie listami i gazetami.

— Co tu za nieporządek! Kurzu aż grubo! Jak ty sprzątasz! Czy pani nie ma?

— Nie, proszę pana. Jeszcze nie wróciła! Zawczoraj<sup>389</sup> wyjechała.

— Wyjechała? A gdzie starszy pan?

— U siebie. Jest hrabia Kołocki.

Andrzej poszedł do gabinetu prezesa. Kołocki właśnie wychodził, spotkali się we drzwiach.

— A, jesteś! Witam. Zostałbym, ale się śpieszę na polowanie do Romana! Do widzenia. Ojciec ci powtórzy, z czym tu byłem! Wpadnę po odpowiedź. — Uścisnął mu dłoń i wyszedł.

— Gdzie Kazia? — spytał żywo Andrzej.

— Otrzymała depeszę, że babka jakaś umiera i wzywa ją do siebie.

— Co za babka? Nie ma żadnej babki.

— Więc może ciotka! Powiedziała mi, że babcia Bogucka umiera, była okropnie zmartwiona. Odwiozłem ją na pierwszy pociąg i nudzę się bez niej już dwa dni! Ten Kołocki! Nie wiedziałem, co mu zrobić, wyrzucić za drzwi czy odesłać do Tworek<sup>390</sup>.

— To żadna krewna ta Bogucka, to babka jej eksnarzeczonego. Po co ojciec jej pozwolił jechać? Do czego to podobne!

Prezes się zastanowił, wreszcie rzekł:

— Pierwszy raz słyszę o tym narzeczonem! Gdzie on, jest tam?

— Nie, jakiś student, który gdzieś przepadł bez wieści u Jakutów<sup>391</sup>.

— No, więc co? Staruszka umiera, chce ją widzieć. Co w tym niestosownego? Ojciec jej tam jest. Zresztą, cóż ona, niewolnica, żebym jej miał pozwalać lub bronić? Żeby nie wypadła, sama by nie pojechała. A tyś kiedy wrócił?

— Dopiero co!

— Otóż posłuchaj, z czym przyszedł Kołocki. Ten Radlicz sportretował w jakimś obrazie Kazię i sprzedać nie chce. Kołocki dowodzi, że tobie będzie musiał sprzedać, więc żebyś użył swego wpływu i ten obraz dla niego kupił.

— Że też rodzina go nie zamknie w jakim zakładzie! — ruszył ramionami Andrzej i dodał czymś innym zajęty: — Kiedyż ma wrócić?

— Kto może określić? Po pogrzebie zapewne.

— Może ten wnuk, narzeczony, wrócił?

— Licho wie, co ci po głowie chodzi. Ojciec jej telegrafował. Wiesz, że ja nie jadam w domu. Spróbowałem. Taki kram z kucharką i wszystko było podłe.

Andrzej chodził zamyślony po gabinecie, nie słuchał.

— Cóż tam w waszej fabryce? — zagaił prezes.

— Wszystko dobrze. Zjechała stara Zaleska, więc Markham nie tyle będzie w domu przesiadywać. Mogłem się uwolnić.

— To dobrze. Trzeba, żebyś był w domu jutro o drugiej. Wolska ma prezentować tego narzeczonego. No, chodźmy na obiad. Ten pusty dom stał mi się wstrętny.

Ale Andrzej pożegnał ojca w bramie i poszedł szukać Radlicza, musiał się z nim widzieć.

<sup>388</sup>*Je m'en fiche!* (fr.) — mam to w nosie. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>*zawczoraj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>*Tworki* — daw. folwark koło Warszawy, w którym w 1891 założono szpital psychiatryczny; ob. dzielnica Pruszkowa. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>*Jakuci* — naród turecki zamieszkujący wsch. Syberię. W carskiej Rosji zamieszkiwana przez nich kraina, Jakucja, była od XIX w. miejscem karnego zesłania. [przypis edytorski]

Było to dość trudne przedsięwzięcie. Wstąpił do restauracji, potem do cukierni, gdzie Radlicz zwykle bywał, nie znalazł go, dalej nie wiedział gdzie iść, gdy szczęściem spotkał Józwickiego, redaktora, i ten mu objaśnił, że Radlicz ma być z nim właśnie na jakimś koleżeńskim zebraniu, że poszedł do domu przebrać się.

Jakoż Radlicz był u siebie, ale się nie stroił, leżał na kanapie, patrzył w sufit i coś i nucił.

Drzwi były tylko przymknięte, więc Andrzej wszedł bez pukania.

— Ledwie cię znalazł. Szukam po całym mieście. Mam do ciebie interes, prośbę, i a przede wszystkim, czy mogę cię uważać za szczerego przyjaciela? — zagał po przywitaniu.

Radlicz popatrzał na niego badawczo, potem zaśmiał się po swojemu cynicznie.

— Hm! Jakby to powiedzieć. Byłbym bardzo rad być twoim wrogiem, ale niestety muszę być przyjacielem! O co chodzi?

— Powiedz mi, ty wiesz pewnie, co się dzieje z Celiną?

Radlicz spodziewał się zupełnie czego innego; chwilę się stropił.

— Z Celiną? — powtórzył. — Nie byłem tam od paru tygodni. Widziałem Bellę, a mówiła, że wyjeżdżają do Włoch.

— Wyjeżdżają? Kto?

— Ano Celina z Bellą.

— I nikt więcej?

— A któż by? Może ty?

— Józef, ty łiesz! Ty wiesz, że tam ktoś jest nowy. Ja to czuję od dawna, ona mnie zdradza! I za co! Com zawinił! Szaleję za nią, ubóstwiam.

— Wiele sobie kobieta z tego robi, czy kto szaleje i ubóstwia, jeśli sama nie kocha! — mruknął Radlicz ponuro. — Co? Dała ci odprawę?

— Gorzej, bo czuję, że kłamie przez tchórzostwo czy litość! Czuję, że ją stracił. I za co?

— Za co? Za nic. Albo miłość bywa za coś? Lub ustaje dla czegoś? Jest to przyczyna bez skutku i skutek bez przyczyny. Nie mówię tego o was, ale jako teorię. Celina może tylko jest zazdrosna.

— Ona mnie już nie kocha — szepnął pośpennie Andrzej. — Ona kocha innego. Żebym wiedział kogo?

— I co ci to pomoże? Choćbyś go zabił, nie wskrzesisz jej miłości, jeśli już umarła, a czy on się nazywa Jan czy Paweł, to obojętne. Daj na mszę, że ona pierwsza kochać przestała, to wprawdzie gorzej boli, ale mniej dokuczy jak rozkochana baba, gdy się o nią już nie dba.

— Józef, ty wiesz, kto to jest?

— Wiem, nazywa się Ali Baba. Przypadek, trafił odkrył mu słowo zaklęcia do skarbów; a ty, zamiast stać przed skałą i łamać głowę, jak się na powrót tam dostać, idź, szukaj innych i wierz mi, lepiej być zdradzonym jak przesyconym.

— Nie chcesz więc być mi przyjacielem!

— Owszem, i dlatego ci mówię. Jeśli się czujesz zdradzony, nie upieraj się, nie bądź śmieszny. Im więcej będziesz walczył o taką miłość, tym więcej wywalczysz rywalowi; a zdobędziesz zamiast obojętności — nienawiść. Mówisz, że czujesz w niej fałsz! Czego chcesz, więcej fałszu?

— Kocham ją! Nie rozumiem życia bez niej! Pięć lat była mi wszystkim! To nie może się zerwać! Ja jej nie dam nikomu!

— Ty nie, ale ona siebie da, komu zechce. Słuchaj, Jędreku, nie bądź głupi. Jeśli czujesz, że cię zdradza, pluń i bierz inną.

— Ale pierwej<sup>392</sup> się zemszczę!

— Za co? Żeś nie potrafił jej utrzymać?

— Nie zmieniłem się w niczym!

— No, to się ona zmieniła, na jedno wychodzi. Chcesz się mścić, walczyć, zabić rywalą, możesz, ale to ci szczęścia nie wróci. To już skończone. Szczęście ci wróci inne serce i usta.

<sup>392</sup>pierwej (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

Andrzej wstał, przeszedł się nerwowo po pracowni, stanął przed Radliczem.

— Więc stanowczo nie chcesz mi nic powiedzieć?

— Owszem, powiem ci, że jest śliczna pani Rudnicka. Onegdaj owdowiała!

— Bywaj zdrów, dowiem się i sam!

Gdy wyszedł, Radlicz wstał, wziął lampę, odsłonił płótno z obrazu na sztalugach, długą chwilę nań patrzył, wreszcie odstał z westchnieniem:

„I taką mając żonę, szaleć za starą awanturnicą! Ba, mnie i owszem<sup>393</sup>. Niech jej nikt nie kocha, nikt nie pożąda, nikt nie posiada!”

Andrzej po bezsennej nocy rozdrażniony okropnie poszedł do pani Celiny. Zadzwoił, bo zapomniał wziąć ze sobą klucz od zatrasku.

Po dość długim oczekiwaniu otworzyła służąca.

— Pani już wstała? — rzekł, wchodząc jak do siebie.

— Pani nie ma. Wyjechała dziś w nocy.

— Dokąd?

— Nie wiem. Z kuframi na kolej.

— Sama? — pytał nieswoim głosem.

— Z panią Bellą.

— Nie zostawiła dla mnie listu? Nie kazała nic powiedzieć?

— Kazała mieszkanie sprzątnąć i odnieść klucze do pana. Właśnie sprzątamy.

Ślusznice, za mieszkanie on płacił, meble on kupował, zwracała mu wszystko, oprócz siebie. Służąca odeszła, stał jak skamieniały, oghuszony, z chaosem w głowie, z krwią pulsującą gwałtownie. Od jakiegoś czynu szalonego uratował go w tej chwili drobiazg: cichy, dyskretny szept służącej za drzwiami i chichot tłumionego śmiechu. To lokaj z pokojówką zabawiali się jego kosztem.

I oto wszystkie uczucia opanowało jedno: strach śmieszności, przeświadczenie, że w tej kłęsce, która mu złamała serce, stanie się dla ludzi pastwą. Nikt mu nie współczuje, wszyscy wydrwią, a iluż będzie triumfować! Rozpaczać, cierpieć, mścić się, wszystko trzeba tymczasem stłumić, ukryć, przede wszystkim ratować próżność, przede wszystkim kłamać, ocalić chociażby pozory i formy.

Bardzo blady, ale spokojny wszedł do mieszkania, obszedł je, wydał parę dyspozycji, zawołał stróża, oddał mu apartament pod opiekę, rozliczył i opłacił służbę, i gdy wychodził stamtąd, był, jak zwykle, przytomny, tylko czuł, że musi gdzieś się skryć, być sam, by myśli zebrać i coś postanowić.

Machinalnie prawie wsiadł do dorożki i rzucił adres Radlicza. Tego jednego nie bał się spotkać i czuł w nim potrzebną dla siebie w tej chwili trzeźwość i życzliwość. Zastał go już ubranego i przy robocie.

Nie potrzebował mówić, malarz spojrział i gwizdnął jak ulicznik.

— Drapnęła! — rzekł.

Odłożył pędzel i paletę, dobył z kąta butelkę, nalał złotawego płynu w szklanekę.

— Masz, pij i połóż się. Na nowiu drugiego miesiąca ani będziesz tego pamiętać! Tymczasem masz pełne gardło żółci i octu. Pij wino!

Andrzej machinalnie usłuchał, potem usiadł na stołku, objął głowę rękami, wsparł łokcie na kolanach i milczał.

— Kobiety są stworzone na katów! — rzekł wreszcie.

— Racja, kochać naprawdę umieją tylko swoje dzieci, z resztą<sup>394</sup> szal i okrucieństwo.

— I fałsz! W tym są mistrzyniami. Boże, jak ja ją ubóstwiałem, jak wierzyłem! Za to mnie zabiła!

Podniósł głowę, oczy jego pały.

— I uciekła, nikczemna. Znajdę ja ich na końcu świata i porachujemy się.

— Szkoda prochu! — mruknął Radlicz. — Tymczasem nie myśl o zemście, ale o sobie i ludzkich językach. To będzie uczta, to dopiero używanie!

— Żeby o tym nie myślał, już bym ich gonił. Zostałem, żeby się bronić od śmieszności. Jutro piątek, zebranie u niej. Co ludziom powiem, jak wytłumaczę!

<sup>393</sup>mnie i owszem — tu w znaczeniu: mnie to odpowiada. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>z resztą — tu daw.: poza tym. [przypis edytorski]

— Nic nie powiesz. Wyjeżdż na tydzień gdzie bądź za interesami: do Moskwy, czy Odessy, jak najdalej. Ja powiem, żeście oboje wyjechali, każdemu powiem pod sekretem, żeby się prędko rozniosło. Wyjechaliście *incognito* z powodu twej żony. To im się okropnie podoba, połkną przynętę i będą przeżuwać skandalik. Jak wrócisz, będziesz bohaterem.

— Wątpię, bo dotychczas już pół Warszawy wie, z kim ona wyjechała.

— *On* nie pojechał, bądź pewny.

— Kto, *on*? — podchwycił Andrzej.

— Ano, ten jakiś Ali Baba. Pani Celina zanadto jest wytrawna, żeby się nie podrożyć. Zresztą mnie się zdaje, że najprozaiczniej pojechała do męża, który znowu podobno ma miliony. Mówiła mi Bella, że pisała do niej już parę razy.

Andrzej milczał. Coraz głębsza otchłań otwierała się przed nim. Od jak dawna był zdradzany, oszukiwany, otoczony intrygą i fałszem? Ból jego serdeczny coraz bardziej ginał pod uczuciem wstydu, upokorzenia, zranionej miłości własnej.

— Daj jeszcze wina! — rzekł, wstając.

Radlicz nalał szklankę i uśmiechnął się. Spełniał przyjacielską przysługę, opiekował się Andrzejem, ale w głębi duszy miał własny interes i niepokój.

— Wiesz, kto będzie najbardziej z twej klęski się cieszył i triumfował? Ojciec i żona. Zostali panami położenia, odzyskali ciebie!

Andrzej skoczył, poczerwieniał.

— Oni mi zapłacą za dzień dzisiejszy. Czy myślisz, że to by się stało, żeby nie to przekłete małżeństwo?

— No, niezawodnie Celina była zazdrosna! — bąknął Radlicz.

— A ojciec obmyślił sprytnie plan, tylko się pomylił co do wyniku. Ta mnie zdradziła i porzuciła, ale oni się grubo myślą, jeśli triumfują. Jeśli mnie kiedy stracili na zawsze — to dzisiaj!

W klęsce poniesionej człowiek mniej cierpi, gdy znajdzie winowajcę. W tej chwili Andrzej najbardziej czuł upokorzenie.

Zdrada pani Celiny była logiczna. Znudzil ją, miłość zgasła, przyszedł przesytny, żądza nowych wrażeń, rzuciła go, przestał dla niej istnieć. Ale tego ścierpieć nie mogła jego próżność, tego nie chciała zrozumieć zarozumiałość i pycha. Więc szukał innej racji. Z całej wczorajszej rozmowy chciał pamiętać to, co ona udawała, by się zamaskować: zazdrość. Zazdrość kobiety nawet zdradę uniewinnia, a jakże pieści próżność. Zdradziła, bo nie chciała podziału, kochała go, ale się zemściła za żonę.

Strata ukochanej, ból, zawód, wstyd, śmieszność, wszystko nań spadło z winy tej głupiej, cnotliwej świętoszki, z którą w jakimś obłędzie głupoty dał się skuć na życie, oplątany przez starego filuta<sup>395</sup>, ojca.

Jej zawdzięcza klęskę — tej gęsi, której dał wszystko, stanowisko, dobrobyt, a która jeszcze się ośmiela okazywać mu lekceważenie, jest tak bez ambicji i kobiecości, że rada jest i przechwała się, że jej mąż nie kocha, czym by się czuła upokorzona ostatnia!

Radlicz słuchał wybuchu i cieszył się. Nie był on zły, ale cierpiał. Od pierwszego spojrzenia Kazia mu się podobała, zajęła oczy, potem myśli, teraz był rozkochany w niej, stała się dlań treścią życia.

Nie był zły. Dałby dla niej życie, służyłby jej i dogadzał, znosiłby męki dla niej, ale się cieszył w tej chwili, że była zapoznana<sup>396</sup> i pogardzona, obciążona niesłusznymi zarzutami, niekochana i że jej żywot ciężki stanie się jeszcze cięższym.

Dałby krew wytoczyć dla jej szczęścia, a cieszył się jej nieszczęściem i krzywdą, bo czuł, że tylko w ten sposób zachowa ją wolną i może zdobyć.

Żeby mu kto powiedział, że w tej chwili jest katem, obraziłby się śmiertelnie. On kochał! Siebie? Nie! Ten cudny „Wrzos” — swoje natchnienie.

Andrzej, wyrzuciwszy żółć w bezwzględnych, ostrych słowach, odzyskał równowagę, uspokoił się.

Tedy Radlicz rzekł:

— Znasz Barańską?

— Nie.

<sup>395</sup>*filut* — ktoś przebiegły, spryciarz. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>*zapoznany* (daw.) — niepoznany, niedoceniony, zapomniany. [przypis edytorski]

- To cię tam wprowadzę, jak wrócisz. Ciekawa facetka. Gdzież myślisz jechać?
- Mniejsza gdzie, tylko bym nierad do domu wracać, żeby ojca nie spotkać, a potrzebuję wziąć trochę rzeczy i pugilares z biurka.
- To ci załatwię, a ty się prześpij. Jeśli kogo spotkam, powiem, że ciebie już nie ma.

## VII

Prezes na próżno wyglądał syna. O dwunastej wyszedł, a w czasie jego nieobecności Radlicz zabrał rzeczy i pugilares. Gdy prezes wrócił około drugiej, lokaj mu to doniósł. Stary Sanicki był wściekły na syna, stęskniony po Kazi, w najgorszym tedy humorze przyjął Wolskich, których i bez tego nie cierpiał.

Stara już w przedpokoju rozpytała lokaja i miała minę ogara na tropie grubego zwierza.

Małe jej, tonące w tłuszczu oczki świdrowały twarz gospodarza.

— Cóż to, słysz, młodzi państwo się rozjechali — rzekła słodziutko po przywitaniu i przedstawieniu narzeczonego. Ale prezes już się pohamował.

— Wyprawiłem Kazię do chorej krewnej. Zapewne dziś, jutro wróci. Andrzej przed chwilą został wezwany do fabryki depeszą. Nowa maszyna jeszcze niezupełnie normalnie funkcjonuje, a Markham nie technik.

Zwrócił się do narzeczonego z jakimś banalnym pytaniem, zaczął żartobliwie pannę i rozmowa poszła gładko. Naręczony, typ podolskiego bałaguly<sup>397</sup>, duży, tęgi, z byczym karkiem i głosem, mówił o burakach i cukrze, o kontraktach i jarmarkach; prezes udawał, że go tak bardzo interesuje, ale w duchu myślał, że Wolska szpieguje i szpera, i że ją trzeba ułagodzić sutym<sup>398</sup> prezentem, i powtarzał w duchu:

— Srebro, makaty, saski serwis czy Mankielewicz?

Wreszcie korzystając, że młoda para poszła oglądać jakiś obraz w drugim końcu salonu, spytał konfidencjonalnie:

— Darujcie szczerść, ale rad bym ofiarować jaką pamiątkę Jadzi na nowe gospodarstwo. Wiesz najlepiej, co by jej zrobiło przyjemność?

— Ale, cóż znowu! Każdy drobiazg będzie miły. Nie krępuj się niczym. Pan Bukowiecki ma dom świetnie urządzony, nic nie brak! No, nie idzie zatem, żebyśmy dziecka nie zaopatrzyli we wszystko.

— Więc może srebro stołowe?

— Ach, to za wspaniałe. Cóż znowu!

— Załatwione! O srebro się już nie kłopotcie.

— Dzięki, dzięki stokrotnie! Jadzia się tak ucieszy, ona, dziecko — marzyła o kolczykach.

— Marzyła! Będzie je mieć! — uśmiechnął się prezes.

Wolska promieniała.

— Mój drogi! Jakżem wdzięczna!

— Dajże pokój, nie ma o czym mówić. No, a jakież stan finansowy tego pana? Zasięgnęliście informacji?

— A jakże! Był przecie jego wuj i dowiadaliśmy się przez znajomych. Bardzo porządna rodzina. Ma własny rodowy majątek i duże dzierżawy.

— Ano, to chwała Bogu. Andrzej wziął też żonę bez posagu i trafił najszczęśliwiej.

Wzmiankę o „żonie bez posagu” zatuszowała Wolska chrząknięciem, bo młodzi wrócili, ale prezes nie obstawał przy temacie, rozmowa stała się ogólna. Bukowiecki był oszołomiony Warszawą, przyszła teściowa już potrafiła go zawojować, patrzył jej w oczy, gdy miał odpowiadać, poza cukrem i burakami nie umiał mówić.

Po chwili zaczęto się żegnać. Prezes najsolenniej za syna, synową i siebie obiecał obecność na weselu, zamieniono mnóstwo czułych słówek i wizyta była skończona.

Stary odetchnął. Stanął u okna i zamyślił się.

— Dwa tysiące rubli! — zamruczał. — Jeśli baba za to nie będzie milczeć, to dla drugiej dostanie figę, I gdzie się ten nicpoń Andrzej podział? Jak na złość to urządził! No, może babie gębę zatkam! Widzę, że tego draba ludzą jakimś posagiem! Ładnie się osioł ubierze!

<sup>397</sup>bałagula (daw., reg.) — furman, woźnica. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>suty (daw.) — obfity, wielki. [przypis edytorski]



A tymczasem Wolska wróciła do domu, narzeczony, zbywszy<sup>399</sup> pańszczyzny, ulotnił się do hotelu, kobiety zaczęły sejmować.

— Jak to? Sam prezes? A Andrzejowie? — pytały córki.

— Ona niby u rodziny! On niby w Grodzisku! — odpowiedziała, brwi wznosząc Jadzia.

— To podejrzan! — zabrzmiał chór.

— Bardzo! — rzekła stara. — A szczególnie dlaczego? — wiecie?

— No, no? Dlaczego? Zauważyła coś mama?

— Z miny starego — nie! To filut! Ale z jego postępowania! On zanadto hojny!

— Jak to?

— Ano, Kostuni Dąbrowskiej dał raptem dwa dywany, Zosi Zwolińskiej pierścionek, a Jadzia, wiecie, co dostanie?

— Co? Co? — pytały pół ciekawie, pół zawistnie.

— Całe stołowe srebro i kolczyki.

Jadzia była czerwona z radości, tamte czerwone z zazdrości i żalu.

— Srebro i kolczyki! Mój Boże!

— To podejrzan! On się przymila do nas!

— Musi tam coś być, ale co?

— Dowieśmy się! — dopowiedział chór.

W trzy dni potem wiedziały i wiedziało pół Warszawy, że Andrzej porzucił żonę i pojechał z panią Celiną za granicę, w tydzień mówiono, że odesłał już przedtem żonę do rodziny, bo ją zastał u Radlicza na schadzce, gdy mu w pracowni pozowała w stroju — żadnym...

A tymczasem rzeczywiście na Marszałkowskiej prezes był wciąż sam.

Od Kazi otrzymał list, że babka umarła, a macocha ciężko zasłała, w parę dni potem depeszą został wezwany do Górowa doktor Downar i wieści się urwały.

Co prawda, mniej to gryzło prezesa jak nieobecność syna. Gdy się przekonał, że go nie ma w fabryce, parę dni udawał swobodę, ale gdy się dowiedział, że pani Celina wyjechała, i gdy Kołocki znowu go napadł o obraz Radlicza, stary postanowił rzecz wyjaśnić i posłał kratkę, prosząc malarza do siebie.

Radlicz stawiał się natychmiast. Prezes się nim opiekował w szkołach, był mu jak krewny, zresztą myślał, że ujrzy Kazię.

Ale dom wiał pustką i chłodem, stary był chmurny i stęskający.

— Powiedz mi, mój drogi, czy to być może, żeby Andrzej za tą starą awanturnicą poleciał?

Radlicz wobec troski starego poczuł wyrzuty sumienia i niebывale postanowienie mówienia prawdy.

— Co znowu! To ona od mego uciekła!

Prezes nagle o dziesięć lat odmłodził.

— Nie może być? Bajesz, byle mnie pocieszyć! Naprawdę go rzuciła? A on? Co?

— On desperuje. Chciał gonić i strzelać! Alem wyperswadował! Pojechał do Kijowa, żeby się otrzeźwić!

— I tydzień tam siedzi! To nie może być! Albo łiesz, albo sam prawdy nie znasz!

— Że baba drapnęła, wiem; że on desperował, wiem; że go wyprawił, by ludziom zeszedł z oczu, też wiem, a czy potem nie poleciał za nią, tego nie wiem!

Prezes znowu o dziesięć lat zestarzał.

— Co teraz czynić? Warszawa się trzęsie od plotek. Czy ten człowiek ma sumienie! On mnie do grobu wpędzi! Naturalnie, poleciał za nią, to jasne jak słońce. Szatan nie kobieta. Piekło ją porodziło na moje nieszczęście. A tu, na domiar złego, Kazia tam siedzi nad chorą macochą! Wszystkie pozory przeciw niemu.

Radlicz, który plotkę sam stworzył, milczał.

Prezes począł chodzić po pokoju niespokojnie.

— Można oszaleć! Gdzież ta baba pojechała? Gdzie go szukać?

— Ona go nie chce! Żeby miał rozum i mnie słuchał, toby jej nie gonił. Teraz wróci wściekły.

<sup>399</sup>zbywszy — dziś: pozbywszy się. [przypis edytorski]

— Albo ją przejedna, pogodzą się i znowu ją tu sprowadzi.  
— Wątpię! Zna pan prezes zdanie: *Auf das gewesene gibt der Jude nichts!*<sup>400</sup> To już przeszłość tylko.

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju i zaraz głos, na który obydwaj zerwali się.

— Kazia! Nareszcie! — zawołał prezes.

A tuż i ona stała już w gabinecie blada, mizerna, ze smutnym na licach uśmiechem.

Prezes z wybuchem radości począł ją ścisnąć i całować, wołając:

— Skądże? Jakim pociągiem? Boże, jak ty źle wyglądasz! Nigdy już cię więcej samej nie puszcę. Cóż tam słyhać? Jak macocha?

— Źle — odparła smutno. — Jest i ojciec, i doktor Downar poczciwy nam towarzyszył. Ulokowaliśmy ją u niego w lecznicy. Zapewne będzie potrzebna operacja, przy tym ma wadę serca. Bardzo źle.

Przywitała Radlicza, o Andrzeja nawet nie spytała, pewna, że jest w Grodzisku.

— A gdzie twój ojciec? — spytał prezes. — A mała? Została w Górowie?

— Została. Ojciec musi za parę dni wracać. Będzie dojeżdżał. Dla małej trzeba dziś jeszcze wyszukać dobrą bonę<sup>401</sup>. A tu macocha chce, żebym jej nie odstępowała. A ja doprawdy takam zmęczona, że ledwie stoję. Tatusiu, proszę o klucze, muszę w domu przede wszystkim się rozejrzeć. Strasznie tu brudno i nieporządnie.

— Opamiętaj się, kobieto! — oburzył się prezes. — Spójrz, jak wyglądasz. Musisz odpocząć. Do macochy dziś nie pójdziesz. Po ojca twego zaraz idę.

— A ja bonę załatwię! — ofiarował się Radlicz. — Zobacz pani, jak się na tym znam.

— Dziękuję panu. Nie bardzo ufam.

— Przekona się pani. Za godzinę przyślę tuzin do wyboru.

Pożegnał ich i wyszedł. Ona począła się krzątać po domu, a prezes za nią chodził uszczęśliwiony, że wróciła, rad chorobie macochy, śmierci babki, potłuczonym lampom, zasuszonym kwiatom, molom w dywanach, opieszałości służby, wszystkiemu, co przeżyła i zastała, byle jak najpóźniej spostrzegła nieobecność męża i spytała, gdzie jest.

Po godzinie maszyna domowego życia począła działać prawidłowo, służba poczuła rygor i władzę.

Kazia się przebrała, gdy zaczęły napływać naganiane przez Radlicza bony. I temu był rad prezes, chociaż i drażniło go to, że Kazia snadź ani na chwilę nie pomyślała o mężu.

Nareszcie piątą kandydatkę wybrała i omówiwszy warunki i obowiązki, odprawiła do jutra.

Wtedy prezes rzekł:

— Wiesz, że Andrzeja nie ma?

— Widzę. Nigdy go o tej porze nie ma.

— Ale go i potem nie będzie. Wyjechał za granicę.

— Tak? Na długo? — spytała obojętnie.

— Nie mógł określić dnia powrotu. Pojechał do Berlina w interesach fabryki.

Nie pytała więcej. Usiadła w fotelu, przymykając zmęczone bezsennością oczy.

— Trzeba iść — szepnęła.

— Dokąd? Krokiem cię nie puszcę. Macocha pastwiła się nad tobą, zamęczała! Teraz niech sobie szuka opieki.

Otworzyła oczy.

— Była dla mnie zła, teraz jest chora śmiertelnie. Będę jej służyć jak córka. A ojciec!

Wstała, wyprostowała się, siłą woli otrząsając zmęczenie.

— Pójdę, tatusiu. Przyjdziemy z ojcem na obiad.

— Czeka — utrapienie! To i ja pójdę z tobą.

Ubrał się, wyszli. Po drodze, gdy spotkali kilku znajomych, rzekł:

— Bo nie wiesz, co tu się stało. Gdyście tak oboje zniknęli z Warszawy, powstała plotka, żeście się rozeszli. Musimy się razem pokazywać.

Spojrzała uważnie na niego, zastanowiła się dopiero nad położeniem.

Obowiązek

<sup>400</sup>*Auf das gewesene gibt der Jude nichts* (niem., przysł.) — za to, co było, Żyd nie daje nic. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>*bona* (daw.) — wychowawczynie małych dzieci w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

Tyle wrażeń innych miała w pamięci, tak się czuła jeszcze wśród trosk i wydarzeń górskich, że z pewnym trudem wracała do stosunków swego domowego pożycia.

— Gdy Andrzej wróci, pokażemy się razem w teatrze i będzie znowu o nas cicho.

— Żebyż on rychło wrócił! — westchnął prezes.

— Ojciec wątpi. Może on wcale za interesami fabryki nie pojechał nawet.

— A jeżeli? — spytał prezes zgnębiony.

Brwi Kazi zbiegły się na sekundę.

— W takim razie nic nie pomoże, jeśli mnie z ojcem nawet będą widywać. Nie uratujemy opinii, gdy on o nią nie dba.

— Kaziu, ty to mówisz tak obojętnie, jakby to nie o ciebie chodziło.

— A czyż to o mnie chodzi? Cały świat wie dzięki jego taktowi, że jestem żoną opuszczoną, zdradzoną, tolerowaną zaledwie. W niczym nie zmodyfikował swych kawalerskich zwyczajów. Robiłam, co mogłam, aby moje śmieszne i upokarzające położenie zamaskować, ale teraz nie widzę sposobu uratowania pozycji, gdy on, jak przypuszczam, wyjechał za granicę z kochanką, i zresztą nie widzę, co już więcej ludzie mogą na nas pleść jak dotychczas. Chciałabym tylko ukryć prawdę przed ojcem i myślę, że nawet lepiej, iż nas razem nie zobaczy.

— Ale ty nie wiesz wszystkiego, co tu się porobiło. Ta baba go porzuciła i wyjechała.

Ruszyła z lekka ramionami.

— A on za nią pogonił?

— Skąd wiesz?

— Domyślałam się.

— Tak. Ten osioł myśli, że ją odzyska!

— Życzę tego z całego serca.

— Kaziu! To okropne, co mówisz. Więc ty nic ani trochę nie dbasz o niego?

Zagryzła wargi, żeby nie rzec złego słowa i odpowiedziała po chwili.

— Życzę, żeby z tamtą wrócił, bo jeśli ją straci, będzie się mścił na mnie. A doprawdy — dla ojca i dla was, tatusiu, i dla siebie samej, by nie łamać mej przysięgi małżeńskiej, nie chciałabym, o, za nic nie chciałabym go znienawidzić. A czuję, że gdy tamtą straci, już nie obojętną mu będę, ale nienawistną, i on mnie również.

— A ja inną widzę przyszłość. On stamtąd wróci sam i uzdrowiony. Przejrzy, opamięta się, wyzwoli spod opętania tej baby i...

Prezes upojony nadzieją spojrział na nią z uśmiechem, ale twarz młodej kobiety miała taki wyraz zgrozy i chłodu, że się przeraził.

— Kaziu, zlituj się, ty mu przecie wybaczysz, darujesz, będziesz dobra dla niego! Ty tego nie uczynisz!

— Czego? Odepchnąć męża, który raczy być łaskawym dla mnie? Cóż znowu! Alboż żonie to nawet wolno? Dajmy pokój tej kwestii, tatku. Nie ma o czym mówić. Będzie, jak on zechce!

Dojrzała troskę na jego twarzy, opamiętała się, przytuliła serdecznie do jego ramienia i rzekła głosem pełnym łez:

— Tatusiu, proszę mieć dla mnie względy. Jestem strasznie zmęczona i zdenerwowana. Tydzień byłam nad konającą, tydzień z chorą macochą, straciłam moc i panowanie nad sobą. Muszę trochę wypocząć i opamiętać się. Doprawdy, jak się widzi chorobę i śmierć, nabiera się do życia pogardy i lekceważenia. Niech się tatuś nie troska<sup>402</sup> i we mnie nie wątpi.

Ale prezes nie mógł odzyskać otuchy i dobrej nadziei, opadły go gromadą zgryzoty i troski.

Chwilę milczał, wreszcie rzekł

— A ten Kołocki z tym obrazem?

— O tym nic nie wiem. Co za obraz?

— Radlicza, na którym ty jesteś sportretowana podobno. Muszę raz pójść na wystawę i zobaczyć, czy to prawda. Kołocki daje Radliczowi trzy tysiące, a ten sprzedać nie chce.

— Niech mu da pięć, ale co nam do tego targu?

<sup>402</sup>troskać się (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

— Licho wie, co plotą. Żeś pozowała Radliczowi. Jak Andrzej wróci, może być skandal.

Wzdrygnęła się ze wstrętem, spojrzała z bezmiernym obrzydzeniem po ludziach zapelniających ulicę, po tej czarnej fali śpieszącej, zda się, zajętej, zaabsorbowanej, zapracowanej, i rzekła:

— Niby mrowisko, a to tylko chmary żuków szukających nawozu dla biesiady! Czyż oni, doprawdy, nie mają własnych uciech i trosk, zajęć i celu wyższego? Ohydne!

Wzdrygnęła się jeszcze raz. Weszli w bramę lecznicy, zatrzymała się u drzwi schodów.

— Tatusiu, polecam wam ojca — szepnęła smutno.

Szpanowski rozmawiał z doktorem Downarem w pokoju poprzedzającym sypialnię chorej. Został z nimi Sanicki. Kazia przeszła do macochy.

— A jesteś przecie. Myślałam, że już ciebie nie zobaczę — przywitała ją grymaśnie chora.

— Zajrzałam na chwilę do domu i jestem na usługi. Jakże pani tu się czuje, bardzo droga zmęczyla? — odpowiedziała Kazia troskliwie.

— Pani, pani — zamruczała Szpanowska. — Jeśli nie z serca, to dla oka ludzkiego mogłabyś mnie matką nazywać! Ale ty teraz wielka pani, ja na twojej łasce! Ach, Boże! Cóż doktor mówił, źle ze mną?

— Nic nie mówi, żeby źle było. Niech się matka nie trwoży. Pojutrze będzie konsylium<sup>403</sup>, może po paru tygodniach wróci matka zdrowa do domu! Ja tu będę prawie ciągle. Bonę dla Zosi już mam, jutro ją wyprawię do Górowa! Nie trzeba się niepokoić, wszystko dobrze będzie.

— Jakaż to bona? Masz jej świadectwa? Niech do mnie przyjdzie. Muszę ją widzieć.

— Będzie wieczorem. Świadectwa przyniosłam.

— Biedna Zosieńka! Biedny anioleczek! Ach! mój Boże! Za co mnie tak karzesz?

Zaczęła przeglądać świadectwa. Kazia krzątała się po pokoju; wszedł Szpanowski z Downarem.

— Ach, doktorze! Kiedy wy mnie stąd uwolnicie? Dziecko tam samo zostało! Ja nie mogę tu długo pozostać! Może by dziś konsylium! Niech wiem, co mnie czeka! Muszę wracać do domu!

— Dziś nawet ja pani nie będę egzaminował. Trzeba do jutra po podróży wypocząć. Pojutrze będzie nas trzech: kolega Morawski, Raps i ja. Wtedy zdecydujemy kurację. Ale niech szanowna pani nie liczy na tygodnie, ale na miesiące. Do tego przygotowuję z góry.

— Miesiące! Ja nie chcę! Mówiliście w Górowie, że to potrwa może dziesięć dni. Dłużej nie zostaną.

— Mamy zatem dziesięć dni, więc dziś nie mamy o co się spierać. Przede wszystkim spokój! Zaraz tu przyjdzie siostra Klara, której panią polecę w opiekę, żeby się pani nie nudziło.

— Siostra Klara? Dozorczyńni? Kaziu, obiecałaś ty tu zostać!

— I zostaną, matko! — spojrzała pytająco na Downara.

— Pani Sanicka zostanie, o ile będzie mogła! — odparł spokojnie. — A siostra Klara będzie stale.

— Szpital! Śmierć! — jęknęła chora.

— Ależ, moja droga — wtrącił Szpanowski — będziemy bezustannie nad tobą czuwać. Nie irytuj się!

— Ale ty odjedziesz pojutrze, a ona wpadnie z łaski swojej na godzinę dziennie! Wywieźliście mnie tutaj, żeby się pozbyć kłopotu! O, ja was rozumiem! Zarznięcie mnie prędzej!

— Kaziu! — rozległ się zza drzwi głos prezesa.

Wyszła. Słyszał wszystko, czerwony był z gniewu.

— Ja cię tu pięć minut więcej nie zostawię! Chodź!

— Nie, tatusiu. Zostanę do piątej, przyjdę na obiad. Proszę sobie iść i nie słuchać. Piętnaście lat byłam w takich warunkach w Górowie.

— Byłaś, ale nie będziesz!

<sup>403</sup>konsylium (łac. *consilium*: rada) — narada lekarzy przeprowadzana w celu rozpoznania choroby i ustalenia sposobu leczenia. [przypis edytorski]

Odprowadziła go w najdalszy kąt pokoju i rzekła:

— Mówił ojciec z doktorem Downarem? Wie ojciec, że dla niej nie ma wyzdrowienia. Chyba cud! Życ będzie może ledwie tygodnie, a ja może długie lata. Proszę mnie tu zostawić. Jej dogodzę, a sama przejdę bardzo dla mnie na przyszłe lata użyteczną szkołę cierpliwości i znoszenia spokojnie prześladowania.

Pocałowała go i pozostawiła zakłopotanego.

Zrozumiał, do czego czyniła aluzję, i posępnie zamyślony poszedł do domu.

Po chwili wyszedł też z lecznicy doktor Downar i ruszył również ku domowi.

Wyjechał był<sup>404</sup> przed czterema dniami i chociaż wrócił rano, dzień cały spędził na mieście, nie kwapiąc się do rodzinnego ogniska, i teraz się nie kwapił, myśląc w dalszym ciągu o jutrzejszych zajęciach, wizytach, interesach, których się zapas nagromadził przez ciąg jego nieobecności.

Szedł zamyślony, nareszcie się obejrzał i spostrzegł, że zamiast na Marszałkowskiej, był na Smolnej.

Zamruczał coś, stanął i skręcił w bramę. Stróż mu się uklonił.

— Stara jest na górze? — spytał.

— Jest, proszę pana, ale tu onegdaj jakaś pani pytała o pana.

— No i co?

— Ano nic, powiedziałem, że pan tu nie mieszka, ale bywa — i poszła sobie.

— Jakaż to pani?

— Taka chuda, z dużym nosem.

— W czarnej rotundzie<sup>405</sup>?

— Tak, tak!

Downar nic więcej nie rzekł, wszedł na schody.

— Wściekła się czy co? — zamruczał do siebie, otwierając kluczem zatrzask w drzwiach na pierwszym piętrze. Wszedł do ciemnego przedpokoju, zatrzaskał drzwi. Po kwadransie wyszedł z powrotem na ulicę, zawołał dorożkę i kazał się wieźć do domu. Miał minę jeszcze bardziej zamyśloną jak przedtem.

Zadzwoił i rzekł do lokaja:

— Światło do gabinetu.

Rozebrał się powoli, nasłuchując ostrego, krzykliwy głos<sup>406</sup> kobiecy, rozlegający się w głębi mieszkania w sporze z kucharką widocznie.

Wszedł do swego gabinetu, gdzie tymczasem lokaj zapalił lampę, i usiadł do biurka, na którym piętrzył się stos listów zaległych z czterech dni. Zaledwie odczytał pierwszy, krzykliwy głos zbliżył się do drzwi, bezustannie burcząc na służbę, i do pokoju weszła kapłanka domowego ogniska.

— Cóż to, nie raczysz się ze mną nawet przywitać! — zaskrzeczała od progu.

— Dobry wieczór — rzekł flegmatycznie Downar. — Słyszałem, że masz jakąś scenę z Franciszką, nie chciałem przerywać. Mam, jak widzisz, masę zaległej roboty.

— Kiedyś wrócił? — spytała tonem sędziego śledczego.

— Dziś.

— Cztery dni byłeś tam. Dali ci tysiąc rubli?

— Przywieźliśmy chorą do lecznicy.

— To inny interes, ale za te cztery dni ileś dostał?

— Nic — mruknął, biorąc się do odpowiedzi na list.

— Jak to nic? Kłamiesz.

Ruszył tylko ramionami i pisał.

— Ja się dowiem! Wszystkiego się dowiem, jak już wiele wiem. A tu tymczasem straciłeś lekko kilkaset rubli. Goldmark miał atak, trzy razy byli od hrabiny Pelagii.

— Ano trudno, nie mogę być tu i tam jednocześnie.

— A powiedz mi, co to za figura?

<sup>404</sup>wyjechał był — daw. forma czasu zaprzeczonego, wyrażająca czynność wcześniejszą od wydarzeń opisywanych w czasie przeszłym, dziś: wyjechał (przedtem, uprzednio). [przypis edytorski]

<sup>405</sup>rotunda (z łac.: okrągła) — tu daw.: koliste, długie okrycie damskie, bez rękawów. [przypis edytorski]

<sup>406</sup>Rozebrał się powoli, nasłuchując ostrego, krzykliwy głos... — dziś powiedzielibyśmy: Rozebrał się powoli i nasłuchiwał się przy tym ostrego, krzykliwego głosu; być może jednak chodzi o znaczenie: Rozebrał się powoli, wsłuchując się w ostrego, krzykliwy głos. [przypis edytorski]

— Kto?

— Ano, jakiś twój rodak spod Smorgoń, co tu włożył wczoraj w kaloszach do salonu i zostawił tę kartkę.

Rzuciła mu na biurko bilet wizytowy: „Florian Sopoćko”, a pod tym kilka słów ołówkiem.

Downar spojrzął, przeczytał i włożył bilet do kieszeni.

— No i czego ta dzicz chce? — spytała pani. — Pewnie wsparcia.

— Sopoćko! To milioner!

— Mógłby za swe miliony być bardziej do ludzi podobny! No, ale to prawda — Sopoćko! Żeby Litwin stał się do ludzi podobny, straciłby w swych oczach całą wartość.

Downar milczał. Twarz jego nie zdradzała żadnego wrażenia, tylko sztywniała, kamieniała zda się. Stojąca za nim kobieta nie badała zresztą wrażenia, jakie sprawia, była zajęta sobą.

— Była też Boufałowa dzisiaj, ale że koniecznie chciała z tobą się widzieć — udałam, że nie wiem, po co przyszła.

— Było dać trzydzieści rubli. Wiesz przecie, że się im miesięcznie należą!

— Po pierwsze: nie należą się, ale z łaski dostają. Po drugie: trochę mi za wiele tych twoich ubogich krewnych zagląda do kieszeni. Zresztą, mogła mnie poprosić. Fanaberia!

Dzwonek w przedpokoju. Pani wyjrzała.

— Od doktora Morawskiego bardzo pilne! — rzekł zdyszany głos.

Downar wziął z rąk żony kartkę.

— To o Goldmarku! — szepnęła, zaglądając mu przez ramię ciekawie.

Wtem na schodach, potem w przedpokoju rozległy się kroki i szlochanie dziecka, potem głos służącego.

— Czego tu, mała? Wynos się!

— Do pana doktora przysłała mamusia! Tatuś się zarznął w fabryce, juści<sup>407</sup> kona. Olaboga! Mamusia leży, wczoraj siostrzyczka się urodziła. O Jezu! Mamusia z łóżka się zwlekła i nie może wstać, tatko we krwi. O Jezu! Żeby pan doktor zaraz przyszedł!

Zaczęła mówić w przedpokoju, skończyła za drzwiami, bo ją lokaj usunął. Downar wyszedł z gabinetu, spojrzął na wygalowanego lokaja Goldmarka, wziął palto i kapelusz.

— Śpiesz się, śpiesz! Możesz nie zastać! — mówiła żywo żona.

— I pewnie, że nie zastanę — odparł.

Wrócił do gabinetu, wziął z szafy gruby pugilares z narzędziami. Śledziła go.

— Po co pociągasz za sobą ten cały kram? Tam nie będzie operacji żadnej. Śpiesz się! Czy cię czekać z obiadem?

— Nie czekaj albo jak chcesz! — odparł, wychodząc.

Lokaj Goldmarka szedł za nim, na schodach skulona siedziała dziewczynka, cała otulona starym szalem, zerwała się na skrzyp drzwi i rzuciła się do jego rąk.

— Cicho, chodź ze mną — rzekł szeptem.

Gdy byli już w bramie, zwrócił się do lokaja:

— Powiedz doktorowi Morawskiemu, że będę za godzinę.

Wyszedł na ulicę, skinął na dorożkę.

— Siadaj, mała, i prowadź!

Dorożka potoczyła się na Solec.

W trzy godziny potem Downar wrócił.

Żona przyszła zaraz do gabinetu i zastała go, jak mył ręce.

— Gdzieś ty mógł tak obieleć surdut? — zdziwiła się. — Cóż, żyje?

— Kto?

— Któżby? Goldmark?

— Jużem go nie zastał.

— Boś po swojemu się zbierał. Naturalnie nic ci nie dali. Ile ty tysięcy tracisz przez swą obrzydliwą litewską powolność! Nigdy niczego się nie dorobisz. Takie szczęście mając, inny miliony by zebrał, a my, co mamy?

— Na jeden obiad mamy, a dwóch nie zjemy — odparł spokojnie. — Goldmarka nie było sposobu ratować. Po co się było śpieszyć do trupa?

Bogactwo

<sup>407</sup>juści (gw.: już ci) — tu: wzmocnione już. [przypis edytorski]

— Logika człowieka bez ambicji. I co ci ludzie widzą w tobie? Ładnie byś wyglądał bez mojej opieki! No, ale masz mnie, nie dam ci zginąć!

Raczyła rozchmurzyć oblicze i poklepała go łaskawie po ramieniu.

— Wiesz, mam niespodziankę dla ciebie. Zgadnij.

— Może obiad, bom głodny!

— Jest i obiad, i jest kamieniczka. Ta, wiesz, com targowała na Żurawiej.

— Kupiłaś? Ano, to dobrze. Ale obiad mi pilniejszy.

Zbliżył się do światła, chwyciła go za rękę.

— Skąd ty masz krew na mankietach?

Downar cofnął żywo rękę, spojrzal i odparł:

— Albo ja wiem? Trzeba się przebrać. Janie!

Wyszedł do sypialni. Na szarą, zawiędłą twarz Downarowej wystąpił rumieniec, rzuciła się do biurka, otworzyła pugilares z narzędziami.

— Był jeszcze gdzieś przed Goldmarkiem. Dlatego się spóźnił! On mnie okrada, to prawda, co gadają Wolskie, ma kochankę!

Przeciętna żona zrobiłaby scenę z wtórem płaczu, spazmów, ale Downarowej pożycie składało się z bezustannych wymysłów i gderania, i Downar do tego tak nawykł jak do śpiewu kanarka i terkotania zegara, nie czyniło to już na nim żadnego wrażenia. Miała inny sposób, by go wyprowadzić ze spokoju.

Gdy po chwili przyszedł do jadalni, zastał żonę prezydującą u stołu w głuchym milczeniu. Zajął swe miejsce, spojrzal na puste naprzeciw siebie nakrycie i spytał:

— A gdzie Stefan?

Był to krewny pani, student, który u nich się stołował i mieszkał.

Nie było odpowiedzi, tylko wzgardliwe ruszenie ramion.

Downar spojrzal na żonę i zrozumiał, że czeka go niełaska długa, że nie otrzyma odpowiedzi na najbardziej ważne i na najprostsze pytania i trwać to będzie, dopóki jej nie przebłaga. Przez cały zaś ciąg tej pokuty złość swoją będzie wywierać na służbie, w domu powstanie wojna, sroższa niż zwykle, a w rezultacie kucharka, młodsza i lokaj poproszą o uwolnienie od obowiązków.

Wszystko to stanęło w myśli Downara i dało zupie smak żółci; przestał jeść.

Przy pieczeniu wybuchła scena z Janem, który nie nagrzał do baraniny talerzy, wskutek tego zabrano baraninę z talerze do kuchni.

Milczeli oboje, obiad się przeciągał, nareszcie gdy pani sama odebrała z rąk lokaja kompot i wymyślając kucharce, poszła z nim do kuchni, Downar serwetę rzucił i głodny poszedł do gabinetu.

To jedno wiedział, że pracować może spokojnie, żona nie raczy go odwiedzić.

Czytał, pisał i tak się wreszcie w zajęciu zatopił, że przesiedział do dwunastej.

Wtedy posłyszał złowrogie mruczenie w sypialni, potrącanie sprzętów, wreszcie trzasknięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. To znaczyło, że będzie spać w gabinecie na otomanie<sup>408</sup>.

Podniósł oczy, popatrzał na te drzwi, pomyślał chwilę, potem głową potrząsnął kilkakroć ruchem powolnym niedźwiedzia, któremu pszczoły zaplączą się w kudły i syczą. I znowu pochylił głowę nad jakąś rozprawą, którą pisał do druku.

I zdawało się, że ten człowiek jest zupełnie nieczuły, a on był tylko tak bardzo silny.

Nazajutrz, jak zwykle wychodząc o dziewiątej, spotkał na schodach Kazię. Teraz już się znali dobrze i rozmawiali.

— Nie zasnęła pani — rzekł.

— Nie, ale zamiast na mszę idę wprost do lecznicy i stracha mam.

— Niełaskawego przyjęcia. Ano, to pójdę z panią. Będzie różniej.

— Dziękuję. Naturalnie, że z profesorem poszłabym wszędzie odwrotnie!

— Ale ja darmo nie służę. Musi mi pani oddać przysługę także. Zostanę w lecznicy, a pani tymczasem pojedzie na Solec siedemnaście i wyszuka w suterenie robotnika Wiczorka. Wczoraj go opatrzyłem, odwiedzę jutro, dziś nie mogę, ale tam jest siedmioro dzieci, najmłodsze ma dwa dni, najstarsze dwanaście lat.

<sup>408</sup>otomana — sofa, niska wysięclana kanapa z poduszkami i wałkami stanowiącymi oparcie. [przypis edytorski]

— Już wiem, rozumiem i załatwię, co da się.

Weszli do lecznicy. Zły humor i rozdrażnienie Szpanowskiej ułagodziło się przy pierwszych słowach Downara. Został przy niej i zastała go jeszcze Kazia, gdy wróciła z Solca. Zdała mu w paru słowach sprawę z polecenia i zajęła swe miejsce przy chorej. W południe odbyło się konsylium, zdecydowano operację za tydzień. Szpanowski został u żony, Kazia uwolniła się, by załatwić zaległe interesy.

Wstąpiła po drodze do Ocieskiej. Zastała artystkę sprząającą w pracowni. Na sztalugach stało puste płótno, na którym wycierała z farby pędzle, pisząc fantastycznie:

*Hans Kuk Klauber, lass molen stolm.*<sup>409</sup>

— Co to znaczy? — spytała z uśmiechem Kazia.

— To znaczy: Hans, przestań już malować. Spełniam, bo jadę w świat!

— Dokąd?

— Do słońca.

— Na długo?

— Ha, albo ja wiem! Nie cierpię wiedzieć, co będzie, ile będzie! Nie jadłam nigdy w życiu obiadu, który sama dysponowałam<sup>410</sup>. Ale chyba znowu do tej przeklętej Warszawy wrócę!

Cisnęła pędzle na stół.

— A pani gdzie była przez ten czas?

— U ojca. Grzebałam zmarłych, doglądałam chorych. Mam ciężkie zmartwienie. Macocha leży w lecznicy Downara, było dziś konsylium, będzie operacja i prawdopodobnie zły koniec. Muszę nad nią siedzieć, myślałam, że panią uproszę o pomoc w moich pracach z panią Ramszycową. Boję się u niej pokazać, dwa tygodnie opuściłam.

— Ładnie by wyszli pani protegowani na mojej opiece. Widziała pani *Wrzos Radlicza*?

— Nie.

Ocieska się roześmiała.

— Kapitalne. Prawdziwe *article de Varsovie*<sup>411</sup>. *Toć*<sup>412</sup> przecie pani mu do tego pozowała!

— Ja?

— I za to mąż panią odesłał do rodziny i rozpoczął „kroki rozwodowe”. Przecie to fakt! I Radlicz spoliczkował za panią Kołockiego, i mają się pojedynkować. Nie wie pani, skądże pani wraca?

— Wracam od natury i Boga ze wsi. Nic nie wiem o błocie i ludziach!

Zbladła, zamyśliła się, przesunęła ręką po czole i uśmiechnęła się z przymusem.

— Co robić? Królestwa niebieskiego mi nie odbiorą.

— Radlicz jest osioł — mruknęła Ocieska. — Mówiłam mu: było sportretować grubą Rozenbłatową. Żydy by ci dali tysiące i każdy rozsądny człowiek uwierzyłby, że ta ci pozowała. A tak sławy dużo nie zbierzesz, a gnaty ci słusznie przetrącają. Swoją drogą hultaj dał śliczny obrazek.

— Więc pani wyjeżdża — szepnęła smutno Kazia.

— Oj, osobliwość. Prawie wierzę, że mnie ktoś żałuje! — zaśmiała się szyderczo Ocieska.

— Niech pani wierzy. Będzie mi bardzo źle tymi czasami, jeszcze gorzej bez pani niefrasobliwej filozofii. Zazdroszczę jej pani.

— Niestety, nie zaszczepić jej<sup>413</sup>, a szkoda, bo z nią bardzo dobrze żyć. Powiadają jedni, że wszystko poznać, to wszystko wybaczyć. To dla pani napisane, na tym pani skończy życiową walkę.

<sup>409</sup>*Hans Kuk Klauber, lass molen stolm* (niem.) — zniekształ.: *Hans Hug Klauber laß Malen stolm* (niem.) — Hansie Hugu Klauberze, ostaw malowanie; pierwszy werset ze słów Śmieci do Malarza, towarzyszących jednemu z fragmentów wielkiego malowidła ściennego *Taniec Śmierci*, stworzonego ok. 1440 w Bazylei po epidemii zarazy; dzieło liczyło ok. 60 m dł., w 1568 zostało odnowione przez Hansa Huga Klaubera (zm. 1578). [przypis edytorski]

<sup>410</sup>*dysponować* — tu: wydać polecenie wykonania a. dostarczenia. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>*article de Varsovie* (fr.) — wyrób warszawski. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>*toć* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>413</sup>*nie zaszczepić jej* — tu w znaczeniu: nie da się jej zaszczepić. [przypis edytorski]



— A pani zdanie?

— Moje osobiste: wszystko poznać, to nic nie chcieć! Z tym mi dopiero dobrze.

Kazia się uśmiechnęła.

— Myślę, że mnie sędzono: dużo chcieć, a nic nie poznać i nic nie mieć! Więc z wiosną wróci pani? Proszę o słowo wieści.

— Dobrze. Napiszę, a pani niech na duchu nie upada. Wszystko minie. To jad szczęścia, a wino utrapienia. A zresztą: wszystko głupstwo.

Uścisnęły sobie dłonie.

„Wszystko głupstwo” — powtarzała w myśli, idąc wzburzona tym, co usłyszała, zaniepokojona pomimo spokoju sumienia.

Ale nie mogła przejąć się niefrasobliwością Ocieskiej. Wrzał w niej bunt na los, na ludzi, na samą siebie i głuche przekonanie, że pokierowała swym życiem fałszywie, poświęciła się na próżno, ni sobie, ni innym nie dała nie tylko szczęścia, ale nawet spokoju. Czuła się słaba, niezdolna do dalszej walki, zniechęcona do obowiązków, obca i wroga w tym mnóstwie ludzi, w tym nienawistnym otoczeniu i biedna, i smutna, i sama.

Nie była w humorze załatwienia interesów i sprawunków, a chciała bodaj zobaczyć jedną życzliwą duszę, poszła tedy do Tuni.

Po drodze spotkała starą Markhamową. Wydało się jej, że powitanie było chłodniejsze niż zwykle, a oczy matrony patrzyły na nią krytycznie. Spotkała dwie Wolskie, uśmiechnęły się dziwnie na jej widok i coś do siebie szepnęły, skinąwszy jej tylko głową.

Tunia dziwnym trafem sama w domu przyjęła ją okrzykiem:

— Bój się Boga! Co się dzieje z tobą?! Nie wiesz, co się tu dzieje? Ładnieś się skompromitowała!

— Ja? Czemu?

— Ano, Andrzej z Celiną za granicą.

— I to ma być *moja* kompromitacja!

— A czyjaż! Tyś winna i słusznie będziesz cierpieć. Mówiłam ci! To wstyd, to hańba, żeby mąż robił taki skandal! Jak ty teraz ludziom oczy pokażesz? W pół roku po ślubie rzuca cię dla starej awanturnicy. Pfu! Ja bym umarła ze wstydu! Być pośmiewiskiem!

Kazia słuchała w milczeniu. Rysy jej tężały w jakiś wyraz tępego uporu i zaciętości. Tunia zaś wyładowywała długo zbieraną żołąć. Serdecznie lubiła dawną koleżankę, ale tak były odrębne! Odczuła gorąco jej „nieszczęście”, jak nazywała, klóciła się o nią zajadle ze znajomymi, teraz całą duszą pragnęła ją ratować.

— Nie rozumiem, doprawdy, ciebie. Nie masz odrobiny ambicji. Młoda jesteś, ładna, elegancka i nie skokietować rodzzonego męża! W twoim wieku zajmować się dobroczynnością, fach sobie z tego zrobić. Kto temu uwierzy! Naturalnie, twoje latania po różnych dziurach Powiśla to ci zrobiły, że posądzają, że bywasz u Ocieskiej, gdy Radlicz ma w teźże kamienicy pracownię i wystawia obraz z twoim portretem. Co wolno Ramszycowej, to nie wolno tobie. Zlituj się, toć opowiadają, że bywasz w szpitalu św. Łazarza<sup>414</sup>. Już nie wiem, co jeszcze wymyślą na ciebie za bezceństwa! Czyś zwariowała? Masz dom, stanowisko tak piękne, stosunki z całym światem, młodego męża, *notabene*<sup>415</sup> ślicznego chłopca, i to wszystko depcesz, lekceważysz, opuszczasz — i po co? Doprawdy nie chcesz być szczęśliwą, chcesz zginąć! Żeby cię nie znała, jak znam, myślałabym istotnie, że jesteś kobietą bez czci i wiary, ale ty jesteś bez serca i nie rozumiesz, co czynisz! A teraz co będzie? Co myślisz postanowić? Według mnie, powinnaś natychmiast wyjechać do ojca i zagrozić mężowi rozwodem. To go opamięta! Tak jak rzeczy stoją, nie możesz ludziom się pokazywać.

Tunia raz pierwszy spojrzała na nią uważnie i skamieniała.

Kazia się śmiała! Nie był to wesoły śmiech, ale ironiczny, podczas gdy oczy były zimne i twarde, i złe.

Tak, Kazia czuła, że robi się złą i zaciętą.

— Czy mam wyjechać od razu z Radliczem czy sama? — spytała zmienionym głosem.

Tunia się obraziła.

<sup>414</sup>szpital św. Łazarza — daw. szpital w Warszawie, specjalistyczny ośrodek chorób wenerycznych i skórnych. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>notabene (łac. *nota bene*: zauważ dobrze) — zwrot wprowadzający ważną wtrąconą informację, używany w znaczeniu: „warto zaznaczyć”. [przypis edytorski]

— Jeśli tak przyjmujesz moje serdeczne rady, możemy więcej o tym nie mówić! — rzekła, a zadarty jej nosk rozdymał się oburzeniem.

Kazia zapatrzyła się w szary, dymny szmatek zimowego nieba i milczała. Czowała, że co by powiedziała, Tunia ani jej zrozumie, ani uzna, ale jej żal było tak się rozstać z jedyną życzliwą sobie duszą.

— Przepraszam cię — szepnęła. — Jestem bezmiernie rozdrażniona — i wyciągnęła do niej rękę.

Tunia nie umiała długo się dąsać. Nosek się jeszcze rozdymał, ale już wolniej.

— No, pewnie, jesteś w okropnym położeniu. Ja bym nie przeżyła chyba takiego upokorzenia. Ale trzeba myśleć o ratunku.

— To trudno — rzekła poważnie Kazia. — Na to trzeba inną być, niż jestem, inaczej czuć i myśleć. Trzeba przy tym mieć dom i rodzinę, by do niej wrócić, i trzeba ojcu wszystko wyznać, a ja tego nie uczynię. Muszę milczeć i cierpieć, i tu pozostać pod pręgierzem opinii.

Opowiedziała chorobę macochy, katastrofę, która wisi nad ojcem, konieczność ukrywania przed nim prawdy.

Tunia się zamyśliła.

— Istotnie, komplikacja straszna. Ale przynajmniej rozmów się z teściem. Niech on wpłynie na syna. Tego trzeba opamiętać, niech wraca. Ludzie ścichną, gdy zobaczą cię pod męską opieką. Ach, dałabym ja mu, dała, tobą będąc. Dziesiątemu<sup>416</sup> by zakazał urządzać takie fugi<sup>417</sup>. Ale ta kobieta ma w sobie jakiś szalony urok! Doprawdy, uczyć się od niej, jak się mężczyzn trzyma. Ja jej zazdroszczę tej sztuki czy tego daru.

W ruchliwym mózgu Tuni myśl zbiegła na tory miłości, rozchmurzyła się zupełnie.

— Wiesz, nie uwierzysz, ale i ja miałam z Julkiem przejście. Dowiaduję się, naturalnie przez mamę Wolską, że ma kochankę. Przeraziłam się, obejrzałam, że go zaniedbywałam i naturalnie błąd mój zaraz naprawiłam. Mieliśmy drugą edycję miodowych miesięcy.

— Za to, że cię zdradził?

— Ano, cóż robić? Tym się mężów trzyma, moja droga. Muchy na ocet się nie biorą! Ty musisz ze swoim nie mieć odrobiny taktu i sprytu. Powtarzam, twoja wina tylko!

— Zapewne, uczucia mu nie obiecywałam i nie dałam.

— To bardzo źle, bo to i błąd, i grzech. Zresztą, jak ty możesz tak żyć bez miłości? Rybią masz krew czy co?

Zaśmiała się, tym śmiechem i spojrzeniem chcąc wywołać zwierzenie. Kazi skronie pokrył rumieniec, ale odpowiedziała spokojnie:

— Myślę, że nie doznam tych wrażeń. Nie umiem widocznie kochać i nie pragnę. Jestem kaleka! — Uśmiechnęła się smutnie i znowu się zapatrzyła w szary dymny szmatek nieba.

Dzwonek w przedpokoju spłoszył Tunię, spojrzała na zegarek.

— Rany boskie, miałam o trzeciej być u krawcowej.

Kazia pożegnała ją i poszła do domu.

Prezes spotkał ją na schodach zmieniony na twarzy, zdyszany z pośpiechu.

— Chciałem cię szukać. Depesza od Andrzeja — mówił urywanym głosem, wracając z nią na górę.

— Wraca? — spytała krótko.

— Gdzież tam! Chory leży w Hamburgu! Nie mam pojęcia, co robić! Awantura!

— Trzeba spytać, co mu jest i co mu potrzeba — odparła spokojnie, biorąc do rąk depeszę. — No, groźnego nic nie ma: „Zatrzymany niezdrowiem”.

— Może by pojechać tam — bąknął stary. — Niezdrowie to podejrzone, a może miał pojedynek, jest ranny? Głowę tracę, ten człowiek do grobu mnie wpędzi!

— Przede wszystkim wysłać depeszę z zapytaniem. Niech tatko pisze, zaraz Józefa poślę.

— Pójdę sam, bo mam po drodze interes. Ojciec twój zaraz będzie na obiedzie. Zaczekajcie na mnie.

<sup>416</sup>dziesiątemu zakazać, powiedzieć itp. (daw., pot.) — niejednemu, każdemu. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>fuga (wł., łac.) — ucieczka. [przypis edytorski]

Kazia zajęła się domem i obiadem i swobodnie powitała ojca, ale Szpanowski chmurny był i zatrzymał ją, kładąc rękę na głowie i badawczo patrząc w oczy.

— Słuchaj no, co się tu u was dzieje?

— Co takiego?

— Ty coś przede mną ukrywasz. Gdzie Andrzej?

— Za granicą. Dziś była depesza, że się parę dni opóźni, bo niezdrów. Czy ojcu tak pilno go ujrzyć? — zaśmiała się.

Szpanowski usiadł ciężko w fotelu i milczał długą chwilę.

— Wiesz, że babcia Bogucka zapisała ci w testamencie swój folwarczek, jeśli Stach nie żyje. Trzeba podać ogłoszenie we wszystkich pismach, może wreszcie jaka wieść o nim będzie. Człowiek nie może tak zginąć. Tymczasem będę tą ziemią zarządzać dla niego.

Nic nie odpowiedziała, a on po chwili znowu zaczął:

— Żebym mógł być przyszłość przewidzieć zeszłej wiosny. Po com ja cię tu dał? To nie dla ciebie świat i ludzie, a tam bez ciebie jakże mi pusto!

— Zabierze mnie tatuś może znowu!

— Wróciłabyś?

— O Boże! Choć dzisiaj! — wyrwało jej się nieopatrznie.

— Widzisz, żem ci szczęścia nie dał.

Obejrzała się.

Podniósł oczy.

— Nie. Tak źle mi nie jest. Jeszcze mi za wsią tęskno, jeszcze się tu nie zżyła, ale to przyjdzie z czasem. Owszem, dobrze mi, przywyknę! Tatuś tu zostanie na czas jakiś. Myślę, że może by lepiej było Zosię tu sprowadzić. Matce byłoby to miłe i o dziecko bylibyśmy wszyscy spokojniejsi.

Mówiła prędko, żywo, chcąc go zająć czymś innym, skierować na inny tor rozmowę.

— Muszę zostać — rzekł ponuro Szpanowski. — Nie mam żadnej dobrej nadziei, wiem, że wrócę z trumną. Dziecko warto sprowadzić, ale jak?

— Poślę po nie pewną porządną kobietę, którą znam i mogę zaufać. We dwie z boną dadzą radę.

— Dziękuję ci. Ja bo jestem odurzony tym wszystkim. Słońca niewiele miał w życiu, ale teraz listopadowe niebo mam w duszy. Ano trudno, praca została na pociechę.

Otrząsnął się siłą woli z apatii, wyprostował się i począł rozpytywać o fabrykę w Grodzisku, o stosunki, o jej życie. Na tym ich zastał prezes i z rozczeniem spojrzął na Kazię.

— Mówię ci, jakem po niej tęsknił przez te dwa tygodnie, było nie do wytrzymania.

— Czuję kądziłdo i zmykam! — rzekła z uśmiechem, wychodząc do jadalni.

— Józefie, ktoś dzwoni. Powiesz, że obiad! — rzuciła do lokaja.

Ale służący wrócił po chwili i rzekł:

— To pan Radlicz. Jest w gabinecie pana i prosi, żeby pani raczyła przyjąć.

Rzuciła głowę, zawahała się, wreszcie wyszła.

Radlicz czekał z kapeluszem w ręku.

— Otrzymałem depeszę od Andrzeja. Wzywa mnie do siebie natychmiast — rzekł z cicha.

— Więc co? — spytała zimno.

— Chciałem panią uspokoić, że nic strasznego, i spytać, czy powiedzieć prezesowi. Miał pojedynek i ranny.

— Naturalnie, powinien pan ojcu powiedzieć. Przecie jutro będą o tym wiedziały wszystkie gazety.

— Nie ode mnie, może pani być pewną.

Popatrzała na niego.

— Pewna nie jestem. Zresztą, może. Może pan ma dość tego, w co mnie zaplątał.

— Ja? Panią?

— Ano, sprawa z obrazem, plotki, żem pozowała panu, historie z Kołockim.

— Że panią kocham, wie pani, że mi nie potrzeba patrzeć na panią, by mieć ją zawsze przed oczami, wiem ja, a sprawa z Kołockim — jaka? — że on chce kupić coś, czego nie mam na sprzedaż. Widziała pani obraz?

— Nie, mam dość słuchania o nim.

— Niech pani go zobaczy. Pozować do takiego tematu mogą nawet westalki. Zresztą nikt na świecie, nawet pani, nie może mi zabronić kochać.

Zmarszczyła brwi.

— Mówił już mi to pan i otrzymał odpowiedź. Czy mam powtórzyć?

— Nie, pamiętam i dziękuję pani. Miłość z wzajemnością kończy się przesytem, a taka, jak moja dla pani, jest natchnieniem. Owszem, bardzo pani wdzięczny za odprawę. Nigdy tak dobrze nie pracowałem.

Mówił swobodnie, lekko.

— Nawet gdybym usłyszał od pani dobre słowo, miałbym zawód. Popsuły się ideał, jakby mi kto alpejskie szarotki podał na jarzynę. Wracając do rzeczy, jadę tedy do Hamburga i przywiozę pani sakramentalną własność i urzędową miłość. W salonie ktoś jest, wolę tutaj rozmówić się z prezesem.

— Zaraz go tu przyślę. Żegnam pana.

Skłonił się sztywnie. Spojrzała nań i rzekła:

— Niech pan ten obraz z wystawy usunie. Chcę wierzyć, że pan się na mnie w ten sposób mścić nie chce. Nie o mnie już tu chodzi, plotka już poszła, ale ojciec mój nic nie wie jeszcze.

Skłonił się znowu w milczeniu.

### VIII

W parę dni potem Kazia, znalazłszy chwilę czasu, poszła do Ramszycowej. Zastąpiła ją na schodach eskortującą Lilę i Angielkę do karety pełnej pakunków.

— I pani wyjeżdża? — spytała zdziwiona.

— Jeszcze nie, wysyłam tymczasem małą do Florencji, a za parę tygodni sama tam pojedę na czas jakiś.

— Same jadą? Nie boi się pani?

— Zdam je pod opiekę Ocieskiej!

Tu się roześmiała.

— Siadaj pani! Odprowadzimy je na dworzec i zobaczy pani bezpłatną komedię.

Pomimo swego smutku i znękania Kazia dała się pociągnąć. W drodze spytała:

— Jakże pani namówiła pannę Ocieską na taką ofiarę?

— Wcalem nie namawiała. Powiedziała mi, że jedzie w sobotę, więc wczoraj napisałam do niej trzy słowa: „Korzystam, że jedziesz, żeby wyprawić z tobą małą i Angielkę. Dostawię ci je na dworzec jutro”. Na to ona mi przysłała adres kantoru<sup>418</sup> nianiek i ani słowa więcej.

Kareta stanęła przed dworcem, wysiadły. Lila pierwsza dostrzegła Ocieską i pobiegła do niej.

— Tedy masz małą i Angielkę — rzekła Ramszycowa spokojnie po przywitaniu. — Mieszkanie w hotelu już zamówione, tu są ich kapitały podróżne, tylko mi dziecka zanadto nie rozpieść.

— Kto dzieci ma, niech je niańczy i wozi! — odparła Ocieska. — Ja wcale do Florencji się nie wybieram i wolę jechać w gęsim wagonie niż w dzieciennym.

— Ale w tym pociągu, którym jedziesz, mogą być dzieci.

— Pewnie, bo mnie nie stać na ekstracug<sup>419</sup>.

— Otóż Lila będzie, a że jedziesz przez Florencję, możesz je po drodze wyrzucić.

— Tyle to mogę.

Zwróciła się do Kazi i dodała z komiczną determinacją:

— Może pani chce posłać do Florencji kanarki lub drób żywy, mogę załatwić jedno przy drugim.

Kazia i Ramszycowa śmiały się, a tymczasem Lila szukała czegoś po ziemi około siebie i poczęła wreszcie skubać matkę, płacząco wołając:

— Nie ma, zgubiłam!

— Coś zgubiła? — A, bukiecik. No, to masz.

<sup>418</sup>kantor (daw.) — biuro, kancelaria; tu: biuro pośrednictwa pracy. [przypis edytorski]

<sup>419</sup>ekstracug (od *ekstra* i niem. *Zug*: pociąg) — pociąg nadzwyczajny, pospieszny, ekspres. [przypis edytorski]

Rozchyliła rotundę, dała małej parę goździków, które miała u paska i Lila napadła Ocieską, mówiąc prędko:

— Był tyli<sup>420</sup> bukiet. Zgubiłam. Masz, i wiesz, obiecałam mamusi, że nie będę jeść czekoladek. A wiesz, i Fryc jest z nami. Będzie wesoło!

— Co? Fryc! — załamała ręce Ocieska, mierzząc wzrokiem bezmiernego oburzenia Ramszycową.

Fryc był to pinczer Lili.

— Ano, Lili żyć nie może bez niego. Mnie o niego nie chodzi, możesz wyrzucić — odparła Ramszycowa.

Lokaj przyniósł bilety. Rozległ się pierwszy dzwonek. Ocieska, która podróżowała z jedną małą walizką, patrzyła ponuro, jak do przedziału zaczęto wnosić paczki i paczuski, jak się rozgościła Angielka i jak Lili zajęła się koszyczkiem, z którego się odzywał dyskretny pisk Fryca.

— Dobrze wam tu będzie — zdecydowała Ramszycowa.

— Niezupełnie, braknie papugi i kilku instrumentów dętych — mruknęła Ocieska.

Drugi dzwonek, zaczęto się żegnać.

— Lila, bądź grzeczna. Przyjadę za dwa tygodnie i jeśli zasłużysz, kupię ci osiołka!

— Będzie dwa ze mną! — rzekła Ocieska. — Dwa tygodnie mam to niańczyć? Nie! Jeśli za tydzień ciebie nie będzie, zdaję swe obowiązki konsulowi i wyjeżdżam do Rzymu.

— Dobrze, dobrze — śmiała się Ramszycowa — albo raczej oddaj małą do azyłu<sup>421</sup> jakiego. Do widzenia, a napisz z drogi. Dziękuję ci serdecznie.

Uścisnęła Ocieską, ucałowała Lilę, dała parę poleceń Angielce i zeszły z Kazią na peron.

Trzeci dzwonek. Spojrzała w okno. Ocieska z gwoździkiem w zębach trzymała Lilę na rękach, posepna i skrzywiona jak uosobienie ofiary z musu. Fryc już był w objęciach Lili. Pociąg ruszył, zostały same na peronie.

— No, jestem o małą spokojna. Co prawda, z nikim innym by nie pojechała. Byłby lament straszny. A bałam się o dziecko, bo straszna szkarlatyna<sup>422</sup> w mieście i mam masę roboty właśnie po tych norach.

— A ja panią opuściłam bez uprzedzenia. I doprawdy tak mi wstyd. Co sobie pani o mnie myśli?

— Myślę, że panią serdecznie żałuję. Doktor Downar opowiedział mi wszystko we wtorek.

— Wszystko zapewne nie — wtrąciła.

— No, resztę mi opowiedziała Ocieska.

— I co pani pomyślała?

— Ano, to co zwykle myślę, gdy słyszę ludzkie paplanie: *guarda e passa!*<sup>423</sup> Niech pani się nie martwi, macochy dogląda; gdy mąż wróci, słowa nie mówi i nie oglądając się na prawo i lewo, swoje robi: pracuje, czyta, gra, bywa, przyjmuje. Głowa do góry i prosto przed siebie. Tylko nie tchórzyc i nie ustępować. Straci pani trochę stosunków, odwróć się od pani ci czy owi, mniejsza; im mniej zostanie, tym lepszych. Rozmieni pani dużo srebra na trochę złota. Bardzo dobry handel. Ma pani trochę czasu? Pojedziemy za rogatki, mam już plac na dom dla moich protegowanych, dostałam od Ramszycy na gwiazdkę. Zaczynają zwozić materiały.

Wyszły z dworca na plac i na schodach spotkały Ramszycy z pudłem cukierków i bukietem.

— Spóźniłem się. Tam do licha! — zawołał. — A chciałem podziękować pannie Ocieskiej.

— I małą otruć słodyczami. Bóg ją ustrzegł, a ciebie od miny, z jaką by Ocieska przyjęła twe podziękowanie — zaśmiała się Ramszycowa. — Już ja to załatwiłam.

<sup>420</sup>tyli (gw.) — taki (o rozmiarze), tak wielki a. tak mały. [przypis edytorski]

<sup>421</sup>azył — miejsce bezpiecznego schronienia; tu: przytułek. [przypis edytorski]

<sup>422</sup>szkarlatyna — płonica, ostra choroba zakaźna wieku dziecięcego, której towarzyszy czerwona drobna wysypka na całym ciele. Przed upowszechnieniem penicyliny po II wojnie światowej szkarlatyna była najczęstszą chorobą wieku dziecięcego o bardzo ciężkim przebiegu, jej śmiertelność wynosiła 25%. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>*guarda e passa!* (wł.) — dosł.: popatrz i idź dalej; fragm. wiersu z *Boskiej Komedii* Dantego (*Piekło* III, 51): *Non ragioniam di lor, ma guarda e passa*: Nie mówmy o nich; popatrz i pójdz dalej. (tł. Edward Porębowicz). [przypis edytorski]

— No, to mnie uwolnij od tych paczek, bo śpieszę na sesję. A panie wracają? — spytał, pomagając im wsiąść do karety.

— Nie, jedziemy za roгатki. Bądź zdrów.

Pożegnał je i skinął na dorożkę.

— Tyleśmy się widzieli w tym tygodniu — rzekła Ramszycowa. — Urządzą jakiś syndykat<sup>424</sup> nowy, a że ja nazywam syndykaty rozbojem i żądam od niego sto tysięcy rubli z tego rozboju na ubogich, wywija mi się jak piskorz, niecnota. Chce mnie zbyć marnymi kilkunastu tysiącami. Co znaczy kilkanaście tysięcy! Wyjadę do Florencji i zostawię mu swoje interesa do administracji na sześć tygodni. Zobaczmy, jak sobie da rady<sup>425</sup>! Czy pani mi może dziś po dawnemu towarzyszyć? Bardzo będzie zdrowo. Żadne rady i morały tyle nie zrobią, co porównanie naszych bied do innych.

— Służę z miłą chęcią. Wyrzuci mnie pani w lecznicy potem.

Tego dnia prezes obiadował na mieście, więc Kazia zapowiedziała się macosze na cały wieczór. Gdy weszła, zastała chorą śpiącą. Usiadła tedy na uboczu i pograżyła się w myślach. Musiałby być niewesołe, bo twarz jej była surowa i brwi ściągnięte, a wzrok apatycznie utkwiony w jednym kierunku. Wzięła do rąk machinalnie robotę, którą tu sobie przynosiła z domu, ale nie haftowała. Opadło ją bezmierne zniechęcenie i nuda.

Nie wiedziała, ile tak przeszło czasu, ani zauważyła, że macocha przygląda się jej bacznie, dopiero na szelest drzwi w sąsiednim pokoju drgnęła, schyliła głowę, zaczęła szukać igły.

— Ciemno już — rzekła Szpanowska.

Zwykły wyraz swobodny jak maska pokrył twarz Kazi, wstała, zadzwoniła o lampę, uśmiechnęła się do chorej.

— Gdzież Zosia? — spytała.

— Ojciec ją zaprowadził do tych waszych krewnych, gdzie wczoraj z tobą była. Dziękuję ci za ten pomysł. Dziecko tak szczęśliwe, że ma towarzystwo i ta pani zaprosiła ją na każdy wolny wieczór. Ledwie się doczekała trzeciej godziny, tak jej było pilno. Musi się doskonale bawić! Dziękuję ci, pocziwa jesteś!

Było to pierwsze dobre słowo, które Kazia usłyszała w życiu od macochy, i w takiej chwili padło. Spojrzała na chorą oczami pełnymi łez.

— Dziecku źle bez matki — mówiła dalej Szpanowska. — Będziesz ty dobra dla Zosi, prawda?

— Ależ serdecznie ją lubię i o ile ją mieć będę, postaram się zabawić. Za kilkanaście lat, jeśli mama nie zechce ambarasu<sup>426</sup>, będę jej matkować na karnawałach — odparła Kazia, siląc się na żartobliwy ton.

— Za kilkanaście lat — ho, ho! Może mnie za kilkanaście dni już nie będzie na świecie.

— Co znowu! Za dwa tygodnie będzie mama rekonwalescentką.

— Moja droga, moja matka i dwie jej siostry umarły na raka i ze mną to będzie. Zgodziłam się na operację, ale w wyzdrowienie nie wierzę. Ano, trudno — raz się skończy! Wiesz, byłam dzisiaj u spowiedzi, raczej ksiądz tu był, i jestem spokojna. Jutro chcę rozmówić się z rejentem<sup>427</sup>, zostawić wszystko w porządku. Mąż twój nie wrócił?

— Lada dzień się go spodziewam.

— Wolałabym zostawić Zosię tobie niż ojcu. Czuję, że jej krzywdy nie dasz wyrządzić, a on tam zapracowany zostawić ją musi na pastwę najemnic. Rodziny nie mam! Mój Boże, żebyśmy wiedziała, że to tak prędko mnie spotka, nigdy bym ciebie z Górowa nie puściła.

Kazia milczała zmrożona śmiertelnie tym okrzykiem egoizmu. Za długoletnią poniewierkę los ją mścił, nie czuła triumfu z tego odwetu, tylko żal, żal, że nawet ta zmiana usposobienia macochy nie była uznaniem dla niej, tylko interesem.

— I żebyś choć dobrze trafiła. Poniewierają cię, a wiesz czemu? Bo nic nie masz!

<sup>424</sup>syndykat — stowarzyszenie kupców a. przedsiębiorców zawiązane w celu dokonania wspólnego, jednorazowego przedsięwzięcia lub w celu stałego wykonywania operacji na wielką skalę, przekraczającą możliwości każdego z uczestników; niekiedy syndykat ma charakter *kartelu*: porozumienia wielkich przedsiębiorstw określonej gałęzi przemysłu mającego na celu zmonopolizowanie rynku. [przypis edytorski]

<sup>425</sup>jak sobie da rady — dziś popr.: jak sobie da radę. [przypis edytorski]

<sup>426</sup>ambaras (daw.) — trudność, kłopot. [przypis edytorski]

<sup>427</sup>rejent (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

— Ależ, mam, jest mi bardzo dobrze! — zaprzeczyła Kazia. — Mój mąż wiedział, że nie mam posagu.

— Wiedział i wie, i dlatego sobie pozwala. Ja już jestem poinformowana o wszystkim. Tu obok zajmuje numer<sup>428</sup> jakaś pani i odwiedzała mnie. Warszawianka. Opowiedziała mi wszystko.

— Przy ojcu! — zawołała Kazia bez tchu.

— Nie, i ja mu jeszcze nic nie mówiłam. Aha, zdradziłaś się, nie chcesz, by ojciec się dowiedział.

— Tyle plotek krąży, po co ma się martwić ludzkimi domysłami i oszczerstwami! Ja, doprawdy, jestem szczęśliwa!

— I miałaś minę szczęśliwą, tu siedząc przed chwilą. Myślałaś, że śpię. Moja droga, nie żądam od ciebie zwierzeń, zresztą po co? Żeby być szczęśliwą i dać sobie radę na świecie, trzeba mieć pieniądze albo stosunki, a ty nic nie masz. Dlatego nikt o ciebie nie dba, ani świat, ani mąż, ani jego rodzina. Stary nad tobą skakał, bo myślał, że syna wyciągnie od kochanicy, jak się to nie udało i on się od ciebie odwróci — zobaczysz

Umilkła, patrząc na młodą kobietę, haftującą przy świetle lampy.

— Powinnaś powiedzieć wszystko twojemu ojcu — rzuciła po chwili.

Kazia podniosła oczy.

— Powinnaś, wtedy on w to wejrzy i ciebie stąd zabierze, a przynajmniej położenie twoje u Sanickich stanie się inne. Nie będą tobą pomiatać, bo będziesz bogata. Ale za to przysięgniesz mi, że dla sieroty mojej matką będziesz.

Kazia poczerwieniała.

— Mam, bez przysięgi i niebogata uczynię wszystko, co w mej mocy, żeby wam usłużyć. Ale, doprawdy, skąd mamie takie myśli dzisiaj?!

— Nie wmawiaj mi próżnej nadziei. Nie chcesz, by ojciec prawdę wiedział — nie powiem, ale mi przysięgnij, na pamięć swej matki przysięgnij, że Zosię będziesz kochać, że nią się zaopiekujesz, gdy mnie nie stanie<sup>429</sup>.

— Przysięgam, matko, ale już dosyć o tym. Przyniosłam zajmującą książkę, poczytam głośno!

— Czytaj, ale tę, co mi tu zostawiła siostra Klara. Mnie już nic nie zajmuje, oprócz Zosi.

Kazia zaczęła czytać *Naśladowanie Chrystusa*<sup>430</sup>.

Minęła godzina, chora zdawała się drzemać, gdy wtem wsunęła się cichutko siostra Klara.

— Przyszedł lokaj po panią! — rzekła.

Kazia wyszła, wróciła po chwili.

— A co tam? — spytała Szpanowska.

— Mąż mój przyjechał! — odparła, stojąc wahająco. — Muszę iść — dodała po chwili głuchym tonem.

— Idź! Ja ojcu nic nie powiem, boś przysięgła! Pamiętaj!

Kazia pochyliła się, by ją pożegnać, poczuła na głowie ciężką rękę macochy.

— Idź. Jutro operacja, może się już nie zobaczymy. Bardzo mi ciężko. Bądź dobra dla Zosi za to, co ja dla ciebie zrobię. Pamiętaj — wierzę ci — bądź zdrowa! Wspomniesz mnie kiedyś z wdzięcznością jeszcze! Jakie to jutro straszne!...

— Przyjdę rano!

— Przyjdź, zabierzesz Zosię!

W pół godziny potem wrócił Szpanowski.

Chora ucieszyła się dzieckiem, ale Zosia była zhasana i senna, więc ją położono spać w sąsiednim pokoju, a Szpanowski usiadł przy łóżku i spytał:

— Kazia dawno wyszła?

— Była parę godzin. Wezwali ją do domu, bo mąż przyjechał. Jutro rano tu będzie, zabierze małą na cały dzień. Prosiłeś reagenta?

<sup>428</sup> numer — tu: pokój opatrzony numerem. [przypis edytorski]

<sup>429</sup> nie stać (daw.) — zabraknąć, nie starczyć. [przypis edytorski]

<sup>430</sup> *Naśladowanie Chrystusa*, właśc. *O naśladowaniu Chrystusa* (łac. *De imitatione Christi*) — bardzo popularna książka religijna, poradnik życia chrześcijańskiego, napisany ok. 1418–1427, przypisywany Tomaszowi à Kempis. [przypis edytorski]

— Będzie o dziesiątej.  
— To dobrze. Sprzedałeś te akcje? Kupiłeś bilety?  
— Tak.  
— To mi je połóż do szufladki. Czy jest równo pięćdziesiąt tysięcy?  
— Trzysta kilkanaście rubli więcej.  
— Te zostaw u siebie. Bilety zwiń w papier, zapieczętuuj swoim sygnetem i daj mi tu atrament i pióro.

Spełnił wszystko. Tedy się uniosła na posłaniu i napisała coś na pakiecie, potem schowała go pod poduszkę i opadła wyczerpana.

— Źle ze mną — rzekła posępnie.  
— Mówiłem dziś z doktorem Morawskim. On ręczy, że operacja cię uratuje.  
— Ale Downar tego nie mówi.  
— Downar chce może uchodzić za cudotwórcę.  
— Nie, tylko on nie blagier. Czyś ty kiedy słyszał, żeby kto z raka wyzdrowiał? Nie ma o czym mówić. W najlepszym razie pomęcę się czas jakiś jeszcze, ale co to warte? Mówmy o interesach. Górów przejdzie na ciebie i Zosię; milionową będziesz miał dziedziczkę, ty jej jeszcze drugie tyle fortuny dorobisz. Będą się o nią kiedyś dobijali! Chcę, żeby Kazia ją wychowała.

— Kazia? — zdumiał<sup>431</sup>.  
— Tak. Ona dostanie te pięćdziesiąt tysięcy ode mnie jutro ciepłą ręką, żeby je miała dla siebie. Za to przysięgła mi opiekować się Zosią.

Szpanowski podniósł oczy. Takie to było niepodobne do Kazi.

— Chcesz, żeby mała u niej była! Co na to powiedzą Saniccy? Mogą sobie przykrzyć<sup>432</sup> dziecko w domu.

— Bądź spokojny. Będą inaczej traktować Kazię bogatą.  
— Ależ ona tych pieniędzy nie przyjmie.  
— To moja rzecz! A ja ci mówię, że przyjmie i spełni moje polecenie. A gdyby tobie o nich wspomniała — pamiętaj, że to moja ostatnia wola i życzenie, żeby ona była matką dla Zosi. Pamiętaj, pamiętaj! Wymagam tego i — proszę! — dodała.

Szpanowski poruszył brwiami.

— Da Bóg, sama wychowasz małą — rzekł z westchnieniem.

Nazajutrz, gdy Kazia przyszła, Szpanowska zażądała, by została z nią sama.

Rozmawiały pół godziny, potem Kazia wyszła, prowadząc Zosię za rękę. Znać było, że płakała. Ucałowała gorąco ojca.

— Przyjdę wieczorem — szepnęła mu i wyszła prędko.

## IX

Andrzej z Radliczem przyjechali wieczorem i razem zjawili się w pustym domu.

Sceny, której się Andrzej obawiał, nie było tedy na razie. Służący z własnego impetu pobiegł po Kazię. Przyszła i jakby nic spytała, czy życzą<sup>433</sup> jeść lub herbaty, tłumacząc, że oboje z teściem obiadowali na mieście. Ledwie lotem spojrziała<sup>434</sup> na męża. Potem zajęła się domowym gospodarstwem, poprosiła ich do jadalni i zabawiła swobodną rozmową o wypadkach miejskich. Mówiła tylko z Radliczem, bo Andrzej ponury, wściekły, palił papierosy i pił herbatę. Wreszcie wstał i rzekł:

— Musiało się nazbierać masę interesów. Państwo wybaczą, muszę przejrzeć korespondencję.

Gdy wyszedł, Radlicz się roześmiał z cicha.

Zmarszczyła brwi i spojrziała nań surowo.

— Pana to bawi?

— Bawi! — odparł zuchwale. — Cieszę się, gdy kto cierpi. Głupcy nic innego nie są warci. I pani nawet nieciekawa wiedzieć, co tam się stało?

<sup>431</sup>zdumiał — dziś popr.: zdumiał się. [przypis edytorski]

<sup>432</sup>przykrzyć sobie (daw.) — z przykrością, niechętnie znosić coś. [przypis edytorski]

<sup>433</sup>czy życzą — dziś: czy życzą sobie. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>lotem spojrziała — dziś: przelotnie spojrziała. [przypis edytorski]



— Wcale. Kto cierpi, nie jest głupi, ale stać się może złym. Pana to może bawić, mnie — nie.

— Nie myślałem o pani cierpieniu! — tłumaczył się.

— I słusznie. Mnie cierpieć nie wolno — odparła twardo.

— Pani cierpieć nie powinna — poprawił, obejmując ją gorącym spojrzeniem.

Uśmiechnęła się smutno i wstała.

— Teść przyszedł — rzekła, wzdrygając się.

— Bomba pęknie! Zmykam. Nie myślę, żeby bito tłustego cielca na powrót marnotrawnego syna!

Prezes poszedł wprost do gabinetu syna.

— Raczyłeś przecie wrócić! — zagaił wściekły. — Może zechcesz zastanowić się i opamiętać?

Andrzej wstał i patrzył zuchwale.

— Nad czym mam się zastanawiać! Miałem interesa i nikomu, sądzę, nie jestem obowiązany się tłumaczyć z parotygodniowej nieobecności.

— Zapewne, do sądu cię nie wezwą ani do więzienia za to nie wsadzą.

— No, więzienie mam tutaj — mruknął ponuro.

— Masz dom, obowiązki, stanowisko, opinię i jesteś żonaty! Przed tym będziesz się musiał tłumaczyć.

— Przed żoną może? — spytał szyderczo. — A ja ojcowi zapowiadam, że ani myślę, ani chcę, ani będę się usprawiedliwiał. Ojciec mnie ożenił, ojciec wie, w jakich warunkach. Zastrzegam sobie swobodę i będę jej używał!

Prezes patrzył na niego oszołomiony.

— Andrzej, czyś oszalał? Widzę, żeś niepoczytalny w tej chwili, i mówić z tobą nie będę. Jak oprzytomniejesz, sam zrozumiesz, ileś głupstw popełnił. Gdzie byłeś ranny?

— Głupstwo, draśnięcie! — burknął.

— Widziałeś żonę?

— Widziałem. Miała rozum milczeć i niech to jej ojciec i nadal zaleci.

Prezes patrzył nań, ruszył ramionami i wyszedł.

Nad domem zawisła ponura cisza. Andrzej wyszedł o ósmej, stary zamknął się u siebie. Kazia, załatwiwszy domowe sprawy, poszła na górę i szła, rozmyślając, że znowu, jak w Górowie, jest istotą zawadzającą i nigdzie, nikomu ani miłą, ani potrzebną.

O jedenastej kazała gasić światło. Andrzeja nie było, słyszała, że wrócił dopiero o trzeciej i gwizdał jakieś kuplety. Wracał z hulanki widocznie.

Nazajutrz w drzwiach lecznicy spotkała Kazia Downara. Operacja była skończona.

Nie pytając, po oczach jego jasnych poznała, że był kontent<sup>435</sup>.

— Uratowana?! — zawołała radośnie, wyciągając doń obie ręce.

Skinął głową, uśmiechnął się i ujawszy w swe olbrzymie łapy jej drobne dłonie, rzekł:

— Udało się. Tymczasem niebezpieczeństwo zażegnane. Dobrze. Dziecko nie zostanie sierotą. Ale pani niech tam nie idzie, wieczorem chyba. A czego to pani tak źle wygląda, anemia się zbiera! Paskudna choroba. Moc weźmie, nerwy starga. Nie trzeba się poddawać.

— Czy to można być zdrowym, kiedy się chce?

— Młodemu można i nawet trzeba! A nie tęsknić do pola, nie tęsknić, ono śpi, odpoczywa teraz. Zima, chłód, głód, ludzie cierpią. U Wieczorków na Solcu mówili mi wczoraj: ta pani, co ją pan doktor przysłał, to ino wejdzie i już jakby słońce weszło! Zanieść im słońce w tę suterenę, wyręczyć mnie starego, bo nie mam czasu. A chorobie się nie dać!

— Idę, profesorze — uśmiechnęła się.

Popatrzał jej bystro w oczy.

— Wie pani, kiedy człowiek głupio czas marnuje? Kiedy się nad sobą żali.

Zarumieniła się, spojrzała nań wdzięcznie i rzekła:

— Dziękuję, profesorze!

Uścisnęła jeszcze raz dłonie i rozeszli się.

Downar spojrział na zegarek, potem do notatnika.

<sup>435</sup>kontent — zadowolony. [przypis edytorski]

— Mam trzy godziny dla swoich — zamruczał i ruszył na Smolną, nie uważając<sup>436</sup> wcale, że o sto kroków za nim szła żona. Doprowadziła go do rogu Nowego Światu i w kwadrans po nim zadzwoniła do mieszkania w znajomej sobie kamienicy.

Po chwili otworzono jej i w progu, zamykając sobą wejście, stanęła stara kobieta w czepcu i kaftanie, typowa chłopka.

— Chcę widzieć się z doktorem Downarem.

Baba popatrzała na nią, ruszyła ramionami.

— *Ne suprantu!*<sup>437</sup> — odparła, cofając się i zamykając drzwi, ale Downarowa nie ustępowała.

— Nie udawaj, wiedźmo! Jestem żona doktora Downara i będę się z nim widzieć.

Gwar kilku głosów słychać było w mieszkaniu, śmiechy, ożywioną rozmowę.

— Idź, zawołaj mi tu zaraz tego swego pana! — tupnęła nogą Downarowa.

Baba powtórzyła swoje: *ne suprantu*, a że w tej chwili Downar zawołał: „Barbikie!” — snadź to jej była nazwa<sup>438</sup> — zatrzasnęła Downarowej drzwi przed nosem! Dzwoniła nadaremnie kilka razy, wreszcie zeszała i wyszukała stróża, który był wściekły, bo mu właśnie ktoś skradł miotłę:

— Czy tu ktoś jest u doktora Downara?

— A bo ja wiem? — mruknął.

— Co to za baba tam służy u niego?

— Meldowana je<sup>439</sup>. Baba, zwyczajna baba.

— Dodzwonić się nie można.

— A pani do onej<sup>440</sup> baby ma interes? Ona ci nie gada po ludzku, Żmudzinka<sup>441</sup> je czy jakoś tak.

— Chcę się widzieć z doktorem.

— On ci nie przyjmuje państwa tutaj, ino czasem prosty naród. Niech pani ze swą chorobą idzie do jego szpitala.

Tu ujrzał chłopaka wyglądającego z sutereny i zwrócił się do niego:

— Niczyja robota, ino twoja, obwiesiu! Gdzie je miotła, kondlu<sup>442</sup>! Tyś ino przeleciał bez bramę i już miotły nie ma!

— Miotła, miotła! — zaskrzeczał chłopiec. — Po ki<sup>443</sup> diabeł mi ten ożóg<sup>444</sup>? Wasza<sup>445</sup> może na niej dymnęła<sup>446</sup> na Łysą Górę.

Stróż podskoczył do okienka, zaczęła się szermierka językowa, podwórko zaludniło się gapiami. Downarowa wyszła na ulicę.

Gdy Downar przyszedł do domu na obiad, znalazł w mieszkaniu nieład, a na środku jadalni wielki kufer, do którego żona zносиła garderobę. Lokaj i służąca pomagali jej w tym tak pilnie i ochotczo, jakby to była ich własna wyprawa, a w drzwiach od kuchni stała gruba Franciszka, kucharka, i uśmiechała się, założywszy beczynnie ręce na fartuchu.

— No, co się stało? — zagadnął.

— Wyjeżdżam.

— Dokąd? Co tak pilno?

Nie było odpowiedzi. Zrozumiał tedy, że pytać dalej nie warto. Zrozumiał, że Franciszka nie gotowała obiadu i że najlepiej zrobi, gdy zniknie. Nie rzekł słowa, tylko zacisnął zęby, oczy mu dziwnie pociemniały, zwrócił się<sup>447</sup> i wyszedł. Na schodach spotkał Andrzeja Sanickiego.

— Profesor wychodzi, a ja właśnie chciałem się poradzić.

<sup>436</sup>*nie uważając* — tu: nie zauważając. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>*ne suprantu* (litew.) — nie rozumiem. [przypis edytorski]

<sup>438</sup>*nazwa* — tu: nazwisko, imię. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>*je* (gw.) — jest. [przypis edytorski]

<sup>440</sup>*onej* (daw.) — tej. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>*Żmudzinka* — popr.: Żmudzinka, mieszkanka Żmudzi, krainy hist. stanowiącej zachodnią część Litwy. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>*kondel* (daw., gw.) — kundel; tu: wyzwisko. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*ki* (daw., gw.) — jaki, który. [przypis edytorski]

<sup>444</sup>*ożóg* — kij do poprawiania ognia i przegarniania węgla w piecu; pogrzebac. [przypis edytorski]

<sup>445</sup>*wasza* — tu: wasza żona. [przypis edytorski]

<sup>446</sup>*dymać* (pot.) — prędko iść a. bieć; pędzić; uciekać. [przypis edytorski]

<sup>447</sup>*zwracać się* (daw.) — kierować się w przeciwną stronę, zawracać. [przypis edytorski]

— Służę. Wstąpię do pana. Jakoś pan istotnie na chorego wygląda.

Weszli do gabinetu Andrzeja.

— Chory właściwie nie jestem, ale miałem wypadek z bronią, byłem ranny w bok, lekko zresztą, ale musiałem za wcześnie tu wrócić i gorzej mi znowu dolega.

Downar go obejrzał.

— Trzeba poleżeć dni kilka, nic złego, ale się nie goi rany, biegając po mieście. Mięśnie i poszarpane; tylko o parę cali na lewo, toby pan poleżał trochę dłużej, bo do sądu ostatecznego. Paskudne bywają wypadki z bronią.

— Nie będę leżeć, profesorze. Nie mogę.

— Ano, jak pan nie może, to nie — odparł flegmatycznie Downar. — To opatrzę pana co dzień wieczorem przez pierwsze trzy dni, a potem nauczę żonę pańską, jak zrobić opatrunek; za dwa tygodnie będzie pan zdrow.

— No, nie, żona mnie opatrywać nie będzie, ona wcale nie wie o wypadku i nie chce, by wiedziała. Profesor mi raczy dochować sekretu.

— Naturalnie, ale ja tu jeszcze panu coś przepiszę. Cały system nerwowy rozklekotany jak stuletni fortepian. Nigdy pana nie widział w tak złym stanie! Trzeba się szanować, panie Andrzeju. Sypia pan dobrze?

— Wcale nic prawie. Miałem ostatnimi czasy masę zajęcia i nieprzyjemności.

— Zajęcie i owszem — to zdrowe, a nieprzyjemności... W pana wieku i położeniu być nie powinno przy dobrej woli.

— Dobrej woli do troski nikt nie ma — uśmiechnął się Andrzej z przymusem.

— Ha! tak by się zdawało, ale człowiek jest jak ten robak z gadki: siedział w śliwce, chciał lepiej, włożył w orzech, źle, włożył w korę drzewną, źle, więc szukając lepiej, włożył w chrzan, wtedy się uspokoił. Nie róbcie tak, panie Andrzeju. Troski służą geniuszom, bo wtedy najlepiej tworzą, ale my, ludzie zwyczajni, jak się poddamy troskom, nie tworzymy nic, tylko piekło sobie i swoim. Nerwy dzisiejsze nieobrachowane<sup>448</sup> na znoszenie nieszczęść i kłesk; pan swoje niech oszczędza, bo będzie źle. Jako lekarz i przyjaciel pana ostrzegam. Nie szukaj chrzanu.

— Profesor taki uroczysty, jakbym stał nad grobem.

— Bo źle jest z panem! Do grobu wszyscy dążymy, jedni powoli, inni takim pędem, jakby licho wie, co za nagroda ich tam czekała. Mniejsza zresztą o grób, bo ten nie minie, ale nie traćcie zdrowia samochcąc<sup>449</sup>. Jak się pan nie zastanowi, nerwów w garść nie weźmie, to czeka pana gorsze niż grób: niedołęstwo, rozstrój, osłabienie umysłowe i fizyczne, zanik woli i sił, jednym słowem: ruina i śmierć, na długo może przed grobem jeszcze. To dopiero prawdziwe nieprzyjemności będą! No, a teraz, do widzenia, panie Andrzeju, i darujcie szczerłość, alem wasz przyjaciel stary i wiele nędz widziałem, które można było zażegnać we właściwym czasie.

— Dziękuję, profesorze. Jeśli było waszym zamiarem mnie wystraszyć, toście swego dopięli.

Przeprowadził go do przedpokoju, tam Downar jeszcze się zatrzymał i rzekł:

— Niech też pan uważa na żonę. Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat. Zbladła i zmarniała w mieście: trudno się aklimatyzuje widocznie.

— Jeśli kwiatem ją profesor raczy nazywać, to chyba polny. W cieplarni jej nie chowano stanowczo, a tu robi, co jej się podoba.

— Jak nic może wpaść w anemię, a potem byle co z nóg zwali!

I poszedł Downar do restauracji na obiad, i myślał o swych fachowych sprawach, obiedzie na Smolnej, mimochodem o żonie.

Od dawna życie domowe traktował jak reumatyzm zadawniony, do którego wreszcie człowiek tak nawyknie, że mu prawie nie dolega.

Do Andrzeja przyjechał Markham z Grodziska, a że konferencja fabryczna się prze-wlekała, został na obiad. Cenny to był współbiednik, rozmowa była swobodna, a tematu, jak zwykle, dostarczali ludzie i plotki miejskie; po obiedzie zjawilo się kilka osób z rodziny i zaledwie późnym wieczorem domowi zostali sami, i prezes rzekł:

<sup>448</sup>nieobrachowane — dziś: nieobliczone, tu: niezaplanowane. [przypis edytorski]

<sup>449</sup>samochoć (daw.) — z własnej woli. [przypis edytorski]

— Obiecałeś Markhamowi być jutro w fabryce. Wróćże wcześniej, bo jutro nasz fiks<sup>450</sup> i koniecznie być musisz.

— Jeśli znajdę tam wszystko w porządku, to wrócę.

— Żadne „jeśli”! Musisz być — i musicie tymi czasy pokazać się razem w teatrze. Mam dosyć plotek i skandalów.

Kazia milczała zajęta robotą.

— Nic nie muszę — wybuchnął Andrzej — i nic sobie nie robię z plotek gawiedzi! I nie myślę grać komedii, bo mi za to nie płacą. Nie jestem zresztą w humorze bawienia ludzi ani wysiadania w teatrze. Mam masę zajęć.

— Wolisz bawić ludzi sobą: winszując! — oburzył się prezes. — Masz siebie za bohaterę, a wszyscy drwią za twymi plecami.

— Z czego? Że żona moja pozuje malarzom do obrazów? Mogą mi to w oczy powiedzieć, pewnie się nie wzruszę, ani będę kruszył kopii.

— Słuchaj, chyba nie rozumiesz, co mówisz!

— Owszem, to ojciec zapomniał moich warunków przedślubnych. Zastrzegłem sobie zupełną swobodę. Ojciec lekceważył moje żądania, teraz je pozna. Proszę brać przykład z niej. Milczy, zgadza się na wszystko, bo mi nic nie może zarzucić. Biorę i daję zupełną swobodę. Inni mężowie mają dwie miary, ja jedną dla nas obojga. Nie pytam, co ona czyni i jak życie swoje urządza, w zamian nie pozwolę na żadną kontrolę i kierownictwo

Kazia podniosła głowę, spojrzała na niego jasno, smutno i bardzo łagodnie.

— To prawda. Rozmówiliśmy się przed ślubem jak dwoje współników o interesie materialnym. Nie dawałam uczucia i nie wymagałam. Pan chciał się ożenić dla owej sumy legowanej<sup>451</sup> przez matkę pod tym warunkiem, ja chciałam się usunąć przez wzgląd na ojca. Chciałam mu dać spokój i zadowolenie pewnością, że jestem szczęśliwa. Była to szalona utopia<sup>452</sup>. Spadłam tu tak obca i dzika, tak niewyrobiona i młoda, że pewnie winna jestem obecnemu swemu położeniu. Nie znam ludzi, ani tego świata, a najgorsze, że nie umiem kłamać i udawać, i wedle siebie ludzi sądziłam. Jestem bardzo winna, ale też i ukarana. Jestem panu ciężarem i kulą galernika, ludziom przedmiotem pogardy i pośmiewiska, i wedle tego, co pan zamierza czynić, niemożliwe będzie ukryć przed ojcem prawdy naszego życia. Wszystko, com budowała, czegom pragnęła, nad czym pracowałam, w gruzy się rozsypie. Ale pan nie winien, nie pan cierpi, więc jest bezwzględny. Tylko panu jeszcze szczęście wróci i życie się odnowi, bo pan mężczyzna, pan władca swej doli i niedoli, tylko dlatego trzeba, żebym ja się usunęła z drogi. Jestem w waszym domu niepotrzebna, a między wami kamieniem obrazy. Po co mamy sobie robić piekło, ludziom widowisko? Po co mamy nawet udawać, jak ojciec chce, dla formy pustej? Dajcie mi odejść! To jedyne rozwiązanie kwestii.

Obydwa<sup>453</sup> patrzyli na nią, obydwu w głębi zawstydzeni, żaden się nie odezwał.

Ona, raz zacząwszy, nabierała mocy i potrzeby wypowiedzenia do dna swych myśli i uczuć.

— Ja czuję, że tu nie wyrosnę; ludzie mnie, a ja ich nigdy nie zrozumieję ani się pogodzę z tym światem. Obca jestem i obcą pozostanę, nie umiem żyć w tłumie wciąż sądzona, szpiegowana, krytykowana, potępiana. Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od nich, jestem inna. Przybyłam z głową pełną utopii. Chciałam serdecznie być panu przyjacielem i towarzyszką, ojcu jak rodzoną córką, dla siebie znaleźć jaki cel, zajęcie. Tęskniłam i tęsknię szalenie do wsi; żeby się przemóc, pracowałam i myślałam o innych. I co z tego?... Dom stał się panu więzieniem, moje towarzystwo przymusem nieznośnym, na który cała dusza pana się buntuje; ojciec z mojej racji<sup>454</sup> ma upokorzenie i wstyd wobec ludzi, a mnie uczyniono kochanką pana Radlicza, awanturnicą, zarządzającą schadzki pod firmą<sup>455</sup> dobroczynności. Cierpiałam w milczeniu, myśląc, że może jeden ojciec przynajmniej zachowa swój spokój, ale i to mi nie dane, więc proszę was: dajcie mi odejść!

<sup>450</sup>*fiks* (przest., z fr. *jour fixe*: ustalony dzień) — spotkanie towarzyskie, przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>*legowany* — zapisany w testamencie. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>*utopia* — pojęcie użyte po raz pierwszy w 1516 roku przez Thomasa More'a jako tytuł dzieła; projekt idealnego ustroju; tu: coś nierealnego. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>*obydwa patrzyli* — dziś popr.: obydwaj patrzyli. [przypis edytorski]

<sup>454</sup>*z mojej racji* (daw.) — z mojego powodu. [przypis edytorski]

<sup>455</sup>*pod firmą* (daw.) — pod przykrywką. [przypis edytorski]

Zwróciła się do Andrzeja:

— Robię scenę, i to bardzo nie w porę, kiedy pan ma wiele przykrości, ale tyle już ludzie tymi czasy o nas gadali, że gdy zniknę z horyzontu, mniej będzie wrzawy. Jutro rano rozmówię się z ojcem i mogę zaraz wrócić do Górowa.

Prezes wstał i słowa nie rzekłszy, wyszedł.

Andrzej pod jasnym jej, prawym wzrokiem oczy spuścił i nagle poczuł się tak upokorzony, tak głupi, marny, nikczemny, że jak niedorostek rzekł bezmyślnie:

— Com ja winien? Okoliczności tak się podle złożyły. Chory jestem jak pies, wszystko mnie drażni. Cóż znowu?... Nie myślałem, żeby z tego jutrzejszego fiksu i tego teatru miała być awantura. O co chodzi? Żeby się pani ojciec o niczym nie dowiedział? Odwiedzę go jutro rano, będę tu wieczorem.

— Chodzi nie o jutro, lecz o całe życie. Daj mi pan odejść, zanadto mi tu ciężko.

— Odejść... Jak pani chce! Żeby pani była wcale nie weszła<sup>456</sup> do tego domu! Teraz mi obojętne. Pani chce odejść, wyzwolić się dla kogoś, dla Radlicza może?

Zaśmiała się gorzko.

— Ja pani w niczym nie krępuję przecie. Jestem tak znękanym i wyczerpanym, że tak nagle zdecydować się nie mogę. I pani niech się zastanowi. Prawda, byłem bezwzględny, przepraszam.

Na twarzy jej odmalowało się wielkie zmęczenie i zawód.

— Więc ma zostać, jak było... — szepnęła głucho.

— Pani tak chciała!

— O, nie tak, nie tak! — potrząsnęła głową. — Gotowa byłam pracować i żyć bez miłości, ale nie w nienawiści być i żyć.

Wzdrygnęła się, podniósł oczy.

— Nienawiść czułem i ja w pani, nie starała się pani niczym mnie dla siebie zjednać.

— Owszem, starałam się panu nie zawadzać, nie narzucać swą obecnością. Byłam wzięta na gospodynię domu, spełniałam mój obowiązek.

— Tak, spełniała pani swój obowiązek — powtórzył. — Pani jest uosobieniem chłodnego rozsądku i gospodarności, przynajmniej dla mnie. Inni inną panią znają zapewne. Na obrazie Radlicza nie gospodaruje pani podobno, ale kocha i marzy.

Zachnęła się, wstała, rzuciła na stół robotę.

— Dlaczego pan to mówi, wiedząc, że to fałsz?

— Tego nie wiem. Radlicz się wcale nie zapiera, że panią kocha, cały świat was łączy, a trudno wierzyć, żeby młody mógł żyć bez miłości. Zapewne, powie pani, że na straży stoi katechizm, ale nie bardzo wierzę w ludzkie wynalazki przeciw żywiołowym siłom.

— Gdybym pokochała, wyznałabym to przede wszystkim panu — odparła.

— Po co? Żeby mnie upokorzyć?

— Upokorzyć? Jakim sposobem? — zdziwiła się szczerze.

Popatrzał na nią i ruszył ramionami.

— Istotnie, pani nie ma pojęcia o miłości! — rzucił niecierpliwie.

Wstał także i syknął z bólu. Przy ruchu uraził ranę, i pobladł, dotykając boku.

Zauważyła to, ale nic nie rzekła. Wtedy on ozwał się twardo:

— Może pani śmiało triumfować i drwić ze mnie. Rywalka pani mnie zdradziła, wystrychnęła na dudka, mąż jej mnie postrzelił. Musieli to pani ludzie dawno donieść. Miała pani rozkoszną chwilę zemsty.

— Ani mi ona była rywalką, bom pana nie kochała, anim czuła rozkosz odwetu, bo mnie pan nie okłamywał. Żał mi było pana.

— Tego mi pani nie okazała.

— Owszem, przed chwilą, gdym chciała się usunąć. Pomyślałam, że gdybym ja kiedy pokochała, najcięższym by mi był pana widok i obecność. I — prawa.

Spojrzeli sobie teraz w oczy, wyciągnął do niej rękę.

— Zostanie pani? Jeszcze raz przepraszam, będę na przyszłość uważniejszy.

Bez zapału i wiary podała mu dłoń.

— Pójdę, powiem ojcu — szepnęła z westchnieniem.

— Ja się położę, może zasną!

<sup>456</sup>była nie weszła — daw. forma czasu zaprzeszłego; dziś: nie weszła (wówczas, wcześniej). [przypis edytorski]

Zawahala się i przemogła.

— Jeśli pan chce, umiem ranę opatrzyć<sup>457</sup>. Co dzień w lecznicy to czynię, mam wprawę.

— To już za wiele zaparcia siebie i poświęcenia. W lecznicy są bliźni, a ja wróg i kat. Dobranoc.

Nazajutrz prezes zastał ich oboje przy rannej herbacie. Musiała go Kazia z wieczora bardzo dobrze usposobić i uspokoić, bo na powitanie pocałował syna w głowę i rzekł wesoło:

— Więc tedy Downar znowu cudu dokonał z twoją macochą, córuś. Warto by chorą odwiedzić.

— Idę tam zaraz. Ale większy cud, że jest teraz tak dobra dla mnie. Czy wie tatuś, że gdy myślała, że umrze, oddawała mi Zosię na wychowanie i opiekę?

— Niech żyje i niech ją sama chowa!

— Pójdziemy razem do lecznicy — rzekł Andrzej.

— To nie jedziesz do Grodziska?

— Ano nie, bobym musiał wracać przed wieczorem dla tego zebrania.

— To dobrze, chłopcze. Powinniście być z wizytą u starych Markhamów i u tych przeklętych Wolskich.

— U Wolskich! — skoczył Andrzej.

— Nigdzie nie będziemy — zdecydowała spokojnie Kazia — On jest niezdrów i powinien siedzieć w domu, najlepiej nawet, gdy się położy, a ja mam wyżej głowy roboty z Ramszycową, która wyjeżdża tymi dniami i zdaje na mnie cały swój kram.

— Winszuję, to już cię wcale nie zobaczę.

Uśmiechnęła się.

— Jak gdyby tatuś w domu dużo sam przebywał! Wrócę na obiad i na wieczór, jak zwykle. Dziś nawet wcześniej, bo muszę kolację przygotować.

Andrzej kazał konie zaprzęgać i rzekł, podsuwając jej „Kuriera”.

— Co wolisz: *Hugonotów*<sup>458</sup> czy *Lohengrina*<sup>459</sup>? Wezmę lożę, to i ojcowie z nami pójdą.

— *Lohengrina*, pojutrze. Dobrze?

Prezes spod oka na nią patrzył i zachwycał się, i radował. Nie wiedząc, jak okazać swe ukontentowanie, począł pogwizdywać dyskretnie. Służący oznajmił, że konie gotowe.

— Nie za wcześnie będzie? — rzekł Andrzej.

— To się przejedźcie do Łazienek.

— Ależ o jedenastej nie wcześnie! — zaprotestowała Kazia, sprząając pośpiesznie przy bufecie.

Gdy wsiedli do powozu, Andrzej się odezwał:

— Co za zgroza na propozycję tych Łazienek!

— Istotnie, przeraziłam się na myśl, jak to panu byłoby przykre. Bywał pan tam w szczęśliwszych warunkach...

— Tak, spotkała mnie pani nawet parę razy w Alejach. Jak to już dawno! Ale czy pani sądzi, że gdy kiedy ze swym wybranym tam pojedzie, to on tam z panią pierwszą będzie?

— Nie, tego nie myślę, alebym chciała być ostatnią. Tracić jest ciężiej, niż wcale nie mieć.

— Pani to zna?

Zarumieniła się mocno.

— Gdybym nie znała, nie byłabym tu z panem.

— Ach, prawda, miała pani narzeczonego.

Zamyślił się.

— A jeśli on wróci i wróci po panią?

— Powiem panu szczerze i otwarcie. Ale to jeszcze jedna z moich utopii. Nie wróci już! A gdyby wrócił, to nie do mnie.

<sup>457</sup> *opatrzyć* — dziś popr.: *opatrzyć*. [przypis edytorski]

<sup>458</sup> *Hugonoci*, właśc. *Hugenoci* (fr. *Les Huguenots*) — francuska opera niem. kompozytora Giacomo Meyerbeera (1791–1864) z 1836 r., nawiązująca do rzezi hugenotów (fr. kalwinistów) podczas tzw. nocy św. Bartłomieja. [przypis edytorski]

<sup>459</sup> *Lohengrin* — opera romantyczna niem. kompozytora Ryszarda Wagnera (1813–1883) z 1850 r., na podstawie średniowiecznej legendy o Rycerzu Łabędzia. [przypis edytorski]

— Kochała go pani tak bardzo?

Nie odpowiedziała. On poczuł falę nielogicznej złości i niechęci, coś jakby zazdrość o to uczucie kobiety, o którą nie dbał, której nie kochał, ale która z prawa była jego własnością.

— Wolskie! — szepnęła Kazia, kłaniając się.

Uchylił i on kapelusza.

— Szlag mamę ubije! — zauważył. — Skamieniała na nasz widok. Ciekaw jestem, co będą teraz gadać. Ja byłem śmiertelnie ranny w pojedynku, pani odesłana do rodziny. Rozwód w konsystorzu<sup>460</sup>. Pogłupieją.

— Wcale. Powiedzą, że jestem potwór, Messalina<sup>461</sup>, żem pana potrafiła okłamać lub przebłagać, albo że sobie nawzajem tolerujemy zdrady i zuchwale stawiamy czoło opinii.

— Co prawda, mają trochę racji. Szczególna z nas para. Mówimy sobie „ty” przy ludziach, „pan” i „pani”, gdy jesteśmy sami, nie mamy żadnych tajemnic, a jesteśmy wrogami, pani mi się zwierza o eksnarzeczonym, ja pani wyznaję swoją miłosną porażkę.

— Nie okłamujemy siebie, dzięki Bogu!

— Tylko oto idziemy okłamywać ojca — zakończył, bo powóz stanął przed lecznicą.

— Dla tego kłamstwa gotowam na wszystko.

— Nawet na pozostanie w moim domu?

— Nawet. I wdzięcznam panu za towarzystwo w tej chwili, bardzo wdzięczna.

— Trudno tę wdzięczność okazać.

— Niepodobna<sup>462</sup>. Ani panu potrzebna, ani miła. Ale zobaczy pan, że za ofiarę z siebie dostanie pan od losu nagrodę za mnie.

— Wygodnie jest mieć los za kasjera. Ale jestem teraz w takim usposobieniu, że trzeba cudu, by mi coś mogło zrobić przykreść lub przyjemność.

Spojrzała nań z uśmiechem.

— A ja zakład stawię<sup>463</sup>, że sprawię ten cud.

— Pani?

— Ja, jeśli pan zechce ze mną pójść stąd jeszcze na godzinę z wizytą.

— Pójdę przez prostą ciekawość.

Szpanowski wyszedł na ich spotkanie, wypadła też Zosia, dopominając się, że chce iść do Maniusi i Felisia, i powitała ich uśmiechem Szpanowska.

— Zupełnie nas pan Kazi pozbawił. Wpadnie na chwilę i już ją coś, a raczej ktoś do domu ciągnie.

— A mnie się zdaje, że jej nigdy w domu nie ma — odparł swobodnie.

— To ty hulasz po świecie! — rzekł wesoło Szpanowski. — Od tygodnia co dzień ciebie czekają.

— Żona mi dokumentnie zmyła głowę wczoraj za to i tak wystraszyła, że dziesiątemu<sup>464</sup> zakazała bałamuctwa<sup>465</sup>. Teraz będę siedzieć w domu, aż mnie sama wypędzi.

— To ty, Kaziu, ostro rej wodzisz<sup>466</sup> w domu! — zaśmiał się Szpanowski.

— Ma rację — dodała Szpanowska. — Ma młodego, ślicznego chłopca, niech go pilnuje, bo ukradną.

— Nie dam się wziąć!

— Gadanie. Nie wierz temu, Kaziu, i pilnuj sama swego. To najbezpieczniej, słyszysz?

— Słyszę, mamu, ale on żartuje. Nie miałam prawa i racji do zmycia głowy, bo się nie bałamuciał ani bawił za granicą. Miał interesa. Teraz go istotnie trochę w domu przetrzymam, bo niezdrowsi i przepracowani.

Reperowała pilnie jakąś okaleczoną Zosi lalkę i była mu tak wdzięczna, tak wdzięczna, że nie śmiała spojrzeć.

<sup>460</sup>konsystorz (daw.) — kuria biskupia, podległy biskupowi kościelny urząd administracyjny i sądowiczy; do kompetencji sądu konsystorskiego należało m.in. orzekanie w sprawach o unieważnienie małżeństwa. [przypis edytorski]

<sup>461</sup>Messalina, Valeria (ok. 17–40) — trzecia żona rzym. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków; skazana na śmierć za spisek przeciwko mężowi. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>niepodobna coś zrobić (daw.) — nie można, nie da się, nie sposób coś zrobić. [przypis edytorski]

<sup>463</sup>stawić zakład (daw.) — pójść o zakład, założyć się o coś. [przypis edytorski]

<sup>464</sup>dziesiątemu zakazać, powiedzieć itp. (daw., pot.) — niejednemu, każdemu. [przypis edytorski]

<sup>465</sup>bałamuctwo (daw.) — tu: spędzanie czasu na hulankach. [przypis edytorski]

<sup>466</sup>rej wodzić (daw.) — przewodzić. [przypis edytorski]

A on patrzył na jej pochyloną złotą głowę i zauważył po raz pierwszy, że zbladła i zmizerniała, sieć żyłek miała na skroni i usta ledwie różowe. „Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat” — przypomniał słowa psychologa Downara i... żał mu się jej zrobiło.

— Będę miał do wiosny dużo roboty, nim się zorganizuję, ale potem chciałbym się trochę uwolnić, wyjechać na odpoczynek. Zeszłe lato odsiedziałem w tym skwarze z powodu małżeństwa, teraz muszę to powetować. Kazia też zmarniała w mieście, potrzebuje powietrza i ciszy.

— Daj nam ją pan do Górowa na lato! — zawołała Szpanowska, a Szpanowskiemu zabłyśły oczy.

— No, nie — zaśmiał się Andrzej. — Nie dam jej nikomu.

— Ależ nie myślę was rozłączać. Razem!

— Ciebie znudzi wieś prędko — westchnął Szpanowski.

— Kaziu, użyj swego wpływu. Wstyd ci będzie, żeby się znudził. Przyjeżdżajcie!

Kazia podniosła oczy do okna, na ołowiane niebo.

— Tak jeszcze daleko do słońca i lata — rzekła.

— Ja chcę do Maniusi i Felisia! — zawołała grymaśnie Zosia, tupiąc nogami.

— Pójdziesz, pieśczoneczko. Kazia cię zaprowadzi.

— Ja chcę zaraz. Ja nie będę czekać!

— Można zaraz — rzekł Andrzej. — Zabierzemy ją ze sobą i zdamy stryjence do kompletu.

Rad był okazji, by się uwolnić, ale gdy się znalazł w powozie, niepilno mu było do domu.

— Cóż, rada pani ze mnie? — spytał.

— O, tak wdzięczna! Nie śmiałam spojrzeć na pana ze wstydu, że pan tak musiał kłamać z mojej racji.

— Wcalem nie kłamał. Prawdą było, że wczorajsza pani propozycja rozstania mnie wystraszyła. Czy pani sobie może wyobrazić, jak by mnie ojciec przyjął, żebym<sup>467</sup> się na to zgodził? Nie kłamałem też, mówiąc, że jestem nie do wzięcia, bo istotnie nie potrafiłbym kochać i pożądać, a i nie dam pani komu, bo mi gospodyni w domu potrzebna. Z nas dwojga nie ja kłamałem, ale pani.

Mówił po francusku, co obraziło Zosię.

— Mówisz coś na mnie! Jak śmiesz? Poskarżę się mamusi!

Roześmiał się.

— Bądź spokojna, ani myślę o tobie.

Zwrócił się do Kazi i dodał po francusku:

— Milutkie stworzenie. Żeby było moje, tobym zabił!

— Egoistka. Będzie jej dobrze na świecie — zdecydowała filozoficznie. — Zaprowadzę ją do stryjenki, niech pan wraca do domu.

— A ten cud, co pani miała sprawić?

— Chce pan naprawdę? To proszę zaczekać.

Wróciła zdyszana, rozjaśniona i rzekła do stangreta z uśmiechem:

— Na Pańską, Walenty, do mojej kamienicy.

A Walenty też się uśmiechnął, a potem obejrzał na Andrzeja i głową pokręcił.

Ruszyli, ale po drodze Kazia wstąpiła do sklepu z kwiatami i wróciła z wazonem skromnej białej prymuli, potem wstąpiła do owocarni, a wreszcie spytała Walentego:

— A torbę wam Józef dał?

— Dał. Juści wiemy<sup>468</sup> porządek! — odparł.

— Ten cud mógłby się stać na ulicy z lepszym brukiem! — zauważył Andrzej, krzywiąc się, gdy wjechali w głąb Pańskiej.

— O Boże! Rana panu dolega, jakżem nieuważna! Wracajmy!

— Nigdy z pół drogi. Głupstwo, opatrunek się osunął trochę. Mam doktora w domu.

Bruk był coraz gorszy, domy coraz nędzniejsze, wreszcie Walenty stanął przy samym rynsztoku przed pochyloną bramą, obok której stały dwa drewniane domostwa, pamiętające chyba Szwedów w Polsce.

<sup>467</sup>żebym — tu: gdybym. [przypis edytorski]

<sup>468</sup>wiedzieć (daw.) — znać. [przypis edytorski]



Nad rynsztokiem stało trzech chłopaków i dziewczynka, zajętych wylawianiem z brudnych mydlin pomarańczowych skórek.

Na widok powozu przerwali swe zajęcia, spojrzeli i nagle wrzasnęli jednym głosem:

— Nasza pani! Olaboga, dyć<sup>469</sup> żyje!

Chłopcy rzucili się z tym wrzaskiem w bramę, wpadli na stróża, rozległo się energiczne „psiakrew” i już na podwórku pisk głosów.

— Ludzie, rety, nasza pani przyjechała!

Dziewczynka pocałowała Kazię w rękę, stróż pokłonił się jej czapką do kolan i machnął miotłą mydliny z rynsztoka, a potem uśmiechnięty wziął z rąk Walentego dużą skórzaną torbę i ruszył przodem.

Kazia wysiadła, pogłaskała dziewczynkę po głowie, dała jej piękne czerwone jabłko.

— Braciszek zdrów? Cóż u was słychać?

— Tatus na mieście. Mama pierze. Wczora<sup>470</sup> tatuś strasznie Józia obił — recytowała, idąc obok niej.

Za bramą było podwórze otoczone ze wszech stron odrapanymi, nędznymi domami, z których w tej chwili wysypała się ciżba ludzi, dzieci przeważnie i kobiet, ubogich, nędznych, jak to ich otoczenie.

Poza oknami widać było twarze tych, co zejść nie mogli pracą zajęci, a cała ta szara masa szła ku Kazi, otaczała ją, ogarniała, witała jak dobrze znajomą, z okrzykami dobrodusznej, szczerzej radości.

Andrzej znał w fabrykach tę czerni<sup>471</sup>, ale znał ją albo pokorną i nieufną, albo zbuntowaną i zuchwałą, znał te twarze zniszczone przedwcześnie nędzą albo cyniczne zepsuciem, znał milczenie ponurego poddania lub pomruk głodem rozjuszony bestii, znał ich pijanych, znał fałszywie pochlebnych, ale to, co widział teraz, było dlań zupełnie nowe.

Kobieta ledwie odziana, z rękoma obnażonymi po łokcie i białymi od mydlin, z twarzą szeroką, czerwoną, typowa wesola Mazurka z zadartym nosem i siwymi, wesółymi oczami, widocznie rej wodziła i była adiutantem Kazi wśród tej armii maluczkich i biednych, bo dotarła pierwsza do „pani” i śmiejąc się, wołała:

— A widzicie! Nie gadałam: „Pani do nas się zjawi, co miała nas porzucić!” Olaboga, a oni co pletli, a umarła, a chora, a zabili ją! A widzicie, a widzicie! Żywa i cała! Ja mówiłam: „Co wy ta wiecie<sup>472</sup>, jako<sup>473</sup> państwo żyją — mają i oni swoje kłopoty i zajęcia. Coś ci jej przeszkodziło!” Najgorszy ten pies, Józefiak! To on gardłował: „Macie waszą magnatkę, pobawiła się wami i tyle ją będziecie widzieć”.

Tu chłopcy roześmiali się chórem, a jeden najśmielszy zawołał:

— A pani Tomaszowa mu za to w pysk dała, a on tak zgłupiał, tak zgłupiał, że i nie oddał.

— Oddałby mnie! — krzyknęła Tomaszowa, czerwieniejąc. — A to bym chuchrę<sup>474</sup> ostudziła!

— Była ci frajda, była! — chichotali chłopcy.

— To Józefiak znowu bez roboty? — spytała Kazia.

— Zwymyślał po pijanemu majstra, to go wyleli! Siedzi to zatracenie<sup>475</sup> w stancji<sup>476</sup> na moją niedolę! — odpowiedziała inna kobieta. — Paniusiu złocista, nie karzcie mnie i dzieci za niego!

— Zaraz tam do was wstąpię. A rządcą jest?

— Jest — odparł stróż. — Ino Stasiek to już na Bródnie i Sobieskie gospodarz wyrzucił.

— Rządcą! — gwizdnął któryś z chłopaków.

<sup>469</sup>dyć (daw., gw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>470</sup>wczora (daw.) — dziś popr.: wczoraj. [przypis edytorski]

<sup>471</sup>czerni (daw., pogardl.) — motloch, pospólstwo. [przypis edytorski]

<sup>472</sup>Co wy ta wiecie (gw.) — co wy tam wiecie. [przypis edytorski]

<sup>473</sup>jako (daw., gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>474</sup>chuchra — dziś *chuchro*: człowiek mizerny, wychudzony; biedak. [przypis edytorski]

<sup>475</sup>zatracenie — zatraceniec, niegodziwiec, utrapieniec. [przypis edytorski]

<sup>476</sup>stancja (daw.) — izba, pokój, zwłaszcza wynajmowane; dziś: mieszkanie a. pokój wynajmowane uczniom a. studentom uczącym się poza miejscem stałego zamieszkania. [przypis edytorski]

— Zmykajcie! — zaśmiała się Kazia. — Dzieci, są tu jabłka, ale kto pacierza nie umie gładko, niech się na nie nie oblizuje. Ja się z rządcą rozmówię i zacznę egzamin od Ambrozików — słyszysz, Wicek, o gołębiach nie myśl, radzę ci.

Dziewięć dziewcząt, kobiety przypomniały, że śmiecia pełno po stacjach, śmiecia, o które „pani” zawsze wojuje, i uspokojone, że Opatrzność ich nie opuściła, wróciły do swych nor, a na podwórzu zostali oboje Saniccy, stróż, Tomaszowa i zbliżył się ku nim garbaty mały jegomość, którego Kazia pozdrowiła jak dobrze znajomego.

— Dzień dobry, panie Wierzbicki. Dobrze, żeście Sobieskich się pozbyli, zakąsała tu była domu. A proszę o listę zaległości komornego.

Jegomość stanął przed nią, pocałował ją w rękę, a potem oczy zamknął, twarz mu się skurczyła, otworzył usta:

— Kwa, kwa, kwa... — wybelkotał, krzywiąc się i zaciskając pięści z wysiłku.

Andrzej, który się całej scenie przyglądał zrazu trochę zgorzony, potem zdumiony, potem zaciekawiony, teraz poczuł taką potrzebę śmiechu, że parsknął tak szczerze, jak dawno się nie śmiał.

Kazia się obejrzała na niego i po jej twarzy latało drżenie nerwowe.

— *De grâce, ne me faites pas perdre mon sérieux*<sup>477</sup> — szepnęła prędko i zwróciła się do nieszczęsnego jękały:

— Ja właśnie pamiętam o kwartale, panie Wierzbicki, i proszę o listę.

Ale niestety, każdy głuchy udaje, że słyszy; kulawy rad by tańczyć, jękała nigdy nie traci nadziei, że będzie Demostenesem<sup>478</sup>.

I Wierzbicki, zamiast od razu oddać listę, miał papier w rękę i znowu oczy zamknął.

— Go, go, go...

— Wiem, gospodarz dusi — odpowiedziała Kazia.

— Ko, ko, ko...

— Komornikiem grozi. Dobrze, dobrze, dziś to załatwię i kto nie może naprawdę zapłacić, za tego panu oddam. Żegnam pana tymczasem, bo muszę obejść swą czeladkę<sup>479</sup>.

Pół gwałtem wzięła mu papier z ręki i skinęła na Tomaszową i Andrzeja.

— Pa, pa, padam! — bełkotał Wierzbicki.

— Padam do nóg! — szepnęła, śmiejąc się swobodnie.

— Przeklęty jękała! — mruzczała Tomaszowa. — Co nie dogada, to nadokucza. Do Ambrozików idziem, paniusiu? Dla Julki pewnie wazonik?

Skinęła głową, zwróciła się do Andrzeja:

— Ma pan już dość wizyty?

— Nie. Bawię się i zaciekawia mnie to wszystko. Służę do końca.

— O, to dopiero początek!

— O! — zauważyła poufale Tomaszowa. — A ja myślałam, że to mąż pani.

— A dłączegóż nie? — uśmiechnęła się.

— No, bo nie, kiedy pani „pan” mówi.

— A co wam się zda<sup>480</sup>, kim jestem?

— Juści nic złego, bo nasza pani nie taka, jak to bywają. Z ciekawości pan przyjechał albo od „Kuriera”.

Kazia szła naprzód po stromych schodach i nic nie mówiła. Na każdym piętrze we wszystkich drzwiach czatowali na nią ludzie, ale się nie naprzykrzali prośbą, nie zatrzymywali. Wiedzieli, że nikogo nie minie, nikomu czasu nie poskąpi. Patrzyli tylko za nią, a w mieszkaniach rozlegało się zamiatanie i sprzątanie, i głosy dziecinne powtarzające jedno przez drugie: *Pod Twoją obronę, Dziesięcioro, Wierzę, Aniele Boży*<sup>481</sup>.

<sup>477</sup>*De grâce, ne me faites pas perdre mon sérieux* (fr.) — na litość boską, proszę mi nie odbierać powagi. [przypis edytorski]

<sup>478</sup>*Demostenes* (384–322 p.n.e.) — słynny mówca gr., gośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi (tzw. filipiki). Wg Plutarcha za młodu mówił niewyraźnie i miał wadę wymowy, czego pozbył się, ćwicząc recytację z kamykami w ustach. [przypis edytorski]

<sup>479</sup>*czeladka* (daw.) — zdrobienie od *czeladź*, tj. służba bądź szerzej: zaleźni domownicy. [przypis edytorski]

<sup>480</sup>*zda się komuś* — zdaje się komuś. [przypis edytorski]

<sup>481</sup>*Pod Twoją obronę, Dziesięcioro, Wierzę, Aniele Boży* — modlitwy katolickie. [przypis edytorski]

— Huncwoty<sup>482</sup>, andrusy<sup>483</sup>, jakie ci to na jabłka chciwe. A podczas to kijem nie nagnać do pacierza! — mruczała Tomaszowa.

Na drugim piętrze spotkali brodatego mężczyznę w obszarpanym paltocie<sup>484</sup> narzuconym tylko na ramiona. Schodził śpiesznie. Zatrzymała go Kazia.

— Dzień dobry, panie Józefiak. Proszę chwilę zaczekać, bo mam do pana interes.

Mężczyzna przywarł plecami do ściany, nie patrzył na nią, twarz miał złowieszcza.

— Spieszno mi, nie mam czasu — mruknął.

— Pięć minut tylko. Mam wieści o Kurkowskim, parę książek dla pana i polecenie.

Drab nic nie rzekł, ale zawrócił i otworzył przed nią drzwi swego mieszkania. Izba to była zapchana dziećmi i gratami bez żadnej wartości. Na widok męża Józefiakowa zdumiała<sup>485</sup>. Wyleciał zbuntowany i wściekły, odgrażając się na „panów”, wracał cichy i pokorny. Rzuciła się do Kazi, podała jej stołek jedyny, dla Andrzeja otarła fartuchem kuferek. Dzieci małe i duże obstały wnet Kazię, a ona, gładząc je po twarzach i główkach, mówiła do Józefiaka:

— Pan Twardowski pisze mi, że Kurkowski rzetelnie pracuje, zdrow i zadowolony. Mury fabryki już stoją, maszyny obstalowane tu, w Warszawie, i lada dzień będą wyprawione. Otóż prosi, żeby mu wyszukać pięciu zdolnych ślusarzy i wraz z maszynami wysłać. Pomyślałam tedy, że mi pan pomoże i doradzi. Ma pan pewnie kolegów dość rozwiniętych, żeby zrozumieli myśl pana Twardowskiego.

— To każdy, kto nie bydlę robocze, zrozumie.

— Więc mi pan takich zarekomenduje. Wie pan warunki i statuta<sup>486</sup>?

— Wiem, kto wolny i sam, to szczęśliwy.

— Pan tak mówi, jakby i tym swoim braciom zazdrościł. Chce pan, proszę jechać razem.

— Pewnie, a co z tym zrobisz? Rentę im zostawię na życie czy potopię w Wiśle?

Wskazał na kupkę głów jasných u kolan Kazi.

— To już mój kłopot będzie.

— A, bo to prawda? Zresztą, co mają żebrać? Niech zdychają ze mną razem!

— Bajesz pan! Ja pierwsza im żebrać nie dam. Dla Władka i Stasia mam robotę. Anusia może już szyć się uczyć.

— A Hela może na guwernantkę<sup>487</sup>! — szydził.

— Hela zostanie z matką niańczyć Jasia. Hela malutka, ale bardzo mądra, prawda? — pochyliła się do sześciolatniej dziewczynki, która najbliżej stojąc, patrzyła jej w oczy, przekrzywiając główkę jak ptaszę.

Otworzyła torbę, wydobyła parę książek, które podała Józefiakowi, potem już więcej nań nie zważając, zwróciła się do kobiety.

— Tu jest dla Stasia kurtka i buty dla Władka. Wyszorujcie ich, matko, należycie i poślijcie z tą moją kartką na Ogrodową do pana Hilda. Dosyć, chłopaki, baki zbijać, trzeba wam na ludzi wyjść. Dla Anusi tu jest skrajana spódniczka i bluzka, zeszyjcie jej to, po niedzieli do szwalni ją zabiorę. A jakże tam komorne, węgiel jeszcze macie?

Józefiak stał z książkami w garści nieruchomy, ponury. Czapkę miał na głowie, paltot na ramionach, po twarzy latały mu myśli bezładne, walka, bunt, wstyd, upór. I stał tak podczas całej rozmowy o kwestii życia i dachu tych piskląt, które swą nędzę jemu zawdzięczały, i spod oka patrzył na Kazię.

Załatwiwszy kwestię bieżących potrzeb, zwróciła się do dzieci, twarz jej się rozjaśniła prawie dziecinną uciechą. Wzięła delikatnie za ucho Staśka i zawołała:

— A teraz baczość: *Ojczy nasz* zmówi Hela, *Zdrowaś* Władek, a ty, gołębiarzu, *Wierzę!* Niech no mi się kto zmyli!

<sup>482</sup>*huncwot* (daw., pot.) — szelma, łobuz. [przypis edytorski]

<sup>483</sup>*andrus* (daw.) — łobuz. [przypis edytorski]

<sup>484</sup>*paltot* (z fr., przestarz.) — palto. [przypis edytorski]

<sup>485</sup>*zdumiała* — dziś popr.: zdumiała się. [przypis edytorski]

<sup>486</sup>*statuta* — dziś popr.: statuty; tu: przepisy regulujące działanie przedsiębiorstwa. [przypis edytorski]

<sup>487</sup>*guwernantka* — prywatna, domowa nauczycielka i wychowawczyni. [przypis edytorski]

— Ocie naś, którzy jeś! — zaczęła świergotać Hela, zwracając się do obrazka Częstochowskiej<sup>488</sup>.

Józefiak powoli sięgnął ręką, zdjął czapkę, Andrzej powstał z kufierka, chłopcy półgłośnym szeptem wtórowali, Kazia patrzyła na ołowiane niebo za oknem i poruszała ustami, powtarzając serdecznie modlitwę. I była ta izba jak szary padół<sup>489</sup> ziemi pracowitej i znoejnej, na której zakwitł jakby złocien<sup>490</sup> — ta kobieta — kwiat polny, a nad nią skowrończym świergotem unosiło się ku Bogu malutkiej Heli *Ojcie nasz*.

Za drzwiami czekała Tomaszowa i na głos pacierza zajrzała także. Józefiak się obejrzał i usunął.

— Wejdźcie, toć was nie zjem! — mruknął.

Kazia rozdawała jabłka i serdeczne słowa, dzieci skakały z uciechy dumne, że się żadne nie zmyliło<sup>491</sup>, i wszystko żegnało ją, cisnęło się, coś jeszcze opowiadało, i otoczona tą gromadką wydostała się wreszcie na schody.

Józefiak skłonił się, wyciągnęła doń rękę.

— Liczę tedy na pana — rzekła.

Nic nie odpowiedział, obejrzał się, czy Tomaszowa nie patrzy, i pocałował jej rękę. Poszli na strych.

Facjatka<sup>492</sup> to była pełna zakamarków, z oknami jak wyloty olbrzymich armat.

I tu było pełno ludzkiego mrowia, i tu ciasno od sprzętów bez żadnej wartości.

Ambrozik, kaleka o jednej nodze, siedział u warsztatu stolarskiego i rzeźbił w dębinie. Stary jego ojciec mieścił się w kącie ze swą introligatorską prasą i narzędziami, na ziemi siedział chłopak z ogromną głową, miną idioty i bawił się skrawkami papieru, a na łóżku leżała dziewczynka woskowo blada, suchotnica widocznie.

Ambrozikowa, matka, żona i opiekunka całej tej rodziny, powitała Kazię uśmiechem prawie wesołym.

— Paniusiu złocista, a toć nam się zdały wieki, żeście do nas nie zajrzeli. Myśleliśmy, nieszczęście jakie. Cośmy się z Julką namodlili!... Ociec, pani przyszła! — krzyknęła, trącając na drugim łóżku leżącego mężczyznę.

Ten ociemniały był i głuchy zapewne, bo podniósł głowę i odparł, kaszłąc:

— Coś, by<sup>493</sup> kwiecie czuć!

— Gorzej mu? — rzekła Kazia, podając chorej dziewczynie wazonik kwitnący.

Podeszła do warsztatu, przywitała rzeźbiarza, spytała starego introligatora o robotę, spytała o Wicka, czy nie spsocił co u majstra, o Kazika, czy mu się ręka zgoiła, dała jabłko idiotcie i wreszcie zawołała Andrzeja, by obejrzał rzeźbę.

— Śliczna robota! — zdecydował szczerze.

— Udała mi się! — uśmiechnął się uradowany Ambrozik. — To do ołtarza, proszę pana, do kapucynów<sup>494</sup>, cały dębowy będzie, to słupek około cyborium<sup>495</sup>. Odpryskuje mi tylko, psiakrew, dębina.

— A nie klnij, poganinie! — upomniała żona. — A jeszcze o ołtarzu mówiąc.

Podąła zydelek<sup>496</sup> Andrzejowi, spojrzal nań uważnie. Był cały ślicznie artystycznie rzeźbiony.

— I to wasza robota?

<sup>488</sup>*obrazek Częstochowskiej* — miniatura obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z sanktuarium na Jasnej Górze, otoczonego szczególnym kultem religijnym wśród wiernych Kościoła rzymskokatolickiego i uważanego za cudowny. [przypis edytorski]

<sup>489</sup>*padół* (daw.) — nisko położony teren, dolina, wąwóz; przen.: cała ziemia jako miejsce życia doczesnego. [przypis edytorski]

<sup>490</sup>*złocien polny* — roślina z rodziny astrowatych, chwast polny o żółtych kwiatach. [przypis edytorski]

<sup>491</sup>*zmylić się* (daw.) — pomylić się; popełnić błąd. [przypis edytorski]

<sup>492</sup>*facjatka* — mieszkanie a. pokój na poddaszu. [przypis edytorski]

<sup>493</sup>*by* — jak, jakby. [przypis edytorski]

<sup>494</sup>*kapucyni* — zgromadzenie zakonne o surowej regule, powstałe w XVI w. jako odłam zakonu franciszkanów. [przypis edytorski]

<sup>495</sup>*cyborium* — obudowa nad ołtarzem w kościele, mająca kształt baldachimu podtrzymywanego przez kolumny; *cyborium* to także naczynie liturgiczne służące do przechowywania hostii; dawniej nazywano tak również *tabernakulum*: ozdobną, zamkniętą szafkę, gdzie przechowuje się cyborium z hostiami (dawniej tabernakulum często umieszczano na głównym ołtarzu). [przypis edytorski]

<sup>496</sup>*zydeł* (daw.) — prosty, drewniany stołek. [przypis edytorski]

— A moja. To z tych czasów, kiedy tu jeszcze pani do nas nie wstąpiła; nie było chleba, ledwie z szpitala wyszedł, nuda i nędza żarła. Chłopcy coś niecoś zarabiali, ale nas tyle tu kalek. Ani się najęść, ani z głodu zdechnąć, a najgorzej nuda. Ja, panie, bez roboty — trup. Chory, słaby, kaleka, takiego ludzkie zdrowe popchną, podepcą, i tyle. Aż tu raz Kazik mi przynosi kawałek olszyny, drugi raz kawałek, trzy ino dłućka miałem, ni warsztatu, ni żadnego narzędzia, bo wszystko szpital zjadł, ani nie myśleli, że żyw zostanę. Nie śmiem pytać chłopca, skąd masz drzewo, rozumiem, że ukradł, jak przyzna się, trzeba go będzie sprać i kazać odnieść, a tu do tego drzewa ręce mi się trzęsą. Zacząłem robić, jakby mi zdrowie i życie wróciło, ten ci zydelek jest. Żona mówi, że trzeba go do kościoła dać, bo grzeszny, ale jak na niego patrzę, to mi się zda, że prędzej rękę dam sobie uciąć.

— Ręki waszej szkoda ucinąć, śliczne te wasze roboty, nie rzemieślnicze!

— Jeszcze ja nie tak umiem. Matko, pokażcie panu skrzynkę!

Kobieta dobyła z kuferka mały przedmiot i przez fartuch podała go, szepcząc:

— Ino by pani nie dojrzała, bo to dla niej on dłubie nocami. Dla pani, co ją nam Bóg dał, jako swego anioła stróża. To pańska żona? Oj, łaskę pan ma u Pana Jezusa, musiała panu taką żonę matka wymodlić, wypościć. Musi ją też pan miłować, miłować jako duszę. Dajże wam, Boże, jasną dolę i zdrowie, i dziatki piękne i jako ona złociste! Józef, opowiedz panu, jako to było z nami.

— Ano, jak pan widzi, tylko ja nie miał warsztatu, ojciec prasy, Julka i teść łózek, Wicek butów, żeby na robotę iść i co dzień „pykawy” kwakał i kukał, a ziąb był, a głód! Ot, co było, a ot, temu trzy miesiące. Wicek bosy poszedł żebrać, co było robić, no — i patrzajcie. Wicek wrócił karetą z panią. Obejrzała nas, pogadała małowiele<sup>497</sup> i w mig postawiła nas na nogi. Za czym od nas do innych poszła — tak ci Wicek dla całej posesji Opatrzność przywiózł. Karetą, bestia, przywiózł!

I zaśmiał się serdecznie Ambrozik, i ze śmiechu tego oczy mu zwilgotniały, że je rękawem musiał obetrzeć.

Andrzej obejrzał się na Kazię. Siedziała na łóżku suchotnicy i rozmawiała z nią. Poczwała jego wzrok i powstała, zaczęła się żegnać. Tomaszowa zabrała książki oprawione i wyszli żegnani błogosławieństwem.

— Nieprawda, że to niepospolity artysta i zdrowe, dobre dusze mają wszyscy? — rzekła, schodząc na dół. — Mój Boże, bogaci czuliby się najniezwyklejszymi, obarczeni tylu chorobami i kalectwami, bluźniliby i wyrzekali. Ja Ambrozików tak lubię serdecznie; im się zdaje, że ich wspieram, a to oni mnie krzepią i są mi dobroczyńcami.

I szli dalej, z piętra na piętro, od nędzy do nędzy, od starości bezsilnej do młodości bez opieki i kierunku, od choroby bez środków leczenia do nałogów nabranych w rozpacz, wśród bezrobocia i złych instynktów zrodzonych z głodu i brudu, i buntu biedy ocierającej się co chwila o zbytek, i apatii, i zezwierzęcenia, i cynizmu.

Gdy obeszli całą prawie posesję, Andrzejowi się zdało, że jak Dante<sup>498</sup> piekło i czyściec zwiedził.

U Tomaszowej, żony dorożkarza, zakończyli. Tam też Wierzbicki otrzymał swą listę z notatkami Kazi i pieniądze.

Wytrząsnęła całą sakiewkę, zliczyła, zmieszała się i rzekła do męża po francusku:

— Pożycz mi pan piętnaście rubli do jutra?

— *Prenez tout!*<sup>499</sup> — rzekł, wysypując garść złota.

— Olaboga, ile tego! — splasnęła<sup>500</sup> rękami Tomaszowa.

— Cóż? Teraz uwierzycie, że mąż pani? — zaśmiał się.

— A właśnie, że nie. Dałby ci ta mąż żonie tak zaraz! Oho, prawda, obziera się<sup>501</sup> to o każdy grosz, a na hulankę to go zawsze stać!

Kazia porachowała złoto, schowała je i pożegnała Wierzbickiego.

— Pa, pa-dam! — gonilo za nimi.

<sup>497</sup> *małowiele* (daw., gw.) — niewiele, trochę. [przypis edytorski]

<sup>498</sup> *Dante Alighieri* (1265–1321) — jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor poematu *Boska Komedja*, przedstawiającego wizję wędrówki poety przez trzy światy pozagrobowe: Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

<sup>499</sup> *Prenez tout!* (fr.) — niech pani bierze wszystko. [przypis edytorski]

<sup>500</sup> *splasnąć* — płasnąć, klasnąć. [przypis edytorski]

<sup>501</sup> *obziera się* (daw.) — zwracać uwagę na coś. [przypis edytorski]

Wsiadli do karety, torba była pusta, konie ruszyły ostro, znudzone czekaniem.

— Przeklina pan w duchu swoją ofiarność. Nie było ani szczególnej przykrości, ani przyjemności, nuda, zaduch, brud, przymus!

— I to w ten sposób spędza pani dnię całe?

— Mniej więcej. W mojej kamienicy bywam raz na tydzień, resztę pracuję z Ram-szycową. Ona ma szwalnię, ochronę, lecznicę, przytułek dla dziewcząt upadłych i rekon-walescentów, co dzień rano zgłasza się do niej rzesza biedaków, których potrzeby należy sprawdzać, jest co robić!

— A wczoraj wieczór omal ci biedacy i protegowani nie zostali bez opieki. Chciała pani wszystko rzucić.

— Nie rzuciłabym ich dla fantazji lub zniechęcenia. Mój Boże, żeby nie oni, czy byłabym tu dotychczas? Dali mi cel, pracę, myśl, zajęcie, wszystko, co zdrowe i silne.

Wjechali na Marszałkowską.

— Oni to mój świat, a to jest, było i pozostanie mi cudze i najcięższym obowiązkiem. Spojrzała na zegarek i zatrzymała Walentego.

— Ja tu wysiądę. Mam sprawunki dla domu na dzisiejsze przyjęcie. Dziękuję panu.

Wyskoczyła, skinęła mu głową i weszła do sklepu, powóz ruszył.

Przed ich domem ujrzał Andrzej Radlicza, który na niego czekał.

— Co to? Nie w Grodzisku? — spytał po przywitaniu.

— Downar mnie nastraszył. Kazał się szanować.

— I gadają ludzie, że cię widziano z żoną na mieście.

— Czy mi nie wolno?

— Ano nie, bo nie wiedzą, co to znaczy.

— Znaczą, że byłem z wizytą u teścia. Mam dość hec z ojcem i kwasów domowych. Chodź na górę, ale cię uprzedzam, że swego „Wrzosa” nie będziesz oglądać: chyba że zostaniesz na obiad.

— To zostanę, jeśli zaprosisz.

— Takęś stęskniony jej widoku! — zaśmiał się Andrzej.

— No, wolałbym więcej jak widok, ale uczę się małym zadowolniać<sup>502</sup>.

Weszli do gabinetu Andrzeja, rozłożyli się wygodnie, zapalili papierosy.

— Barańska leci na ciebie — rzekł. — Dowiaduje się, kiedy do niej przyjdiesz. Co, ładna bestia?

— Ładna, tylko ordynarna i głupia jak karp. Nie lubię takich.

— To trudno. Taką Celinę niełatwo znajdziesz. Było się nie żenić, miałbyś dotąd.

— Myślisz? Ja wątpię, dowiedziałem się wczoraj wielu rzeczy od Markhama. Maks już tam był od roku, tylko ja byłem ślepy. Ostatecznie powiem ci szczerze, odpadła mnie chęć zmywania jednego szalu drugim, odurzania się, by zapomnieć. Żałuję swej rozpacz, bólu, żalu dla takiej podłości i fałszu. Chcę odpocząć i zapomnieć. Zmęczony jestem.

Radlicz spojrzał nań uważnie. Wydał mu się zmieniony, zamyślony, poważny i spojny.

— Wyglądasz na kandydata do rekolekcji<sup>503</sup> i spowiedzi — roześmiał się.

— Może znasz amatora na mieszkanie Celiny?

— Młody Goldmark je weźmie dla Klary. Co chcesz<sup>504</sup> za całe urządzenie<sup>505</sup>?

— Dwa tysiące, byle się pozbyć.

— Chodźmy po obiedzie do teatru, spotkamy Goldmarka.

— Dziś u nas fiks. Nie mogę.

— Nie możesz opuścić fiksu u siebie? Człowieku, ty dążysz do samobójstwa, ty gotowyś się zakochać w żonie!

— W czyjej?

— No, w swojej!

Andrzej ramionami ruszył.

— Wszystkich po sobie sądzisz — odparł i zadzwonił.

<sup>502</sup>zadowolniać — dziś popr.: zadowalać. [przypis edytorski]

<sup>503</sup>rekolekcje — w kościele katolickim nauki połączone z mszą, służące pogłębieniu życia religijnego i odnowie moralności. [przypis edytorski]

<sup>504</sup>Co chcesz — tu daw.: ile chcesz (jaką kwotę). [przypis edytorski]

<sup>505</sup>urządzenie (daw.) — wyposażenie mieszkania: ogół meblowania i sprzętów. [przypis edytorski]

— Pani wróciła? — spytał lokaja.

— Wróciła.

— Powiedz, że pan Radlicz będzie na obiedzie.

Rozmawiali dalej i po chwili Andrzej spytał:

— Jakże się skończyło z tym twoim *Wrzosem*? Sprzedałeś Kołockiemu?

— Nie. Przestał mnie napastować, zapomniał.

— Zrobił swoje. Dużo hałasu, skandalik, kompromitacja kobiety i poszedł dalej.

Wyobrażał sobie, że mnie dokuczy. Źle trafił!

Radlicz pomyślał, że i jemu się nie udało. Andrzej nie był na żonę zbuntowany, nie odgrażał się, do domu przyrósł był jakby gotów. Czymże go zjednała?

Lokaj oznajmił obiad. Radlicz zajął miejsce obok Kazi i badawczo jej się przyglądał. Ale twarz jej była jak zwykle pogodna i spokojna, zachowanie swobodne.

„Czy ta kobieta jest z lodu czy z gutaperki<sup>506</sup>?” — pomyślał z głuchą złością i chęcią, by jej dokuczyć, wyprowadzić z tego spokoju.

— Słyszałem, że z zakładu protegowanych Ramszycowej uciekło siedem panienek — rzekł. — Będą panie miały nie lada kłopot z odnalezieniem tych zbłąkanych owieczek.

— Wcale sobie tego kłopotu nie zadamy. Gwałtem się nie rekrutuje i gwałtem się nie zatrzymuje.

— Więc to jest zakład istotnie filantropijny. Biedaczki tam restaurują<sup>507</sup> siły i mają utrzymanie w razie stagnacji w interesie.

— Chociażby — odparła spokojnie. — Chore psy i konie mają też przytułek. Zresztą co do ucieczki owych siedmiu, musiał to pan słyszeć od Wolskich, bo to nieprawda. Kto się z piekła chciał wydostać i wydostał, ten nie wraca.

— Wolskie dziś pewnie będą z narzeczonym — mruknął prezes.

— Niech no on mnie spyta o posag, odpłacę im za wszystko! — rzekł zajadle Andrzej.

— Czyś oszalał! — zaśmiał się Radlicz — gotów zerwać, a wtedy nie osy będą, ale szerszenie. Ten człowiek wart pomnika obok Zygmunta<sup>508</sup>! Urwie jeden łeb hydrze<sup>509</sup>!

— Żeby tak jeszcze kto tobie łeb urwał! — zaśmiał się prezes.

— To jednak dziwne — ozwała się Kazia. — Nie ma dwóch zdań o Wolskich. Każdy je ma za plotkarki i oburza się, ale każdy słucha ich plotek, powtarza i każdy ich się boi, i każdy je przyjmuje.

— Ciekawym, co innego zrobić, kiedy ich nie można powywieszać! — odparł Andrzej.

— Zgotować duży kocioł wrzątku, nająć nad nimi mieszkanie i zalać — zdecydował z całą powagą Radlicz. — Ręczę, że na taki wypadek nie ma paragrafu w karnym kodeksie.

— Ale nie ma też paragrafu na plotki i fałszywe nowinki.

— Nie, to jest sztuka. Szekspir powiada: „Farbiarska sztuka niczym jest wobec sztuki czernienia cnoty” — dodała Kazia poważnie.

Obiad się skończył, przeszli do salonu na kawę.

— Dużo osób się spodziewasz? — spytał prezes.

— Około trzydziestu.

— Wyobrażam sobie, co by to był gdzie indziej za rejuwach<sup>510</sup>. A ty ani dbasz, ani się kłopotujesz.

— Ale za to kłopotce się za mnie ciocia Dąbrowska. Co tydzień w przeddzień wpada i biada godzinę: jak ty dasz rady<sup>511</sup>! A ja właśnie daję radę, bo mi nikt w zarządzie nie pomaga ani się wtrąca. Was dwóch to jakby jeszcze dwóch gości, ani mnie musztrujecie przedtem, ani krytykujecie potem.

— No, ja Bogu dziękuję, że sam nic nie obrywam — rzekł Andrzej z uśmiechem.

<sup>506</sup>*gutaperka* — substancja zbliżona do kauczuku, otrzymywana z soku drzewa gutaperkowego. [przypis edytorski]

<sup>507</sup>*restaurować* — daw. ogólnie: odnawiać, odświeżać; tu: regenerować, odzyskiwać (siły). [przypis edytorski]

<sup>508</sup>*obok Zygmunta* — obok kolumny Zygmunta, pomnika króla Zygmunta III Wazy na placu Zamkowym w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>509</sup>*Hydra* (mit. gr.) — potwór z wieloma głowami, odrastającymi po ścięciu, zabity przez Heraklesa. [przypis edytorski]

<sup>510</sup>*rejuwach* — zgiełk, zamieszanie. [przypis edytorski]

<sup>511</sup>*jak ty dasz rady* — dziś popr.: jak ty dasz radę. [przypis edytorski]

— Co prawda, czasem nawet warto — uśmiechnęła się i wyszła do jadalni. Radlicz wstał także.

— Zostań — rzekł Andrzej. — Niech cię Wolskie tu zobaczą i niech się wściekną.

— Albo jeszcze więcej rozplotą — mruknął prezes. — Dałem za dwa tysiące prezentów i co to pomogło?

— Kaziu — zawołał Andrzej — czy Radlicz ma zostać, czy nie?

— Naturalnie zostać, jeśli chce — odpowiedziała swobodnie.

— A będę miał z kim flirtować?

— Wśród kilkunastu pań chyba znaleźć kogo nietrudno.

Radlicz został. O ósmej sakramentalnie pierwszy dzwonek się odezwał, a w pół godziny potem salon i gabinet były pełne. Nikt nie skrewił<sup>512</sup>. Za wiele mówiono o młodych Sanickich ostatnimi czasy, aby ktokolwiek nie przyszedł osobiście się przekonać, co się stało.

Ale ciekawość nie miała pastwy. Andrzej nie wyglądał na desperata. Przeciwnie, był jak rzadko wesół i uprzejmy, prezes promieniał. Kazia, w bardzo ładnej, eleganckiej toalecie, bawiła gości, uśmiechała się, opowiadała o chorobie macochy, wypytywała o brukowe nowinki.

Ostatnia, jak zwykle, przyszła Dąbska. Spytała z przyzwyczajenia: „Nie ma tu Julka?” i nie czekając odpowiedzi, wpadła do salonu, zaczęła witać na prawo i na lewo i dożęłowawszy wreszcie do wolnego fotela, zawołała:

— Wiecie pewnie od Kazi ostatnią nowinę?

— Ode mnie?

— No, przecie to się stało nad tobą, na drugim piętrze: Downarowie się rozeszli.

— Et, brednie. Zaraz tu będą oboje.

— Nie będą! Ona jest u Orzelskich. To fakt.

— To było do przewidzenia! — zdecydowała tajemniczo mama Wolska.

— Żeby kobiety miały charakter, każda powinna to uczynić! — zawołała profesorowa Kęccka, sławna z tego, że mężowi zostawiła władzę i głos tylko na wykładach.

— Ach, jak by to dobrze było — westchnął Radlicz.

— A pan co o tym może decydować? — oburzyła się Dąbska.

— Jak to? Mogę! Czy jest istota bardziej zawadzająca jak mąż?

Dzwonek. Po chwili do salonu wszedł Downar.

— Aha! Sam! — szepnęła Tunia triumfująco.

— Idealnie, tylko ja Downarową ustąpię innemu! — dodał szyderczo Radlicz.

Wszystkie panie utkwiły wzrok w nowo przybyłym, a on się witał powoli, zatrzymywany wciąż.

— A gdzież pani? — spytała Tunia nareszcie.

— Trochę niezdrowa — odparł obojętnie i poszedł dalej.

— Jak ten niedźwiedź umie jednakże błagować.

— I pomyśleć, że w jego wieku i na jego stanowisku jeszcze sobie pozwalał — do rzuciła Wolska.

— Co chcieć! Wiadomy<sup>513</sup> ateusz<sup>514</sup>! — westchnęła stara Markhamowa.

Towarzystwo było w komplecie. Starsze panie skupiły się około kanapy, panowie młodszy bawili młode mężatki i panny, w gabinecie prezesa już wint kwitł. Kazia przesuwała się od grupy do grupy, a ciocia Dąbrowska, patrząc na nią tak swobodną, drżała z niepokoju o kolację.

Rozmowy były rozbite, swoboda zupełna, gwar rósł, mieszał się z dźwiękami fortepianu, wybuchał niekiedy kaskadą śmiechów, sprzeczką graczków<sup>515</sup> przy wintowych stolikach.

W jednym kącie zebrała się gromadka mężczyzn nie-winciarzy. Był tam Szpanowski, Feliks Sanicki, Downar, profesor Kęccki, ci debatowali nad społecznymi kwestiami, reszta towarzystwa bawiła się kosztem bliźnich lub flirtem.

<sup>512</sup>skrewić (pot.) — zawieść. [przypis edytorski]

<sup>513</sup>wiadomy (daw.) — znany. [przypis edytorski]

<sup>514</sup>ateusz — ateista. [przypis edytorski]

<sup>515</sup>graczków — dziś popr. D. Im: graczy. [przypis edytorski]



Kazia, której obowiązki gospodyni nie pozwalały zająć się czymś lub kimś wyłącznie, spoglądała tylko czasami ku ojcu i uśmiechała się doń z daleka, a on był pełen zadowolenia i szczęścia, że ją widzi wesolą, panią tych zbytków i przepychu, kochaną i szanowaną.

Ani przeczuwał, pocziwiec, ile pod tym blaskiem i świetnością było goryczy, ile w jej pogodzie i spokoju było przymusu i męki.

Radlicz flirtował zawzięcie i obserwował Andrzeja, który był w świetnym humorze, bawił panie, śmiał się i dowcipkował, i wodził oczami za żoną.

I Kazia spotkała go też w jadalni, gdzie wyszła na chwilę z jakimś poleceniem do służby.

— Służę dziś jak pocziwy koń! — rzekł z uśmiechem, szukając syfonu<sup>516</sup> na bufecie.  
— Rana mnie piecze, pić mi się chce, głowa boli, ludzie mnie zanudzają — i pytam, po co to wszystko?

— Dla bóstwa, które się światem nazywa — odparła, podając mu szklankę i syfon.

— No nie, dla świata bym się tyle nie fatygował. Chciałem dziś pani dogodzić.

— I dogodził pan. Dziękuję. Ojciec taki szczęśliwy!

— Zawsze ojciec, tylko ojciec. A pani?

— Ja, dziękuję.

— Niewiele pani zużywa zapachu na wdzięczność.

Odwróciła oczy zmieszana.

— Nie mogę, nie umiem inaczej — szepnęła.

— Względem mnie szczególnie — zachnął się.

— Kaziu! — rozległ się za nimi głos Dąbskiej. — Zaproponuj śpiew Jadzi Wolskiej. Wolska aż kipi, żeby się dziewczęcę zaprodukowała. Co to, ty tu z mężem flirtujesz? Winiszuję.

— A pani ją posądzała o kogo?

— No, chociażby o Bukowieckiego! Ale, panie Andrzeju, czy ten rejent Iwicki przyrósł do winta?

— Przefflancować<sup>517</sup> go do panny Zofii? Zaraz.

— Przepraszam, że wam przeszkodziłam.

Kazia wyszła do salonu, więc Dąbska dodała:

— Zaczynam mieć nadzieję, że będzie jeszcze z pana porządny człowiek. Nawraca się pan, to dobrze. Ma pan szczęście, że pan na taką kobietę natrafił, inna dawno by pana porzuciła.

— Tak, inna, która by umiała kochać lub nienawidzić, która by miała krew i nerwy. Ale ta! — Ruszył ramionami.

— Nie kocha pana, nie szaleje! Dziwna rzecz, tyle pan uczynił, by ją zjednać i zdobyć — zaśmiała się ironicznie.

Z salonu rozległ się śpiew. Jadzia Wolska męczyła *Asrę*<sup>518</sup> Rubinsteina<sup>519</sup>. Dąbska zatkała uszy.

— Rany boskie! Czemu to dziewczęcę nie haftuje, nie maluje, nie robi koronek?! — syknęła rozpacznie.

— Dla Bukowieckiego i to dobre! — zaśmiał się.

— Kazia ślicznie to śpiewa, słyszał pan?

— Kazia śpiewa? Nie wiem nawet — zdziwił się.

Wyszli do towarzystwa, przyłączyli się do oklasków i do próśb o „jeszcze cośkolwiek”.

— Doprawdy nie mogę! Nie jestem przy głosie. Fatalna akustyka w tym salonie! — broniło się dość miękko „dziewczę”.

— Oj, co tam! Dobrze i tak! Niech pani rżnie! — zdecydował Bukowiecki. — Toć kupę nut pani przyniosła.

— Nie mogę sama akompaniować!

<sup>516</sup>*syfón* — grubościenna butla do napojów gazowanych (np. wody sodowej), zaopatrzona w dźwignię, której naciśnięcie powoduje, że ciśnienie zawartego wewnątrz dwutlenku węgla wypycha wodę przez rurkę na zewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>517</sup>*przefflancować* — przesadzić w inne miejsce (od *flanca*: sadzonka, rozsada). [przypis edytorski]

<sup>518</sup>*Asra* — pieśń z towarzyszeniem fortepianu, kompozycja Antona Rubinsteina do tekstu wiersza Heinego *Der Asra* (*Azra*). [przypis edytorski]

<sup>519</sup>*Rubinstein, Anton Grigorjewicz* (1829–1894) — ros. pianista, kompozytor i dyrygent, jeden z największych wirtuozów fortepianowych XIX w., płodny kompozytor. [przypis edytorski]

— To ja służę! — ofiarowała się Kazia.

— I ja bym mógł! — mruknął Radlicz złośliwie.

Przyniesiono nuty. Za grzechy żywota pokutował z kolei Moniuszko: odśpiewało dziewczę *Pieśń wieczorną*<sup>520</sup>.

— I ciekawość, po co to się drze? — rzekł Downar do Szpanowskiego. — A córka pana jak skowronek śpiewa i musi temu akompaniować.

Po kątach drwiono i krytykowano, ale przy fortepianie rozlegały się pochwały i podziękowania, czym podniecona artystka wykonała jeszcze jakąś włoską barkarolę<sup>521</sup> i oznajmiła, że jest wyczerpana i że za wiele dymu jest w pokoju, co fatalnie na głos wpływa.

Kazia wstała od fortepianu, gwar powstał i nikt prócz niej nic słyszał mruczenia Radlicza:

— Jeśli dym na ten głos szkodzi, powiesić ją co rychlej w wędzarni. I jak pani może tym fałszom wtórować! To sztuka dopiero!

— Fałsze słyszę od rana do nocy. Można do tego tu nawyknąć.

Lokaje oznajmili kolację, powstał ruch ogólny, zamieszanie chwilowe, szukanie dam do par i przejście do jadalni. Ciocia Dąbrowska ożyła.

Stół był zastawiony elegancko, pełno kwiatów, kryształów, mnóstwo apetycznych kąsek.

— Co za śliwki! I o tej porze! Ciekawam, co kosztują<sup>522</sup>. Torty za skromne. Muszę Kazi zrobić uwagę na drugi raz! Ale co będzie z bażantami, i ona zawsze lekceważy majonez. Tylko ma talent służbę wymusztrować. Co prawda, to prawda.

Umiała też Kazia dobrać pary, przyznały to jej matki panien na wydaniu, nawet Wolska, widząc obok córek dwóch dawnych kolegów Andrzeja, i stara Zaleska, spostrzegłszy rejenta Iwickiego przy Zośce. Markhamowa stara dostała prałata<sup>523</sup> Bełwickiego i siedziała na pierwszym miejscu. Dąbska miała Radlicza. Na szarym końcu, komenderując wzrokiem służbie, siedziała Kazia z Downarem.

— Otóż i nasze wtorki przepadną! — rzekł do niej.

— O, jak mi ich serdecznie żal!

— Bo czy taki tłok może być przyjemnością? — mruknął. — Na biesiadzie, mawiali starożytni, nie powinno być uczujących mniej jak Gracji<sup>524</sup> i więcej jak Muz<sup>525</sup>. Gromadą uczują tylko barbarzyńcy. Na te stracone wtorki przyjdę do pani, jeśli wolno. Zagra pani i zaśpiewa dla odyńca<sup>526</sup>? Sam będę jakiś czas zapewne.

— Żona pańska wyjechała?

— Uhm, wyjechała. Gadają już pewnie, że na zawsze, ale wróci.

Mówił to bez zapału i bez troski.

— Wróci, bo się zaturbuje<sup>527</sup> o domy i kapitały. Wie, że ja tym nie będę się zajmować. Już parę razy wyjeżdżała. Głupstwo.

Umilkł na chwilę i dodał jakby od siebie:

Uczta

<sup>520</sup>*Pieśń wieczorna* — jedna z najpopularniejszych pieśni Stanisława Moniuszki, skomponowana do tekstu Władysława Syrokomli, pochodząca z *II Śpiewnika domowego* (1854). [przypis edytorski]

<sup>521</sup>*barkarola* (z wł.) — tradycyjna pieśń weneckich gondolierów o rytmie odtwarzającym ruch wiosel. [przypis edytorski]

<sup>522</sup>*co kosztują* — dziś: ile kosztują. [przypis edytorski]

<sup>523</sup>*prałat* — wyższy dostojnik sprawujący władzę kościelną w kościele katolickim. [przypis edytorski]

<sup>524</sup>*Gracja* (mit. rzym.) — jedna z trzech bogiń wdzięku, piękna i radości; ich gr. odpowiednik to Charyty. [przypis edytorski]

<sup>525</sup>*Muza* (mit. gr.) — bogini opiekunka pewnej sztuki pięknej lub nauki; tradycyjnie wymienia się dziewięć tzw. muz olimpijskich, córek Zeusa i Mnemosyne, z których każda opiekowała się konkretną dziedziną twórczości. [przypis edytorski]

<sup>526</sup>*odyniec* — stary dzik, żyjący w pojedynkę, poza stadem. [przypis edytorski]

<sup>527</sup>*turbować się* (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

— Postawili Mickiewiczowi pomnik<sup>528</sup>. A ja nie dałem grosza. Głupcem był<sup>529</sup> Litwin czysty — i napisał *Trzech Budrysów*<sup>530</sup>. Za to bodaj mu w piekle Laszki<sup>531</sup> służyły!

— Profesor zatem i Jagiełły w sercu nie nosi.

— Jagiełło odpokutował za życia. Kolega! Zresztą może nie śmieli z niego w oczy drwić koroniarze<sup>532</sup>, kupę Litwy za sobą miał. A że go żona nie cierpiała i lekceważyła, za to ją świętą omal zrobili<sup>533</sup>. Poświęciła się, Litwina poślubiła, żywcem na męki się dała, nieboraczka! Wiarę mu dała, koronę mu dała, furda<sup>534</sup> przy tym szczęście.

— Co to? Chirurg w historyka się bawi? — zagadnął opodal siedzący profesor Kęcki.

— Ot, coś się zgadało — mruknął Downar i umilkł.

— Nie bawcie się, doktorzy, historią, bo podobno cholera jest w Warszawie! — rzekł stary Markham.

— Dlaczego by nie była? Gdzie osiem dziesiątych ludności źle się odżywia, źle mieszka i źle się odziewa, tam musi być brud, głód i choroby.

— A jednak ta nędza miejska ma urok, bo gromadami zmykają ze wsi — rzekł Szpanowski.

— Miliony dajemy na dobroczynność, a bieda się mnoży przerażająco — westchnęła Markhamowa.

— Taka to i dobroczynność.

— Co? Pan twierdzi, że Warszawa mało robi dla ubogich i potrzebujących pomocy?

— Wiele robi, bo tworzy tych ubogich i potrzebujących. Gdzie jest żebrak, to dowód, że znajduje się taki, co za wiele ma. Zuchwały i silny kradnie, słaby i nikczemny żebrze i tak być musi, bo jest u kogo kraść i u kogo żebrnąć.

— Boże, jaki ten Downar nudny! — szepnęła Tunia do Radlicza. — Na raucie jeszcze o chorobach prawi.

Tu się Bukowiecki odezwał:

— U nas pod Kamieńcem w cukrowni u Markusa Lewi zbuntowali się robotnicy, zatlukli pisarza. A prowodyra widziałem na „wogzalu”<sup>535</sup> w kajdanach.

— O! A Wołodyjowskiego też pan pewnie widział — rzekł z miną naiwną Radlicz.

— Nie, nie znam tego — odparł bałagula.

— To pan kawał czasu przespał!

Niektórzy tłumili śmiech, narzeczona spłasowała, mama Wolska spojrzała piorunująco na malarza, sekundy ciszy, którą przerwał głos paniński z drugiego końca stołu.

— Pan się na tym nie zna. Suknie *cloche*<sup>536</sup> już wychodzą z mody.

— Co? Kto ci mówił? — podchwyciła Dąbska.

— U Hersego. Mają już fasony nowe z Paryża.

Rozmowa rozbiła się znowu na pary, temata<sup>537</sup> i złała się w gwar i szum coraz żwawszy, w miarę spożytych delikatesów i spełnionych kieliszków.

Nareszcie ruszono od stołu. Panowie się ulotnili na cygara i papierosy, w salonie damy zabawiały się dość sennie, pozbawione męskiego elementu. Paniąki spacerowały po kilka pod rękę lub udawały, że przeglądają ilustracje.

Był to dla gospodyni najcięższy moment, toteż Kazia po chwili zajrzała do gabinetu i spojrzała błagalnie na męża.

<sup>528</sup>*Postawili Mickiewiczowi pomnik* — warszawski pomnik Adama Mickiewicza, znajdujący się na skwerze przy ul. Krakowskie Przedmieście, zaprojektowany przez Cypriana Godebskiego, został odsłonięty w 100-lecie urodzin poety, 24 grudnia 1898. Budowę sfinansowano z datków społeczeństwa, zbieranych od maja do lipca 1897. [przypis edytorski]

<sup>529</sup>*głupcem był* — tu: głupcem byłem. [przypis edytorski]

<sup>530</sup>*Trzech Budrysów* — ballada Mickiewicza, w której stary Litwin Budrys wyprawił trzech synów na wyprawę wojenne w różne strony świata, a każdy z nich zamiast łupów przywiózł do domu narzeczoną Laszkę (Polkę). [przypis edytorski]

<sup>531</sup>*Laszka* — Polka. [przypis edytorski]

<sup>532</sup>*koroniarz* — mieszkaniec *Korony*, od: Korona Królestwa Polskiego, oznaczającego królestwo polskie (w odróżnieniu od Rzeczypospolitej, czyli państwa złożonego z Polski i Litwy). [przypis edytorski]

<sup>533</sup>*za to ją (żonę Jagiełły) świętą omal zrobili* — Jadwiga Andegaweńska (1373/1374–1399), żona Władysława Jagiełły, znana z pobożnego życia i działalności charytatywnej, po śmierci została otoczona kultem; w 1997 oficjalnie ogłoszono ją świętą. [przypis edytorski]

<sup>534</sup>*furda* (daw.) — błahostka. [przypis edytorski]

<sup>535</sup>*wogzal* (z ros. вокзал) — dworzec. [przypis edytorski]

<sup>536</sup>*cloche* (fr.) — klosz, dzwon. [przypis edytorski]

<sup>537</sup>*temata* — dziś popr.: tematy. [przypis edytorski]

Zrozumiał ją, rzucił papieros<sup>538</sup> i jął wyciągać młodszych panów.

Ożywiła się atmosfera w salonie. Opadnięto Radlicza prosząc o deklamację, po kątach flirtowano w przyśpieszonym tempie, starsze panie, syte nowin i wrażeń kulinarnych, marzyły o odwrocie, radcowie żwawiej kończyli robry<sup>539</sup>.

Nareszcie około północy gremialny<sup>540</sup> odwrót, pożegnanie, uściski, trochę zamieszania w przedpokoju z kaloszami i damskimi kapeluszami, „moje uszanowanie”, „do miłego widzenia”, „jakże nam było przyjemnie”, „prosimy o nas nie zapominać”, „całuję rączki”, „dobranoc” — i za ostatnim gościem zamknęły się drzwi.

Na schodach jeszcze żywe rozmowy, w bramie chwila mitręgi<sup>541</sup> ze stróżem i „dyskami”<sup>542</sup> i fala gości wylała się na ulicę do czekających karet, dorożek lub na piechotę do domu.

— Uf! — odsapnął Andrzej, rozpinając tużurek i rzucając się w fotel. — Jakbym cepem machał, takim zmęczony! To ci wynalazek idiotyczny.

— Trudno, kto bywa, musi przyjmować — zdecydował prezes. — Ja miałem bardzo porządną partię, wygrałem siedemnaście rubli.

— Powinien je ojciec oddać Kazi za fatygę albo mnie za piękną reprezentację.

Mówił to umyślnie, bo znał dziwactwo starego, że o ile na wydatki był szeroki, o tyle wygrane w karty ruble dusił jak sknera.

Prezes udał, że nie słyszy.

— Ogromnie mi się pić chce! Córku, dostanę filiżankę herbaty z cytryną?

Kazia, zajęta porządkami w jadalni, odpowiedziała pośpiesznie: — Dostanie tatko — i dalej gospodarzyła.

— Mogłabyś spocząć nareszcie! — zawołał niecierpliwie Andrzej. — Cała ta gromada gości krytykuje nas teraz i wiesz<sup>543</sup>, a my mamy ich oszczędzać.

— Co mają krytykować? Przyjęcie było porządne, bawili się doskonale.

Kazia przyniosła mu sama herbatę, zatrzymał ją za rękę, spojrzał serdecznie.

— Taką bledziutką i mizerna. Zmęczone dziecko. Siądź tu przy starym, cały dzień gdzieś latasz, wcale cię nie widziałem dzisiaj. Masz, dam ci coś dla twojej hołoty! Złóż rączki.

I wysypał jej na dłonie całych siedemnaście rubli wygranych w winta.

Andrzej wybuchnął śmiechem.

— Świat się kończy, czy ojciec ma gorączkę?

Spojrzał zdziwiony pytająco.

— Jeszcze nikt nigdy w życiu nie dostał od ojca tych pieniędzy.

— Bom nie miał w życiu prawdziwego dziecka, to jest córki! Tobie miałem dawać może? Miałaś i tak za wiele na gałgaństwa<sup>544</sup> i głupstwa. No, usiądź, córku, pogawędź ze starym. Dobry dziś dzień, mogłabyś się do mnie uśmiechnąć i nawet pocałować na podziękowanie.

— Wszystko, co tatuś chce! — Uśmiechnęła się, objęła go za szyję, ucałowała. — Dziękuję za grosze, bardzo w porę przyszły, bo siedzę w długach.

— Pewnie u Salomona Pipermenta na lichwie.

— Tak źle jeszcze nie, honorowy dług u męża.

— Ja żonie daję, a nie pożyczam!

— Widzisz, podziękuj i jemu. Twoje drapichrusty<sup>545</sup> będą rychło rentę miały. A ty, Jędreku, nie chcesz herbaty?

— Herbaty? — powtórzył, budząc się z chwilowej zadumy Andrzej. — Nie, herbaty nie chcę.

— Myślę o tych ludziach, co tu dziś byli, śmieli się, dysputowali, bawili. Czy też który był szczerzy?

— Był z pewnością jeden. Doktor Downar.

<sup>538</sup>rzucił papieros — dziś częściej B. lp w formie: rzucił papierosa. [przypis edytorski]

<sup>539</sup>rober — faza gry w winta, wista i brydża, która kończy się podsumowaniem punktów. [przypis edytorski]

<sup>540</sup>gremialny — ogólny, masowy. [przypis edytorski]

<sup>541</sup>mitręga — tu: przeszkoda, zwłoka. [przypis edytorski]

<sup>542</sup>dyska (daw., z fr. dix: dziesięć) — dyszka, dziesiątka; tu zapewne: moneta o nominale 10 kopiejek, wręczana jako napiwek. [przypis edytorski]

<sup>543</sup>wiesz — tu w znaczeniu: wiesz na nas psy, oczernia. [przypis edytorski]

<sup>544</sup>gałgaństwo (pot.) — lotrostwo, hultajstwo. [przypis edytorski]

<sup>545</sup>drapichrust (pot.) — włóczęga, łobuz. [przypis edytorski]

— Dlategoś go sobie wybrała do kolacji?

— Tak. To moja flama<sup>546</sup> jedyna, prawdziwa, o którą właśnie nikt mnie nie posądzi.

— Masz słabość do doktorów widocznie.

Zmarszczyła na sekundę brwi i nic nie odpowiedziała, zwróciła się do teścia:

— Tatusz jutro użyje mego towarzystwa, dziś zmykam, czeka mnie jeszcze po tej bitwie obrachunek potłuczonego szkła i porcelany, kwestia intendentury<sup>547</sup>. Dobranoc!

Pocałowała go i wyszła do jadalni.

— Dzięki Bogu, wygraliśmy! — rzekł cicho prezes do syna. — Uspokoila się i została. W jakim ja strachu byłem wczoraj, wygląda cicha i słodka, ale to cicha woda. Byłem pewny, że wszystko przypadnie, że wyjedzie. Zlituj się, oszczędzaj ją!

Andrzej milczał.

— Ja bym bez niej żyć nie potrafił. A żebyś wiedział, jak pomimo wszystko zazdroścą jej nam.

— No, mnie nie mają czego ani ja sam tak bardzo mym losem nie zachwycam się. Ano, mniejsza. Potrzebuję spokoju i dlatego ustępuję. Dobranoc ojcu!

A tymczasem goście, nakarmieni i zabawieni, wracali do domu i streszczali wrażenia wieczoru.

— Budujący wpływ ma Downar na Sanicką — mówiła Markhamowa do drzemiącego w karecie męża. — Toć podobno oboje należą do kliki tego maniaka Twardowskiego, co zakłada falanstery<sup>548</sup> na Kaukazie, i ona wcale prawie nie uczęszcza na nasze sesje, a poleczone jej rodziny ubogie dotąd nie były u spowiedzi. A kto ją wie, może i sama nie bywa! Co człowiek znosić musi dla miłości bliźniego! Muszę ją oszczędzać, bo zupełnie zawojowała prezesa. Zaczepić ją, to stary zamknie kasę dla nas.

— Jaką on wynalazł gdańską szafę! — zamruczał sennie Markham.

— Suknia Sanickiej pewnie kosztowała paręset rubli! — mówiła zawistnie Mania Wolska.

— A co jej to szkodzi? Za swoje nie kupiła. Takie nędzarki, jak złapią bogatego męża, tracą i marnują tysiące jak plewy.

— Zresztą musi się ładnie ubrać dla Radlicza. A ten Andrzej ślepy, głupi, bezceństwo takie toleruje we własnym domu.

— No, i Radlicz skończony szubrawiec.

— Andrzej z nim hula, on nie cierpi tej kłępy<sup>549</sup> — rad, że jej nie potrzebuje pilnować. To plotki o tym pojedynku. Celina wróciła, tylko zmieniła mieszkanie, bo prezes tego wymagał.

— Kazia zeszkapiała — mówiono w kompanii Dąbskiej. — No, i Radlicz ją negliżuje<sup>550</sup> już.

— Ona nigdy furory nie zrobi. Nikła jest, bez życia. Za parę lat świeżość straci i będzie kompletnie bez uroku i wdzięku.

— Ta dużo w życiu nie użyje. Nie ma temperamentu, nie będzie się podobać.

— No, jakoś stary pospędzał do kupy swą trzódkę, Andrzej był wyjątkowo uprzejmy, ciekawym, czy długo z nim będzie spokój — mówił Feliks Sanicki do żony.

— Wątpię, ona dla niego za poważna i delikatna. Za młoda! Żeby mieli dziecko! — odparła pani.

— Wyśmienite były te kapary<sup>551</sup>. Nie wiesz? Kupne? — pytał Dąbrowski, człapiąc piechotą na Chmielną.

<sup>546</sup>flama (przestarz., z łac. *flamma*: płomieni) — osoba (zwłaszcza kobieta) będąca w danej chwili obiektem czyjejś przelotnej miłości, romansu. [przypis edytorski]

<sup>547</sup>intendentura (daw.) — nadzór; dziś: dział instytucji, który zajmuje się zaopatrzeniem i sprawami gospodarczymi. [przypis edytorski]

<sup>548</sup>falanster — osiedle zamieszkiwane przez wspólnotę zwaną falangą, forma organizacji zaproponowana przez francuskiego socjalistę utopijnego Charles'a Fouriera (1772–1837) zamiast państwa; na falanster miały się składać obszary rolne, park, zabudowania gospodarcze i obszerny budynek, gdzie żyłoby i wspólnie pracowało półtora tysiąca osób obojga płci i wszystkich potrzebnych wspólnocie profesji. [przypis edytorski]

<sup>549</sup>klępa — samica losia; przen. obojęt.: kobieta ociężała, niezdarne. [przypis edytorski]

<sup>550</sup>negliżować (daw.) — zaniedbywać, ignorować. [przypis edytorski]

<sup>551</sup>kapary — zakonserwowane w soli, occie, oliwie lub winie pąki kwiatowe kaparu ciernistego (*Capparis spinosa*), używane jako wykwintny dodatek do potraw, o słodko-kwaśnym, nieco pikantnym smaku. [przypis edytorski]

— Nie miałam czasu spytać Kazi. Pewnie kupne. Ale majonez u nas lepszy! Bażanty trochę wysuszyle! I torty nieoptyczne<sup>552</sup>! Zresztą, udało się. Ale ja zawsze jedno powiem, ona za wiele rachuje na służbę, lekceważy i ryzykuje. Uda się sto razy, a potem może być nieszczęście. Dobrze, że oni bogaci, ale ona powinna bardziej serio traktować swe obowiązki. Kiedyś pożałuje.

— Ten gałgan w niej się zakocha! Jest na tej drodze, a ona mu wszystko wybaczy, daruje. O, naturo, coś stworzyła kobietę, ileś na to zużyła skrawków kwiatów, gwiazd i piasku! A coś nam kazała to kochać, ileś nam w łby nakładła cięłego mózgu! Kopnąłbym cię i plunął, żebyś nie siedziała we mnie! — monologował Radlicz, wyglądając, w której knajpie jeszcze się świeci.

Downar był już u siebie samowładnym władcą mieszkania, ten jeden nie krytykował ani myślał o raucie. Zapalił lampę w salonie, otworzył fortepian, uśmiechnął się sam do siebie i począł przebiegać jedną ręką po klawiszach, potem zaśpiewał:

— „*Lietuwninkaj mes esam gimė*”<sup>553</sup> — jakby był na Smolnej. Mścił w ten sposób dołę Jagielły i Budrysów.

## X

Karnawał był tego roku krótki, więc niezwykle ożywiony, zima zaś była niezwykle ostra, więc węgiel zdrożał. Gazety pełne były sprawozdań z balów i nawoływań o wsparcie, więc tańczono i flirtowano na dobroczynność, na przytułki, na ochrony.

Balowały sfery najwyższe i najniższe, ruch był w mieście olbrzymi, a wieczorem nie było prawie kamienicy, w której by nie tańczono.

Pewnego dnia o południu Kazia zjawiała się w poczekalni u Downara i przerażona tłumem pacjentów chciała się cofnąć, ale ją lokaj zatrzymał.

— Pani raczy przejść do gabinetu. Pan profesor zaraz wyjdzie. Zamelduję, skoro ten numer się ułatwi.

— Dobrze, bo mam pilny interes.

Nie czekała długo.

— Proszę wybaczyc, profesorze, moje natręctwo, ale tylko parę słów...

— A niech i godzinę. Odsapnę i ja.

— Pani nie ma?

— Iii... dawno wróciła, jeszcze przed Nowym Rokiem. Jak te przekłete gazety roztrąbiły mój dar na szpital, zaraz wróciła, jak mówi, resztę ratować. No, cóż tam u pani slychać? Źle pani wygląda.

— Przepracowana jestem. Karnawał. Odbylałam już siedem balów, czeka mnie jeszcze pięć! Uf!

— Pani to lubi?

— Ja? — zachnęła się. — Nie rozumiem, jak można bawic się dlatego, że karnawał, lub smucic się dlatego, że post. Ale mąż i teść sobie tego życzą, tak wypada, nie można się wyróżniać, bo co sobie ludzie pomyslą? Prowadzimy dom otwarty, musimy bywać i bawic się.

— Ano tak — rzekł poważnie Downar — *Es erben sich Gesetz und Rechte, wie eine ewige Krankheit fort!*<sup>554</sup>

— A tu mam tyle biedy! Pani Ramszycowa zostawiła mnie na swym stanowisku, miała mi pomagać pani Rudnicka i pomagała do karnawału. Teraz wprawdzie nie bywa na balach, ale zupełnie mnie opuściła.

— Pewnie, bo się o nią stara młody Goldmark.

— Ej, może to plotki. Mniejsza zresztą, ale zostałam sama do roboty, a tu straszny tyfus<sup>555</sup> panuje. U mnie, na Pańskiej, miałam siedmiu chorych, a najciężej było u Józefia-

<sup>552</sup>nieoptyczne — tu: nieprezentujące się dobrze. [przypis edytorski]

<sup>553</sup>*Lietuwninkaj mes esam gimė* (litew.) — dziś popr.: *Lietuwninkai mes esam gimė* (*Urodziliśmy się Litwinami*), pieśń do tekstu patriotycznego wiersza Georga Sauerweina (1831–1904) z 1879; z napisaną w 1908 muzyką Stasysa Šimkusa wiersz ten zyskał wielką popularność i stał się nieoficjalnym hymnem Małej Litwy, regionu Litwy leżącego na terenie daw. Prus. [przypis edytorski]

<sup>554</sup>*Es erben sich Gesetz und Rechte, wie eine ewige Krankheit fort!*... (niem.) — dziedziczy się ustawy i prawa jak wieczną chorobę; cytat z *Fausta* Goethego (słowa Mefistofelesa z *Pracowni*). [przypis edytorski]

<sup>555</sup>tyfus — ostra choroba zakaźna. [przypis edytorski]

ków. Wie profesor, on pojechał do Twardowskiego, zostawił rodzinę pod moją opieką. Zachorowała matka tego drobiazgu i najmłodsza dziewczynka, moja faworytka, malutka Hela. Miałam ciężkie parę tygodni, ale wyszły obie.

Uśmiechnęła się radośnie, a on spojrzał na nią, w twardych jego rysach mignęło rozczulenie.

— Niechże się pani starannie dezynfekuje i bierze trochę chininy<sup>556</sup> jako prezerwatywę<sup>557</sup>.

— Nic mi nie będzie. Żeby się łatwo zarażało, gdzie by byli lekarze? Ale to nie koniec mych bied. Otrzymałam dziś list od doktora Rajewskiego, że wyjeżdża do Kielc dla ważnych rodzinnych interesów<sup>558</sup> i że od jutra przestaje odwiedzać nasze zakłady.

Downar pokręcił głową z krytyką milczącą, bo nie chciał na kolegę nic rzec, potem chwilę pomyślał i rzekł:

— Mam dla was idealnego człowieka, ale jutro chyba za prędko. Onegdaj wrócił. Ale ten by pani Ramszycowej dogodził. Człowiek idei i powołania, a że trochę czerwony<sup>559</sup>, to nic nie szkodzi. Ten z wami sercem i duszą będzie pracować. Ukochany był mój uczeń, zdolny, pracowity... Wrócił i zaraz się do mnie zgłosił. Chciałem go przy sobie zatrzymać, ale może tamto mu będzie odpowiedniejsze. Dam go wam.

Kazia słuchała, oczu nie spuszczać z niego.

— Jak on się nazywa, profesorze? — spytała głucho.

— On Bogucki Stanisław.

— Wrócił! — wyrwało jej się, że Downar oczy podniósł.

— To pani go zna?

— Znam... i... nie dawajcie go nam, profesorze. Zresztą on sam nie zechce. Był moim narzeczonym.

— Aaa! — przeciągle rzekł i głową pokręcił. — I pani go opuściła w takiej biedzie! Aaa — to do pani niepodobne. Nie trza<sup>560</sup> było!

A nią wstrząsnął dreszcz i straszny ból zdławił spazmem serce. Pochyliła się, zakryła twarz dłońmi i trwała tak bez ruchu, bez łez, bez łkania.

Downar pożałował swego słowa i sądu.

— Tak mi się wyrwało bez namysłu. Niechże pani mi wybaczy. Jeśli pani to uczyniła, to musiała być racja. No, cóż zresztą, życie płynie.

Ona się już opanowała. Zerwała się z miejsca, przetarła czoło ręką i rzekła głosem zmienionym:

— Profesor ma rację i prawo sądzić. Winnam<sup>561</sup>! On wrócił, może zapomniał i zmienił się. W każdym razie będzie mną pogardzał. Wolę to, niż gdyby cierpiał. Trzeba mi iść. Mam tyle zajęć. Życie płynie.

Mówiła prędko, bezładnie, a przez tę chwilę twarz jej się dziwnie zmieniła, oczy wpadły i podkrężyły się ciemno.

— No, już ja pani lekarza wynajdę i jutro go sam zainstaluję, a na miejsce pani Rudnickiej przyślę pani do lecznicy moją swojaczkę, Boufałową: zdrowa, mocna kobieta. Pomoże i wyreczy. Tylko niech się pani nie naraża i nie zamęcza.

Pocałował ją w rękę i przeprowadził do przedpokoju. Tam jeszcze obejrzał jej rotundę, czy ciepła, i dopilnował z ojcowską troskliwością, by się dobrze otuliła, i wrócił do swych pacjentów, mrużąc:

— Żal stworzenia! Nadto ma ciężko! Czysta dusza!

## XI

O zwykłej obiadowej godzinie zastali Saniccy Kazię prezydującą w jadalni. Andrzej wracał z Grodziska, ożywiony był, wesół i zaraz na wstępie rzekł:

<sup>556</sup> *chinina* — lek w postaci białego, gorzkiego proszku, otrzymywany z kory chinowca. [przypis edytorski]

<sup>557</sup> *prezerwatywa* (daw.) — środek ochronny, zapobiegający chorobie. [przypis edytorski]

<sup>558</sup> *wyjeżdża (...) dla (...) interesów* — dziś: w sprawie interesów. [przypis edytorski]

<sup>559</sup> *czerwony* (pot. o człowieku) — mający lewicowe poglądy (od czerwonego sztandaru, symbolu używanego przez socjalistów, komunistów i inne ruchy lewicowe). [przypis edytorski]

<sup>560</sup> *trza* (daw.) — dziś: trzeba. [przypis edytorski]

<sup>561</sup> *winnam* — skrótowiec od: winna jestem. [przypis edytorski]

— Kupiłem łożę na *Hrabinę*<sup>562</sup>. Markhamowie będą z nami. Ale dziś to jubileuszowe przestawienie, musisz się ustroić!

— Idź sam. Radam<sup>563</sup> jeden wieczór wypocząć.

— Po czym? Śmiesznie mało bywamy! Zresztą Markhamom byłoby przykro. Pomyślą, że się boczysz<sup>564</sup>! Odpoczniesz jutro!

— Jak to? Jutro bal lekarzy. Musimy być, obiecałem najsolenniejszemu Morawskiemu! — zawołał prezes. — Przecie masz już na ten bal toaletę.

— Mam! Siódmą w tym karnawale. Tak mi szkoda tych setek, co te gałgany kosztują.

— A mnie nie szkoda. Podobasz się ogólnie — rzekł Andrzej. — No, nie grymas! Już tylko dwa tygodnie karnawału.

— A zapominacie, że pojutrze ślub u Wolskich! Nie możecie chybić. Byłaby śmiertelna obraza. A teraz bardzo są na ciebie, córuś, łaskawe.

Milczała, ledwie dotykała potraw, czuła się śmiertelnie znużona. Oni tego nie uważali, zajęci rozmową, nowinami, anegdotami miejskimi.

Wreszcie Andrzej do niej się zwrócił:

— Miałem wczoraj na balu w ratuszu kapitalną rozmowę z Jarłową.

— Z tą siostrą Kołockiego?

— Wdową po starym Jarle! Powiada do mnie, jaka szkoda, że pan żonaty. *Vous me donnez l'envie d'essayer d'un beau garçon!*<sup>565</sup>

— A jej na to: *Et vous m'en donnez d'essayer d'une comtesse.*<sup>566</sup>

Prezes się śmiał. Pochlebiał mu ten sukces syna w arystokracji. Kazia się uśmiechnęła błado, obowiązkowo.

— Bardzo piękna kobieta. Ma profil kamei<sup>567</sup>.

— Jarło jej zostawił półtora miliona! — dodał prezes. — Testament był u mnie.

Mówili znowu ze sobą i przeszli w wyśmienionych humorach na kawę do gabinetu.

— Więc koniecznie potrzebna w teatrze? — spytała Kazia po chwili. — Tak bym rada zostać w domu!

— Mówię ci, że Markhamowie się obrażą. Cóż znowu, wielka ci fatyga te parę godzin! — zawołał niecierpliwie Andrzej i dodał natychmiast:

— Może wolisz koncert „Lutni”<sup>568</sup>? Możemy po nich wstąpić i zmienić program wieczoru.

— Ja bym woląla otrzymać tygodniowy urlop i odwiedzić ojca — rzekła, wstając leniwie.

— Oszalałaś! O tej porze na wieś! Żartujesz chyba!

— Żartuję, masz rację. Idę się ubierać.

— No, nie grymas. Pojedziemy do Górowa na Wielkanoc, gdy sady zakwitną! — rzekł wesoło i dalej ojcu coś opowiadał.

„Gdy sady zakwitną” — powtórzyła w myśli, ale i to wspomnienie, nadzieja wiosny, nie potrafiło jej teraz ucieszyć. W pół godziny potem, już ubrana, schodziła do karety, nie mogąc przezwyciężyć nieznośnej senny i znużenia. Otrzeźwił ją nieco chłód, ruch uliczny, luna świateł w teatrze i dźwięki muzyki.

Teatr był natłoczony i jarzył się od strojów i klejnotów. Nikt nie słuchał uwertury<sup>569</sup>, każdy zresztą umiał ją na pamięć i każdy tu był, żeby się pokazać, spotkać znajomych,

<sup>562</sup>*Hrabina* — opera Stanisława Moniuszki, wystawiona po raz pierwszy 7 lutego 1859 r. [przypis edytorski]

<sup>563</sup>*radam* — skrót od: rada jestem. [przypis edytorski]

<sup>564</sup>*boczyć się* — być obrażonym, okazywać komuś swoją niechęć. [przypis edytorski]

<sup>565</sup>*Vous me donnez l'envie d'essayer d'un beau garçon!* (fr.) — wzbudza pan we mnie ochotę na pięknego chłopca. [przypis edytorski]

<sup>566</sup>*Et vous m'en donnez d'essayer d'une comtesse.* (fr.) — a pani wzbudza we mnie ochotę na hrabinę. [przypis edytorski]

<sup>567</sup>*kamea* — szlachetny a. półszlachetny kamień ozdobiony wypukłą płaskorzeźbą, często przedstawiającą profil jakiejś osoby; w 2. poł. XIX w. brosze z kameą były popularnym elementem stroju wytwornych dam. [przypis edytorski]

<sup>568</sup>„Lutnia” — warszawskie towarzystwo śpiewacze, założone w 1887 r. przez Piotra Maszyńskiego. [przypis edytorski]

<sup>569</sup>*uwertura* (muz.) — utwór orkiestrowy będący wstępem do opery, kantaty, oratorium itp. [przypis edytorski]



admirować<sup>570</sup> toalety, podniecać się do flirtu, zabawy, rozpusty tą wystawą obnażonych ramion kobiecych, gorącym pełnym zapachu perfum i tonów muzycznych.

W tym ludzkim mrowiu skupionym ciasno, oświetlonym jaskrawym światłem gazu<sup>571</sup>, wrzały wszystkie namiętności, a królowała ciekawość pusta, zawiść niska, próżność nikczemna.

Lornetki były w ruchu, odnajdywano znajomych, zamieniano spojrzenia i uśmiechy, taksowano brylanty, krytykowano stroje, szeptano skandale, uśmiechano się zjadliwie lub cynicznie, pokazywano sobie modne kokoty, robiono przegląd karnawałowych panien, szacowano ich posagi, a o uwerturze myślał tylko nieboszczyk Moniuszko w grobie.

Kazia słuchała, co mówiono wkoło niej, dorzucała niekiedy słowo do paplania Emilki Markhamowej, sama nie lornetowała, mając z natury bardzo ostry wzrok, a nie czując żadnej ciekawości, patrzyła w afisz.

Nagle jakaś siła zmusiła ją do podniesienia oczu.

W krzesłach było morze ludzkich głów, łysin męskich i fantastycznych fryzur kobiecych, mieszało się to wszystko chaotycznie, kołysało jak fala i pomruk szedł jak z morza. I w tym morzu ujrziała tylko jedną twarz, jedną głowę i spotkali się wzrokiem, i pozostali oboje bez tchu, jak skuci żrenicami.

— Stachu! — dusza jej mu to rzuciła bez dźwięku, nie głosem, ale całą potęgą milczącego spojrzenia.

Wtem dzwonek na scenie i nagle światła sali zgasły, szmery się uciszyły, kurtyna się podniosła. Wszystkie oczy zwróciły się ku scenie i prawie cały teatr miał jedną myśl:

— Żeby prędzej antraktu<sup>572</sup> się doczekać.

Kazia przymknęła oczy i szczęśliwa się czuła, że nie potrzebuje mówić, słuchać, patrzeć.

Zdało się jej, że huragan, wichur, fale morskie szumią jej w głowie, że ogień ma w piersiach, że tonie, spada w bezdenną przepaść: wrócił, żyje, jest! Wracają tak ptaki z wyrajów<sup>573</sup> zza morza! O Jezu!

Z chaosu wrażeń pierwsza naturalna, wszechpotężna siła młodości i życia zawrzała w niej pieśnią. Stach wrócił jak wiosna wraca.

Wtem się wzdrgnęła przerażona.

— Co ci? — szepnął za nią Andrzej. Oparty był ramieniem o jej fotel i dotknął był<sup>574</sup> jej ręki.

— Przestraszyłem? — dodał i z poufałością męża posunął dłoń aż do ramienia i pozostawił tak.

Uczyniła jej ta pieszczota wrażenie piętna gorącym żelazem, zacisnęła nerwowo zęby, by z bólu nie syknąć, nic zdradzić odrazy. Jemu gorąca fala krwi mignęła w oczach, pochylił się nieznacznie i musnął ustami po szyi. Poruszyła się i usunęła bez słowa, czuła tylko, że jej zimny pot pokrył skronie i w oczach pociemniało.

Markhamowa trąciła go wachlarzem i szepnęła z uśmiechem:

— Mógłby pan to uczynić dyskretniej! Ręczę, że nawet kapelmistrz<sup>575</sup> widział!

— Ale nawet arcybiskup nie znalazłby w tym nic grzesznego! — odparł podobnie.

— Cicho! — upomniał Markham, stróż form i pozorów.

Akt dobiegał końca, ostatnie tony, brawa, przeciągłe okrzyki, kurtyna zapadła, gaz zapłonął, ruch uczynił się w całym teatrze. Panowie w krzesłach jedni odeptywali nogi damom, przeciskając się do wyjścia, inni plecami zwróceni do sceny lornetkowali, zamieniali ukłony ze znajomymi, których nie dostrzegli z początku, w łóżach wizytowano się. Miejsce Andrzeja zajęło z kolei kilku panów, ostatni Radlicz, który spojrzął na nią bystro.

<sup>570</sup>admirować (daw., z łac.) — uwielbiać, podziwiać. [przypis edytorski]

<sup>571</sup>oświetlone jaskrawym światłem gazu — na przełomie XIX i XX w. w dużych miastach Polski miejsca publiczne oświetlano zasilanymi z gazowni lampami gazowymi, emitującymi silne światło dzięki rozgrzewaniu do białości siatki żarowej płomieniem spalanego gazu. [przypis edytorski]

<sup>572</sup>antrakt — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

<sup>573</sup>wyraj (daw.) — odlot ptaków na zimę a. ciepłe kraje, do których odlatują, przen.: miejsce wypoczynku. [przypis edytorski]

<sup>574</sup>dotknął był — daw. forma czasu zaprzeszczonego; dziś: dotknął. [przypis edytorski]

<sup>575</sup>kapelmistrz — kierownik orkiestry; dyrygent. [przypis edytorski]

— Nadwerężył panią szpetnie<sup>576</sup> karnawał. Prawda, że ludzie jakby się wściekli, tak hulają. Tylko jakoś amatorów na mężów brak. Do tego doszło, że mnie, mnie stręczą<sup>577</sup> tę tam milionową Majerównę.

— I bierze ją pan? — spytała ciekawie Markhamowa. — Byliśmy w sąsiedztwie, oni mają willę pod Grodziskiem.

— Nie biorę, pani łaskawa, bo jestem malarzem na płótnie, a nie na perkalu<sup>578</sup>. Po drugie, ona jest ruda, to typ kolegi Żmurki, nie mój, a po trzecie, zanadto kocham mężatki i ręczę, że z mendel<sup>579</sup> ich nie przeżyłby mego wiarołomstwa.

Poczęli się przekomarzać z Markhamową, ale Radlicz zarazem obserwował sałę i rzekł:

— Jarłowa ma jeszcze przepyszny biust. To jest rasowa szkapa. Postawiłbym na nią w totka<sup>580</sup>, gdyby biegła! Wzięłaby dużo młodszych<sup>581</sup>!

— Panie, bardzo proszę, to nie targowica<sup>582</sup> na Pradze.

— Albo ja mówię, że na Pradze? O co się pani kłóci?

— O szacunek kobiet.

— Niech się szanują, albo im bronię? Może co za to dostanę nawet na tamtym świecie.

— Pan jest wstrętny potwór!

— Próbowała pani?

— Wynoś się pan!

— Na rozkazy!

Uklonił się i wyszedł.

Kazia nie podniosła oczu, nie spojrzała tam, w krzesła, i nie czuła już wiosny i życia w sobie. Niesłychanym wysiłkiem woli była pozornie swobodna i grała swą światową rolę.

Dopiero gdy powstał ruch odwrotu, spojrzała na sałę, ale już tam nie było dla niej nikogo, tylko tłum.

Na schodach Markham zaproponował kolację.

Spojrzała na Andrzeja ze zgrozą, że przyjmie, że ją jeszcze czeka męczarnia sali restauracyjnej, gorąco, zaduch potraw i wyziewów trunków, spotkanie znajomych, ale Andrzej się wymówił i rozstali się na placu.

Odetchnęła nareszcie w swym buduarze. Oswobodziła się ze strojów i klejnotów, odprawiła służącą i otworzyła list od ojca, który zastała w skrzynce pocztowej.

Papier drżał w rękach i skakały litery, ale czytała blada z wrażenia, pożerała słowa:

„Moje kochane dziecko, miałem w zeszły wtorek nie lada niespodziankę. Wyobraź sobie, Stach Bogucki się odnalazł, wrócił i był u mnie. Zmienił się bardzo, szczególnie duchowo. Zdziczał i sponurzał, mało co mogłem z niego wyciągnąć. Przywitał mnie sztywno: „Chorowałem” — mruknął, i tyle. Nie spytał o babkę, o ciebie, o nikogo, o nic. Siedział zgarbiony ze wzrokiem w ziemi jak wilk. Chciałem mu zdać rachunki z administracji folwarczku. Zaśmiał się, zerwał, papiery zgarnął i mruknawszy mi: „Dziękuję”, uklonił się i wyszedł! Dziki człowiek. Szkoda! Za gorący był, spłonął i popiół został. Stracony. Dobrze, że stara Bogucka nie dożyła tego powrotu!...”

Kazia nie czytała dalej. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę na poręcz fotela i jakby zmarzła.

Wtem skrzypnęła klamka u drzwi i wszedł Andrzej.

— Narzekasz na zmęczenie, a nie idziesz spać — rzekł, siadając na kanapce. — Jakaś ty mizerna! To nie karnawał, ale te twoje dobroczynne bieganki tak cię męczą! Jak mi tak będziesz marnieć, to zabronię.

Wyprostowała się i rzekła:

— Otrzymałam list od ojca. Przeczytaj!

<sup>576</sup>szpetnie — brzydko. [przypis edytorski]

<sup>577</sup>stręczyć (daw.) — podsuwać komuś kupno czegoś, zatrudnienie kogoś itp.; namawiać, polecać. [przypis edytorski]

<sup>578</sup>perkal — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

<sup>579</sup>mendel (daw.) — 15 sztuk. [przypis edytorski]

<sup>580</sup>w totka — tu: w zakładach na wyścigach konnych. [przypis edytorski]

<sup>581</sup>Wzięłaby dużo młodszych — przegoniłaby wiele młodszych. [przypis edytorski]

<sup>582</sup>targowica (daw.) — targowisko; targ. [przypis edytorski]

Wziął do rąk. Zrazu trochę znudzony, przy pierwszych słowach brwi zmarszczył i tak już chmurny doczytał końca. Potem przejrzał raz jeszcze i dziwnie się uśmiechnął. Oddał jej papier, sięgnął do kieszeni i podał jej w zamian kopertę czerwoną, mocno pachnącą.

— A ty przeczytaj to — rzekł, zapalając papierosa.

Było tam kilka słów po francusku bez nagłówka i podpisu, ale treści tak erotycznej, że zwróciła mu ze wstrętem.

Roześmiał się.

— Zeszły się jak obstalowane<sup>583</sup>. Wrócił tedy ten twój ideał, a ja mam oświadczyć od Jarłowej. Szkoda, że nie wcześniej. Teraz nie mam ochoty.

Milczała ze wzrokiem wbitym w ziemię, ze splecionymi na kolanach rękoma.

Trochę urażony tym milczeniem dodał:

— No, i chyba ty już się ze mną pogodziłaś i losu byś nie zmieniła. Mogę figurować na wystawie inwentarza<sup>584</sup> jako wzór męża! Gdybyś ty była cokolwiek mniej apatyczna, czuję, żebym się w tobie rozkochał. Tymczasem zaczynam się z tobą godzić i na razie innej nie chcę. No, rzuć ten list i kładź się spać. Będziesz na balu źle wyglądać. Tym bardziej idź spać. Czy mam cię zanieść do sypialni? — dodał, wstając.

Zerwała się z fotela i słowa nie mówiąc, wzięła świecę z biurka i wyszła.

Nazajutrz czuła się tak niezdrowa i słaba, że zapragnęła raz pierwszy w życiu leżeć, spocząć. Ale po chwili pasowania się z nieznośną niemocą wstała, wzięła proszek chininy, orzeźwiła się chłodną kąpielą i poszła do zwykłych zajęć.

— Zaspałaś, córuś! Dobrze, będziesz *frisch*<sup>585</sup> na balu! — powitał ją prezes.

Andrzej czytał „Kuriera” i rzekł:

— Węgiel znowu zdrożał. Markham się uparł nie robić kontraktu. Teraz nas różną będą, jak sami zechcą.

— A biedacy chyba zmarzną wszyscy! — westchnęła Kazia. — Znowu dziś dwanaście stopni mrozu.

— Nie wychodź na ten ziąb. Ty się doprawdy napytasz biedy po tych norach i narobisz nam dopiero ambarasu<sup>586</sup>!

— Muszę wyjść chociażby do lecznicy. Toć tam tłok będzie dzisiaj, a doktor się zmienia. Nie wiem jeszcze, kogo mi Downar wynajdzie.

Andrzej coś zamruczał, ale go zwyżka węgla pochłaniała i chciał się o tym z Markhamem rozmówić; spojrzął na zegarek.

— Zastanę go jeszcze na dworcu — rzekł, kończąc śpiesznie kawę, i wyszedł.

Prezes miał jakąś sesję, także się spieszył, a wnet potem i Kazia wyszła do lecznicy.

Jak przewidywała, tłok był.

— Doktor jest? — spytała zdziwiona dozorczyńni.

— Jest jakiś nowy z listem od profesora Downara. List zostawił i zaraz się wziął do roboty. A tak starannie chodzi koło nich, jakby hrabiami byli.

Podala jej list i Kazia weszła do gabinetu, gdzie po konsultacji załatwiano materialne potrzeby pacjentów. Rozerwała kopertę:

„Szanowna pani! Okazuje się, że zaszło nieporozumienie i pomyłka. Mój protegowany, doktor Bogucki, upewnił mnie, że ani narzeczonej w kraju nie zostawił, ani pani zna. Posada i zajęcie bardzo mu się podoba, a że i ja jestem pewny, iż odpowiedniejszego nie sposób znaleźć, więc go instaluję niniejszym, spokojny, że ten zaufania nie zawiedzie. Proszę się nie zrażać jego sposobem obejścia; szorstki jest i ponury, ale rzecz<sup>587</sup> swoją zna, a wartość charakteru wynagrodzi brak form.

Downar.”

<sup>583</sup>obstalowany — zamówiony. [przypis edytorski]

<sup>584</sup>inwentarz — tu: zwierzęta hodowlane. [przypis edytorski]

<sup>585</sup>frisch (niem.) — świeży, świeża. [przypis edytorski]

<sup>586</sup>ambaras (daw.) — trudność, kłopot. [przypis edytorski]

<sup>587</sup>rzecz swoją — tu: to, czym się zajmuje, swój zawód. [przypis edytorski]

Kazia, przeczytawszy, otworzyła drzwi do małego pokoiku biura samej Ramszycowej i poleciła dozorczyńni poprosić doktora.

Wszedł po dość długim oczekiwaniu i sztywno się uklonił.

— Bogucki! — mruknął i spojrzał na nią przelotnie.

— Dlaczego pan skłamał, że mnie pan nie zna? — spytała rozpacznie<sup>588</sup>. — Czy pan zapomniał, czy pan się mści, czy pan mną pogardza? Nie zasłużyłam na to. I po co pan tu przyszedł?

— Nie mam przyjemności znać pani. Przyszedłem z polecenia profesora Downara na posadę, która odpowiada moim celom i idei. Czy pani nie życzy sobie, żebym tu pozostał? W takim razie usunę się, tylko dziś jeszcze załatwię pacjentów; to mój obowiązek. Chory, tym bardziej nędzarz, nie powinien czekać do jutra.

Zwrócił się, by odejść.

— Stachu! — wyrwało się jej mimo wiedzy<sup>589</sup>.

Zły ogień zapalał w oczach Boguckiego. Taka zaciętość i niechęć, że jęknęła, jakby otrzymała uderzenie, bolesne.

— Pani mnie bierze za kogoś innego — rzekł twardo. — Pytał mnie profesor Downar, czy miałem narzeczoną. Skądże? Gdybym miał, toby mnie nie opuściła dlatego, że mnie los podeptał, że byłem nędzny, słaby, zgnieciony nieszczęściem. Ale ja sam byłem i sam jestem, i sam będę. Narzeczonej nie miałem i mieć nie mogę, bo nie posiadam ni pieniędzy, ni świetnego stanowiska, a przecie mej idei kobiecie nie ofiaruję na zabawkę i poniewierkę. Ale pani daruje, chorzy czekają.

Stała bez słowa, bez myśli, niezdolna się bronić, domęczona już tym ciosem. On wyszedł.

## XII

Tej nocy, po balu, Kazia się ocknęła, jakby ją coś wstrząsnęło, jakby na nią ktoś zawołał.

Otworzyła oczy i starała się zrozumieć, co się z nią dzieje.

Dzwony biły, wiele dzwonów, a biły rozgłośnie, aż ją bolało w głowie od dźwięków i huku.

Na co dzwonią? Gdzie? Ha, to na rezurekcję<sup>590</sup> w Górowie. Jest tam Wielkanoc przecie.

Bo wiosna już świta. Rezurekcje, i sady kwitną, pachnie jabłoniowym kwieciami i polatują w powietrzu strącone powiewem ranka białe płatki, pełno ich, opadają bez szelestu, a dzwony grają. Trzeba iść na rezurekcję. Idzie wśród sadów na te dzwony, płatki białe padają, ale jakie one zimne, biała już od nich i ziemia, coraz więcej wiruje, to śnieg, zadymka.

Ogarnia ją chłód, dreszcz, zęby szcękają, ale idzie, bo dzwony wołają. To nie dzwony, to młoty w kuźni, co stoi za dworem w Górowie.

I oto ją ogarnia żar kowalskiego ogniska, ale jaki żar, to ona sama płonie, ona leży w żarze. Rzuca się, chce się cofnąć, osłania głowę, ale to ojciec miechem dmie i ojciec ją tak rozpaloną jak sztabę metalu kładzie na kowadło, a tłum ludzi jest wkoło, ludzi z młotami i te młoty spadają na jej głowę, spadają, wałają, tłuką, miażdżą, biją, biją, biją.

Patrzy, kto bije, patrzy, wszyscy są, i Andrzej, i Wolskie, i macocha, i Radlicz, i stara Markhamowa, i Tunia, a wreszcie widzi nad sobą złe oczy Boguckiego i młot wzniesiony, i uderzenie...

— O, Stachu! Ty nie bij! Ty nie bij! — szepce, potem już nic nie widzi, nic nie czuje, nic nie rozumie z rzeczy tego świata.

## XIII

Ranek posepny, zimny, ponury, ranek poniedziałkowy po zapustnej niedzieli<sup>591</sup>. Miasto jeszcze śpi po wczorajszych balach, długo spać będzie, nabierze sił na ostatki<sup>592</sup>. W po-

<sup>588</sup>rozpacznie (daw.) — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

<sup>589</sup>mimo wiedzy — dziś: mimowiednie, nieświadomie. [przypis edytorski]

<sup>590</sup>rezurekcja — w kościele katolickim uroczyste nabożeństwo wielkanocne połączone z procesją, odprawiane o świcie w Niedzielę Wielkanocną. [przypis edytorski]

<sup>591</sup>zapustna niedziela (przestarz.) — ostatnia niedziela karnawału. [przypis edytorski]

<sup>592</sup>ostatki — końcowe dni karnawału. [przypis edytorski]

wietrze wiruje śnieg, patrzą nań z uciechą dorożkarze, z niechęcią stróże i policjanci. Oprócz nich nie ma prawie publiczności na ulicach.

Stasiek Józefiak z gromadą kolegów-roznosicieli wylatuje na miasto z „Kurierem”. Leci chłopak i pogwizduje jakby na gołębie, a właśnie przed Świętym Krzyżem spostrzeżga dwa, zapomina na chwilę o obowiązku, gapi się.

— Werfle<sup>593</sup>! Ktoś ci spłoszył, że się to tłucze w taki czas. Ciekawość, czyje?

Gołębie spadły na skwerek przy Koperniku<sup>594</sup>, szukały żeru, spłoszone fruwały na ramię krzyża u figury Zbawiciela<sup>595</sup>, tedy Stasiek tam spojrział i zaczął czytać świeżutką klepsydrę.

Czytał, podszedł bliżej, palcem po literach poprowadził, obejrzał się, jakby kogoś spytać chciał, spojrział na zamknięte jeszcze drzwi krypty i uspokojony, że nikt nie uważa, zerwał jedną klepsydrę i wzięwszy nogi za pas, poleciał na Berga<sup>596</sup>. Gnał ile tchu Erywańską, przerznął Marszałkowską, wpadł na Pańską.

Tomaszowa, wyprawivszy męża z dorożką na miasto, zabierała się do szorowania dzieci, gdy Stasiek wpadł zdyszany, zziębnięty i wrzasnął:

— Wście! Pani nasza umarła!

— Olaboga! Jezu! Kto ci mówił!

— Ot — klepsydra już u Świętego Krzyża! Czytajcie.

Tomaszowa nie umiała czytać, porwała papier i pobiegła z nim na facjatkę do Ambrozików.

Wtedy Stasiek przypomniał sobie „Kuriera” i chlapiąc, zgarbiony powłókł się do swej roboty. A na facjatce u Ambrozików była już ciżba i napływało coraz więcej, tłoczyli się wszyscy, całe domostwo tam się zbiegło, mężczyzn, kobiet, dzieci, tłum szary, nędzny, i słuchali Ambrozika, który czytał, jękając się:

„Kazimira ze Szpanowskich Sanicka, po krótkiej i ciężkiej chorobie zmarła 9 lutego w wieku lat 23”.

Po tłumie przeszła fala przeciągłego jęku i szlochania. Ambrozik odchrząknął, bo go coś dławilo w gardle, i kończył:

„Pogrążeni w głębokim smutku ojciec i mąż zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na nabożeństwo żałobne, odbyć się mające w kościele św. Krzyża dnia 11 lutego o godzinie 11 z rana, i na wyprowadzenie zwłok w tymże dniu i z tegoż kościoła o godzinie 2 na Cmentarz Powązkowski”.

Ambrozik skończył, pochylił głowę, w ramiona ją wtulił i tak oparty o warsztat pasował się z buntem, który mu w piersi rósł, a kobiety wśród łkań i szlochań wołały:

— O Jezu, o Panienko Najświętsza, jakże my tak zostaniemy! Umarła! Dwadzieścia trzy lata! Toć chyba Boga nie ma, żeby taka umierała! Toć temu dziesięć dni jeszcze była. Tak się cieszyła, że u Józefiaków pozdrowieli. Nad Helą małą siedziała. Co jej się stało? Jako mogła zemrzeć?

— Sądżono nam zginąć! — ozwał się ponury głos męski.

— Chyba ją zabili! — wybuchnęła Tomaszowa. — Ja polecę do ich kamienicy! Takie państwo, a toć by ją z choroby odratowali!

— Matusiu, żebym ja choć ją raz jeszcze w trumnie zobaczyć mogła, moją złocistą! — szeptała Julka-suchotnica.

— Zobaczysz ją w niebie, niebożę. Nie przyjdzie już do nas! Jezu! Jezu! Zabrał ją Bóg jak anioła. Ludzie, chodźmy za nią pacierz zmówić, a juści i na Powązki za nią pójdziemy!

<sup>593</sup>werfel (z niem.) — rasa gołębi. [przypis edytorski]

<sup>594</sup>skwerek przy Koperniku — skwer przy pomniku Mikołaja Kopernika w Warszawie, przed pałacem Staszica, u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata. [przypis edytorski]

<sup>595</sup>figura Zbawiciela — tu: wykonana z brązu figura Chrystusa dźwigającego krzyż, stojąca przed kościołem Świętego Krzyża w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>596</sup>Berga ulica (w Warszawie) — nazwana na cześć Fiodora Fiodorowicza Berga (właśc. Friedricha Wilhelma Remberta von Berg), ros. feldmarszałka, namiestnika Królestwa Polskiego w latach 1863–1874; od 1916: ul. Traugutta. [przypis edytorski]

— I tam ci z nią chyba zostać od razu, bo i po co wracać! — jęknęła Józefiakowa, która ledwie się zwlokła z choroby. — I Helę jej zaniósł! Jako ją odratowała, to niech ją ze sobą zabierze.

— Chodźmy do Świętego Krzyża.

Śnieg sypał coraz gęściej, kobiety ruszyły gromadą, pomimo perswazji sąsiadek wlokła się też Józefiakowa z jakąś zaciętą rozpaczą. I niosła Helę otuloną w chustkę, i ledwie szła, a gdy się dowlokła, tamte już wracały i sama znalazła się w krypcie. Pusto było i mroczno. Ruch uliczny się budził, ale nikt do umarłych nie szedł, boć karnawał żywych zajmował. Józefiakowa upadła na kolana.

Wysoko, wśród całych gajów roślin cieplarnianych stała metalowa trumna, katafalk pierwszej klasy kosztował setki, imponował, ale Józefiakowa patrzyła nań ponuro. Był to grób jej dzieci, jej doli, jej całej przyszłości. Nie modliła się, poczęła tej umarłej się skarżyć, wyrzucać, a wreszcie znękana ostatecznie zaniósł się rozdzierającym płaczem, i lkała malutka Hela, nie rozumiejąc, co się stało, i chyba poprzez światy duch Kazi ten płacz musiał słyszeć.

— Co wam, kobieto? Czego tak płaczecie?

Ktoś dotknął ramienia Józefiakowej. Obejrzała się, jakiś pan stał nad nią.

— Po mojej pani płaczę — wyjąkała.

— Służyliście u niej?

— Nie, ona ci nam służyła! Pan nie wie! My z Pańskiej ulicy! Nas tam zostało może ze stu ludzi, a wymarnieją bez niej. I po co ona mnie z tyfusu wyratowała i tego robaczka<sup>597</sup>, po co się cieszyła, jak dziecko ożyło z gorączki? A sama od nas poszła! Jakie prawo miała nas rzucić? Chyba Boga nie ma na świecie!

Mężczyzna popatrzał na trumnę i długo stał nieruchomy.

„Kuriera” już przeczytali ludzie, coraz<sup>598</sup> wchodził do krypty to lokaj wygalowany, to chłopak od ogrodnika, to posłaniec, kładł każdy wieniec u stóp katafalku i wychodził śpiesznie.

— Zaprowadźcie mnie do siebie — rzekł wreszcie mężczyzna do Józefiakowej. — Pani mi was poleciła. Chodźcie!

U progu skinął na dorożkę, ulokował kobietę, pojechali. I szedł za nimi duch Kazi, i słyszał w sobie Bogucki jej głos cichy i słodki:

„Stachu — umiłowałam w życiu ciebie i twoją ideę. Teraz ci ich oddaję, tych moich, serdecznie moich. O, Stachu, koili mi oni tęsknotę po tobie, byłeś ze mną przy nich. Tak ci i tobie będzie. Nie szukaj mnie wśród tych wieńców i nie idź za tym prochem moim na Powązki! Ja tam nie będę, ja z tobą, Stachu serdeczny, wśród nich zostanę!”

Miłość silniejsza niż śmierć,  
Miłość niespełniona

## XIV

„Kurier” był już rozniesiony. Czytał go Wolski, pijąc samotnie kawę. Żona i córki jeszcze odsypiały jakiś balik. Zbudził je bez ceremonii wołaniem:

— Słyszeliście! Awantura! A toć Andrzejowa umarła.

— Nie może być? Kiedy? — ozwały się senne głosy.

— Wczoraj. Już jest nekrolog. Pogrzeb we wtorek.

— Ile miała lat? Skąd pogrzeb?

Rozbudziły się nowiną. W negliżach zeszyły się do jadalni, czytały wszystkie.

— To się biedaczka wybrała w same zapusty! — westchnęła mama. — Ależ zgasła prędko! Prezes się okropnie zmartwi.

— No, i Andrzej był onegdaj okropnie przybity, gdym tam wstąpił po wieści!

— Et, co tam Andrzej! Zobaczycie, że go Jarłowa złapie.

— Będziemy, mamó, na pogrzebie?

— A jakże, i na nabożeństwie! Trzeba odświeżyć czarne suknie.

— No, to nasz wieczór u Sobolskich przepadł.

— Ano, chyba nie wypada.

<sup>597</sup>robaczek — tu: maleństwo, małe dziecko. [przypis edytorski]

<sup>598</sup>coraz — tu: coraz to, co trochę. [przypis edytorski]

— Co by to jej było szkodziło umrzeć w Popielec<sup>599</sup>?

— Wypada wianek posłać — bąknął Wolski.

— Zapewne — wszyscy posłają. Cóż robić! Nie można się wyróżniać. Trudno, kilkanaście rubli to będzie kosztować, ale dla starego trzeba to zrobić.

— Żeby choć śnieg nie padał we wtorek. Masę osób będzie na pogrzebie pewnie.

— Wątpię, zła pora.

Wolski westchnął i wstał.

— To ja wianek zaraz posłę.

— O kwiaty mniejsza, tylko na wstęgę nie żałuj. Każ wydrukować... — zamyśliła się i dodała: — „Najmilszej krewnej — od Wolskich...”.

— Ach! Co za cios dla Sanickich! — zawołał stary Markham przy czytaniu „Kuriera”.

— Co? Umarła biedaczka! Już! Co prawda, od pierwszego dnia choroby doktor Morawski najgorzej wróżył. Wojowała i dowojowała się. Dowiedziona rzecz, że się zaraziła tyfusem u jakichś swoich protegowanych. Co za nieostrożność! Bywała wszędzie, mogła nanieść nam wszystkim zarazy. Łaska boska jeszcze. No, teraz Ramszycowa znowu sama zostanie. Downar do niej telegrafował, bo jak się ta biedaczka położyła, chaos tam zapanował. Żadnej u nich organizacji nie ma!

— Biedny prezes, tak ją kochał!

— Biedny! Andrzej już zaczął latać za Jarłową, teraz jeszcze bardziej się zadurzył! A ta mu domu nie umili na starość, o nie! Szkoda starego. Trzeba wianek posłać i być na nabożeństwie. Na Powązki damy karetę Guciowi z żoną!

— Jezus, Maria! Kazia umarła! — wrzasnęła Dąbska do pierwszej z kuzynek, które się ukazały tego dnia. Była rzetelnie zmartwiona, więc choć już było około pierwszej, jeszcze nie zaczęła toalety ani domowych porządków.

Kuzynki jej przeczytały nekrolog, przyszły po szczegóły.

— Tyś miała odwagę tam chodzić w czasie choroby! To strasznie zaraźliwe!

— Ano byłam co dzień! Ja i Dąbrowska stara.

— Bardzo cierpiała? Mówiła co?

— Nic. Siedem dni nie otworzyła oczu i ust. Nic nie słyszała ani rozumiała. Mówię wam, okropne było! Doktorowie powiadają, że musiała już od tygodnia mieć tyfus i tak go przechodziła, dlatego i nie było ratunku. Dyszała tylko i czarna była od gorączki, ale na nic się nie skarżyła, tylko wczoraj poczęła rękami pościel szarpać. Biedactwo.

— A ksiądz był?

— Był onegdaj. Podobno gdy do niej przemówił, otworzyła oczy i poruszyła ustami, ale głos nie wyszedł z gardła, tylko się jakby uśmiechnęła.

— Biedactwo! — powtórzyły wszystkie. — Że też tylu doktorów mieć mogli i nie uratowali.

— Było pięciu! Prezes od zmysłów odchodził!

— A Andrzej?

— Andrzej był jak odurzony. A przy tym wściekły na tę jej nędzę protegowaną. „To oni ją zabili, tam się zaraziła — mówił. — Powyduszałbym to jak robactwo. Niech mi się ośmielią pokazać!”. Żal mu jej było, naprawdę żal!

— A Radlicz? Dowiadywał się?

— To jest narwaniec! Spotkałam go onegdaj. „Wie pan — powiadam — że z Kazią bardzo źle”. — „Źle — odpowiada — a może dobrze. Ukochani przez bogów umierają młodo<sup>600</sup>. Zresztą, proszę pani, na bruku się wrzosa nie hodują. Fiut, stróż miotłą w rynsztok zmiecie, kwiaty zawsze tak kończą”. Powiedziałam mu parę słów prawdy, ale czy który artysta ma sumienie?

— Jutro pogrzeb?

— Jutro! Strasznie mi nie na rękę, bo mam masę roboty! Biedactwo, nie użyła ostatków! Telefonowałam do Julka, żeby wieniec posłał najdroższy, jaki jest! Ogromnie ją kochałam!

<sup>599</sup> *Popielec* — środa popielcowa, w kalendarzu chrześcijańskim dzień pokutny, rozpoczynający Wielki Post. Wtorek przed Popielcem to ostatni dzień karnawału. [przypis edytorski]

<sup>600</sup> *Ukochani przez bogów umierają młodo* — cytat z gr. dramaturga Menandra (342–291 p.n.e.). [przypis edytorski]

## XV

O zmroku wprost z dworca przyjechała Ramszycowa i zadzwoniła do Sanickich.

Po twarzy służącego domyśliła się prawdy, spytała o prezesa.

— Leży chory.

— A młodszy pan?

— Wyszedł z panem Szpanowskim.

Ramszycowa rzuciła kartę i poszła na górę do Downara. Tam przede wszystkim spytała, czy pani jest, a na odpowiedź przeczącą weszła bez meldowania<sup>601</sup> do gabinetu, wołając:

— Powiedźcie mi, gdzieście byli i co warta wasza głupia nauka, żeby jej dać umrzeć!

Downar siedział w fotelu u biurka, a w cieniu w kącie był ktoś jeszcze.

Downar powstał i powitał ją, i za całą odpowiedź ramionami tylko ruszył.

— Nie chciałam wierzyć, żeby ona, tak młoda, tak silna, tak zdrowa, mogła tak zgasnąć! To straszne.

— A może jeszcze bardziej niepodobna, że tak długo żyła! Lepiej jej teraz. Czy to szczęście kilkadziesiąt lat umierać, bo co innego jest życie? Ale teraz nie znajdzie pani łatwo takiej do pracy towarzyszki. Żeby taką nasz brat Laszkę dostał pod Rosienie<sup>602</sup>, toby inaczej szanował i pilnował, ale dla tutejszych za dobrą była. Trzeba było zamęczyć dla dogodzenia karnawałowi. Jeszcze niejedna przyjaciółka w duchu jej złorzeczy, że popsuka pogrzebem ostatki. Kukły!

Ramszycowa usiadła i zadumała się.

— Nie marzę nawet, by ją ktoś w mym sercu i uznaniu zastąpił, ale żywi żyją i trzeba o nich myśleć. Ostatni od niej list miałam, że doktor Rajewski nas opuścił. Mała szkoda, nie cierpiałam go, ale musimy szukać zastępcy.

— Ona pani już tego kłopotu oszczędziła. Sama wybrała zastępcę. Ot, tu jest właśnie kolega Bogucki. Od dziesięciu dni już ordynuje<sup>603</sup>.

Ramszycowa spojrzała badawczo nań. On się milcząco uklonił, a Downar dodał:

— Dziś, właśnie przed chwilą, mówiliśmy z nim. Dziwak jest, stawia warunki.

— Jeśli pana Boguckiego wybrała pani Sanicka, z góry na nie przystaję!

— Będzie pracował miesiąc w pani zakładach na próbę. Jeśli pani dogodzi, chce dostać od razu dziesięć tysięcy rubli.

— Rozumiem. Instalacja i małżeństwo.

— Nie, pani. Będzie mieszkał przy lecznicy, jeden pokój mu wystarczy i żenić się nie myśli. Ma dużą, bardzo liczną rodzinę! To dla nich.

— Powtarzam, jeśli pani Sanicka na to się zgadzała, ja przystaję.

— Pani Sanicka tego chciała — rzekł poważnie Downar. — A ja pani za tego kolegę rękę jak ojciec za syna.

— Będziemy tedy razem pracować. Tylko już jej nie będzie z nami! — westchnęła Ramszycowa.

I jej, tak trzeźwej, zmętniały na chwilę oczy, a nierada temu zerwała się, uściśnęła w milczeniu dłonie obu mężczyzn i wyszła.

Żeby nie mąż, zapomniałaby zupełnie o wieńcu.

Nie miała Kazia szczęścia i do końca. Nawet jej pogrzeb dał Warszawie powód do krytyki i wyrzekań. Bo śnieg walił od południa, formalna zadymka.

Z jej racji<sup>604</sup> niszczone toalety, z jej racji musiano najmować karety i przepłacać dorożki, bo o pieszej wędrowce, choćby od pierwszego rogu, mowy być nie mogło, a wszyscy ubolewali nad Andrzejem, który iść musiał za karawanem.

Ale pogrzeb był wspaniały, to przyznano jednogłośnie, musiał kosztować tysiące, ale o ile by był efektywniejszy w pogodę!

A tak pieszo szła tylko hołota, gapie zapewne i rzezimieszki. Ale skąd się tego tyle nabrało na ten psi czas? O pierwszej już tłum był przed kościołem, tłum źle odziany, może

Pogrzeb

<sup>601</sup>bez meldowania — tu: bez zapowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>602</sup>Rosienie — niewielkie miasto na Litwie, w okręgu kowieńskim. [przypis edytorski]

<sup>603</sup>ordynować (daw.) — przepisywać lekarstwa, udzielać porad lekarskich, przyjmować pacjentów. [przypis edytorski]

<sup>604</sup>racja — tu: powód, przyczyna. [przypis edytorski]



dlatego obojętny na śnieg i ziąb. Zapchał chodnik, wylał się na ulicę, otoczył mrowiem karawan, tamował ruch tramwajów.

Nareszcie ustawiono trumnę i pogrzeb ruszył.

Szli za karawanem Andrzej i Szpanowski, i to mrowie szare, tłum bezimienny, a za nim dopiero karety i dorożki, ale tłum nie ubyło i czern ta doprowadziła Kazię wiernie do kresu życiowej wędrówki. A śnieg wciąż padał, siał jej swe białe kwiaty.

Powązki pochłonęły trumnę i eskortę, a po niedługim czasie zwróciły żywych. Tłoczono się u bramy, siadano na powrót do powozów, mówiono już o potocznych sprawach. Markhamowie młodzi ustąpili swej karety starym Dąbrowskim, wracali dorożką.

— Szczególne, co się z Tunią stało? — dziwiła się Emilka.

— A oto dopiero jedzie! — zaśmiał się Markham. Zatrzymali się. Jednokonką jechała Tunia zasapana i zziębnięta, jakby sama ciągnęła wehikuł.

— Rany Pańskie! Gdzie Julek? — wołała.

— Pojechał z Andrzejem kareta.

— Macie państwo, a ja się spóźniłam, bo chciałam razem jechać! Czekałam na niego, telefonowałam na wsze<sup>605</sup> strony. Ano, siadam z wami, już biedaczce naprawdę nic nie pomogę. A wianek nasz widzieliście? Opowiedzcie mi, kto był? A mowy były? Jakże? Płakał kto? A Ramszycowa dała wianek? Tak żałuję, że się spóźniłam, ale to Julka wina. Tak się śpieszyłam, nawet nie karbowałam włosów. Co prawda, na tę pogodę ani uczesania, ani toalety nikt nie zauważył. Jakże Andrzej się zachowywał? Wiedzą, już gadają, że ona umarła z desperacji, że on za Jarłową lata. Nie dam trzech groszy, że się pobiorą. Serdeczny mi żał Kazi. Dobrze było stworzenie, poczciwe, ale brakło jej sprytu kobiecego! Nie umiała wyrobić wokoło siebie sympatii i miłości. Ale, nie uważaliście — Radlicz był?

— Nie. To bardzo niestosowne. I Downara nie było.

— A, bo się zaraz po śmierci przemówili<sup>606</sup> ostro z Andrzejem i zerwane stosunki! A wiecie, z kim zaręczona Majerówna?

Rozmowa przeszła na temat wspomnień karnawałowych. *O Kazi nie było wzmianki. Żywi wrócili do żywych i życia.*

Następnej jesieni nad grobem stał posługacz cmentarny i robotnik od kamieniarza brał rozmiar na nagrobek. Rozmawiali sobie przy tym, ćmiąc papierosy.

— To mąż pomnik stawia?

— Iii, gdzie zaś!<sup>607</sup> Jakiś stary, siwy! Ojciec pewnie. Bogaty! Siedemset rubli płaci!

— Aha, to ten, co wczora był na mogile, kazał ją oprzątnąć<sup>608</sup>. Tylem miał dochodu! Kamieniarz trącił nogą szkielet bukietu, jakieś badyle suche.

— Przecie ktoś miał<sup>609</sup>?

— Nie widziałem, kto. Miotłę ci jakąś przynieśli. — Wziął do rąk badyle i roztarł je w palcach.

— Wrzos leśny, żadna parada<sup>610</sup>. Za dziesiątkę dostanie! Ktoś ci na ofiarę nie zban-krutował. A ja tom grosza nie dostał.

<sup>605</sup>wsze (daw.) — wszystkie. [przypis edytorski]

<sup>606</sup>przemówić się (daw.) — pokłócić się. [przypis edytorski]

<sup>607</sup>gdzie zaś! (gw.) — gdzie tam, skądże. [przypis edytorski]

<sup>608</sup>oprzątnąć — tu: uprzątnąć. [przypis edytorski]

<sup>609</sup>mać (daw.) — ozdabiać kwiatami. [przypis edytorski]

<sup>610</sup>parada (daw. pot.) — wystawność, przepych, rarytas. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodziewiczowna-wrzos>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Rodziewiczówna, Wrzos, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1984.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Niedziałkowskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Karolina Seliga, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0816-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.